

WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

PO WYZWOLENIU...

(1944-1956)

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1985

1985 W 478 / 1
1985 W 478 / 2





PO WYZWOLENIU...
(1944-1956)

Wydawnictwo Literackie
Lwów, 1956
1000 egzemplarzy
Cena 1,50 zł

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 409

ISBN 2-7168-0072-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

PO WYZWOLENIU...

(1944-1956)

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1985

REVUE DE LA LITTÉRATURE

REVUE DE LA LITTÉRATURE

1985

REVUE DE LA LITTÉRATURE

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1985

OD AUTORA

Pisanie wspomnień jest potrzebą ludzi starych, potrzebą naturalną i na ogół cenioną przez historyków. Rzecz tylko w tym, że przeszłość się zaciera, zostają z niej jakieś strzępy. czasem zgoła nieciekawe, a nawet jeżeli są warte utrwalenia, oddalenie nałożyło już na nie swój cień. Piszący czuje, że patrzy wstecz zupełnie z innej perspektywy i nie jest w stanie oddać autentycznego obrazu swych przeżyć! A ileż postaci, głosów, zdarzeń jawi się jak ledwie widoczny ślad... Czy można się przedrzeć przez mgłę własnego zapomnienia?

Jest to jeden z powodów, który paraliżował mi rękę trzymającą pióro. A jednak są rzeczy, które nie tylko są godne utrwalenia. Należałoby o nich krzyczeć tak głośno, żeby ten krzyk słyszeli wszyscy. Ciągłe bowiem są aktualne i ciągle kładą się kamieniem na nasze życie.

Trudno jest pisać o Gułagu po książce Sołżenicyna. Zawiera ona takie bogactwo rzeczowego materiału i tak znakomite analizy, że na długo zostanie podstawowym źródłem wiedzy o tej dziwnej krainie. Z niektórymi jego opiniami nie mogę się jednak zgodzić. Sołżenicyn patrzy na obozy z rosyjskiego punktu widzenia. Spojrzenie od wewnątrz ceni się na ogół wysoko. Niemniej nie dostrzega on spraw, które uderzały Europejczyka. Europejczyk od momentu aresztowania aż po uwolnienie zwykle reagował inaczej niż Rosjanin. Inna była jego polityczna i moralna sytuacja, rzutująca na całość postępowania i przeżyć.

Kiedyś, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w obozie, obiecywaliśmy sobie opisać go z humorem jako świat piramidalnego absurdu. Dziś trudniej mi zachować ten humor, może właśnie dlatego, że patrzę z dystansu, że już nie jestem aktorem, a widzem, świadomym spustoszeń moralnych i fizycznych, jakie

te lata przyniosły. Niekiedy jednak kpina sama się ciśnie pod pióro, bo ostrzej widzi, wyraźniej rysuje.

Książka moja nie ma zwartej kompozycji. Wydobywane z niepamięci wspomnienia z trudem układają się w ciąg tematyczny. Nie chcę ich na nowo układać, logiczniej szeregować. Niech płyną tak, jak były pisane. Pisane zaś były długo. Zaczęłam tę książkę chyba z pięć lat temu, przerywałam pracę nad nią wiele razy. Z przykrością zasiadałam do niej znowu. Gdyby nie przyjaciele, nigdy bym jej chyba nie skończyła. Zresztą nie wiem, czy została skończona. Można by napisać o wiele więcej, lecz czy nie wystarczy i tego, co zawiera?

Wiktoria KRASNIEWSKA

ŻYCIE CODZIENNE: WIĘZIENIE

Pobudka była o piątej rano. Walenie w drzwi służyło jako sygnał. Zaczynał się dzień, poranna toaleta, poranna kolejka do paraszy. Trzeba było szybko załatwić swoje potrzeby, zanim otworzą się drzwi i padnie rozkaz wyniesienia kubła. Można było oczywiście odłożyć sprawę na później, znaczyło to jednak, że nasze ekskrementy będą zatruwać powietrze do wieczora. Popędzaliśmy więc jedna drugą, ale z reguły to i tak nie miało większego znaczenia, żołądki były rozregulowane i tylko kilku udawało się zmieścić w czasie. Czasem prowadzono nas wszystkie do ubikacji, gdzie można było pod chłodną wodą obmyć ręce. To szczęście spotykało nas jednak wyjątkowo: dyżurny nadzorca musiał być w nadzwyczaj dobrym humorze. Normalnie, gdy tylko otworzono drzwi, po kolei dwie z nas chwytaly za duże żelazne ucha, podnosiły z trudem pełniutki, mieszczący co najmniej 80 litrów kubeł i majestatycznie, aby nic nie rozlać, unosiły go z celi. Nie była to praca przyjemna, ale spełniana chętnie ze względu właśnie na tę wodę, której nam brakowało, na możliwość skorzystania z ubikacji, no i spaceru przez korytarz. Zawsze tych 100 metrów tam i z powrotem. Rozprostują się nogi.

Parasza wracała do celi czysta, wymyta, co nie znaczy, by straciła swój mocny zapach. Blacha splukiwana tylko wodą była nim przeżarta. Postawiona na miejsce w kącie, parasza zaczynała nam teraz służyć jako umywalnia. W pierwszych miesiącach więzienia nie dawano nam wody, myłymi się więc poranną kawą. Pół litra tej czarnej lury musiało służyć do przemycia oczu, ust, choć trochę ciała i do picia przez cały dzień, aż do szóstej wieczór, gdy podawano nową tej samej objętości porcję tym razem *czaju*, czyli wody nie brunatnej, a żółtawej. Z cza-

sem wywalczyliśmy sobie prawo do wiadra. Wynosząc paraszę można ją było wypełnić po brzegi. Myśleliśmy się więc odrobinę lepiej, ale nie zanadto. Parasza musiała służyć do wieczora. Teraz więc każda z nas mogła wlać do niej nie więcej niż po jednym kubku. Była to surowa umowa ściśle przestrzegana. Wieczorem, jeżeli będzie miejsce i wody się nie wypije, jedna lub dwie wymyją się trochę dokładniej.

Cela niewielka. Pięć metrów wzdłuż, dwa z połową wszerz. Jest nas czternaście. Osiem śpi po jednej stronie, sześć po drugiej (tam bowiem stoi parasza), na waleta, jak sardynki w pudełeczku. Łachy na dzień staramy się zebrać w małe kostki, żeby zrobić przejście pośrodku. Po kolei próbujemy chodzić, w tył i w przód, w tył i w przód, kilkanaście razy. Mebli wcale nie ma. Siedzimy na podłodze ciesząc się, że jest drewniana. Zawsze cieplejsza niż beton. Czekamy na poranny apel. Trwa on krótko. Z daleka słychać już otwieranie drzwi, komendę, już są obok, już znów słychać klucz w zamku. Ustawiamy się rzędem. Wchodzą, stereotypowe: *skolko was, czetyrnadcat*. Przejmujący dyżur nadzorca liczy nas palcem. Liczenie bowiem jest rzeczą skomplikowaną. Chore są? — pyta. — Nie ma. Jeszcze uważny wzrok, czy się do czegoś nie przyczepić, czy nie ma czegoś podejrzanego, ale ten, co był w nocy, nagli, chce iść spać. Czekamy teraz na śniadanie. Chleb, pół litra kawy — to wszystko. Tylko niektóre mają paczki. Częstują pozostałe ząbkiem czosnku albo kawałkiem cebuli. Smakują jak najlepsza kiełbasa.

Ranne godziny spędzamy na biciu wszy. Pani H., która jest historykiem sztuki i architektem, wygłasza z tego powodu zawsze kilka wspaniałych refleksji o estetyce życia codziennego. Jestem mniej wyrafinowana, ale pochwalam zajęcie, skraca ono bowiem znakomicie czas. Wszy mamy mnóstwo i przejrzenie wszystkich szwów w bieliznie i sukienkach pochłania ciągnące się godziny. Mamy też swoje obserwacje na temat zachowania się tych miłych zwierząt, ich kameleonowych zdolności lub orientacji w przestrzeni. Wiemy, że te brązowe należą do A., zeszyły z jej brązowego swetra i przeszły wzdłuż szpar w deskach prosto do H., kłócąc się z jej rodzimymi, mającymi odcień raczej czarny. Niektóre są duże, inne małe i nadzwyczaj żwawe. Rozmowy na ten temat są utrapieniem jednych, zabawą drugich. O czym zresztą mamy mówić, skoro wiadomo, że *stukacz* siedzi między nami i notuje każde słowo w pamięci. Czasem tylko Helka wpada w marzenia. Siedzi tuż przy paraszy, bo przyszła ostatnia. Jest jedyną *bytowiczką* wśród nas. (*Bytowiczka* to znaczy uwięziona za przestępstwo kryminalne). Podejrzewam, że była prostytutką,

w każdym razie ma duże doświadczenie. Jej opowieści najczęściej tyczą polskich więzień przedwojennych. Nie wierzymy jej wcale, opowieści nie wydają się prawdziwe. „W takiej celi, mówi, siedziało nas tylko dwie, były dwa łóżka”. — „Łóżka?” — dziwimy się. — „Tak, takie kojki, i materace, także koce, prześcieradła i poduszki”. W koc mogą jeszcze uwierzyć, ale żeby była w więzieniu poduszka, to mi się wydaje znaczną przesadą, przeszłość się zwykle idealizuje. Ale Helka wspomina dalej: „Miałyśmy warcaby, szachy, prawdziwe, nie te, co wy robicie z chleba”. Niedobrze, zauważyła, że mamy szachy, a to wzbronione. „Dawano nam książki i nie było paraszy, ale umywalka, i codziennie się chodziło do ustępu”. Marzenia. Widzę, jak pozostałe dziewczęta uśmiechają się nieznacznie, grzecznie potakując. „A u politycznych to był nawet papier, ołówki, pióra, wiem. bo u nich sprzątałam w celi, one same tego robić nie chciały, i miały tyle książek i szafki na rzeczy i tyle rzeczy i listy pisały i biały chlebek jadły z masłem i kiełbasą. Ażebyście wiedziały, że tak, bo był sklepik, i wszystko w nim kupowały, co chciały”. Wzruszamy ramionami. Więzienie to więzienie, nie mamy co prawda żadnej skali porównawczej, każda z nas jest w takim miejscu po raz pierwszy, ale żeby od razu biały chleb i poduszki, to za wiele. My nie mamy żadnych materaców. O prześcieradłach nawet nie śnimy. Stare zimowe palto, które zdołała przesać mi rodzina, składam jak najrówniej na podłodze, na palto kładę we dwoje koc, tak aby się jedną połową przykryć, pod głowę worek z paru sztukami bielizny, i pościel gotowa. Podłoga jest miękka. Jak mówi nasza droga pani architekt, deski mają niezwykłą zdolność uginania się pod ciężarem, są giętkie jak hamak, wygodne. Przykrywać się specjalnie nie trzeba, bo w celi i tak duszno, gorąco od babskich ciał i smrodliwie. Koc służy raczej jako izolacja chroniąca przed dotknięciem rozgrzanych, spoconych cudzych członków, rąk, ramion, nóg, bioder ściśniętych, razem splecionych, napierających, jak gdyby szukających dla siebie więcej miejsca, więcej swobodnej przestrzeni.

Czas jest odmierzony dokładnie jak w zegarku. Obiad. Słynna zupa z rybimi oczami, łyżka kaszy bez tłuszczu, bez mięsa. Długie poobiednie godziny czasem wypełnione jakąś opowieścią a nawet wykładem, bo i uczyć próbowałyśmy się, o ile to było możliwe, wieczorna zupka i *czaj*, wyniesienie paraszy, i wreszcie *odboj*. Światło się pali całą noc. Ręce każą trzymać na wierzchu koca, ze strachu zapewne, aby ktoś nie poderżnął sobie żył. Ale i tak nie mamy czym, chyba szkłem, które ktoś znalazł przypadkiem wychodząc na korytarz do sprzątania. Taki kawałek szkła

to skarb. Można nim opiłować paznokcie, można odkroić kawałek słoniny, podzielić cebulę. Musi być dobrze schowany, bo pierwsza rewizja i zabiorą go natychmiast. Więzień nie ma prawa do ostrych rzeczy, do igieł, nożyczek, drutów.

Światło niemiłosiernie razi oczy. Przeszkadza spać. Noc nie jest dobra. Każda z nas słucha, czy ktoś nie idzie przez korytarz, czy kroki, które słycać, miną celę, czy zatrzymają się przy drzwiach. Zgrzyt klucza przyprawia o drżenie. Noc to godziny śledztwa. Wzywają zwykle w godzinę po *odboju*, właśnie wtedy, kiedy zmorzy wreszcie pierwszy sen. Brutalnie, z krzykiem nagli się do pośpiechu półprzytomnego więźnia, dawaj, dawaj. Ledwo zabrano jedną, już znowu otwierają drzwi, znowu sakramentalne pytanie: *na bukwu K.*? Odpowiadają wszystkie Kowalskie, Kownackie, Krajewskie, aż padnie nazwisko wybranej. Wówczas tylko jeszcze imię i *otczestwo*, żeby nie było pomyłki i jazda, *bystriej*. Reszta modli się po cichu, aby mogła dziś spać spokojnie.

Pamiętam, że przez pierwsze trzy miesiące mojego więzienia łaźnia była nieczynna. Miałyśmy nie tylko wszy, ale także świerzb. Drapałyśmy się niemiłosiernie, niektóre miały po prostu rany. Do łaźni zabrano nas nocą, nagle, każąc zabrać wszystkie rzeczy, jakie miałyśmy przy sobie. W łaźni wydano nam po kawałeczku mydła i kazano się rozebrać do naga, rzeczy wieszając na specjalne wieszaki. Poszły one wszystkie do pieca, tak zwanej popularnie *preżarki*, aby w wysokiej temperaturze wytępić wszy. Woda była gorąca, spływała z nas czarnymi strugami. Czuliśmy się wspaniale odświeżone, gdyby nie widok naszych własnych ciał, żółtych, obwisłych, z trudem przykrywających wystające wszędzie kości. Parę miesięcy i już takie fizyczne spustoszenie. Każda myślała z niepokojem, co będzie dalej, jak długo organizm wytrzyma.

Radością były spacery. Zaczęły się także późno, bodaj później jeszcze niż łaźnia. Wyprowadzano nas na dwadzieścia minut na małe wewnętrzne podwórko, gdzie chodziłyśmy wkoło. Świeciło słońce, zbliżała się wiosna, i te ciepłe promienie budziły nadzieje. Jakże złudne.

Ze spacerami związane było jedno anegdotyczne wydarzenie, o którym dowiedziałam się już po powrocie do kraju. Szef sztabu naszego okręgu, którego będę odtąd nazywać po prostu szefem, siedział sam w celi. Miał ciężkie śledztwa. Po jednym z nich zapowiedziano mu rychłe zakończenie sprawy, nie wróżące nic dobrego. Był niemal pewien, że przychodzi już czas najwyższej próby. Pewnego ranka, kiedy było jeszcze ciemno, usłyszał w

korytarzu dźwięk broni i tupot wielu nóg. Szczęknięty zamki, otworzyły się drzwi. Kazano mu wyjść, zostawiając w celi rzeczy, pozwolono nałożyć tylko płaszcz. Otoczył go zbrojny konwój, prowadząc nie w stronę wyjścia, lecz w przeciwną, której nie znał. Mówił mi, że nie potrafił się nawet modlić, żałował tylko, że nie jest w mundurze, był do niego przywiązany. Wyprowadzono go na wewnętrzne podwórko. Uderzenie powietrza po wielu miesiącach zamknięcia działa jak opium. Nie ma się siły iść, kręci się w głowie, czuje się dziwny szum w uszach. Ta nagła dawka tlenu jest zbyt wielka dla ściśniętych płuc. I on oparł się o framugę drzwi, ale zdołał się opanować i przeszedł tych kilka kroków pod przeciwny mur. Konwojenci ustawili się naprzeciwko z automatami gotowymi do strzału. Czekał. Ktoś z żołnierzy zawołał: *A wy poprobujeście pochodzić, poszewielitsja*. Ale on stał, niecierpliwie czekając końca. Tymczasem żołnierze wyciągnęli woreczki z tytoniem, zaczęli kręcić *bankrutki*, żartować między sobą. Zrozumiał, że na kogoś czekają i rzeczywiście jeden z żołnierzy gdzieś pobiegł. Może zawołać wyższego oficera, że wszystko gotowe? Nie, wrócił za chwilę, niosąc zwykły stolek, postawił go koło szefa zachęcając, by usiadł, skoro mu trudno chodzić. *Niczewo* — mówił — *sledujuszczij raz priwycznienie*. Teraz już w ogóle nie wiedział o co chodzi. Siadać nie chciał, siadać w takiej chwili wydawało się czymś niemożliwym. Wreszcie naczelnik konwoju kazał mu iść z powrotem. Znalazł się znów w celi. Czy chcieli go nastraszyć? Czy była to jeszcze jedna próba złamania? Nie mógł sobie wytłumaczyć tego dziwnego zdarzenia. Dopiero nazajutrz, gdy przybył ten sam konwój, tylko o innej godzinie, bliżej południa, i naczelnik dobrotliwie się spytał, czy się trochę lepiej czuje i czy dziś będzie mógł trochę chodzić, bo spacer dodaje sił, pojął nagle, że po raz pierwszy pozwolono mu na regulaminowy spacer. To był tylko spacer, nic więcej.

Ileż jest takich drobnych wydarzeń, które niedoświadczony więzień interpretuje opacznie. Legendy opowiadano o złośliwym karmieniu soloną rybą, gdy brakło wody. To prawda, bywały okresy, kiedy jedynym pożywieniem była ta ryba, a z wodą było kiepsko. Czy zamierzano pognębić jeszcze bardziej biednych zeków? Nie sądzę. Winna temu była fatalna gospodarka i jeszcze gorsza dystrybucja. W więzieniu brakowało wiader, kranów w celach nie było, zabezpieczenie więc w wodę takiej ilości więźniów przedstawiało problem niemożliwy do rozwiązania. A że dostawy ryby, o którą w Rosji znacznie łatwiej aniżeli o mięso, przychodziły regularniej, nie dziwnego, że właśnie nią karmio-

no. Latem mięso się psuje, solona ryba zaś przechowuje się doskonale. Rybę więc dawano i podczas etapów, gdzie znów o wodę było trudniej. Przynoszono nam do wagonu wiadro na każdej większej stacji, ale trzeba się było trochę umyć, trochę wypić i raz dwa wiadro pokazywało dno. Pragnienie męczyło, to prawda, ale... Poznałam ten kraj i wiem, że więcej w takich chwilach nieudolności, braku organizacji, obojętności wobec więźniów i zwykłego przejawu nędzy, niż zamierzonego działania.

Jak już chcieli komuś dosolić, to robili to inaczej i skuteczniej. Wystarczały nasze głodowe porcje, ciężkie śledztwa, zakaz otrzymywania paczek, karcery no i szereg wymyślnych tortur fizycznych i psychicznych, stosowanych nieraz z lubością, a niekiedy z nudą przez oficera śledczego. Nie każdemu udawało się przez nie przejść. Miałyśmy w celi trzy wypadki śmierci. Pierwszy, bardzo smutny, choć nikt pani Zofii nie lubił. Nie była sympatyczna. Zazdrosna, agresywna, z szaleńczym apetytem, gotowa zjeść wszystko, co wpadało w rękę. Musiała być znakomitą gospodynią, cały dzień opowiadała o swych wyczynach kulinarnych. Zapamiętałam przepis na jakiś ekstrakt tort makowy. Jak człowiek jest głodny, to lubi mówić o jedzeniu, ale mówić o nim nie warto, bo to pobudza soki żołądkowe i czyni głód nieznośnym. Protestowałyśmy przeciwko tym opowieściom. Nie od razu też zorientowałyśmy się, że ma chorobę głodową. Może była to pelagra, a może gruźlica kiszek, choroba często później spotykana w obozach. Zaczęła się od męczącej biegunki, strasznego odwodnienia, słabości postępującej tak szybko, że po miesiącu już nie można było poznać tej żywej i energicznej kobiety. Nie miałam doświadczenia, nie zdawałam sobie sprawy, że jest z nią źle. Przykro mi pisać o tej śmierci, która nie miała w sobie dostojeństwa, nawet powagi, której nie towarzyszyło współczucie. Chory na żołądek budzi niechęć całej celi. Torturą jest być świadkiem ciągłych objawów tej dolegliwości, torturą dla chorego niemożność pozbycia się świadków. Wszystko ciągle się dzieje na oczach wszystkich, najbardziej przykre, najbardziej intymne przeżycia i działania. Byłyśmy zaskoczone, kiedy pani Zofia zaczęła spadać z paraszy, chwycono ją pod rękę, zaciągnięto na posłanie. W kwadrans potem już nie żyła. To wydało nam się okropne.

W parę miesięcy potem umarła inna z naszych towarzyszek, osoba starsza, chora na serce. Znajdowałyśmy się wówczas w dość dużej celi, pośrodku której jako jedyny sprzęt stał stół. Pod tym stołem ułożyła sobie posłanie i tam też w nocy przeniosła się do lepszego świata tak cicho, że nikt nie usłyszał nawet

jęku. Ktoś powie: symbolicznie pod stołem. Ale proszę mi wierzyć, wówczas nikt tak nie myślał, przeciwnie, miejsce to było uprzywilejowane, specjalnie chorej odstąpione jako ciche, trochę ukryte przed wzrokiem i co najważniejsze — blat stołu zasłaniał elektryczność. Tam był cień.

Trzeciego wypadku śmierci nie zapomnę. Jeżeli któryś nami wstrząsnął to właśnie ten. Nie była to śmierć normalna, lecz zwyczajne morderstwo, bardziej wyrafinowane aniżeli zastrzyk fenolu. O historii aresztowania tej więźniarki słyszałam, zanim ją poznałam, od osoby, która tego dnia z nią razem była, razem została wzięta. Później te same szczegóły potwierdziła mi sama pani Wera. Zatrzymano je na ulicy pod jakimś pretekstem, zabrano do komisariatu. Następnie obie panie owinięto w koce, tak aby nie dostrzec nie mogły, i przewieziono je do MWD. Po co była cała ta inscenizacja, trudno odgadnąć. Czyżby myślano, że je zwiodą, że nie rozpoznają miejsca dostatecznie już sławnego dzięki pierwszemu pobytowi bolszewików w naszym mieście, a następnie pobytowi Niemców? Niektóre gmachy mają to do siebie, że służą ciągle tym samym celom, tylko władze się zmieniają i mundury. Gestapo przejęło budynek od NKWD, NKWD z kolei od Gestapo. A że w ogóle było to miejsce znane w mieście, żadna z pań nie miała żadnych wątpliwości, gdzie się znalazła. Jedna z nich była zresztą z wykształcenia prawniczką, przechadzała się więc po tych samych korytarzach przed wojną, gdy jeszcze mieściły się tu sądy. Poinformowała mnie nawet, że gabinet *narkoma* był dawniej gabinetem prezesa sądu apelacyjnego. W podziemiach mieściły się wówczas sądowe archiwa, ale czyż nie szkoda było na papieryska tych cel o grubych murach, tych już gotowych krat, założonych kiedyś jeszcze przez carskie władze? Bo to one ten gmach zbudowały dla sądów i na więzienie. Pani A. trafiła do mojej celi. Pani Wera do tej, w której się znajdowała jedna z moich przyjaciółek. Mogę zatem na podstawie tych różnych świadectw jej historię odtworzyć. W dniu aresztowania była chora, miała biegunkę. Rzecz niewiarygodna. Podczas pierwszego przesłuchania w tym właśnie gabinecie prezesa sądu sam *narkom*, nazwany przez nas złotoustym, bo miał wszystkie przednie zęby złote, kazał wstawić kubek. Gdy się podnosiła, bił ją własnoręcznie, gdy siadała, czekał aż skończy, wymyślając jej i grożąc. I to wszystko w otoczeniu świty oficerów. Potem była cela, nocne przesłuchania, bicie, wreszcie karcer przez parę tygodni z lodowatą wodą. Tam dostała zapalenia nerek. Opowiadano mi o niej, jak była twarda, jak optymistycznie nastrojona, jak nie pozwalała upadać na duchu młodszym

na ogół od niej więźniarkom. Kazała im się gimnastykować, ćwiczyć także pamięć, aby nie słabły od głodu. Po karcerze to był już nie ten człowiek, straciła zupełnie zdrowie. Tylko błysk oczu był podobno taki jak dawniej, i tak samo nieugięte słowa.

Była już druga połowa maja 1945 roku. Pewnego dnia kazano mi się zabierać z rzeczami. Poprowadzono mnie przez tak już dobrze mi znane korytarze więzienia do dyżurki, gdzie o radości zobaczyłam przyjaciół, kolegów, towarzyszy konspiracyjnych. Była także pani Wera. Nie znałam jej przedtem, ale już wiele o niej wiedziałam. Pamiętam jej szarą twarz, podpuchnięte oczy, drżące ręce. Wyprowadzono nas na podwórze, otoczono konwojem i oto wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę. Prowadzono nas na skos przez plac w kierunku dużego więzienia. Musieliśmy pięknie wyglądać. Przypominam bowiem sobie, że spotkaliśmy młodą parę w jasnych wiosennych strojach, ona niosła całą naręcz narcyzów. Zatrzymali się jak wryci, widziałam wyraźnie przerażenie na ich twarzach.

Pani Wera iść nie mogła, wpierw z przyjaciółką prowadziliśmy ją pod ręce, ale same nie byłyśmy zbyt silne. Żołnierze pozwolili pomóc jej naszym panom. Ciągnęli ją niemal, ledwo stawiała obrzmiałe ciężkie nogi.

Szczęśliwie trafiłyśmy do jednej celi. Początkowo trochę się podnosiła, wiele rzeczy nam jeszcze opowiedziała, ale z każdym dniem słabła. Prosiłyśmy wolną lekarkę o pomoc. Obiecała, że natychmiast przeniesie chorą do więziennego szpitala i nie pojawiła się więcej. Przestała w ogóle przychodzić do naszej celi. Słyszałyśmy, jak robi obchód, jak kolejno otwierają się przed nią drzwi, cela tuż obok, teraz nasza z kolei, ale nie, kroki mijają nas, idą dalej, i już słyhać, jak strażnik otwiera zamek następnej. Stukałyśmy wówczas w drzwi, żądałyśmy przyjęcia lekarza, naczelnika więzienia. Wszystko na próżno. Żadnej reakcji. Dyżurni strażnicy w ogóle nie odpowiadali na nasze prośby. Dopiero jak zaczęła się agonია, jak już niemal straciła przytomność, zabrali ją. Umarła podobno tego samego dnia. Nazajutrz lekarka jak gdyby nigdy nie i naszą celę odwiedziła podczas porannego obchodu.

W tym nowym więzieniu było nam lepiej. Okno szeroko otwarte, ciasno co prawda niemilosierdzie, ale więcej powietrza. Widać było podwórze, a na nim bawiące się małe kotki. Patrzyłyśmy na nie godzinami.

Czuliśmy się jeszcze w Polsce. Wszędzie siedzieli Polacy. Rozmawialiśmy z wszystkimi celami dokoła, z tymi obok, i z

tymi wyżej i niżej, nad nami, również z tymi, które było widać w innym skrzydle. Morsem władałyśmy już wówczas świetnie, nowiny przechodziły przez wszystkie gmachy, każda wiadomość bądź miejscowa, bądź ta z miasta. Wiedziałyśmy już, że wywożą, że idzie etap za etapem, że pewnie i na nas przyjdzie kolej. Zabierano nas też często do pracy. To była gratka, bo prowadzono nas zwykle dość daleko, do takiego budynku, który stał dalej i gdzie się kończył remont. Myślałyśmy tam okna, podłogi, drzwi i zawsze udawało się dostać od robotników trochę machorki, wymienić jakąś wiadomość; to byli Rosjanie, Białorusini, Litwini, nie Polacy. Do tych ostatnich nie miano zaufania, aby ich puszczać tak wolno, choć działa się to wszystko w obrębie murów. Ale i ci chłopcy byli życzliwi i zawsze był to jakiś kontakt z innymi. Wyjść z celi, pochodzić, poruszać się, porozmawiać z kimś to szalona rozrywka, to tak skraca dzień, to tak zajmuje myśli.

Nie, nie zwieszałyśmy nosów na kwintę. Urządzałyśmy sobie niekiedy doskonałe zabawy. Pamiętam doskonale, że na Nowy Rok, jeszcze w starym więzieniu, postanowiłyśmy zrobić bal w składzie desek. Udrapowałyśmy na sobie kocy, jakieś koszule, jeżeli któraś taką miała, i pod dźwięk śpiewu i rytmicznie stukających łyżek o podłogę pary zaczęły tańczyć. Wpadło od razu aż trzech nadzorców z krzykiem, bo to już się działo po wieczornym apelu i obowiązywała nocna cisza. Nie mogli w ogóle zrozumieć, co się dzieje, prawdopodobnie myśleli, że zwariowałyśmy. My ze spokojem wyjaśniałyśmy, że na Nowy Rok zwykle są bale, więc i my postanowiłyśmy taki zorganizować. Pękałyśmy ze śmiechu, patrząc na ich głupie miny.

Są tacy, którzy reagują na więzienie, na wszystko, co ich tam spotyka ogromnym przygnębieniem. Modlą się, płaczą, siedzą pół martwi, niewiele reagując na to, co się dokoła nich dzieje. Są nie do zniesienia, zarażają innych, ciągnąc w dół, ku załamaniu, ku otchłani, ku rezygnacji. Są inni, którzy jak kłowni w ciągłym ruchu nie dają możliwości skupienia się, chwili ciszy, zawsze się wtrącają, zawsze chcą być obecni słowem, choć wystarcza, że już w ogóle są tu w tej celi, razem i że nie można się pozbyć ich towarzystwa. Ci są też nie do zniesienia. Ich hałaśliwe wszędobycie napina i tak już do ostateczności napięte nerwy. Ale nie można żyć bez śmiechu. Śmiech jest ratunkiem, on stwarza dystans wobec sytuacji, w której znaleźliśmy się wszyscy; on nas wyzwala, każe patrzeć niby z zewnątrz na nas samych, na cierpienie, czyniąc je lżejszym. Jest też orężem przeciwko tym, którzy by chcieli widzieć nas pokonanymi, nasz

śmiej ich obraża, zaskakuje, daje znać, że jeszcze nie zmieniliśmy się w niewolników, że jeszcze mamy ludzkie reakcje, że widzimy absurd tej rzeczywistości, w której wypadło nam teraz żyć. Śmiech to duchowa niepodległość, i wściekli są oprawcy, gdy śmiech słyszą. Z zaciśniętymi zębami cedzą wówczas: *Ty jeszcze u mienia posmiejoszysza.*

Życie codzienne w więzieniu — to śledztwo. Należałoby właściwie powiedzieć, życie nocne, zaczynające się gdzieś zaraz po wieczornym *odboju*, trwające do rana, a kończące się rozmaicie. Sołżenicyn podał kilkanaście różnych stosowanych przez enkawudystów tortur. Osłepianie światłem, siedzenie na brzeżku krzesła, karcery, no i po prostu bicie. Ale czy nie gorszą torturą jest dla matki, która wie, że jej małe dzieci zabrano do sowieckiego sierocińca, gdy jowialny śledczy zaczyna rysować przed nią przyszłość, spotkanie z dwoma zażartymi komunistami, którzy na matkę w ogóle patrzeć nie będą chcieli. Jest to groźba realna; Irena, której mówią to co dzień, żądając, by wydała adres poszukiwanego ojca, działacza akowskiego, siedzi obok mnie na swym więziennym posłaniu oparta o ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach i modli się. Jej tortura trwa godzinami, całą dobę, bez końca, a jednak nie łamie się, choć można by wyc na jej miejscu. Pod drugą ścianą siedzi Lonia, w dziwnej pozycji, trochę zgięta w bok, z przekrzywioną nienaturalnie głową. Na jej chudym, już wyczerpanym ciele czarne sińce, każde poruszenie sprawia jej ból. Co noc ją raczą zwykłą kozacką nahajką, mała tego, opowiadają jej, jak ćwiczą jej siostrę, że jeszcze okrutniej, jeszcze gorzej. Rano Lonię wnoszą, nie może bowiem iść, wieczorem ciągną ją z powrotem na tę mękę. Lecz ona milczy. Próbujemy jej ciało okładać mokrymi kompresami. Przynosi to jej zapewne ulgę, ale cóż ta ulga znaczy wobec opowiadań, których nie skąpią jej oficerowie. Pamiętam dzień, kiedy w łaźni regulujący ruch dyżurny zagapił się i wpuścił nas do rozbieralni, gdzie znajdowały się jeszcze dziewczyny z innej celi. Między nimi była właśnie siostra Loni. Rzuciła się do nas pytając, czy czasem razem z nią nie jesteśmy. Jakaż była nasza radość, gdy zobaczyliśmy ją zdrową, wcale nie bitą tak okrutnie. Loni nie było z nami, nie miała sił iść. Siły te wróciły, gdy tylko usłyszała: Basia jest zdrowa, Basi nie torturowano. Życie wróciło do tego zmaltretowanego ciała.

Ulubionym sposobem wymuszania zeznań nie było bicie, nie, są sposoby prostsze i mniej przykre dla czułego serca panów śledczych. Wystarczy pozbawić więźnia snu. Łamie się wówczas najmocniejszych. Trzeba tylko, aby kilku śledczych zmieniało

się nieustannie. Była jednak wojna i widocznie nawet w NKWD cierpiano na brak odpowiednich kadr. No i proceder nie udawał się, dwóch bowiem zmieniających się śledczych także powoli wysiadało. To dziwne uczucie, nie spać przez parę dni. Początkowo po prostu chce się spać, oczy się mrużą, trochę się kręci w głowie, ma się wrażenie kaca, ale już po trzech, czterech dniach coś się zaczyna z człowiekiem dziać. Pamiętam mojego oficera, majora o nazwisku Prudnikow. Był małego wzrostu, podczas śledztwa zdejmował walonki i machał nieustannie krótkimi nogami w grubych z owczej sierści skarpetkach. Te nogi pod stołem zaczynały mi się zlepiać w jakąś jedną poruszającą się stale kłode, szarawą, brudną, i nie wiem dlaczego dochodził do mnie jej zapach, jakiś przykry, gwałtowny, który zalepiał mi nos, zdawał się przesączać aż do mózgu, i kłoda czerniała, rozszczepiała się na dwie, pachnące tym razem dziegciem, i dopiero wtedy zdawałam sobie sprawę, że patrzę na podłogę i że są to nogi zastępcy Prudnikowa, który starał się mnie obudzić, częstując szklanką wody. *Kulturno*, jakby powiedzieli Rosjanie. W mózgu bez snu wszystko się miesza, myśli się tylko: nie mówić, nie mówić, albo mówić nie, nie, nie. Ale słyszę, że zadowolony Prudnikow woła, że nareszcie powiedziałam: nie, więc natychmiast mówię tak, tak, tak, i widzę, jednak widzę, że jego nogi coraz szybciej machają pod stołem, i słyszę, jak krzyczy wściekły.

Tydzień wydaje się wiekiem. W celi towarzyszki moje robią, co mogą, aby mnie zasłonić przed czujnym okiem judasza, abym choć chwilę mogła się zdrzemnąć. Nie bardzo się to udaje, widocznie nadzór został uprzedzony: tej a tej nie wolno spać. Ale ja i tak śpię z otwartymi oczyma, wyłączam się całkowicie, tylko że to trwa krótko, za krótko, bo już mnie znowu prowadzą, teraz już we dwóch, bo jeden nie dałby rady mnie ciągnąć. Specjalnie zresztą słabość podkreślam, niech myślą, że jestem już flak. Wita mnie zastępca, miły, spokojny oficer, zamyka drzwi, siada koło palącego się pieca i mówi sennym głosem, *nado rasskazywat*, i śpi, ja także, śpimy oboje, on na tym stołku oparty o piec, ja na krzeselku pośrodku pokoju, tak jak każdy więzień *na doprosie*. On spał już przedtem, więc budzi się wcześniej, daje mi pić i coś tam gada. Nie słucham go, dopóki nie prosi, żebym otrzeźwiała, bo Prudnikow lada chwila wróci. Więc się poprawiam na krzeselku, trochę odpoczęta. Spałam prawie godzinę, to jakby całą noc, Prudnikow zjawia się, oczy ma czerwone, podpuchnięte, choć kilka dobrych godzin mógł sobie spokojnie pochrapać. Nie bardzo wie, o co pytać, co mówić. Struga jakieś ołówki,

częstuje mnie nawet papierosem. Milczy, wstaje, chodzi po pokoju, znów siada, gdzieś na chwilę wychodzi, wraca. Potem monotonnym głosem coś mi zaczyna opowiadać, jak przed wojną był w Bułgarii, jakie tam owoce, jakie smaczne wino. Marzy mu się słońce. Mnie też. Potem raptem trzeźwieje, krzyczy, coś gorączkowo pisze, drze ten papier, zaczyna od początku okrągłym, równym pismem: pytanie, odpowiedź. Tylko że jeszcze nie wie, jakie zadać pytanie, a ja i tak nie odpowiadam. I mijają puste godziny, bo już wyczerpał arsenał pytań i wie, że nie otrzyma innych odpowiedzi, niż otrzymał. Mijają godziny nudy, ciągnące się przez wieczór, noc. Przerywane czasem krótką drzemką, to jego, to moją, bo on też drzemie, nawet czasem pochrapuje. Zrywa się wtedy, woła zastępcę i gdzieś wybiega. Wspinałoby się minuty, bo natychmiast oboje zaczynamy spać.

Po dwóch tygodniach znudziła się Prudnikowowi ta zabawa. Przyszła noc, a mnie nikt nie woła na śledztwo, przyszła druga, i znów mogłam spokojnie spać. Po tygodniu już czułam się znakomicie. Mój śledczy też odpoczął. Znikło przekrwienie oczu, Zrobił się mniej nerwowy. Od czasu do czasu spogląda na mnie z uwagą i mówi: *Zenszczyń i pałkoj nie dobjosz, kak koszka.*

Rozmawiałam potem z wieloma towarzyszami obozowymi na temat śledztw bez snu. Na ogół mieli podobne przeżycia. Trochę halucynacji, ogromna słabość, jakieś zaburzenia wzrokowe, no i najgorsze to zanik kontroli nad samym sobą, nad mową, ruchami. Ci, którzy byli sądzeni do wojny albo siedzieli w Moskwie, przechodzili zazwyczaj przez ręce czterech, pięciu zmieniających się śledczych, zawsze wypoczętych. Szybciej więc tracili siły. Nie pytałam ich, czy wytrzymali, myślę, że mogli podpisać coś, nie wiedząc, że podpisują. Ja w naszym mieście, daleko od Moskwy, miałam szczęście. Dwóch śledczych, z których w dodatku jeden okazał się człowiekiem, uchroniło mnie od najstraszliwszego uczucia: pogardy dla samej siebie.

Ktoś z moich znajomych spytał mnie kiedyś: dobrze, ale jak wyglądał proces? Jaki proces? — nie mogłam zrozumieć. No proces, czy był długi, trwał tygodnie, miesiące, co mówił prokurator, jak się zachowywali świadkowie itd. Mój Boże. I znów ta przepaść między wyobrażeniami Europejczyka i rzeczywistością sowiecką. Co za proces! Dwa dni nudnego czytania akt przez sędziów zupełnie nie znających sprawy, bez świadków, bez publiczności, z drzemającą sekretarką, nawet się nie orientuję, kto odgrywał rolę prokuratora, a kto adwokata. Było nas czternaście osób oskarżonych o przynależność do Armii Krajo-

wej, czemu nikt nie przeczył. Czytano jakieś wyjątki bez znaczenia z opasłych tomów niczego istotnego nie zawierających papierzysk. Dla nas była to miła chwila spotkania, możliwość wymiany wrażeń, myśli. Pod koniec drugiego dnia udzielono nam po kolei ostatniego słowa. Każdy wstawał i zaczynał od tego, że jest polskim obywatelem, że nie może być oskarżony o zdradę ojczyzny, bo Sowiety nie są jego ojczyzną, że sąd uważa za bezprawny, sprzeczny z zasadami prawa międzynarodowego. Rozzłościło to sędziów i reszcie już mówić nie pozwolono. Narada trwała pięć minut, nie zdążyliśmy wypalić papierosa. Mężczyźni dostali po piętnaście lat katorgi, kobiety po dziesięć *ITŁ* i pięć *po rogam*, to znaczy pozbawienia praw. Humoreska. Sędziowie, bardzo zresztą młodzi, lejtnanci, mieli już dawno wyroki gotowe, napisane, przepisane. Ostatecznie śledztwa nasze prowadzili nie porucznicy, lecz pułkownicy i majorowie. Oni już dawno postanowili, co należy z nami zrobić.

Jednym słowem proces, to była szopka, fasada — jak wiele innych rzeczy w tym ogromnym kraju, gdzie jednak o pozory się trochę dba, ale źle, niedokładnie. Starano się, by wyrok był prawomocny, legalny, wydany przez Wojskowy Trybunał, ale ten trybunał sam dobrze rozumiał, że to tylko przedstawienie, które trzeba odegrać. A więc niech gra trwa, byle formalności stało się zadość. Tam się coś przeczyta, tam się coś powie, zrobi się przerwę jedną, drugą, potem szybko złoży podpisy na przygotowanym już wcześniej wyroku i do domu. Więźniów nie ma o co pytać, bo by to przedłużyło sprawę, świadków nie trzeba, bo to także kłopot, adwokaci, zawracanie głowy, mowa prokuratorowska zbędna. Wiadomo i tak, że winni. Raz dwa i gotowe. Właściwie mogliby to załatwić w godzinę. Ale widocznie jakiś wyższy naczelnik powiedział, że sprawa jest ważna i że trzeba ją rozpatrywać dłużej. Więc trybunał ciągnął w myśl ruskiego przysłowia: *tiagni rezinu*, bezsensownie, bez potrzeby. Myśmy jednak byli zadowoleni, były to dwa dni spotkania i rozrywki w naszej codzienności.



Pisanie tych wspomnień nie sprawia mi przyjemności. Odłożyłam je do szafy na przeciąg długiego roku. Czy warto w ogóle kontynuować? Czy nie lepiej zająć się czymś innym, nawet pisanie powieści? Co bowiem można powiedzieć nowego, o czym przekonać?

Ileż razy opowiadając o obozach spotykałam się z dziwnym

faktem. Słuchacze chcieli opisu jak największych okropności, niemal w stylu współczesnych filmów kryminalnych. Mord, bicie, tortury, oto co wydaje im się najważniejsze. Jak gdyby cierpienie ludzkie było tylko fizycznej natury. Jest w tej reakcji coś niedobrego, utrata wrażliwości, stopienie na ból, który czasami jest tylko bólem moralnym. Ale nie chcą być niesprawiedliwa. Może w ten sposób słuchacze pragnęli umocnić się w nienawiści, upewnić się w swym mniemaniu, że tam było dno, piekło, i że ludzie, którzy nami rządzą, sami z piekła byli rodem. Cóż, jest w tym coś z prawdy, że komunizm jest nowym wcieleniem diabła. Nic jednak poradzić na to nie mogę, że nienawiści nie czuję, zwłaszcza do ludzi. Może do systemu, do tej idei, planu, czegoś w gruncie rzeczy abstrakcyjnego, co jednak konkretyzując się stawało się potwornym mechanizmem łamiącym w swych trybach każdego, kto nie potrafił, nie umiał lub nie chciał tak wyszlifować swych kantów, by się mogły do nich dostosować. To fakt, że maszyna ta łamała ciała, gorzej, bo charaktery, wypraczała wyobrażenia, poglądy, prała mózgi, jednym słowem „so-wietyzowała” ludzi. Odbierała im poczucie godności i wewnętrzną wolność. Uczyla myśleć gotowymi formułkami, zamieniała ludzi w ubrane w mundury manekiny. Ale i w tych drewnianych manekinach czasem coś drgnęło. Patrzyliśmy więc na oficerów i żołnierzy w czerwonych lub niebieskich naramiennikach trochę ze zdziwieniem, trochę z litością; zwłaszcza żołnierze budzili litość. Biedni, mieli nad nami władzę, a bali się nawet myśleć. Ja więzień czułam się bardziej wolna, choć moi oprawcy mogli zrobić ze mną, co chcieli, aniżeli ten stary nadzorca, który ukradkiem, szybko, żeby drugi nie zauważył, wcisnął mi w rękę odrobinę machorki. Czy mogłam go nienawidzić?

Miłosz opisywał taki charakterystyczny fakt: żołnierze sowieccy karmili złapanego Niemca, częstowali go papierosem, potem zaś spokojnie powiedzieli, że już pora i wyprowadzili za stodołę. Taki to los. Jeszcze żyjesz, to wypal sobie *bankrutkę*, kazano zastrzelić, zastrzelimy, *prikaz to prikaz*. Tak i u nas. Kazali bić, to bijemy, kazali rzucić do karceru, no to trudno, będziesz tam siedział, ale jakże często okrucieństwu towarzyszyło dobrodusze: ty braciszku już pewno stąd żywy nie wyjdiesz, szkoda.

Nie wszystkie fakty przemawiają do wyobraźni tych, co nigdy więzienia nie zaznali. Cela nasza jest duża, to najbardziej luksusowa cela ze wszystkich, które znam. Ma jakieś sześć na sześć

metrów. Prawie kwadratowa. Jest nas co prawda ze 25 osób, wypada to trochę więcej ponad metr kwadratowy na osobę. Ale uważamy, że mamy mnóstwo miejsca. Wystarczy bowiem te sześćdziesiąt centymetrów na dwa metry, czyli 1,2 m², aby się wyciągnąć, nie mieć ciągle skurczonych nóg. To bardzo wiele. Leżymy więc koło siebie blisko, ściśnięte, nogi jednak mają luz, i jeszcze trochę zostaje miejsca, aby można było obejść dokoła stojący pośrodku stół. Pod stołem, obok stołu też legowiska, bardzo dobre, bo menażkę można postawić na stole. Łóżek oczywiście nie ma, byłam w więzieniu 13 miesięcy, ale spotkałam tylko w jednej celi dwie stare prycze. Spimy, siedzimy, jemy na podłodze. Cella ma dwa okna, jest jasna. Okna są wysoko, w głębokich wykuszach. Mury bowiem są grube. Carskie więzienia były solidnie budowane, półtora metra grubości ściana.

Nie słysząc głosów z zewnątrz, jedyne dźwięki, to kroki na korytarzu, czasem kroków wiele, jakby pędzono kilkudziesięciu ludzi. Etap? Nowi aresztowani? W grudniu 1944 r. całe tabuny przechodziły przez korytarze. Dopiero nowa koleżanka opowiedziała o masowych aresztowaniach w naszym mieście. Poza tym cisza. Nie mamy książek ani gazet. Opowiadamy sobie jakieś filmy, jakieś książki. Czasem coś sobie cichutko śpiemy. I powoli ciekną godziny.

Szare twarze, zapadnięte policzki i jak gdyby trochę podpuknięte oczy. Nie od płaczu, nie. Nabrzmiąte powieki od bezsenności, głodu, niepokoju. W pierwszych dniach, pamiętam, raczej w pierwszych miesiącach stwierdzałyśmy po kolei, że nie mamy menstruacji. Na początku przeżywałyśmy popłoch. Jezus Maria, tu, w ciąży, co robić z dzieckiem, zabiorą, zniszczą. Potem zrozumiwałyśmy, że to nie ciąży. To więzienie. Podwójna radość. Nie będzie dziecka. I myśl bardziej przyziemna. Co bym robiła, gdybym znów zachorowała? Skąd wziąć trochę jakichkolwiek środków higienicznych? Ktoś właśnie świeżo jest aresztowany i chory. Wydłubuje watolinę ze starego zimowego pałta. Na ile tej watoliny starczy? Jest zresztą brudna. Ale co robić, co można innego zrobić? Lekarka więzienna na nasze prośby tylko wzrusza ramionami. Halina rwie przysłany jej przez rodzinę ręcznik. Pierze go wciąż, ku złości niektórych, bo zużywa zbyt wiele wody. Ktoś szmerze, ktoś inny uspokaja. Powód do sprzeczek. Mydła przecież i tak nie mamy, więc co to za pranie. Zapach w celi staje się jeszcze gęstszy, wprost nieznośny. Na twarzy Haliny wypieki wstydu, upokorzenia. Z niczym nie można się schować, nic ukryć przed okiem innych. Jesteśmy skazane na brak prywatności, na publiczne jedzenie, spanie, trawienie,

wyróżnianie się, choroby, nawet na śmierć. Ani minuty, ani sekundy samotności. Obnażona fizjologia, nie tylko fizjologia. Już nie ludzie, tylko źle funkcjonujące wymęczone ciała. Oto życie codzienne.

Dziwna jest ludzka wrażliwość. Jesteśmy spokojne, a jednak czułe jak najbardziej skomplikowane instrumenty. Reagujemy na każdy sygnał z zewnątrz, czasem zanim doszedł do celu. Telepatyczny zmysł, czuły zwłaszcza na nieszczęścia. Nikt nie traktuje przeczuć z pobłażliwością lub wzruszeniem ramion. Mamy już doświadczenie, że w tym coś jest, coś, co nas przygotowuje na najgorsze. Ranne przygnębienie Ireny, bez powodu. Jej córeczkę zabrano do *dietdomu*. Matka, mąż, brat siedzą. Szukają ojca, jednego z najwybitniejszych socjalistycznych działaczy Polski przedwojennej. Jest teraz liderem ciągle trwającej jeszcze konspiracji, która stara się uratować ludzi, pamiątki, dokumenty itd. Irenę męczą nie biciem, to zbyt, wystarczy że opowiadają jej o córeczce, o matce, chorej kobiecie. Domagają się adresu ojca. Irena siedzi koło mnie, całymi dniami milcząc, zachowując jednak spokój. Modli się. Dziś nie może sobie znaleźć miejsca. Widzimy to wszystkie. Kręci się na swym postaniu, wstaje, zaczyna coś mówić, milknie znowu, urywając niemal w pół słowa. Od miesiąca nie biorą jej na śledztwo. Kiedy dyżurny otwiera drzwi, zaczynając swą zwykłą epistołę: *na bukwu...*, Irena idzie ku niemu i wszyscy wiemy, że na pewno przyszedł po nią. Wszystkie czekamy z niepokojem. Właściwie już wiemy. Gdy wraca po paru godzinach jeszcze bardziej szara niż zwykle, nikt o nic nie pyta. Później opowie nam kilka szczegółów. Wzięli go wczoraj, z ulicy, ktoś chyba za nim szedł. Ktoś wydał. W gabinecie naszego złotoustego *narkoma* zainscenizowano przedstawienie, jak zawsze w niewybrednym guście. Przyprawiono chorą matkę, córkę, by skruszyć ojca, by wydobyć z niego zeznania za cenę zwolnienia dwóch kobiet. Okrutny szantaż na niemłodym, zszokowanym człowieku. Szantaż zbyt, nikt się nie ugiął, ale w śledztwie wszystkie chwytły się dobre, wszystkiego się próbuje. Słuchamy słów Ireny ze smutkiem, bo areszt Macieja świadczy o beznadziejności walki, o nieuniknionych dalszych ofiarach, o naszym własnym nie do pozazdroszczenia losie. Coraz bardziej natarczywy głos mówi nam, że nie ma już tych, którzy by się mogli za nami ująć i którzy by chcieli to uczynić, że zostaliśmy spisani na straty, że zapomni się o nas jutro, nawet już dziś. Gorycz dotkliwsza niż cielesne razy, gorycz przegranej.

Niemal nigdy nie mówimy o kwestiach politycznych. Sama jednak postawa tych kobiet mówi o tym, że nie żałują niczego,

że uważają swoją działalność akowską za słuszną, potrzebną, więcej, za normalną wobec tej sytuacji, w jakiej znalazł się nasz naród podczas wojny. To nie jest dla nas problem, to jest oczywistość. Każdy szedł do podziemnej pracy z poczucia obowiązku, licząc się z góry z konsekwencjami. A jednak takich konsekwencji mało kto się spodziewał. Mało kto przypuszczał, że wyzwolicieli przynoszą nam nową straszną niewolę. Myśl o niej jest też naszym codziennym chlebem, gorzkim chlebem klęski.



Mamy także radości. Hanka S. jest nauczycielką gimnastyki. Zmusza nas do ćwiczeń, żeby nie osłabły mięśnie. Nie ma co prawda miejsca, ale każda na swoim postaniu może robić skłony, przysiady. Gimnastykę robimy kilka razy dziennie, przy sprzeciwie niektórych. Faktem jest bowiem, że zaduch w celi staje się jeszcze bardziej nieznośny. Osłabione ciała pocą się przy każdym żywszym ruchu. Od kilku jednak dni Hanka nas niepokoi. Zaczęło się to któregoś ranka, gdy zaraz po *podjomie* objawiła nam, że męża jej zwolniono. Miała w nocy taki sen. Była pod jego wrażeniem. Sen wydawał się nieprawdopodobny. Mąż Hanki nie miał żadnych szans na opuszczenie murów więzienia, orientowałyśmy się z grubsza w jego sprawie. Próbowaliśmy zatem rozwiązać jej złudzenia. Ale ona odpowiadała nam z dziwnym i nierozsądnym uporem, twierdziła, że wie, iż jest wolny, i że lada dzień przyśle jej paczkę.

Pomieszanie zmysłów wkrada się zwykle niepostrzeżenie. Obejmuje całą ludzką istotę, nie mogącą już znieść cierpienia. Hanka jest radosna, śmieje się, śpiewa. Mówi nam, że teraz jest już wszystko jedno, może być zasądzona, zesłana, wie, że mąż będzie się opiekował dwojgiem jej dzieci, chłopcem i dziewczynką, że je wychowa tak jak trzeba. To najważniejsze i to rozumiemy, bo zawsze najważniejsze są dla nas dzieci. Lecz Hanka, sama Hanka? Może radość, którą czuje, jest dla niej zbawieniem? Jakże jednak szkoda Hanki, tej miłej, serdecznej, dzielnej Hanki. Patrzymy na nią z coraz większym smutkiem, bo dni mijają, a jej stan się nie poprawia. Mało tego, gniewa się na nas, że jej nie wierzymy, że zaczynamy ją traktować jak wariatkę. Zaprzeczamy oczywiście. Ale ona traci radość i siedzi w swym kącie milcząca i uparta, pełna wiary, że tak jest, jak mówi, jak jej dyktuje serce. Cała cela odmawia w jej intencji różaniec. Może się domyśla, że w tej modlitwie o nią chodzi, bo wybucha złością, zarzucając nam niedowiarstwo, przyziemność,

niewiedzę. Rzeczywiście niewiele mamy tej wiedzy, nie wiemy, co robić, jak reagować. Staram się przekonać inne kobiety, że nie należy jej zaprzeczać, nie należy denerwować, odbierać nadziei, choćby niedorzecznej. Cela jest pełna napięcia, boimy się czegoś jeszcze gorszego.

Nadchodzi dzień paczek. Rzadko kiedy dyżurny, którego nazywamy św. Mikołajem, zagląda do naszej celi. Dziś jednak wchodzi z wypchanym workiem w rękę. *Na bukwę s.* Wszystkie Skowrońskie, Stefańskie, Sikorskie odpowiadają. Nie, to nie dla nich, paczka jest dla Hanki, dla Hanki od męża. Nieprawdopodobne. Jesteśmy wszystkie jak szalone. Gdy dyżurny wychodzi, pomagamy Hance szukać grypsu, w sucharach, w szwach bielizny, w szwach grubego swetra. Jest. Hanka go czyta, płacząc i śmiejąc się na przemian. Jest wolny, jest z dziećmi. Cuda się zdarzają. Został wypuszczony tej właśnie nocy, kiedy Hanka miała sen. A myśmy gotowe były uznać ją za chorą umysłowo. Dziwne są ludzkie przeczucia.

Zabawne były okoliczności uwolnienia, a raczej aresztowania męża Hanki, o których dowiedziałam się później. Wzięto go z kotła, przywieziono wraz z innymi do komisariatu. Był tam wśród zatrzymanych jakiś spekulant z torbą mięsa. Schował ją pod ławkę. Wezwano go pierwszego do gabinetu naczelnika i po kilku dosłownie minutach wyszedł stamtąd, odebrał zabrane mu dokumenty i ulotnił się szybciotko z komisariatu. Nie ulegało wątpliwości, że był to po prostu szpicel. Mięso jednak zostawił. Mąż Hanki wziął więc torbę do ręki i zagrał rolę spekulanta. Mięso było dowodem rzeczowym i NKWD uwierzyło. Dano mu karę grzywny i 13 miesięcy odsiadki. Odbył ten wyrok i wrócił.

Cela nr 11, ze stołem, pod którym umarła pani N., cela sześć na sześć, gdzie jest Irena i nasza pani architekt, i Hanka, i Lonia, a także trzy wesołe prostytutki, usługujące, koleżeńskie dziewczyny, szorujące z zapałem paraszę, jak tylko się da. To była najbardziej sympatyczna cela. Sledczy mówili, że jej lokatorzy lepiej znają kodeks karny od prokuratora. Miałyśmy bowiem możliwość nauczyć się na pamięć wszystkich punktów artykułu 58. Każda nowa twarz jest też natychmiast wnikliwie oceniana, a gdy ocena wypada pozytywnie, zaczynamy instruktaż, co należy mówić, jak się bronić, na co odpowiadać, kiedy milczeć. Właśnie pojawiła się nowa. Znam ją z wolności. To studentka konserwatorium o pięknym lirycznym sopranie. Edukujemy ją, jak możemy. Wzięto ją w mieszkaniu znajomych, mo-

gła tam się znaleźć przypadkowo. Czy też są muzykami? Tak, no to przysłaś po nuty, jakie, ach obojętne, np. pieśni Mahlera. Mamy czas na naukę, bo ciągle jeszcze nie wzywano jej na śledztwo. Znamy te metody. Niech więzień skruszeje. Tak się to mówi. A więzień w czasie „kruszenia” przechodzi przez pierwszy wydział uniwersytetu więziennego. Nasza śpiewaczka jest już prawie pewna, że zagra śledczym na nosie. No i zagrała, a raczej zaśpiewała. Zaczęło się to pewnego ponurego wieczoru, gdy nastrój był nieco przygaszony. Czym? Już nie wiem, może nowym pobiciem Loni? Dość, że nasza śpiewaczka zanuciła nam cicho Ave Maria. W celi nie wolno mówić głośno, musi panować cisza, każdy głośniejszy dźwięk — to awantura, to naruszenie *tiuremnowo reżima*. A tu nagle po kameralnej Ave Maria trochę sprowokowana naszymi prośbami W. rozsypała srebrne dźwięki straussowskiego walca. Jej pełny czysty głos w tej martwej ciszy zdawał się rozwałać mury. To był dla nas nieujarzmiony głos wolności i szczęścia. Wpadło ich od razu z dziesięciu. Z krzykiem, z przekleństwami. *Kto pieł?* Ja — odpowiedziałam. Wybuchnęli śmiechem, wiedzieli, że nie jestem śpiewaczką. Ale oto pojawił się także sam naczelnik więzienia. Ten wiedział, kto śpiewa. Zabrano ją, nas za karę pozbawiono prawa do paczek i kazano stać na baczność aż do odwołania. Stałyśmy śmiejąc się, nie przejmując się karą, zatroskane tylko o los W. Jeżeli wsadzą ją do karceru, może stracić głos. Po godzinie pozwolono nam usiąść, *odboj* przebiegł normalnie, nikt już nie krzyczał. W. wróciła w nocy w doskonałym humorze. W nuty pieśni Mahlera chyba uwierzyli. Po śledztwie zebrała się gromada oficerów i kazano jej śpiewać. Ot taki improwizowany darmowy koncert dla NKWD. Ale ona nie chciała, aż jej przyrzekli, że darują nam karę. Więc już nie opierała się dłużej, śpiewając im niektóre pieśni Czajkowskiego. W dwa dni później została zwolniona. Nam karę darowano. Rosjanie bardzo lubią muzykę.



To było w czerwcu. Siedziało nas osiem, dziewięć w pojedyncy. Przedtem było nas czternaście, miałyśmy więc poczucie wielkiego komfortu. Śledztwo skończone. Paczki co tydzień, normalne więzienie, a nie śledcze kazamaty. Okna otwarte, koty na dziedzińcu. Trzy czarne, jeden w białe łatki. Bawią się koło starego wiadra. Musi być w murze jakaś szpara, bo czasem chowają się wszystkie, potem znów jakaś główka wysuwa się ostroż-

nie z za wiadra, rozgląda wkoło i hop, już cała czwórka wyskakuje, atakują stojącą w kącie miotłę.

Koty, bajki i znaki morsa; nawiązałyśmy kontakt z celami obok i celą nad nami. W tej na dole jest ich siedmiu, jeden ksiądz. Aresztowani zostali na wiosnę. Są po wyroku. Kara śmierci. Nie wierzymy. Szeptane wiadomości donoszą, że wyroków nie wykonują. Kara śmierci ma być w ogóle zniesiona, czy już jest zniesiona. Chłopcy się nie przejmują. Spuszczamy przez okno „koniam”, tj. na długim sznurku lub pasku malutką paczuszkę. Posyłamy im papierosy, oni podarowali nam śliczny różaniec z chleba. Koło nich siedzą też *smiertniki*. Ilu? Nie wiedzą. Polacy. Słychać, jak czasem modlą się głośno. W piwnicy mur jest za gruby i przez ścianę nie słychać pukania. Prosimy więc naszych sąsiadów z piętra, aby spuścili na dół konia. Już wiemy. Siedzi ich tam tylko pięciu. Sądzeni miesiąc temu. Koło nich zaś w trzeciej celi Niemcy. Kto dalej? Trudno się zorientować. Nie wypuszczają nikogo na korytarz, nawet do toalety. Kubeł z ich celi wynosi dwóch nieznanym im więźniów.

Ci pod nami piszą do nas listy. Są żartobliwe. Przedstawiają się nam, wiek, imię, brygada. Wszyscy młodzi i młody kapelan. Układają śmieszne wierszyki. Bawi nas spuszczenie konia, bawią wiadomości, które nam podają. Patrzą także na koty. Urządzają zakłady i podają nam wiadomości sportowe. Który zwyciężył dziś miotłę, ten czarny czy ten w łatki. Nie mają paczek, więc się dzielimy, jedzie na koniu w dół trochę chleba, trochę słoniny. Cieszą się jak dzieci. Kładą koło okna na ziemi kawałek słoniny, żeby zwabić kóregoś z kotków. Pogłaskać by się chciało puszyste, ciepłe futerko.

W nocy obudziły nas hałasy, jakieś krzyki, ruch, coś się działo na dole. Potem zalega cisza. Spuściłyśmy rano konia, wrócił nietknięty. Czyżby ich zabrano, wszystkich? Byłyśmy pełne niepokoju. W południe całej naszej celi kazano wyjść na korytarz. Dostałyśmy wiadra, szczotki, ścierki. Sprowadzono nas na dół. W otwartych na oścież celach nie było ludzi. Stały tylko porozrzucane rzeczy: worki z ubraniami, kurtki, płaszcze, jeden czy dwa koce leżące na ziemi, kilka niemieckich szyneli. Trzeba było je zebrać i położyć na stojący w korytarzu wózek. Polskie i niemieckie rzeczy. Potem szorowałyśmy podłogę tam, gdzie byli przedtem nasi i tam także, gdzie obok byli Niemcy. Szorowałyśmy dokładnie dla następnych, żeby mogli mieć kawałek czystej deski pod głową na ostatnie dni. Na ścianie zapewne ręka księdza wydrapała napis: *ex ossibus nostris exoriar aliquid ultor*.

Jeżeli piszę dziś jeszcze, to dla tych chłopców, dla ich pa-
mięci, dla tego kapelana, który do końca podtrzymywał wiarę,
a nawet humor. Nikt już o nich dziś nie pamięta. Nikt już o
nich nie mówi. Daremne ofiary. Nieugięci, niepokonani, wierni.
Nie oszczędzono im niczego. Jak się musieli czuć, gdy stawiano
ich w szeregu nad wykopanym dołem razem z Niemcami, z któ-
rymi przez pięć lat walczyli. Zrównani z wrogiem pod karabi-
nami przyjaciół, wyzwolicieli, sprzymierzeńców. Woleliby usły-
szyć komendę: *Feuer!*, lecz usłyszeli: *ogoń*, tak jakby ktoś za-
wołał: ognia!



Mam przed sobą normy żywieniowe. Jarzyny: 150 gram,
kasza 30 gr + 15 (30 na kaszę, 15 na zupę), tłuszcz 10 gram,
mięso w stanie surowym 45, albo 65 gram ryby, cukier 150
gram miesięcznie. Można się zabawić i spróbować ugotować
z tego trzy posiłki. Na pierwszy powinno być pół litra zupy i
100 gram kaszy, na drugi, wywożony do miejsca pracy, tylko
pół litra zupy, na trzeci znów zupa w tej samej ilości i kasza
z mięsem lub rybą. Także 100 gram. Wynika stąd jasno, że na
15 gramach kaszy, 150 gramach jarzyn, niemal wyłącznie ka-
pusty, czasem z dodatkiem marchwi i 10 gramach tłuszczu
należy ugotować 1,5 litra zupy, a na 30 gramach kaszy dwustu-
gramową porcję. Jeżeli na obiad było akurat tak zwane *pszeno*,
czyli kasza jaglana, na talerzach pływała dziwna żółtawa masa,
polana brunatnym sosikiem o zapachu mało przypominającym
mięso. Lepsza już była ryba, zwykle porejowana. Miało się cho-
ciaż jej smak na podniebieniu. Do tego dodać należy 650 gram
chleba.

Podliczę ilość kalorii. W tabelce, którą rozporządzam jest
tylko wołowina, kartofle, słonina lub olej jadalny, masło. Da-
wano nam najczęściej wołowinę, ale liczone całą tuszę, z kośćmi,
czystego mięsa było więc mniej niż te 45 gram, a po ugotowaniu
porcja kurczy się niemal o połowę. Tłuszcz też był tylko obrzy-
dliwym *kombinzyrem*, dziwną mieszaniną łożu wołowego, mar-
garyny i czegoś tam jeszcze, a czarny chleb z reguły niewypie-
czony. Nie mam jednak innych danych poza odnoszącymi się
do produktów wysokowartościowych. Dziennie razem z chlebem
i 5 gramami cukru wypada mi równo 1615 kalorii. Tymczasem
mężczyzna przy „zajęciu siedzącym” powinien otrzymywać 2600,
a ciężko pracując 4000. Kobieta potrzebuje mniej, tylko 3200.
Cyfry te mówią same za siebie, cyfry czysto teoretyczne, bo w

praktyce więzień dostawał mniej. Po drodze wszyscy kradli, magazynierzy, kucharze, naczelnicy i naczelniczkwie, a biedny zek na dole powoli *dochodził z głodu*. Ratował *rekordnyj pajok*, ale tylko zdrowych, jeszcze silnych. Ale i on nie przekraczał 2200 kalorii. Takie było nasze życie codzienne.

Zek myśli o *pajce* w dzień i w nocy. Zek kombinuje. Może kucharz da *dobawkę*, może ktoś z paczki czegoś użyczyć, może uda się gdzieś zarobić, coś komuś uprać, przyszyć, naprawić, po prostu usłużyć. Wiecznie głodny zek zmienia się często w *szes-tiorkę*. Szestiorka. Długo zastanawiałam się nad źródłem tej dziwnej nazwy. Skąd się wzięła? W obozowym języku *szes-tiorka* to sługus patrzący w oczy i gotowy na każde skinienie. *Szes-tiorka* kręci się koło *urki* brygadiera, zdejmuje mu buty, suszy wa-lonki, pierze onuce, gotuje *czajok*, leci, gdy trzeba kogoś zawo-łać, to chłopiec na posyłki, nawet na niewygodne posyłki. *Szes-tiorka* wszystko zrobi, niczego nie odmówi. Patrzy przymilnie w oczy, może choć skóreczka z *garbuszki*, może resztką zupy. Jeśli brygadier bogaty i hojny, to i cała zupa należy do *szes-tiorki*. On za sześciu lokai nadaży gdzie trzeba, lepszy niż sześć przysłowiowych kucharek. Brygadier jeździ więc na nim jakby posóbstnym zaprzęgiem: *stiagiwaj Miszka prochoria i kruti ban-kruteczku!* (*Prochoria* — to buty w języku *blatnych*, *bankrutka* — to rzecz jasna papieros, a raczej machoreczka w dobrej szorst-kiej gazecie. *Izwestia* się nie nadają, papier zbyt glansowany, *Prawda* lepsza. *Siewiernaja Prawda* albo inna regionalna gazeta to najwyżej cenione *bumażki*).

Machoreczka, *bankruteczka* — *urka* lubi zdrobnienia, gdy jest łaskawy. Mówi się więc nie *naczalnik*, lecz *naczalniczek*, oczywiście z akcentem na a; *sacharok potuczil?* *akordeonczyk zawiel, piesenki piet' budem*. Słowa są tak czułe, jakby samo *sołnyszko ty majo* przepęłniało duszę zeka. Język obozowy wart jest analizy. W nim jak w lustrze odbija się nasza codzienność, nasze tęsknoty, troski, obawy i gniew. Przymilność jego jest często tylko maską, błyskającym w słodkim uśmiechu kłębem, który w każdej chwili chciałoby się wbić w nienawistne wrogie cielsko, wszystko jedno czyje, nadzorcy, naczelnika, innego więź-nia. *Ty padluczka, ty bladziuchna*, szepcze niemal miłośnie *urka*, zadając nożem cios. To szept i słodycz węża, ale także, jakże często, szept krwawiącej duszy, marzącej o czymś lep-szym, a pokornej, już złamanej, świadomej, że ta *wola-woluszka* już nie dla niej. *Wot bieretku by nalożyła, płatoczek zawiazala*, marzą różne Tamarki, Nataszki.

Język bywa plugawy, ale kto by zwracał na to uwagę. *Mat*

króluję, *mat*, który czasami ma dowodzić siły, a czasem jest wyrazem bezsilności. Jest to najbardziej uniwersalne rosyjskie słowo. Obecne w każdym dialekcie. Słychać prawidłowe i całkiem dziwne *udarienijsa*, te charakterystyczne dla mowy naszych sąsiadów akcenty. Jedni rozciągają o, to Mordwini, inni, *nacmeni*, nie odmieniają czasowników zupełnie, jak Kali z „W pustyni i w puszczy”. Ukraińcy mówią śpiewnie, Moskwi-
czanie prawidłowo, lecz dość twardo. Leningradzcy patrzą na nich z politowaniem. Uważają się za zwyczaj za najpiękniej mówiących po rosyjsku, za elitę narodu. My Polacy, choć trzepiemy płynnie i nauczyliśmy się także *blatnych* wyrażeni, na ogół jednak ich nie używamy. Nam nie wypada. Staramy się mówić poprawnie, ale nie potrafimy nadać miękkości niektórym spółgłoskom, wymawiając je za wyraźnie, za ostro. Czy jednak można nauczyć się poprawnego języka w tym melanzu narodowości i społeczności? Nasz język nosi na sobie piętno łagiernych prawideł. Nieobce są nam wszystkie te powiedzonka, stale powtarzane jak refreny znaczące dłużyznę czasu, dłużyznę ponurych dni, to *dietskoje nakazanie*, te *miednyje truby*, ten *dierewiannyj buszłacik* itd., itd. Łagierny szyfr, który pod sarkazmem słów kryje często rezygnację lub wręcz rozpacz.

Przysłuchiwałam się nieraz kłótniom *blatnych*. Repertuar ich słów był nader wąski, kobiety kęły niegorzej niż mężczyźni, z jeszcze większym okrucieństwem w głosie. Bo kobiety są okrutniejsze od mężczyzn, potrafią rozerwać na sztuki z nienawiści. Rozjuszona baby są jak żywioł nie do pokonania. Tylko zabawna rzecz, oto dwie damulki garściami wyrrywają sobie włosy tarzając się po podłodze. *Rot, mat, h...* rozlegają się odmieniane we wszystkich przypadkach i najdziwniejszych zestawieniach. Ktoś chwyta za wiadro z zimną wodą i leje na obie, bo się wczepiły w siebie jak psy. Otrząsają się z wody, wstają, i już za godzinę widzę, że siedzą razem na narach, zajadając cebulę i dzieląc się zapewne ukradzioną *pajką*. Nie ma obrazy, i w tym momencie zaczynam rozumieć, że słowa tu nic nie znaczą, że są puste, że nie mogą dotknąć, wstrząsnąć, wywołać protestu, gniewu, naruszyć uczuć i poczucia godności. Są one rzucane ot tak, *ot nieczewo diełat*. Gdzież jest waga słów, gdzież jest odpowiedzialność za nie? Ci ludzie wydają się nie rozumieć, że słowo może ranić, że może być gorsze niż uderzenie w twarz. *Podumajesz* — mówi ktoś — *obidiełtas, wot stranno*. No właśnie dziwnie, dziwnie dla nas, ale nie dla nich, wyrugać kogoś, to nic, *czepucha*, trzeba sobie ulżyć, wyładować na kimś swą złość, i tyle. Przejmować się czymś takim, bzdura. Słowa są więc pozbawione

treści. Nie ma co słowom wierzyć, ani tym dobrym ani złym, ani serdecznym ani gburowatym. Większość z nich zresztą pełni rolę rytualną. Ceremoniał łągierny nakazuje mówić tak a nie inaczej w odpowiednich wypadkach. Zresztą dokoła nas wiszą słowa bez treści. Co bowiem dla więźnia znaczy ten ogromny napis: *Rodina eto dieło czesti, dobrești, truda?* Jaki ma sens dla niego *doska poczota* z wypisanym kredą nazwiskiem stachanowca brygadiera i procentem wypracowanym przez jego brygadę? Wisi się tam lub nie, żadna różnica, jeżeli nie towarzyszy temu lepszy *pajok*. Rytualny sens ma ta monotonna litania, którą każdy naczelnik konwoju recytuje przyjmując kolumnę zeków za zoną. *Wnimanije zakluczonyje...* itd. Ten *szag w lewo, szag w prawo, konwoj primieniajet orużie bez predupreżdenia* (Krok w lewo, krok w prawo, konwój strzela bez uprzedzenia) nie wywoływał bynajmniej gęśiej skórki. Wiadomo było, że strzelać w razie ucieczki będą, a reszta? Choć srogo zapowiedziano, aby się nie rozciągać i nie rozmawiać, gdy tylko kolumna ruszy, kobiety rozciągają się niesamowicie i gadają jak najęte. Jeżeli konwój dobry, nie zwraca na to uwagi, i jemu obrzydło to samo mówić dwa razy na dzień, i jemu obrzydło także spełniać tę idiotyczną i nieintratną służbę. Tylko niekiedy pojawiał się gorliwiec, służbista lub po prostu sadysta, pilnujący wymaganego podczas marszu porządku. No, tośmy porządek ten zachowywały, aby uniknąć posadzenia nas w błocie lub kałuży.

Rytualne słowa brzmią ze wszystkich stron. Jak dziewczęta — pyta naczelnik — dobrze? Dobrze — odpowiadają, no bo co odpowiadać? Jak żyjecie? Lepiej niż inni. Zdrowe? Zdrowe, itd. Są to wszystko słowa bez konsekwencji. Odpowiadać inaczej, skarżyć się, czegoś żądać, po co, to nic nie da, prócz satysfakcji panu naczelnikowi. On też dobrze wie, że innej odpowiedzi na swe pytania nie otrzyma, ale pyta, a my odpowiadamy, i rytuałowi staje się zadość.

Słowa są bądź maską, bądź pustym liczmanem, słowa są nijakie, ubogie i więcej jest treści w śpiewie, który zawodzą Ukraińcy wieczorem przed barakiem. Śpiewają o Hryciu, o zachodzącym słończku. Tyle jest zresztą tych pieśni, które znają na pamięć, tęsknych, o szerokiej, niemal leżącej się melodii, w której mieści się cała rozpacz tych sponiewieranych ludzi. Jakże są muzykalni, jak lubią śpiew i jak to robią doskonale. Wystarczy, że są we trójkę, mężczyźni czy kobiety, i już ten trójgłos brzmi jak cały chór, rozbity natychmiast na trzy różne harmonijnie splecione z sobą głosy. W porównaniu do nas Polaków, którym słoń nadepnął na ucho, wrodzona muzykalność

tych ludzi jest nieprawdopodobna. Spiewają tak jakby oddychali. Zanim zamkną nas na noc w barakach, przed samym *odbojem* płyną te pieśni i w nich głos ludzki i język odnajdują swe prawdziwe znaczenie.

W dniu zwykłym, codziennym nie ma na rozpacz miejsca. Poddać się jej, to zginąć. Raczej więc *mat* zwiastuje poranny *podjom*, *czort pabieri*, ledwo się zasnęło, a już trzeba wstawać. Mróz, upał, ciemność, jasna noc polarna, piąta godzina przychodzi nieubłaganie. Niektóre dziewczyny nie mają siły wstać. Ale ja lubię te ranki, nawet te, gdy pierwsze wyjście poza barak jest uderzeniem lodowatego wiatru zatykającego oddech, wciśkającego się gdzieś głęboko w krtań, że nie można wydusić słowa. Jest to jednocześnie uderzenie tlenu w płuca zduszone stęchłym zaduchem baraku. Śnieg, kiedy bledną gwiazdy, wydaje się lekko fioletowy z niebieskawym odcieniem, który stopniowo nabiera mocy, wypełnia się błękitem coraz jaskrawszym, by zaraz potem pokryć się siną bladością i wreszcie przemienić w biel. Na jego tle rysują się coraz bardziej wyraźniejsze *strażnicze wyszki*.

W tych pierwszych minutach ciszy, zanim ludzie wysypią się z baraków, jedynym głosem są rozbrzmiewające kolejno z *wyszek* nawoływania do czujności: *Wnimanije, jest wnimanije, jest wnimanije...*

Tak to już jest, że rano zwykle chodzi się do klozetu. Nasza *ubornaja* stoi na dworze, jest to otoczona deskami latryna. Oparte na brzegach głębokiej jamy deski lśnią lodem. Są piekielnie śliskie. Nawet w walonkach trudno na nich ustać. Posypujemy je więc popiołem. Zsunąć spodnie jeszcze można, bo ręce ciepłe, prosto z baraku. Zsuwasz i natychmiast gołe ciało przenika nie-miłosierny chłód. Przez te kilka chwil chłód przenika gdzieś w głąb trzewi. Potem zaś cały kłopot z zapięciem spodni, wystarczy chwila, a zgrabiące palce odmawiają posłuszeństwa. Jest przecież dwadzieścia kilka stopni mrozu, a to i więcej niż trzydzieści, czasem i czterdzieści bywało. Chodzimy zatem we dwie. Ta druga tylko na towarzyszącą, żeby pomóc potem naciągnąć spodnie i przytrzymać. Z takimi niezapiętymi biegniemy z powrotem do baraku. Trzeba ręce dobrze rozetrzeć, aby skończyć poranną toaletę. To najprzykrzejsze momenty dnia, i ani rusz uniknąć ich nie można.

Kobiety chorują nagminnie na zapalenie jajników, chroniczne, nie do wyleczenia, a zresztą czym leczyć i jak. Nasze kobiece dolegliwości stają się też bardziej dolegliwe. Organizmy

słabe, praca za ciężka, no i ciągnęła kąpiel nagiego ciała w lodowatym mrozie.

Srodków higienicznych nie ma. Czasem jakaś dobra siostra po cichu da kawałek waty. Dziewczyny wydzierają watę z buszłatów, wata jest brudna. Kradniemy w pracowni krawieckiej kawałki starych prześcieradeł, wszystko co się może nadać. Ten, kto pracuje w szpitalu, i pod tym względem jest uprzywilejowany.

Wiele z nas podczas miesiączki ma ostre bóle. Lekarze nie mają jednak prawa zwolnić którejkolwiek z pracy z tak błahaego powodu. I tu znów wszystko zależy od ludzi. Są brygadierzy, którzy na złość popędzą do dzwigania najgrubszych bali, są inni, którzy pozwolą palić ognisko, zbierać chrust i obcięte gałęzie. Można usiąść na pniu, nogi wyciągnąć do ognia, zdusić rękami brzuch i czekać, aż ból trochę minie. Wreszcie mija. Wszystko mija.



Kobiety są zapobiegliwe i umieją wiele. Czegóż nie zrobią! Z paków przywiezionych do izolacji ścian na budowie uprzedły wełnę i już na drutach powstają swetry i skarpety. Z kawałka porwanego worka rodzi się mereżkowana serwetka na *tumboczkę*, czyli rodzaj szafeczki nocnej, w której wolno nam trzymać chleb, cukier, jeżeli ktoś posiada, czy zmianę bielizny. Gaza, pięknie haftowana czerwoną nitką zdobytą z jakiegoś starego rozkładającego się już swetra, zawieszona w głowach nar jest akcentem czystości i intymności. Drutów mieć nie można, ale wszystkie niemal kobiety je mają. Skąd biorą nici? Jest to także dla mnie tajemnicą nie do wyjaśnienia. Widzę, jak prują stare koszule, pończochy, ale mają też nitki kolorowe, nawet jedwab, i przypuszczam, że są czasem przemycane w paczce, a czasem dostarczone przez kogoś z wolnych. Dostajemy nowe sukienki, bo się sezon zmienia, i stare są zupełnie wydarte. Ubierają nas wszystkie w jednakowy granatowy kolor. Już następnego dnia workowato leżące wyfasowane sukienki zmieniają krój, zdobywają haftowane ozdoby przy kołnierzyku, na rękawach. Jest w tych zmęczonych, nieraz głodnych, niewiele mających sił kobietach jakiś niepowstrzymany pęd do nadania bardziej estetycznych form szarości sprzętów i rzeczy. Chcą coś upiększyć, przyozdobić. Papieru nie mamy, żadnych notesów, zeszytów ani fotografii. *Strogo zapreszczajetsia*. Niech więc za fotografię służy ten wyszty domeczek i to słowo Waniusza czy Tamarka, imię męża,

syna, córeczki czy siostry. Zawsze też różniej i przyjemniej, jeżeli na wypchanej trocinami poduszce, twardej jak nasze cegły, można położyć małą kapkę, i na rusztowaniu nar przy-czepić mały sztuczny kwiatek z materiału. Kobiety są czyste i nie żałują rąk, by ciągle prac koce, sienniki (także wypchane stróżkami drzewa) i sprzątać. We wszystkich sekcjach, gdzie mieszka 58, a więc polityczne, nie ma bałaganu.

Pamiętam jednak, kiedy prosto z etapu, z naszego małego szpitala wprowadzono mnie do sekcji, gdzie było pełno *urkaczek*. Całym wysiłkiem woli opanowałam się, by się nie cofnąć, nie pokazać po sobie przerażenia. Jeszcze nie miałam wówczas dostatecznego obozowego doświadczenia. Była to sala straszna. Smród uderzał w twarze. Brudne obdarte koce, to bowiem, co lepsze, dawno już było ukradzione, jakieś przepocone wiszące łańchmany, koślawe, nie obmyte z błota buty. Barak był pełny i wrzask w nim panował nieopisany, awantura, ktoś komuś wymyślał. Nie zdążyłam jednak położyć na narach worka, który objęły natychmiast pożądliwe spojrzenia, jak już mnie zabrano do innej sekcji, politycznych, gdzie zresztą także było pełno *urkaczek*, ale tych z pretensjami, co pracowały jako buchalterki, siostry szpitalne, kucharki. To był inny świat, tu były nawet nie nary, a łóżka. Jak mogły istnieć tuż obok siebie tak różne światy, jak się mogła uchować ta nasza czwarta sekcja, sekcja *prydureków*, wobec tej watahy obok, dlaczego nie przyszły stamtąd nas po prostu obrabować, tego pojąć początkowo nie mogłam. Dopiero później zrozumiałam, jak silnie trzymały w ręku *urkaczki* z pretensjami tamten dziki, złodziejski świat. To od nich zależało, komu dadzą większą *pajkę*, kogo wyślą na lżejsze roboty. A więc różne czarne Sońki, rude Walki itd. między sobą się łupiły, ale dla Jewdokii Osipownej były całe w rewersach. A Jewdokija zabraniała przychodzić do czwartej, i niechby z czwartej coś zginęło. Obozowym mężem Jewdokii był sam *nariadczyk*. Jej nie posłuchać, to to samo co pójść na etap na najdalej odległy *łagpunkt* i tam umrzeć z głodu.

Miałam szczęście. Jak jednak był ponury los tych dziewcząt, które przerzucano stale z obozu do obozu. Nie mogły sobie wyrobić znajomości, ciągle znajdowały się w tłumie tych najmniej potrzebnych, których każdy naczelnik obozu chce się pozbyć. On także woli spokój, też chce wypełnić plan. Gdy więc tylko nadarzy się okazja, gdy inny *łagpunkt* zażąda nowego kontyngentu, kogóż ma posłać, jak nie chore i awanturnice, te najśłabsze z trzecią kategorią i te silne, ale nie do zniesienia, które pracować nie chcą, łądadczą się z byle kim, naruszając

łagierną dyscyplinę. To nieprawda, że naczelnicy lubią bandycki świat; raczej się go boją. *Urka*, który się „zsuczył”, a więc pracuje na chwałę obozu jako *nariadczyk*, komendant, brygadier jest mile widziany, bo utrzyma lepszy porządek niż stu nadzorców. Bezwzględny, umie wymusić posłuszeństwo. Dla niepokornych ma zawsze gotowy nóż. Ale *urka* wolny bandyta, który nie chce robić nic, a tym bardziej baba hałaśliwa i kłótniwa, ordynarna i niebezpieczna, bo potrafi także zdzielić nożem, to obozowa zmora. Niektóre nasze biedne dziewczyny całe lata spędzały na wędrowkach z kolonii do kolonii, z jednego *łagpunktu* do drugiego. Niewielkie to były odległości, zwykle na trasie potężnej budowy, takiej jak np. w Tajszece. Traciły wówczas wszystko, buty, swetry, koce, wszystko im *blatniaczki* zabierały. Czasem w większej grupie próbowały się bronić, czasem się z tą pół dziką hałastrą sprzymierzały. Jakież bowiem mogły znaleźć inne wyjście?

Wśród bandytek najwięcej jest Rosjanek. Pochodziły głównie z wielkich miast, nieraz były to wychowanki *dietdomów*, które, gdy dojrzały, wrywały się z owych małych więzień na swobodę, zaczynając się kumać z najgorszymi przedstawicielami marginesu społecznego. Niektóre odsiadywały już któryś z rzędu kolejny wyrok. Miały wytatuowane piersi, uda, ręce. Pobyt w obozach popsuł im zęby, były więc na ogół szczerbate. Niekiedy tylko jakaś *urkaczka* z dumą łyskała stalową koronką, szczytem marzeń, oznaką wyrafinowanej elegancji. Nasze chłopki patrzyły na te kobiety z nieukrywaną pogardą. Przepaść między ich ignorancją, wręcz prymitywną amoralnością, w dużej mierze beztroską, pełną lekceważenia dla innych, dla otoczenia, a także dla wszelkiego typu zasad, i pryncypiami moralnymi naszych chrześcijańskich, nawet niewykształconych dziewczyn była nie do pokonania.

SZPITAL

Trzeba powoli wydobywać z ciemności obrazy i odsłaniać ich barwy i linie, aby nabierały życia i pomogły odszukiwać inne. Chronologia nie ma tu znaczenia, nie chodzi mi bowiem o przedstawienie kolei moich własnych losów. Zacznę więc od takich obrazów, które w pamięci rysują się szczególnie wyraźnie. Etap jest zawsze wielkim przeżyciem dla więźnia. Jest on mocną cezurą w ciągu jego obozowych dni. Już się gdzieś nieco zadamowił, wyrobił sobie stosunki, możliwość względnego bytowania i nagle zmiana, wyjazd nie wiadomo dokąd, a obozy są rozmaite i o tym się wie. Są obozy, które nie stwarzają szans na przeżycie i te lepsze, gdzie się łatwiej zostaje *prydukiem*, gdzie, jak to się mówiło, wprawdzie się nie żyje, ale egzystować można. W 1948 roku nagle wbrew wszystkim nadziejom na powrót do kraju, nadziejom realnym, gdyż już dwa transporty Polaków zostały odprawione z naszego Tu-skiego kombinatu, kazano mi zabrać rzeczy (sakramentalne *sobirajtes'* z *wieszczami*) i wraz z innymi przedstawicielami 58 artykułu wywieziono w nieznane.

Pamiętam chłód w wagonie, póki jechaliśmy przez ośnieżoną tajgę, wzgórze Uralu, stację Perm, o której opowiadali mi dziadowie zesańcy, a potem bezkresne stepy z małymi sopkami na horyzoncie, zrazu białe. później szare, bez śniegu, bez żadnej widocznej roślinności. Patrzyliśmy na ten inny świat przez małe okienko pod sufitem, dostępne z wysoko zawieszonych nar. W wagonach, zwykłych ciepłuszkach, jedno nary znajdowały się mniej więcej jakieś 80-90 centymetrów od podłogi, drugie w takiej samej odległości wyżej. Umieszczano je zwykle tylko z jednej strony wagonu, druga pozostawała pusta. Ponieważ norma ładunku wynosiła 40 osób, ludzie spali pod narami, między

nimi i na górze, to było miejsce uprzywilejowane, zajmowali też całą pozostałą podłogę. Na narach mieściło się mniej więcej osiem osób. Pociąg nasz stawiano z reguły daleko od budynków stacyjnych, jedynej informacji o kierunku jazdy dostarczały więc wagony towarowe, na których zwykle znajdował się wyraźny, czarną farbą skreślony napis rejonu, do którego wagon należał. Były to skrótory dające się odszyfrować. Swrd odczytaliśmy słusznie jako Swierdłowski, Om jako Omsk, Kar jako Karaganda. Jechałyśmy na południe, nikt nam nie mówił dokąd, to była tajemnica, której więźniowi zdradzić nie wolno. Bał się wyjawić ją nawet towarzyszący etapowi lekarz. Znałam go dobrze z Tu..., pracowaliśmy razem, rozmawialiśmy nieraz ze sobą, czując wzajemną sympatię. Był kierownikiem korpusu ozdrowieńców, cichy zrezygnowany człowiek, już po wyroku. Odsiedział pełne dziesięć lat, aresztowany w 1937 r. lub nawet nieco wcześniej. Podobno zajmował wysokie stanowisko sekretarza Uzbekistanu czy Tadżykistanu. Teraz zabrano go na etap i chodził po wagonach, rozdając nam aspirynę i patrząc na nas rozumiejącymi oczyma. Znał tak dobrze to wszystko.

Dopiero ostatniego dnia, gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, oznajmił nam, że jesteśmy na miejscu, że jest to miasto K., leżące nad jeziorem. W związku z tym wydarzyła się zabawna historia. Ktoś powiedział, że słyszał o znajdującym się w K. dużym zakładzie rybnych konserw. I oto, gdy już nowe nasze władze zaczęły spisywać zawody, wiele kobiet podawało: specjalistka w rybnym przemyśle. Deklaracje te okazały się całkowicie zbędne, nikt z nas nigdy tego zakładu nie zobaczył.

Na tej stacji, ostatniej, staliśmy długo. Wreszcie ruszyliśmy. Jeszcze ciągle był step, ale gdzieś z prawej strony, przez szpary dostrzegłyśmy kominy jakiejś potężnej fabryki. Potem zniknęła z oczu i pociąg wjechał do środka niewielkiego zakładu przemysłowego. Ktoś krzyknął — cegielnia. Nie myślałam, że właśnie w niej spędzę tyle lat. Dalej znów był step bez żadnych zabudowań i na koniec zatrzymaliśmy się na pustym rozjeździe. Kilka metrów dalej rozciągał się znajomy widok: płot, wyszki, baraki — obóz.

Ustawiono nas półkolem i zaczęła się normalna *prowierka* razem z rewizją. Wtedy nagle pojawił się lekarz z jakimś oficerem. Wywołał poza kolejnością mnie i Halinę, Ukrainkę, która w Tu... pracowała także, jak ja, jako pielęgniarka. Przejrzano nam dość pobieżnie rzeczy i przed innymi wprowadzono do zony. Na lewo stał budynek szpitalny. Długi korytarz, dużo zamkniętych lub pootwieranych sal, sterty papieru na podłodze,

zwalone sprzęty, łózka, stoliki, stołki. Straszny nieład. Kazano nam się tu urządzić, wybrałyśmy więc sobie względnie czysty pokój. Szukałyśmy łóżek, materaców, znajdowałyśmy jakieś stare zniszczone koce. Było to nawet zabawnie chodzić po ster- tach porzuconych przedmiotów. Napisy chińskie czy japońskie. Była apteczka, ale do niej dobrałyśmy się później, drzwi bowiem nie dawały się otworzyć żadnym ze znalezionych kluczy. Odkry- łyśmy natomiast niewielką salkę z podręczną apteczką, gdzie znalazłam świetne japońskie strzykawkki, trochę lekarstw, trochę opatrunków, trochę narzędzi i sterylizator. Zaczęłyśmy sprzątać, dodano nam potem kobiety do pomocy i polecono przygotować się na przyjęcie chorych. Taki był początek.

Widzę plastycznie ten dzień, czuję nawet wiatr, ostry, lecz jeszcze ciepły, choć była to już połowa listopada. Od wiatru odzwyczaiłam się, w Tu wiatry wiały rzadko, tu zaś bez końca goniły przez bezkresny step. Step pamiętam raczej z lat później- szych. Póki pracowałam w szpitalu, widziałam tylko jego kawa- łek i nie zdawałam sobie sprawy, jakie kryje niespodzianki.

Zjawiły się dwie lekarki, wolne, skierowane do nas czasowo dla organizacji szpitala. Przyjechały z centrum, to jest z zarządu miejscowych obozów, odległego od naszego o malutkie 1200 km. Jedna z nich, czarna przystojna Żydówka, objęła natychmiast rządy. Rozmawiała z nami dość przychylnie, podarowała małą encyklopedię medyczną, przynosiła nawet jakieś książki do czy- tania. Dziwiła się, że nie znamy „Burzy” Erenburga. Była bar- dzo wymagająca. Przypominam sobie, jaką zrobiła mi awanturę, gdy Omeliańczyk (mój Boże, jakże się musiałam przejąć, jeżeli nazwisko chorego wybiegło mi mechanicznie spod pióra) po- szedł do toalety, choć nie było mu wolno wstawać. Razem z dok- torką robiłyśmy właśnie obchód, a Ola Jachnicka, sanitariuszka, zamiast pilnować chorego, gdzieś na chwilę wyszła. (I Olę dobrze pamiętam, śliczna to była dziewczyna, w której kochało się pół obozu. Miała wspaniałe włosy, lubiła je pleść w dziesiątki małych warkoczyków. Zmarniała z czasem i straciła włosy). Ja- kiż to był krzyk, chciano mnie natychmiast zdjąć z roboty za złą organizację pracy w szpitalu. Na szczęście burza ucichła. Omeliańczyk miał różę na twarzy, 40 stopni temperatury, nie wierzyłam, by mógł wyzdrowieć. Dawaliśmy mu streptocyt, nie mieliśmy penicyliny, naświetlaliśmy mu twarz płonącym kwa- czem umoczoną w spirytusie, to miała być kwarcówka. Ale wyzdrowiał, cudem.

Nie był to zły okres w moim życiu. Nie byłam w baraku, mogłam zgasić na noc światło, szczęście każdego więźnia. Nie

byłam głodna. Z początku chyba dawano tylko buraki i jakiś rodzaj ryby, smacznej, ale w mikroskopijnych porcjach. Potem dopiero pojawiła się kasza owsiana i tak zwane *pszeno*. Buraki były kłeską, kłeską była też zmiana klimatu. Pierwsze dwa miesiące panowała dyzenteria; leczyliśmy ją mocną zbożową kawą. Cały dzień w zwykłym piecu (kuchnia szpitalna nie była jeszcze uruchomiona) gotowałyśmy wrzątek i parzyłyśmy tę kawę. Trochę było witamin. Najgorzej dokuczało zimno. Koce mieliśmy stare, wytarte, materace jeszcze gorsze, brakowało bielizny. Chorzy kładli się na gołych deskach, próbując się okryć materacami. To było w oczach lekarek przestępstwo surowo karane. Nie wiedzieliśmy, co robić. Przymykać oczy, ryzyko wyrzucenia z pracy i wyrzucenia chorego do zony. Zmuszać do leżenia, tak jak *położono, kulturno* — wymaganie wprost nieludzkie. Krzyczałam więc na chorych, póki doktorki chodziły po salach, potem zaś udawałam, że nie widzę, jak się kryją pod materacami. Dobrze, że wolna siostra, oczywiście zsylna, miała możliwość załatwienia wielu spraw i wydobyła wreszcie nowe koce, prześcieradła, nawet coś w rodzaju poduszek. Było to naprawdę szczęście.

Nie umiałyśmy palić w piecach. W Tu paliło się drzewem i trzeba powiedzieć, że drzewa było w bród. Dokoła szumiała tajga. Tu paliło się węglem, właściwie węglowym miałem. Wszystkie piece więc nam gasły, miał nie chciał się żarzyć, dopiero ktoś doświadczony wytłumaczył, że należy go zlewać wodą, robić coś w rodzaju krykietów. Ale i tak palił się słabo. W niektórych salach nie można było umieścić chorych, temperatura nie podnosiła się powyżej zera. W jednej z nich trzymałyśmy trupy. W drugiej, gdy przyjechał doktor na stałe i zamieszkał w naszym pokoju, zrobiłam sobie miejsce do spania. W tym czasie nie miałam już prawa mieszkać w szpitalu, powinnam była wracać po pracy do żeńskiego baraku, ale pod pretekstem nocnego dyżuru stale tam nocowałam.

Halinę zabrano bardzo prędko do ambulatorium i wtedy przyszedł Heniek K. Ładny, miły chłopak. Pracował długo jako felczer koło Tu, w tak zwanym centralnym szpitalu kombinatu. Rządziliśmy więc szpitalikiem razem, bo lekarki wyjechały i mnie kazano pełnić obowiązki lekarza. Mój ty Boże, bez medycyny, z wiadomościami przeciętnej siostry! Chodziłam z falendoskopem, z przerażeniem konstatowałam zapalenia płuc, a było ich wiele, jakieś okropne anginy i ciągłe dyzenterie, na szczęście dość lekkie. Dostaliśmy wreszcie dostateczny zapas bakteriofagu. Chodziłam po tym szpitalu dzień i noc, świadoma strasznej od-

powiedzialności i bezradności. Byłe się tylko nie pomylić, byłe nie zaszkodzić. Może dlatego tak mnie oburzył pewien Japończyk, który był lekarzem i nie chciał tego wyjawić. Historia była prosta. W aptece znalazłam wiele lekarstw o nazwach japońskich (przed nami w obozie przebywali jeńcy wojenni, Japończycy). Była tam jedna paczka ampułek, które wydawały mi się morfiną, a właśnie dla kogoś, kto bardzo cierpiał, morfina była potrzebna. Poradzono mi zwrócić się do Japończyka, który pracował na ogólnych robotach. Przyszedł i z początku nie chciał mi pomóc, potem jednak zmiękł, gdy zobaczył chorego. Rzeczywiście była to morfina, odcyfrował mi także resztę leków, daty ich ważności, zastosowanie niektórych nieznanymi mi specyfików. Wzbogaciło to ogromnie nasze skromniutkie zasoby. Przyznał się, że jest lekarzem, ale wymógł na mnie tajemnicę. Był zdania, że żaden specjalista, inteligent, nie może służyć w swym zawodzie w niewoli. Nie podzielałam ani przez chwilę jego zdania. Jestem do dziś przekonana, że należało zajmować, o ile to tylko było możliwe, wszystkie tego typu funkcje w obozie, bo tylko w ten sposób można było przeciwstawić się nadużyciom bezwzględnych władz, ich poplecznikom wśród więźniów i chronić tych, którzy byli najbardziej nieporadni i nieszczęśliwi.

Dzień był wypełniony pracą, a wieczory? Do apelu Heniek był jeszcze w szpitalu, gadaliśmy, śmieliśmy się, żartowali razem z chorymi. Byliśmy młodzi, cieszyliśmy się, gdy tylko było można, z niczego. Potem przychodziła noc. Początkowo dyżurowała Halina, a ja się kładłam spać. Ale pamiętam noc, gdy Duśka-meteor sprzątała na korytarzu, myła podłogi i sprzęty, a ja się włóczyłam od sali do sali, od chorego do chorego, z lękiem, ciągnęłam lękiem... Był przecież tyfus brzuszny. Chory leżał w jedynej wówczas zorganizowanej separacie. Kaszę owsianą przecierałam mu przez gazę, bo owies nie był dokładnie oczyszczony, najwyżej arfowany, pełen ostrych plew. Byli chorzy na gruźlicę, z wysokimi temperaturami, a więc czynnym procesem. Widziałam takich wielu w Tu, gdy pracowałam na oddziale otwartej gruźlicy. Bałam się, że przyjdzie śmierć.

Przyszła. Ale niespodziewanie. Chory miał zwykłą anginę, nawet nie tak wysoką temperaturę. Nagle w dzień zaczął się dusić. Musiał mieć wrzód. Nic nie mogliśmy zrobić, nie byliśmy chirurgami. Może straciliśmy się trochę. Może nie przyszło nam nawet na myśl, że sprawa jest aż tak groźna. Co mogliśmy mu zaaplikować oprócz płukania gardła i kompresów? Umarł cicho, nagle, inni chorzy też się nie zorientowali. Gdy przybiegłam,

było już po wszystkim. Dopiero wtedy sprowadzono lekarza z miasta, który robił sekcję w tej zimnej pustej sali. Tak, to był wrzód, ale i serce. Może chirurg w porę by poradził? Gdybym jednak podjęła ryzyko zabiegu i chory by umarł, dostałabym nowy wyrok. Nie myślałam zresztą wówczas o tym. Refleksje przyszły później. Mogłam go uratować, czy nie mogłam? Należało wpierym zapytać, czy wiedziałam w ogóle co należy robić. Zresztą gdybym nawet wiedziała! Zabiegu tracheotomii nie widziałam nigdy w życiu.

Dziś cały bezsens takich rozważań jest dla mnie oczywisty, ale wtedy było inaczej. Wtedy ciągle o tym myślałam, nie mogłam się pozbyć poczucia odpowiedzialności. Może dlatego i chorego, siedzącego wysoko na poduszce, i jego siną twarz tak doskonale pamiętam. Nie znam już jego nazwiska. To był może Litwin lub Ukrainiec, mało ważne. Dla mnie był to mój chory.

Wreszcie przyjechał lekarz. Baliśmy się tego dnia. Od lekarza zależało wiele: nasza praca w szpitalu lub ewentualne zwolnienie, a więc ogólne roboty. Czuliśmy się też w tym szpitalu względnie swobodnie. Dwoje Polaków w morzu obcych. Od czasu do czasu, zwłaszcza w nocy, zjawiali się przedstawiciele obozowych władz, zawsze nieufni, zawsze podejrzewający nas i chorych, tak ciężko chorych o „przekroczenie obozowego reżimu”. Mój Boże, było to śmieszne i nużące. Ale lada drobniąg mógł mieć dla wszystkich niespodziewane i przykre skutki. Jakiś kawałek gazety przyniesiony przez wolną siostrę (później niektóre gazety pojawiły się w tak zwanej *kulturalnej części*), jakiś list, fotografia cudem przemycona przez etapy i rewizje, książka pożyczona od wolnego, po prostu nóż, choć rozporządzałam całym garniturem skalpeli, zawsze zamkniętym na klucz, i awantura gotowa włącznie z karcerem lub zdjęciem z roboty. Musiałam sama uprzedzać chore kobiety, żeby nie miały drutów do robienia swetrów (przerabiały stare na nowe), lusterek itp. Reżim surowo tego wszystkiego zabraniał. Każda rewizja, zawsze w nocy, bez względu na stan chorych, którym kazano wstawać z łóżek i zaglądano pod materace, była nużącym przykrym przeżyciem. Za nożyk u chorego odpowiedzialna byłam ja. A chorych było około 50. Bano się tylko tyfusu. No i otwartej gruźlicy. Chorzy więc na noc często chowali swoje skarby w salach przeznaczonych dla zakaźnych, mimo wszelkich ostrzeżeń z mojej strony, że mogą się narazić na infekcję. Ale przywiązanie do małego nożyka lub listu było zawsze silniejsze i nie było możliwości z nim walczyć. Zwłaszcza Litwini wykazywali zdumiewający upór. Kiedyś pod materacem umarłego znalazłam stare

listy i jakiś woreczek na tytoń, uszyty zapewne w domu, należąca do innego chorego, który zdążył je tam wsunąć podczas rewizji, a potem czekał, aż zabrają ciało i nie przypuszczał, że wraz z ciałem zabierzemy także materac do dezynfekcji. Dobrze, że te skarby znalazłam ja, a nie kto inny. Ktoś powie — drobiazg, tak mało znacząca rzecz, a okazuje się, tak ważna dla każdego więźnia. Kawałek papieru, czytany wielokrotnie urastał do rangi symbolu, stawał się fetyszem, widowym znakiem niewygastej więzi z życiem, z przeszłością, z człowieczeństwem, które mu zabrano. Obawa przed chorobą była mniej silna niż obawa przed utratą tej ostatniej kładezki przypominającej przeszłość, własne dawne życie. Każdy z nas miał chyba taki skarb. Chowałam tyle lat fotografie mojej siostry i siostrzenicy, i udało mi się je przewieźć przez wszystkie rewizje, podczas których rozbierano mnie do naga. Inwencja więźnia jest bez granic. Ale i klęski bywają okrutne.

Przyjechał więc lekarz. Nigdy nie zapomnę tej chwili ani miesięcy spędzonych razem z panem Mieczysławem. Był malutki, niemłody, mówił po rosyjsku z ukraińska i przez pierwszą godzinę, gdy robiliśmy razem obchód chorych, nie domyśliłam się wcale, że był Polakiem. Dopiero gdy usiedliśmy we troje w dyżurce, a on zaczął pytać o stosunki w szpitalu, pracowników, salowe, tryb zaopatrzenia w leki, kuchnię itp., w pewnej chwili powiedziałam do Heńka po polsku: daj zapalić. Zapalić, jedno słowo. I za chwilę już byliśmy po wszystkich lękach. On się nas bał także. Przyjechał z K., gdzie przez długi czas przebywał na ogólnych robotach. Był bardzo wyczerpany. Nie wiedział, co go czeka. Wystarczało zwykle paru donosów, by wyrzucono z pracy. A donosy robili najczęściej najbliżsi współpracownicy. Dookoła byli *stukacze*, plaga obozowa. Ale Polacy rzadko bywali *stukaczami* (przez dziesięć lat spotkałam tylko jeden wypadek, to była kobieta, uzurpujająca sobie arystokratyczne nazwisko, do którego nie miała prawa. Bóg z nią). Rodziła się jakaś naturalna ufność między nami, rodakami, ufność, którą straciłam dopiero tu, w Polsce, w obecnym systemie. Tam byliśmy jednością. Tam mogliśmy na sobie polegać. W morzu narodowości byliśmy zawsze niewielką garstką, rozrzuconą po wszystkich możliwych krajach tego ogromnego państwa. Ale małe nasze wysepki trzymały się dzielnie. Toteż gdy zaczęliśmy z sobą mówić po polsku, przegrady zniknęły. Dobry pan Mieczysław był odtąd naszym opiekunem i nauczycielem, najlepszym kolegą.

To była zima 1948 roku, potem Nowy Rok, który obcho-

dziliśmy po cichu, ale wesoło. Ktoś z wolnych oficerów, chyba ten, który był chory na syfilis i przychodził do nas ukradkiem się leczyć, przyniósł doskonałego szazana. Kuchnia szpitalna była już wówczas czynna, choć nie gotowało się w niej jeszcze obiadów. Ale rybę, taki przysmak, usmażyć było można, oczywiście na szpitalnym tranie. Zostały na noc dwie salowe, ładna Ola i chyba Duśka, a może także trzecia Ninka. Był doktor Heniek, ktoś z chorych, może już Antek, wróżyliśmy w kuchni z palonego papieru, śpiewaliśmy, jedliśmy tę rybę, pewno z owsem. Musieliśmy bardzo uważać, aby nikt nas ani na tej uczcie ani na zabawie nie przyłapał, wszystko jednak odbyło się spokojnie.

Zaczął się więc 1949 rok, piąty rok więzienia, rok bez wiadomości o rodzinie, bo z chwilą wyjazdu z Tu wolno nam było pisać dwa razy do roku i tylko do kogoś, kto przebywał na terenie ZSSR. Był to tak zwany *spectagier*, obóz o surowym reżimie, tylko dla przestępców z 58 artykułem. Nikt z nas nie dostawał paczek, byliśmy w nowym obozie za krótko. Panował więc potężny głód. Odczuwali go przede wszystkim mężczyźni. Kobietom było łatwiej. Dziwna rzecz, pamiętam doskonale, że tej pierwszej zimy kobiety prawie nie pracowały. Siedziały w zonie w barakach, zapędzano je do czyszczenia śniegu, do reperacji ubrań i tyle. Obóz, jak widać, był zupełnie nieprzygotowany, zorganizowany na przemoc, bez umów z *chozorganem*. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co do tego, że decyzje utworzenia obozów specjalnych były powzięte niedawno i wykonywane bez żadnego wcześniej opracowanego planu. Siła robocza, tak cenna w tym kraju, wykorzystywana zwykle ponad możliwość ludzką, tu pozostawała bezczynna, poza produkcją. Chaos organizacyjny budził widocznie wściekłość we władzach obozowych, która skupiała się na próżnujących kobietach. Nętkano więc baraki rewizjami, długotrwałymi apelami na wietrze i mrozie; nie dawano ciepłych ubrań ani walonek *łodyrom*. Ale kobiety były z losu zadowolone. Z koców robiły swetry, wchodziły w ciche konszachty z *nadzirateljkami*, które także chciały mieć modne swetry i przynosiły owczą lub wielbłądzią wełnę do roboty. Można było zawsze trochę tej wełny ukraść i zaopatrzyć w skarpety marznącego na mrozie chłopca. Przyznam się, że te żeńskie baraki, w których mieszkało po 60 i więcej kobiet, natłoczone, duszne, pełne zapachów, nastrojały mnie okropnie. Był w nich nieustanny gwar, ciągłe kłótnie, atmosfera etapowych cel. Nikt bowiem nie wiedział, co będzie jutro, kiedy wyrzucą cały ten tłum za zonę, do jakiej poślą go pracy. Klimat wydawał się straszny. Gorszy niż na mroźnej, ale cichej północy. Tu stać było trudno pod podmu-

chem lodowatego, przenikającego na wskroś wiatru. Podczas zadymek, purgi, a raczej *buranu* (tak się mówiło na tej szerokości geograficznej) nie było widać nic na dwa kroki. Pamiętam taki obrazek, kiedy zaczęto wieczorem stukać do drzwi szpitala i paru mężczyzn wniosło dwóch na pół zamarznętych kolegów, którzy upadli gdzieś na robocie i nie od razu dostrzeżono ich nieobecność. Mężczyźni mieli twarze oblepione śniegiem i szronem, chustkami przykryte usta i czoła, świeciły się tylko oczy. To oni pierwsi opowiadali mi o stepowej ziemi, o tej skale, której nie bierze żadna łopata lub kilof, tej ziemi, którą później tyle razy rozbijałam łomem. Poznałam ją dokładnie. Nauczyłam się, jak należy sobie z nią radzić. Ale owa nauka przyszła później. Teraz zajmowałam uprzywilejowane stanowisko.

Tak to już było, że szpital był dla więźnia rajem. Każdy marzył, żeby się do niego dostać. Wyobraźcie bowiem sobie ten moment wspaniały, kiedy zmęczony, ledwie żywy człowiek, przebywający zawsze bądź na okrutnym mrozie, bądź w dusznym słończonym baraku, stale głodny, z tym nieustającym poczuciem łaknienia kawałeczka chleba, choć małej jego kruszynki, najmniejszej *garbuszki*, jak czule o chlebie mówiono, niedomyty, bo łaźnia bywa tylko raz na dziesięć dni, a lodowata woda w umywalce nie nastraja do ablucji, mający za cały dobytek materac wypchany trocinami, twardy i brudny, wyszarzały kocyk i coś w rodzaju poduszki, jedno podejrzanej szarości prześcieradło a nierzadko tylko materac, bez żadnych tam prześcieradeł, burżuazyjnych przesądów, wszak to nie kurort, nagle widzi przed sobą czystą pościel, czysty koc, łóżko a nie twarde deski nar, ciepło, spokój, firaneczki z gazy w oknach, uśmiechniętą twarz siostrzyczki, a na obiad względnie gęstą zupę. Może leżeć, nikt go nie zrywa o piątej rano, nie ma apelu, nie ma *razwodu*, tego upiornego miejsca, gdzie brygady formują się i czekają na wyjście z zony do pracy już od szóstej rano. W nocy gaszą światła. Elektryczność, ta zmora wszystkich więźniów, ten jej ciągły rażący blask nie pozwalający zasnąć, raptem znika. Noc jest ciemnością, autentyczną nocą, w której można nawet otworzyć oczy, zagłębić się w nią, pomarzyć. A jakże wspaniała jest cisza, ktoś tylko przesunie się po korytarzu, ale tak ostrożnie, żeby nie budzić zmęczonych, ktoś zajrzy do sali, nachyli się serdecznie, nawet poprawi poduszkę, jakby anioł, matka, ktoś bliski, swój? Dzień płynie leniwie. Sprzątaczkę myją podłogę, prześcierają łóżka, można nawet wyjść do ubikacji zapalić skręta, na korytarzach i w salach palić nie wolno i mowy nie ma, żeby

złamać ten zakaz, bo wypiszą, wyrzucą ze szpitala i będzie koniec raj. Więc leży się grzecznie w połatanych ale czystych kalesonach i jedyną troską jest, żeby doktor coś jeszcze znalazł, żeby za prędko stąd nie trzeba było wyjść z powrotem do roboty. Chory jest szczęśliwy, że jest chory, siostry pilnują, żeby łykał proszki, a on wołałby nie łykać, nie chce być zdrowy, nie chce poprawy, chce ten czas przedłużyć w nieskończoność i z przerażeniem myśli, że oto znów komisja, a więc jutro kilku z leżących będzie musiało się przebrać w obozowe łachy, wcisnąć na nogi porwane i wilgotne walonki, włożyć śmierdzące dezynfekcją watowane spodnie i takąż fufajkę, głowę przyzdobić starą czapką uszanką, wyfasowaną być może po jakimś więźniu, już dziś trupie, i iść z powrotem do roboty na ten czterdziestostopniowy mróz. Dzień, w którym wypisuje się chorych, to dzień ogólnego przerażenia. Gdy minął, ci, co pozostali, mają znowu kilka dni spokojnych, kilka jeszcze zarobionych szczęśliwych dni.

Ileż razy mówili mi chorzy o tym szczęściu, ileż razy widziałam na ich twarzach radość, że dostali się do raj. Iluż z nich robiło wszystko, aby się tylko znaleźć na liście skierowanych na szpitalną kojekę. *Mastyрка* — to słynna obozowa tajemnica. Wystarczy przeciągnąć umoczoną w nafcie nitkę z igłą przez mięsień barkowy, a rozwinię się potężny wrzód i wystąpi upragniona gorączka. Większość *mastyrek* to rozmaitego typu zakażenia, niektóre groźne, zmuszające nawet do amputacji, dobrze jeżeli tylko palca, czasem jednak dłoni lub całej ręki. Niektórzy sami wkładają rękę w tryby maszyny lub rąbią w dłoń toporem, aby tylko ująć pracy. Niektórzy gotowi są połykać najgorsze świństwa, gwoździe, szkło. Operacja nie wydaje się tak groźna, jak te dwanaście godzin na śniegu i mrozie. Ryzyko jest wielkie i ryzykują niemal wyłącznie kryminaliści, polityczni widocznie nie mają odwagi, a może po prostu są bardziej świadomi rzeczy. Raz bowiem utracić zdrowie, to znaczy nigdy już więcej go nie odzyskać. Osłabiony organizm nie ma siły, by się podnieść. Im cięższa choroba, tym straszniejsze dla więźnia skutki. Zaczyna się śmiertelny kontredans. Szpital tylko dla nieświadomych jest rajem. Dla personelu, który tam pracuje, który wie, jak leczy i czym leczy, chory nawet dość lekko jest już przyszłym moribundem. Trochę go można podtrzymać, trochę naszpikować witaminami i tranem, trochę pozwolić mu odpocząć. Ale o pełnej regeneracji siły nie ma mowy. Komisja wolnych lekarzy wypisze go szybciej, aniżeli mogłaby przyjść całkowita poprawa. A zresztą poprawa bez leków, które najczęściej bywają niezbędne, nie

jest możliwa. Chory wraca do pracy, aby w dość krótkim czasie objawy choroby wystąpiły z większą jeszcze siłą. Jeżeli było to serce, nerki czy też płuca, następny pobyt w szpitalu bywa już mniej wesoły, mniej radosny. Niektórzy wracali trzy razy, niektórzy tylko dwa. Wszystkie patologiczne procesy przebiegają o wiele szybciej w umęczonym, wyczerpanym ciele. Wtedy już nie ma wypiski, tylko tak zwana *birka*, czyli mała deszczułeczka przywiązana do dużego palca lewej nogi z wypisanym na niej numerem lub nazwiskiem. Wtedy już tylko drewniany *buszlat*, ostatni wyjazd za żonę, sztykiem karabinu przebita trumna przez wachciora sprawdzającego, czy czasem nie żywy jakiś zamarzył o ucieczce, i grób w pustyni bez krzyża, bez kwiatka, w płytkim dole zmarzniętej na kość ziemi.

W sprawozdaniu przesyłanym do centrali starsza siostra oddziałowa napisze tylko: *wybył*. Nie wolno napisać: *umarł*. Umarłych w ogóle nie ma. „Wybył” nie wiadomo dokąd. Tylko numer choroby wskazuje, że było to jakieś dziwne „wybycie” nie na własnych nogach i nie z własnej woli.

Nie wszyscy na szczęście umierali. Niektórych udawało się uchronić przed najgorszym, trzymać możliwie długo pod różnymi pretekstami, zdobyć przez wolnych lekarzy jakiś lepszy, skuteczniejszy środek. Szpital mimo wszystko na pewno był oazą i błogosławieństwem dla wielu, którzy utracili już nadzieję.

Lubiłam obozowe szpitale, lubiłam tych chorych, tak wdzięcznych za każde dobre słowo, lubiłam nawet *mastyrkowiczów*, z niepokojem patrzących, czy siostra lub lekarz nie wydadzą ich przed władzami obozowymi, co groziło nowym wyrokiem za sabotaż, więzieniem, innym, być może, gorszym jeszcze obozem. Lubiłam szpital, bo zajmował on jeden z tych najwyższych kręgów piekła, była w nim jeszcze jakaś nadzieja, panowała życzliwość a nie ta okrutna bezpardonowa walka o każdy kęs chleba, o lepszą pracę, o jutro.



Myślę, że szpital uratował mi życie. Przypominam sobie inny etap i inny obóz. To było niemal na początku mojej kariery łągiernika. Naiwność, nieśmiałość, zagubienie cechowało nas wszystkich „frajerów” politycznych, nieświadomych praw rzeczywistości, w której, jak mówiono, *kirka* i łopata jest jedynym uniwersytetem i decyduje o życiu i śmierci. Śmierć była ciągle obok, tak namacalna, tak bliska i w takiej ohydnej postaci pozabawionego mięśni dystrofika lub, według bardziej obrazowego

określenia *dochadiagi*, a więc takiego, co „doszedł” już do kresu, że trzeba było szukać ucieczki od „ogólnych” fizycznych prac, a brakło doświadczenia i odwagi, by cokolwiek przedsięwziąć. Nie myślano bynajmniej o ucieczce z obozu, nie, to był miraż. Chodziło po prostu o „urządzenie” się, o pracę nie nazbyt ciężką i możliwie czystą. Przypominając sobie tamte czasy patrzę ze zdumieniem na postawę Polek. Czym tłumaczyć, że się tak fantastycznie trzymały, że nie mając pomocy materialnej, nie mając paczek, a więc cierpiąc stale głód, źle znając język, dawały sobie radę, a jednocześnie zachowały coś, co się wydaje wręcz nieprawdopodobne, zachowały godność. To nam pomagało żyć i trzymać głowę do góry, mimo tego zagubienia, mimo owej nieśmiałości. Dwie te cechy z czasem ulotniły się, nie pasowały bowiem do rzeczywistości twardej, bezwzględnej, która wymagała szybkiej orientacji i cywilnej odwagi. Ale skąd to wykonanie, że Polka nie ma prawa się sprzedać, że musi być niedostępna, niezależna, o ile o niezależności można mówić, że netykalne są jej poglądy i jej ciało? Skąd ten upór w tych wiejskich dziewczynach, patrzących z góry nawet na rosyjskie inteligentki, skąd ta duma, która często kazała im znosić cięższą pracę, ale nie pozwalała się kłaniać? Czemu wymyślano nam, dziewczętom z różnych środowisk, od arystokratek? Czemu mówiono o nas *gordyje polaczki*? Czy naprawdę każda z nas czuła się przedstawicielką narodu, ambasadorem wolności, kultury, najwyższych europejskich ideałów? Co za straszliwa megalomania towarzyszyła nam wszystkim, jaka wiara w naturalną wyższość wobec tego, co się jawiło jako dzicz, jako barbarzyństwo i zbrodnia? Myślę, że w wielu wypadkach nie była to postawa uzasadniona, zwłaszcza w stosunku do starej rosyjskiej inteligencji. Ale była. Gdzie szukać źródeł tej postawy? Nienawiść? Raczej chyba wzgarda, a może poczucie wielkiej kulturowej odmienności, poczucie pogłębiające się jeszcze w miarę nowych doświadczeń?

Faktem jest, że gdy w obozie pojawiały się Polki, mówiono o nich, że są delikatne, uprzejme i natychmiast znajdowali się więzienni orędownicy, którzy próbowali im dopomóc. Lecz czy można roztoczyć opiekę, gdy Polek przybywało zbyt wiele? Siłą rzeczy pozostawały ogólne roboty. Miałam więc szczęście, gdy dotarła do Tu niewielka polska grupka, nie niemal nie znacząca wobec tłumu Litwinek, Białorusinek, Rosjanek. Nie znałam moich rodaczek, jechały w innych wagonach i następnego dnia zgłosiły się na ochotnika do kopalni ropy, obóz ten miał bowiem dobrą sławę. Zostałam na przesyłce Tuskiej sama wśród

kobiet najrozmaitszych narodowości, od dawna oczekujących przydziału. Leżałam na górnej койce w obawie przed złodziejami i recytowałam „Beniowskiego” zakochanej w polskiej poezji Litwince. Były to dni nieróbstwa i niepokoju. Nikt nie mógł spać. Białe noce czerwcowe zdezorganizowały naturalny rytm biologiczny. Karmiono nas okropnie, dwa razy dziennie rzadką niby zupką z dwoma listkami kapusty i łyżką soczewicy. Ani tłuszczu ani cukru, podstawową *pajkę* źle wypieczonego chleba zjadałyśmy natychmiast po otrzymaniu i pozostawał cały dzień męczącego oczekiwania na następny posiłek.

Nie chcę opowiadać szczegółów, ale tam właśnie znaleziono mnie jako tę „delikatną, chudziutką Polkę”. (Rzeczywiście nie odznaczałam się wówczas dobrą wagą). Jakiś Rosjanin z sąsiadującego z nami obozu, czyli *otpu* numer jeden (*odzielny tagierny punkt*), jakiś lekarz, Polak z Odessy, który nakazywał mi deklarować specjalność siostry Czerwonego Krzyża, wreszcie sam doktor Hareczko, naczelnik sanitarnego wydziału, patrzący na mnie życzliwie i smutnie, wszyscy ci ludzie całkiem bezinteresownie przyczynili się do tego, że zostałam skierowana wraz z trzema innymi kobietami, dwiema Litwinkami i jedną Ukrainką, do nowego obozu, do szpitala. Szpital okazał się co prawda nie wyciętą jeszcze brzózką i pracować trzeba było chwilowo gdzie indziej, ale kariera moja tam właśnie miała początek.

W szpitalu znalazłam się w pięć miesięcy później. Był to szpitalik niewielki, dwa baraki, trzy większe sale, dwie separatki, ale mieliśmy operacyjną. Szumne słowo. Niedawno opowiadałam komuś, jak podczas operacji zgasło światło i chirurg kontynuował ją przy zapalonych świecach. Młody człowiek urodzony zapewne w dziesięć lat po wojnie zarzucił mi kłamstwo, nie jest bowiem możliwe, stwierdził, by szpital nie miał własnego generatora, poza tym przy świecach ze względu na aseptykę operacji robić nie wolno. Mój Boże, co za wymagania, skąd generator! Operacyjna była niewielkim zwykłym pokojem, z prostym stołem obitym ceratą, z szafką na narzędzia i szafeczką na lekarstwa, umywalką, taboretym. To wszystko. Pierwsze mycie odbywało się w zabiegowym, drugie tam na miejscu. Zwykła lampa o trochę jaśniejszej żarówce oświecała pole działania. Najczęściej sprawdzałam puls i śledziłam ciśnienie. Maritié podawała instrumenty. Usypiał lekarz. Było ich trzech, czasem dwóch, jeden bowiem był już po odsiadce i mieszkał za zoną. A operacje były ciężkie, mnóstwo powikłanych skrętów kiszki, choroba tych, którzy po długim okresie głodu dostawali paczki, ropne ślepe kiszki, amputacje wskutek wypadków po pracy,

odmrożeń, gangreny. Na przepukliny nie zwracaliśmy niemal uwagi. Były chlebem powszednim.

Chirurg był rzeźnikiem znakomitym. Stary stalingradczyk, major, na pewno komunista, z wyrokiem pięcioletnim nie wiadomo za co. Należał do setek tysięcy, które przeszły przez największe piekło wojny i doszli do Berlina, jednak zbyt wiele dostrzegli w obcym im kapitalistycznym świecie, by bez specjalnego wychowawczego treningu w obozie móc spokojnie wrócić do cywilnych zajęć. *Nada ich pierewospitat'*. Zapewne najwyższe władze sądziły, że wystarczy ten inny świat zobaczyć, by się nim zachłystnąć i o wyższości socjalistycznej ojczyzny zapomnieć. Obóz był dobrym miejscem, by tę pamięć przywrócić. Siedziały więc tłumy żołnierzyków i oficerów, bojowi pułkownicy pokazujący ukradkiem przechowaną cudem własną fotografię, na której widać było pierś pokrytą orderami, i chłęptali obozową *bałandę*, często *dochodząc*, zanim jeszcze wydano amnestyjną ustawę.

Michał Daniłowicz trzymał nas ostro niby dawną swą sanitarną kompanię, uczył siostrzanego rzemiosła i poił spirytusem. Jego obozową żonę, niemal każdy lekarz miał taką, była siostra gospodyni, Duśka, dawna *urkaczka*, złodziejka, teraz nasza towarzyszka w szpitalnym życiu, dbająca, by kuchnia trochę lepiej karmiła szpitalny personel. Pod wpływem spirytusu znikła pierwotna nieśmiałość nowicjuszek, Maritié, ja i miła pani Łastienie, najstarsza z nas, nabierałyśmy nieco pewności siebie i uczyłyśmy się, jak postępować z tymi, o których istnieniu nie wiedziałyśmy dotychczas nic, a którzy dla wielu byli obozową zmorą. Obozem bowiem rządzi *urka* i biada temu, kto nie umie właściwie na rządy te reagować.

Muszę powiedzieć, że mistrzem dla nas był i pod tym względem Michał Daniłowicz, który znał kryminalistów dobrze jeszcze z czasów swojej wojskowej służby i taktykę wobec nich stosował znakomitą. Nie było ich u nas wielu, chorzy się nie liczyli, jako że byli zdani na wolę i decyzję lekarza. Na malutkim naszym *ópie* był jednak prócz szpitala jeden barak tak zwanych bezkonwojnych, a więc więźniów, którzy wychodzili do pracy bez straży. Z reguły byli to kryminaliści, tylko takim okazywano daleko posunięte zaufanie. Pracowali jako szoferzy i mechanicy w jakiejś bazie znajdującej się parę kilometrów za zoną. Wychodzili wcześniej i późno wracali, nie spiesząc się zapewne, zawsze bowiem za zoną można znaleźć łatwiej i dziewczynę i alkohol. Do nas przychodzili rzadko, najczęściej z żąda-

niem dostarczenia im środków narkotycznych. Gotowi też byli wypić wszystko, w czym była choć kropla spirytusu, najobrzydliwsze mikstury, nawet jodynę. Bywały sceny przykre, czasem wręcz niebezpieczne, ale Michał Daniłowicz doskonale umiał sobie z nimi radzić. Liczyli się z nim. Imponował im swoim władczym tonem, ale zapewne lubili go trochę, potrafił bowiem usiąść razem i opowiadać im własne wojenne przygody. *Urka* uwielbia opowieści, słucha ich jak bajki i dobremu bazarzowi gotów jest okazać wierną życzliwość. Patrzyli więc na Michała z zachwytem. Czasem jednak półdzika hałastra wdierała się z szumem do szpitala żądając alkoholu. Nie było to miłe, czułam wówczas lęk mimo zimnej krwi naszego chirurga. Bałam się gwałtu, osławionego „tramwaju”. Gdyby im to przyszło do głowy, nikt by ich nie mógł zatrzymać. Ale widocznie Michał Daniłowicz miał w ich oczach większe prawo do każdej z nas, niż je przypisywali sobie. Fakt, że się nam wówczas nic nie stało, że jako kobiety wyszłyśmy obronną ręką, miał jedną przyczynę. Nikt w obozie nie tyka kobiety należącej do drugiego, zwłaszcza jeżeli ten drugi coś w tym obozie znaczy, jest *chleboriezem*, kucharzem, lekarzem albo *nariadczykiem*. Wówczas wara od cudzej zdobyczy. Niepisane to prawo, ale przestrzegane skrupulatnie. *Urka* raczej pilnuje kobiety, aby nie sprzeniewierzyła się swojemu panu, sam jej nie tknie i drugiemu nie pozwoli, chętnie natomiast pomoże ukarać niewierną. Było trzech lekarzy i sanitariusze oraz sześć młodych kobiet. Wniosek ich był więc jasny. Każda należy już do kogoś, chociaż tylko Duśka miała przydział, przynajmniej na początku naszego tam pobytu. Czas bowiem robi swoje, a gdy głód specjalnie już nie doskwiera, natychmiast budzi się głód inny, równie silny, głód drugiego ciała.

W szpitalu tym upamiętniły mi się dwa wypadki. Raz przywieziono nam 24 więźniów poparzonych wybuchem ziemnego gazu. Wyglądali przerażająco. Gaz wybuchł w baraku od zapalonej zapałki, gdy po powrocie z roboty ludzie się myli do połowy rozebrani. Wszyscy mieli poparzenia trzeciego stopnia, jedni tylko twarz, ręce, inni plecy lub pierś. Strasznie było na nich patrzeć. Byli tak zapuchnięci, że nie wiedzieliśmy, czy nie stracili oczu. Zanim ich do nas przywieziono, przeszli gehennę czekając na transport, konwój, normalną *prawierkę*, załadunek. Wypadek miał miejsce na tym *łagpunkcie*, na którym miał stanąć szpital i gdzie ciągle jeszcze rosła zamiast niego brzoźka, a więc o siedem kilometrów od nas. Droga niedaleka, ale zaledwie przetarta w śniegu. Czekali więc na robotników,

aż odwalą zasy, a ci się spóźniali z braku dodatkowego konwoju. Konwój co prawda siedział już na ciężarówkach, ale czy można ciężko poparzonych ludzi zostawić bez ochrony automatycznych karabinów? Jechali więc niemal godzinę. Zanim ich przyjeźliśmy, zanim opatrzyliśmy najgroźniej poranionych, już dla pięciu z nich było za późno. Umarli tej samej nocy, a następnego dnia jeszcze trzech czy czterech. Śmierć to była okropna w niewypowiedzianych męczarniach. Nie mieliśmy dostatecznej ilości morfiny, luminal nie mógł dać snu. Do dziś pojąć nie mogę, że połowa popalonych wyżyła, rany zablizniły się, oczy zaczęły widzieć. Jak się okazało, w odruchu na błysk światła i huk każdy z nich zakrył oczy rękami. Ręce więc były straszliwe, odarte zupełnie ze skóry, ale oczy całe.

Pracowaliśmy wtedy dzień i noc, niemal bez odpoczynku, nie szczczędając siebie. Myślę, żeśmy wykazali o wiele więcej sprawności i serca niż służby szpitalne, z którymi dziś mamy do czynienia. Która siostra chciałaby ciągle poprawiać pozycję chorego, to kłaść, to sadzać, przewracać z boku na bok, ból nie pozwalał bowiem im leżeć, a siedzieć nie mieli siły; obmywać wciąż ściekającą gnojną ciecz, delikatnie poić nie dotykając nabrzmiałych popalonych warg. A jednak to wszystko robiłyśmy, trochę z przerażenia, jakie budził w nas widok tych czarnych nieludzkich twarzy, trochę z współczucia, ale może też i z automatyzmu pracy, coraz bardziej fachowej i coraz bardziej obojętnej? Może właśnie wtedy zauważyłam tę coraz silniejszą obojętność, którą każdy pracownik medycyny broni się przed okropnościami. Zapach w sali chorych był niemiłosierny, nic nie śmierdzi tak jak ropa. A oni płynęli ropą i ropą przesycone były ich odchody. Dziś jeszcze czuję ten odór gnijących za życia ciał.

Awaria rury gazowej, był to przypadek niezawiniony, brak doświadczenia więźniów, którzy nigdy przedtem nie widzieli pieców opalanych ziemnym gazem. Bowiem ten rejon tajgi, to był gaz i pióropusze nafty. Gazem było lepiej palić niż drzewem. Dawał dużo ciepła, nie brudził. Kiedy przeprowadzono nam go do szpitala, znacznie ułatwił nam życie. Wielki gazociąg budowano też z W. do Tu. Brygady, które przy nim pracowały, zatrzymywały się po drodze w rozmaitych obozach, zmieniając je co miesiąc, co dwa. Przez pewien czas mieszkaly także na naszym *łagpunkcie*. Zrobił się on wtedy ruchliwy i niebezpieczny. Pełno złodziejasków kręciło się koło szpitala, łakomych na każdą rzecz. Ich nadzorcy w trosce o obozowy reżim lubili robić u nas na salach nocne rewizje, czego miej-

scowi przedstawiciele władzy na ogół nie praktykowali. Nie wtrącali się do naszych spraw trochę z lenistwa, trochę z wygody, czasem bowiem przez wolnego doktora dostawali butelkę spirytusu. Wreszcie gazociąg został zakończony. Brygady wyjechały, ale przedtem było jakieś uroczyste otwarcie, na którym generał kombinatu ze swym sztabem przybocznym obiecał *dosroczne* zwolnienie rekordzistom. Wybrano więc kilku wśród kryminalistów, by radość tę im objawić. Był solidny mróz, więźniowie długo czekali na *naczalstwo*, zadowolony z wykonania planu generał kazał im podać po szklance wódki. Efekt był piorunujący. Wygłodniali, wymęczeni ludzie, których zmuszono przez ostatnie dni do pracy po dwanaście i więcej godzin, dostali szoku. Przywieziono ich do nas w tragicznym stanie. Już nie pamiętam ilu ich było, czterech czy pięciu. Umierali cicho, bez odzyskania przytomności. Jeden tylko, młodzieńki, może 17-letni chłopiec czuł, że umiera i płakał całą noc. Tak strasznie chciał żyć, tak bał się śmierci. Nie chciał mnie od siebie puścić. Siedział z głową opartą na moim ramieniu. Kiedy rano musiałam pójść zdać nocny dyżur i zostawiłam go na parę minut, zaciął.

Nie mogę i nie chcę opisywać tylko śmierci. Było jej zbyt wiele. Mam jednak wobec tych ludzi, którzy tam przy mnie odchodzili *dosroczo oswobożdzeni*, obowiązek pamięci, bo ja przecież żyję, a ich nie ma już dawno, a byli tak samo młodzi i tak samo jak inni i jak ja chcieli żyć. Im się nie udało. Los wypchnął ich gdzieś do takiego zaułka, z którego nie ma wyjścia. Na szczęście śmierć za moich obozowych czasów nie była masowa. Przed wojną i podczas wojny układano w stos wynoszone rano z baraku trupy, zmarznięte na kość, przykrywano je śniegiem i czekały na odmarznięcie ziemi, by znaleźć grób. Wtedy jednak panowała pelagra, ta przeraźliwa choroba, która kosi dziesiątkami, a której źródłem jest głód. Myśmy już pelagry niemal nie znali. Nam wszystkim dawano codziennie wywar z igieł sosnowych przeciwko skorbutowi i 100 gram musujących drożdży, które ratowały przed pelagrą. Dbano o nas, abyśmy mogli *czestnym trudom odkupit swoju winu*, abyśmy tak głupio i szybko nie umierali, gdy państwu brak *czu-guna i stali*. Abyśmy więc pracowali wydajniej, lepiej, poili nas co rano i utrzymywali w tej dziwnej strefie bycia, która nie jest jeszcze śmiercią, choć już nie jest życiem. Mogliśmy się więc łatwiej bronić, lecz każda porażka, każdy zwyciężony napełniał innych przerażeniem. Dziś bowiem nie wytrzymałeś ty, a jutro powinie się noga mnie. Z tej walki rodziło się naj-

straszliwsze okrucieństwo, które każe choremu wyciągnąć spod poduszki sąsiada schowany kawałek chleba. Zazdrosne oczy śledzą ręce siostry, komu da witaminy, komu doleje trochę zupy, komu da zastrzyk glukozy, a komu tylko kropelki na tę nieustającą biegunkę, która niszczy siły, nie pozwala chodzić, na te wrzody coraz gęściej pokrywające ciało. Dystrofia, pelagra, gruźlica. Obozowi mordercy, nie trzeba innych oprawców, nie trzeba gazowych komór. Tu człowiek jest potrzebny, póki żyje, póki się rusza. Zwali jeszcze jedno drzewo, wykopie jeszcze jeden dół, wybuduje jeszcze jeden dom, dla innych wprawdzie, ale dom jest. A co będzie z tym człowiekiem jutro, dziś nawet, to nieważne. Skoro stracił siły, przestaje się liczyć.

Były obozy, które chciały te siły zachować na dłużej. Istniała więc wspianała instytucja, tak zwane *OP (oddzielnoje prodowolostwie)*. Zbierano obozowe *dochodiagi* i na miesiąc zwalniano je z pracy, dając trochę lepiej jeść. Odpoczynek robił swoje i ci, u których nie nastąpiły jeszcze procesy nieodwracalne, stopniowo przychodzili do siebie, nawet nieco nabierali ciała. *OP* co najwyżej odgarniało śnieg w zonie, czasem obierało w kuchni kartofle, *rabationka nie płochaja*, albo wprost leżało na kojkach i odsypiało wszystkie nieprzespane dni. Powrót do brygad był tragedią. Okazywało się zresztą, że zyskać trochę sił było trudno, a traciło się je natychmiast. Niektórzy po kilka razy trafiali do *OP*, za każdym razem jednak w coraz to gorszym stanie, wreszcie i *OP* przestawało być lekarstwem, zostawało tylko szpital. Ale na głód i wycieńczenie medycyna nie zna lekarstwa.

Bardzo o nas dbano. Każdy z nas przecież był badany i miał określoną kategorię zdrowia. Kategoria pierwsza to zdrowie doskonałe, druga — nieco gorsze, ale nadaje się do wyrębu lasu. Trzecia — zwalniała od cięższych robót, inwalidzka — którą obdarzano wyjątkowo — predestynowała do różnych ciepłych miejsc, do kuchni, *chleboriezki*, pracowni krawieckiej. Co pół roku odbywała się komisja lekarska, a czasem nawet częściej, był to jednak znak, że się szykują etapy. Wówczas nawet *dochodiagom* dawano drugą i pierwszą kategorię zdrowia, byle tylko pozbyć się ich z obozu. Niech umierają gdzie indziej i nie psują znakomitej statystyki. Dodajmy, że zasadniczo na etap nie wolno było brać chorych.

Komisje — to cała historia. Brałam w nich udział jako siostra ważąc, mierząc delikwentów lub opisując znaki szczególne. To ostatnie nie należało do przyjemności. Przez lekarski pokój przesuwają się setki całkiem nagich mężczyzn, chudych,

strasznych, bez pośladek, z bliznami na ciele po wrzodach, tak wynędzniałych, że trudno rozpoznać ich wiek. Wyglądają na starców, a mają dwadzieścia kilka lat. Zwiotczała męskość, zapadłe piersi, opuszczone ramiona. Tylko kryminaliści są umięśnieni, silni, męscy. Sznur ten przechodzi przed lekarzem, który zaledwie dotyka słuchawką serca i piersi i natychmiast zwraca się do następnego delikwenta, rzucając siostrze zapisującą diagnozę krótkie: AD 2 kategoria trzecia (przed etapem będzie druga). Lekarz jest oczywiście wolny, sam był niegdyś więźniem, ale już o tym zapomniał. Lekarze więźniowie, którzy obok niego siedzą, nie mają prawa głosu. Czasem któryś z nich powie, że dostrzeżę wyraźne objawy gruźlicy albo choroby serca. Niektórzy próbują się nawet kłócić. Bywa, że ów protest skutkuje i kogoś można uratować, skierować podczas komisji do *OP* lub *szpitala*. Bywa i tak, że lekarz wolny sam daje najniższe kategorie, bo obóz nie wykonał planu i fakt ten trzeba czymś usprawiedliwić. Robotnicy są chorzy, pracować nie mogą, należy ich zmienić na silniejszych. Plan często dyktował lekarskie opinie. Ten upiorny taniec szkieletów niekiedy budził w nas wesołość. Nigdy bowiem ani przedtem ani potem nie miałam okazji, aby się przyjrzeć tak wymyślnym tatuazom. Ciało każdego kryminalisty to wielkie dzieło sztuki. Na plecach potężny orzeł trzymający w szponach dziewczynę, na piersi okręt pod żaglami, na bicepsach karty, butelka wódki i napisy: zgubiła mnie wódka i dziewczyny, albo: mam ją twój wierny syn, lub znów: kocham Tatianę. Napisy łzawe, napisy wulgarne, wzniosłe i głupie. Pomalowane uda, pomalowane pośladki. Nawet na członku jednego z bandytów był napis: *nachał*. Sztuka to swoista i nie pozbawiona dowcipu, gdy się bowiem ruszają mięśnie, nadymają się żagle, rozkładają się talie, dziewczyna rozchyła uda, a orzeł zdaje się ruszać skrzydłami. Niekiedy nie można było powstrzymać się od śmiechu.

Na komisje przychodziły też kobiety; rozebrane do naga defilowały smętne przed sanitariuszami i lekarzami i tak jak mężczyźni wpięrowy się obracały tyłem, aby pokazać stan zwiotczenia pośladek, podstawę diagnozy dla dystrofii. Przykrość to była wielka i byłam naprawdę o wiele spokojniejsza, gdy mogłam brać w tej szopce udział po lekarskiej stronie. Człowiek nagi w tym tłumie zdawał się być całkiem pozbawiony godności, szedł w szeregu jak zastrachane zniewolone zwierzę.



Na wiosnę naczelnik sanitarnego wydziału Hareczko uprze-

dził nas, że do szpitala przyjadą felczery, a my kobiety zostaniemy odesłane na inne *łagpunkty*. Ogarnął nas popłoch, miałyśmy bowiem względnie spokojne życie. Było nam też żal rozstawać się z naszym miłym chirurgiem. Żale oczywiście nie nie pomagają, bo jak to zwykle bywa, pewnego dnia zajechała ciężarówka z konwojem i w przeciągu pół godziny, przy krzykach, szybciej, szybciej, załadowano nas i powieziono, nie mówiąc dokąd. Tego, jak pisałam, nigdy się więźniowi nie mówi. Los jednak był dla nas łaskawy, sądzę, że łaskawy był po prostu Hareczko, dość, że Duśka i ja wylądowałyśmy na pierwszym *ołpie*, sąsiadującym ze znaną mi już przez płot przesyłką, a reszta pojechała na W. do centralnego szpitala.

Ołpowi numer jeden należy się ode mnie kilka słów. Był to tak zwany „wielki” obóz, obóz stary, jeden z tych, o których opowiadali nam *urki*, wzdychając do ich wspaniałości. Wielki obóz bowiem to słaby rygor, to możliwość urzędzenia się, to mafie, których boi się często nawet naczelnik, a cóż dopiero mówić o nadzorze. Wielki obóz to miłość, bo któż upilnuje tysiące mężczyzn i kobiet. Nietrudno o zakamarki, w których chowają się spragnione siebie pary. Jakiś stryżek nad pracownią krawiecką, jakiś magazyn odzieży lub narzędzi, jakaś „kabinka”, malutki pokój przydzielony inżynierowi, buchalterowi lub lekarzowi, a użyczony przez właściciela koledze. Wielki obóz to możliwość wyfasowania lepszego ubrania, walenek, lub choćby burek, tych chałupniczym sposobem robionych butów filcowych, obszytych ukradzioną skórą, które każdy szewc robi po cichu za miesięczną rację rekordzisty w obozowej stołówce. Wielki obóz to także teatr, tańce, przyniesiona przez przekupionego wolnego butelka wódki, jednym słowem wspaniałe życie, zwłaszcza jeżeli ma się *rabationkę* w zonie i nie trzeba iść na poranny *razwod*. Wypaść się można, bo kto sprawdzi, czy się po pobudce wstało. Więźniów wiele, baraki rozciągają się niemal na kilometr, a nadzorców mało i nie każdy lubi się zapuszczać w głąb zony. Żaden bowiem nie wie, czy w nocy właśnie jego głowa nie została przegrana w karty. A karty to dla *urka* jedna z głównych rozrywek, grają na pieniądzu, na machorkę, na dziewczynę, na głowę *stukacza* albo nadzorcy, zależy od fantazji, zależy od wypitego alkoholu. Ten kto nie przeszkadza, nie chodzi niepotrzebnie po barakach, nie lustruje, zamyka na wszystko oczy, ma szansę przeżycia, kto by bowiem z powodu takiej safandudy chciał ryzykować jeszcze jeden wyrok. Gorliwcom jednak biada. Gorliwiec zwykle kończy szybciej, aniżeli zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Gor-

liwcy chodzą więc po kilku razem, ale z daleka ich widać i zawsze można uprzedzić kogo trzeba, że idą, że szukają, że chcieliby do czegoś się przyczepić, i wbrew wszelkim możliwościom wyegzekwować rygory dyscypliny. Więc te rygory są osłabione, ale chaosu nie ma. Władza ma bowiem w swym ręku najmocniejszą broń, chleb i miskę kaszy. Wielki obóz jest królestwem pozorów, więźniowie grzecznie idą do pracy, grzecznie mówią dzień dobry grupie oficerów, spokojnie czekają na swoją kolejkę w stołówce, bez szemrania po wieczornym apelu chronią się w barakach, jednym słowem spokój, porządek, nikt nie narusza obozowego reżimu i wszyscy robią po cichu to, co przez ten reżim surowo jest zabronione. Spotykają się na rozmowy, cichaczem przebiegają w nocy z baraku do baraku, mają swoje żony, swoich kumpli do wypitki i do kart, piszą listy, handlują z wolnymi, sprzedają chleb za machorkę, machorkę za kawałek materiału, słoninę za ukradzione komuś walonki, czasem komuś coś ukradną, czasem rozbiją w nocy magazyn, by wyjąć parę puszek świńskiej tuszonki, a czasem idą, by z toporem w ręku dokonać krwawych porachunków. Kto w nocy słyszy w zonie krzyk lub jęk, zatyka uszy, odwraca się na drugi bok, żeby nie słyszeć, żeby nie wiedzieć, nie świadczyc. Fundamentalne prawo obozowe brzmi „nie słyszałem”; choćbyś widział na własne oczy, jak kogoś biją, mordują lub gwałcą, nie wiesz nic i nie mów nawet sąsiadowi, bo ten cię może zdradzić, a *urka* zdrady nie toleruje, zdrada to wyrok śmierci.

Dyskrecja! Oto zasada obozowego życia. Pytać o cokolwiek nie należy do dobrego tonu. Nie próbuj wiedzieć więcej, niż potrzeba. Skąd to masz, kto ci to dał, za co siedzisz, oto próbki zdań wyrzuconych z więziennego języka. Takimi rzeczami interesuje się tylko głupiec albo *stukacz*. I jeden i drugi naraża się niebezpiecznie. Z głupcem nikt się nie liczy i może łatwo zginąć. Życie *stukacza* jest zawsze krótkie i nawet etap nie zdoła go uratować. Ustna wiadomość przenika mury i tysiące kilometrów z obozu do obozu. Prędzej czy później *stukacza* dogoni i znajdą się ci, którzy dawny wyrok wykonają.

Dyskrecja, tym większa jednak plotka, przekazywana po cichu tylko tym najpewniejszym, tym najbliższym, bo przecież o czymś mówić trzeba, plotka rosnąca, ogromna, często niesprawiedliwa, krzywdząca, okrutna. Ktoś szepce do ucha: wypiszcie go ze szpitala, to major MWD, to krwio pijca, na Butyrkach ludzi katował, ale powinęła mu się noga. Za co siedzi? Nie wiadomo, może za opowiedziany dowcip, może za łapówkę,

może ktoś doniósł, że chwalił niemiecką organizację policji? Kto go wie. Może w ogóle nie jest majorem, lecz cichym przewodniczącym kołchozu, który nie zdołał wykonać planu? Jego artykuł nie da się ukryć, mówi o sabotażu. Ale stary więzień wie, że za sabotaż dziesięć lat dostaje kołchoźnica, która zbierała kłosa pozostałe na pszenicznym polu, i szofer, któremu nawalił motor, i oficer, który nie zdołał zdobyć wskazanego przez generała krzaczka, i śpiewak w operze, którego głos zawiódł z powodu grypy właśnie wtedy, gdy najwyższe władze miały ochotę go posłuchać. Nie wiem, czy na tej szpitalnej койce leży oprawca czy nieszczęśnik, a plotka draży, rośnie i już ktoś szepce, że go chronię, z jakichś podejrzanych zapewne powodów, a ktoś drugi dodaje, że jest cichy rozkaz naczalstwa trzymać go w szpitalu jak najdłużej. I nie sposób wyjaśnić tej dwuznacznej sytuacji. Ani chorego nie można się spytać, co było powodem jego aresztu, ani tym, co szepcą, dowieść bezpodstawności ich podejrzeń. Pod zasłoną dyskrecji czai się obrzydliwa, brutalna krzywda ludzka, złość, podejrzliwość, zawiść, i nie ma na nie ratunku.

W wielkim obozie społeczeństwo jest rozwarstwione. Są wyższe i niższe klasy. Sam szczyt to lekarze ordynatorzy, komendanci i *nariadczyk* (ten, od którego zależy skład brygad, ich przeznaczenie, kieruje on całą siłą roboczą obozu), główny buchalter i szef planowania. Dalej idą pozostali lekarze, urzędnicy, inżynierowie, kucharze, *chleboriezy*, aktorzy, naczelnicy tak zwanej *kulturno-wospitatelnoj czasti*, czyli krótko mówiąc *kwcz*. Do tej klasy będzie należał także szef magazynu i szef pracowni szewskiej, każdy bowiem chce dostać kawałek skóry albo nowe walonki. Siostry, niżsi urzędnicy, laboranci, krawcowe, praczki, *dniewalni*, czyli ci, co sprzątają w barakach, brygadierzy to następna warstwa, nie rozporządzająca możliwościami tak cennymi jak poprzednie. Za nimi idzie już tylko szary tłum pracujących. Ci w zonie mają się oczywiście lepiej, ci, którzy wychodzą za obóz, przeżywają wszystkie okropności związane z tym słowem, na dźwięk którego robi się czarno w oczach więźnia: ogólne roboty.

Podstawą owej stratyfikacji jest możliwość manipulowania innymi. Wszyscy są niewolnikami, ale są niewolnicy więksi i mniejsi, i czym niżej, tym mniej wolności. Przestaje się nawet być panem własnych myśli. Cóż to bowiem za myśl, która w kółko się kręci wokół jednego: najem się dzisiaj czy nie, zdobyję dodatkowy kawałek chleba lub miskę zupy, czy mi się to nie uda. To jedno nieustannie tkwi w głowie i ten, kto cały

dzień machał łomem i kilofem, nie jest w stanie snuć rozważań na filozoficzne tematy. Za zmęczeniem i głodem idzie otępienie, utrata pamięci, obojętność na wszystkie wartości. Jedno tylko się liczy, położyć się, dać spokój utrudzonym członkom i najeść się *garbuszki* do syta, *ot puza*, jak mówią Rosjanie. Ten, kto znalazł się na dole, nie ma już nikogo pod sobą, nie może nikogo wykorzystać, może liczyć co najwyżej na czyjąś dobrą wolę, na czyjąś solidarność. Ale tej solidarności nie ma. Hasło bowiem naczelné mówi: pracuj jak najmniej i korzystaj jak najwięcej. A korzyść może być osiągnięta tylko kosztem drugiego, słabszego, mniej sprytnego. Niech on wali młotem, ale kocioł rekordzisty niech przypadnie mnie. On zrąbał drzewo, ale ja zapiszę sobie ten pień do własnego rachunku, on naostrzył łopatę, ale ja mu ją zabiorę. Walka więc toczy się od dołu do góry, o urząd równie silnie jak o miejsce w wykopie, bo lżej rzucać ziemię na wysokość metra aniżeli na wysokość trzech. I walka ta pozwala władzy sterować ludźmi według jej woli. Brygadier da lepszą *pajkę* temu, co mu się wystuguje i z paczki przysłanej z domu odda większą jej część. Niepokornego zawsze może ukarać, potrzymać na *garantii*, dać najbardziej porwany buszlat, łąta na łącie. Zawsze znajdzie jeszcze jakieś okropniejsze miejsce, jakąś cięższą robotę. Ale brygadier też musi uważać, aby nie narazić się *nariadczykowi*. Łatwo można bowiem stracić miejsce brygadiera. Siostra opłaca się lekarzowi, lekarz ordynatorowi, ordynatorzy, komendanci, *nariadczycy* naczelnikom obozu. System kar i nagród to system potężny, człowiek w nim staje się cichutki, potulny, bez głosu, bez chęci sprzeciwu. Każdy protest to klęska, to zgodna zemsta tych, co stoją wyżej, najsilniejsza zwykle tam na dołach. Im bowiem mniejsza władza, tym silniej objawiać się musi, aby dać światu świadectwo swego istnienia. Ten zresztą, który pozwolił sobie na sprzeciw, na krytykę jest w oczach panów szaleńcem nierozsądnym, godnym pogardy i zasługuje na unicestwienie. Władza ma bowiem zawsze rację, władza jest nietykalna i wszechmocna, i od niej zależeć ma istnienie poddanych. Krytyka to bunt, przestępstwo, a im krytyka śmielsza, tym gwałtowniejsze pociąga konsekwencje: karcer, pozbawienie prawa otrzymywania paczek i listów, drugi wyrok. Władza głaszcze wygodnych i posłusznych i niszczy tych, którzy ośmielają się mieć własny sąd i własne zdanie. Ideologiczny cel obozu to wychowanie, to nauczenie więźnia, aby raz na zawsze myślał i czynił tak, jak nakazuje regulamin, obozowy czy państwowy, wszystko jedno. System obozowy jest wierną odbitką systemu państwowego. Zmieniają

się tylko narzędzia manipulacji. Tam są nimi mieszkania, wyjazdy, pieniądze, nagrody, ordery i więzienia, tu większa lub mniejsza *pajka*, lepsze ciepłe ubranie, lżejsza praca. Ale zasada jest identyczna.

Zdziwienie więc i konsternację wywołują ci, którzy do systemu nagiąć się nie chcą. Potulność tak przeżarła już mentalność sowieckich ludzi, że nawet uwięzieni nie mogą zrozumieć oporu. Po co się tak idiotycznie upierać? Godność? A cóż to znaczy? Postawa Polaka, Estończyka, Rumuna budzi powszechne zdumienie obozowiczów. *Wot kakije, nu my was zgnoim*. W tym okrzyku czuć zawiść i nienawiść jednocześnie. Są jeszcze więc tacy dziwni niezależni ludzie! Skoro tak, trzeba ich zniszczyć. Lecz o dziwo, czasem postawa niezależna spotykała się z czymś w rodzaju szacunku, jak gdyby ci zniewoleni już od dawna ludzie pojmovać zaczęli, że istnieje inna planeta, lepsza i silniejsza nie brutalną siłą mięśni, ale charakteru. Jakże charakterystycznie brzmią te wielokrotnie zasłyszane od różnych więźniów-Rosjan słowa: *wy samostojatielno dumajetie, was za eto odno posadit nada było*, albo *wot czort kakije gordyje*.

Patrzając na co dzień na tych ludzi w obozie, na Rosjan, Ukraińców i Białorusinów ze wschodniej Ukrainy lub Białorusi zaczynałam rozumieć, co się musiało dziać podczas ich śledztwa. Jakże mogli milczeć lub przeczyć, skoro władza wymagała, by się przyznawali. Zapewne nie bardzo wiedzieli, do czego mają się przyznać, ale zręczny śledczy podsunął to lub owo i naprowadził na drogę szczerości. Tortury mogły tylko przyspieszyć ten naturalny proces „samopokajania”. Ten bowiem, kto jest wyżej, widzi lepiej i wie więcej, a więc zapewne myliłam się, zapewne błędziłam, choć nie czuję, bym sobie kiedykolwiek zdał z tego sprawę. Tym jednak wina moja większa, tym cięższa powinna być kara. Nie spostrzegłem w czas. Jedno mi tylko pozostaje, wykazać maksimum lojalności, całkowite posłuszeństwo, aby tylko uwierzono, że nie miałem złej woli, że nie chciałem, powiem więc wszystko, co każą, jak każą, nawet to, czego nie wiem i co wydaje mi się nieprawdą. Ale jest to ważne dla nich, a więc trzeba, więc nie ma co snuć własnych przypuszczeń. Herling-Grudziński doskonale opisał ten rozkład psychiki uwięzionego, tę dwoistość sumienia komunisty, który chce być w porządku z sobą, ale także z partią, w którą wierzy niemal bez zastrzeżeń. Sprawiedliwość nakazuje mi dodać tylko jedno. Śledztwo jest jak ciężka śmiertelna choroba. Niszczy ono odporność psychiczną i fizyczną. Nieprzespane noce, karcery wypełnione lodowatą wodą, głód i bicie stają się czymś nie do

zniesienia. Ileż razy patrzyłam na ostatnie dni chorego. Jeszcze wierzy, że wszystko się skończy dobrze, więc zaciska zęby, walczy, bez szemrania zgadza się na najbardziej bolesne zabiegi. Ale oto przychodzi moment, w którym rozumieć zaczyna, że walka jest daremna, że tym razem koniec nieunikniony się zbliża. Godziny buntu, czasem żalu, płaczu, a potem już tylko głęboka rezygnacja i jakby niecierpliwość. Skoro śmierć ma przyjść, niech przychodzi prędzej. Oczekiwanie staje się czymś nieznośnym i chory nie chce żadnych leków, które by przedłużyły ten stan, najwyżej coś przeciw bólowi. Żadnych słów pociechy, są zbędne, on pragnie tylko jednego — spokoju. Podobnie więzień, który już przestał wierzyć w zwolnienie, już wie, że jego los został przesądzony. Po co więc się męczyć, po co narażać na nowe tortury? Niech piszą, co chcą, niech mówią, co chcą, jest mu już wszystko obojętne, nawet jego własne imię. Aby tylko dali spokój. Gotów jest też z niechęcią reagować na nowe okoliczności, które na pozór mogłyby odwrócić wiszącą nad głową topór. Już się nie ma siły na rozpoczynanie wszystkiego od początku. Rezygnacja jest równie głęboka, agonia tak samo smutna. To już nie człowiek, to jego martwy cień.

Przyznanie jest akceptacją śmierci. Otóż my, Europejczycy, od takiej akceptacji byliśmy daleko i podczas śledztwa, i w obozie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz los zależy od ogólnej sytuacji politycznej i że pewnego dnia wbrew wyrokowi możemy powrócić na tarczę do domu. Co prawda było to przekonanie złudne, bo większość z nas, ci, którzy przeżyli, odsiedziała cały swój wyrok i nikt nie wstawił się za nami, bo i któż miał się wstawić, skoro władze polskie przekazywały jeszcze w 1952 roku więźniów aresztowanych na wybrzeżu w ręce MWD (znam konkretny taki wypadek), ale wtedy nie wiedzieliśmy, jak się potoczą nasze losy. Rosjanie zaś nie mieli żadnych nadziei. Trzymali się więc tych małych zdobyczy, które przypadły im w udziale, tych lepszych prac, tych lepszych obozów, cisi, posłuszni, gotowi zawsze służyć informacjami panom z *operczasti*, czyli oficerom wewnętrznego wywiadu. Było jednak wśród nich wiele osób wykształconych, interesujących, z którymi sympatycznie się rozmawiało, tylko nie o polityce. To było tabu, za niezręcznie wypowiedziane słowo, za leciutką krytykę systemu groził drugi wyrok.

Wielki obóz to przede wszystkim stara rosyjska i sowiecka inteligencja niszczonej od rewolucji po wojnę. Na ogół jest lojalna i milczy. Jakże można mówić o swoich procesach i wyrokach, skoro do dziś jedni wierzą, że są winni i wstydzą się,

drudzy zrozumieli, że ich oszukano i wstydzą się jeszcze bardziej. Patrzą więc z zazdrością na Polaka, Rumuna czy Węgra, którzy kpi sobie z owej nieprzyjacielskiej władzy, nie uznaje żadnych jej racji i z podniesioną głową wspomina o sędzie i wyroku, świadczą one bowiem tylko o jego bohaterskiej przeszłości i pełnej moralnej racji. My mamy poczucie słuszności i wiemy, że po prostu powinęła się nam noga i wpadliśmy w ręce nieprzyjaciela. Ale Rosjanin jest u siebie, w ręku swoich własnych braci i zawsze w nim czai się myśl, że bracia ci mieli podstawy, aby wyrok wydać.

Były oczywiście wyjątki, tym piękniejsze że rzadkie, i tym tragiczniejszy był ich los. Czuli się osamotnieni. Nawiazywała się wówczas między nimi a nami trwała nic zrozumienia i sympatii, łączył nas także jakby wspólny cień pogardy wobec pozostałych.

Mówiąc szczerze żal mi było tych ludzi ugiętych, zniewolonych i nie dziwię się zazdrości, z jaką patrzyli na nas. Byliśmy w tych obozach nędznymi wśród nędznych. Traktowano nas gorzej niż Niemców, nie wolno nam było mieć paczek z Polski ani listów przez Czerwony Krzyż. Tylko ci, co pozostawili jakichś krewnych lub znajomych na terenie Wileńszczyzny, Lwowa, Podola i Wołynia mogli liczyć na pomoc materialną. Nie darzono nas też sympatią za nasze poczucie niezależności, za otwartość, z którą mówiliśmy o naszej przeszłości. Odczuwaliśmy czasami ze strony współwięźniów chęć poniżenia nas, jak gdyby chcieli nam dowieść, że ta nasza niezależna postawa jest głupia i nie na miejscu wobec bądź co bądź niezaprzeczonej potęgi władzy, która nas tak mocno trzymała w swym ręku. Ileż razy mówili mi Rosjanie, że ugiąć się trzeba, jak gdyby sami niewolnicy odczuwali solidarność z tymi, co ich zakuli w kajdany. Nie wszyscy, rzecz jasna. Ale ilu takich było. Czasem mi się wydaje, że nienawiść ta płynęła z poczucia własnej małości i własnego upodlenia. Tak jak dziś ci, którzy słuchają, nienawidzą tych, co potrafią wymówić posłuszeństwo. Ten sam psychologiczny proces, ten sam mechanizm. Im głębszy upadek, tym większa nienawiść do tych, co się przed upadkiem bronią.

Wtedy jednak broniliśmy się dość skutecznie. Z tym większą grozą przyjmowaliśmy wieści z Polski. Dlaczego społeczeństwo mówi „tak”, skoro powinno krzyczeć „nie” wielkim głosem? Skąd ta naiwna wiara w przyjaźń starszego brata? Czy zapomniano o trzydziestym dziewiątym roku, o Katyniu, wywózkach, martyrologii setek tysięcy, o nas, powstaniu warszawskim, procesie Okulickiego? Jak się to dzieje, że naród tak

twardy, którego nie mógł złamać Niemiec, nagle stanął jakby rozbrojony, uśmiechając się całą gębą do nakładanych mu kajdanów? Przez długi czas myśleliśmy, że wszelkie posunięcia władz polskich są tylko zręczną polityką wymuszoną okolicznościami, grą, którą prowadzić trzeba, by nie zginąć, ale że pod tą grą płynie mocny nurt polskości zawsze niezależnej i nieugiętej, że więc każda okoliczność będzie wyzyskana na rzecz swobody i rozwoju wartości właściwych naszej kulturze. Upadek Mikołajczyka zachwiał tą wiarą, jeszcze większym ciosem była wiadomość o zjednoczeniu partii robotniczej i socjalistycznej. Umieliśmy już wówczas czytać rosyjskie gazety i rozumieć, co kryją pod zdawkowymi nowinami i pięknie sformułowanymi hasłami. Zaczynaliśmy zdawać sobie sprawę, że był to koniec, że jeżeli nie nominalnie i prawnie, to faktycznie przestajemy być niezależnym państwem. Ciężkie to były chwile, rozczarowania, bólu i poczucia, jak gdyby nas zdradzono, jak gdyby o nas już zupełnie zapomniano. I nie do zniesienia były dla nas uwagi zwykle tych najinteligentniejszych Rosjan, iż oto teraz mogliśmy się przekonać na własnej skórze, że sny o wolności są tylko snami, że naiwność nasza nie ma granic. Pora już przyzyszczać się do myśli, że nasza przyszłość to obóz albo co najwyżej po obozie zsyłka, wieczna zsyłka, która czeka każdego więźnia mającego zaszczyt mieć artykuł 58.

Trzeba więc się cieszyć, że jesteśmy w wielkim obozie, bo w nim łatwiej o burki i kawałek chleba. Praca tu lżejsza i większe możliwości urządzenia się *po błatu*, a jak wiadomo *błat wysze narkoma*. Tuski wielki obóz, obóz centralny to potęga. Tu zgromadzono wszystkie władze, i to podwójne: władze całego kombinatu i władzę obozu. Jest więc naczelny urząd planowania i miejscowe PPCZ (*proizwodstwiennno-planetowaja czast*), są finanse kombinatu i nasza buchalteria, jest oddział ogólnego zaopatrzenia i zaopatrzenia *otpu*, a prócz tego trzy teatry, *kulturno-wospitatielnaja czast*, szpital itd, itd. Nad każdym wydziałem panuje oficer MWD lub specjalny pełnomocnik, ale niżej to już mieszanina zeków, zsylnych, czasem wolnych, którzy się przypadkiem zabłąkali do tej krainy. Na *otpie* mieszka więc cała kupa inżynierów, którzy zostali przysłani zgodnie ze specjalnym skierowaniem (*specnariad*). Niektórzy pracują w zonie, ale większość wychodzi poza obóz pod konwojem do pracy na mieście, przy budowach, do wielkiej rafinerii, do instytutu nafty itd. Na *otpie* pełno też prawdziwych techników, mających rzeczywiście techniczne wykształcenie, i tych, którzy nauczyli się zawodu już tutaj, początkowo jak każdy z nas, wmawiając

władzom, że zna się na elektryczności, mechanice czy pielęgniarstwie. Lata jednak robią swoje, wszystkiego stopniowo można się nauczyć, jeżeli inżynier czy lekarz okaże nieco miłosierdzia i nie wywali samozwańca na zbity pysk pierwszego dnia. Nikomu jednak tak bardzo na jakości tej roboty nie zależy, a dobre stosunki przydać się mogą. Inżynier może nie mieć paczek, a kandydat na technika właśnie paczkę otrzymał. Można więc wykorzystać sytuację. To sytuacja dobra, łaskawa dla obu. Jeden będzie mniej głodny, drugi mniej zmęczony. W razie konfliktu jednak wymiana usług pokazuje tę gorszą i dla mało doświadczonego więźnia zaskakującą stronę. Inżynier bowiem to wyższa ranga, a ranga jest tym właśnie, co stanowi o wartości człowieka w oczach przeciętnego Rosjanina. Nie sam człowiek lecz jego *czyn*, jak to jeszcze pisał Gogol. Biada więc technikowi, gdyby raz paczki odmówił, raz nie posłuchał.

Wielki obóz to orkiestra grająca na *razwodzie* i orkiestra przygrywająca rekordzistom podczas obiadu. W sali dla tych, co nie wypełnili normy, ławy i stoły, obskurne blaszane miski, na które kucharz chłapie coś w rodzaju kaszy, jakąś rzadką krupę bez odrobiny tłuszczu i pełną zgnitych obierzyn od kartofli zupę. U rekordzistów stoliki z papierowymi co prawda, ale obrusami, miski także lecz pełniejsze z kawałeczkiem mięsa lub ryby i dodatkowa porcja na specjalny talonik. *Garbuszka* potężna, można w niej zatopić zęby z rozkoszą, czasem nawet biała i wypieczona. Tam obok beznadziejność wiecznie tego samego menu, zupa owsiana i kasza *pszeno* lub odwrotnie, zupa *pszeno* i kasza owsiana, co najwyżej listki kapusty. Tu bywają nawet paszteciki z farszem rybnym, a bywa, że kucharz robi owsiany kisielek albo przygotowuje zupę pachnącą buraczkami. Co prawda buraczków prawie w tej zupie nie widać, ale kolor jest i zapachu trochę. Zdobyć talonik rekordzistów to wydarzenie. Niektórzy inżynierowie stale mają ten przywilej, rekordowy talon otrzymują nie wiadomo za co, pewno na zasadzie wzajemnych usług, choć według stawek obozowych tym, co pracują w zonie, przysługuje jedynie „gwarancja”, a więc to co najgorsze i najskromniejsze, co nie pozwala wprawdzie umrzeć, ale nie pozwala i żyć. Dziwne machinacje są jednak na każdym kroku. Siostron także nie wydawano rekordowych *pajek*, ale od czasu do czasu jakiś wdzięczny chory, jakiś złodziejaszek za pomoc w dostaniu się do szpitala przynosił — skąd? oczywiście nie wiadomo i pytać o to nie należy — upragnione prawo wstępu do tej eleganckiej sali. Nawet firanki w oknach tam wisiły. Niemal Europa.

Lekarze, *nariadczycy*, komendanci talonów nie potrzebowali. Im kucharze posyłali w garnuszkach obiady na miejsce, do ich „gabinetów”. Cała obozowa góra była specjalnie przez nich karmiona. Porządny kawałek mięsa, gęsta zupa, nie sto gram kaszy, ale pełen talerz, kawałek masła, którego w ogóle nigdy nikt z nas nie widział, na ich stołach były codziennością. Nikt się temu nie dziwił, nikt nie protestował. Cóż by zresztą pomógł protest? Lekarze po kolei dyżurują w kuchni, aby sprawdzić stan sanitarny przygotowania posiłków. Nie dać im jeść, to stracić miejsce w kuchni. *Nariadczyk* i komendant są panami życia i śmierci, oni rozdzielają funkcje. Cała tłuszcza obozowa wie o tym i milczy, co bowiem może zrobić? Powiedzieć obozowej wolnej władzy? Ależ władza wie o tym doskonale i nie jej nie obchodzi, że jeden ma więcej a drugi mniej, za skargę zaś jedna jest tylko kara: śmierć. Ten, kto donosi, umrze niechybnie, jeżeli nie w tym, to innym obozie. Wywołać bunt? Bunt mający na celu sprawiedliwość byłby poczytany przez oficerów MWD za akt polityczny skierowany nie przeciwko uzurpacjom przywilejów przez klikę więźniów, lecz przeciwko samemu MWD, wojskowej administracji. Ci zresztą, co zostali pomówieni o nadużycia, są prawą ręką tejże administracji, cieszą się jej zaufaniem, próba więc podważenia ich autorytetu może się skończyć dla buntowników co najmniej karcerem, jeżeli nie czymś gorszym. Są jeszcze karne obozy, specjalne więzienia lub po prostu ciężkie ogólne prace. Tak, powtórzyć jeszcze raz trzeba, władza zawsze ma rację.

A jednak w tym Tuskim obozie, gdzie tyle było inteligencji, stosunki układały się jakby bardziej łagodnie, nie tak bezwzględnie. Może jeszcze nie wszyscy stracili poczucie wstydu? Może jeszcze nie wszyscy ulegli deprawacji? Wspominam więc serdecznych ludzi, którzy pozostali właśnie ludźmi i świadomie bronili się przed naciskiem ponurych okoliczności, które pchały w dół po pochyłości moralnej i odbierały nadzieję wyzwolenia. Rozpaczliwa była to walka, ale piękna. I trzeba powiedzieć, że budziła podziw nawet u tych, którzy utracili siłę, ale jeszcze zachowali rozeznanie wartości. Aganes Aleksandrowicz, naczelnik lekarz naszego szpitala, nasz chirurg Michaił Daniłowicz, Mikołaj Wasiliewicz, Piotr Dż., Haino, pan Stanisław S., droga pani Jadwiga, która była dla mnie i dla R. jak matka, Olga Hainowna, Maryna Aleksandrowna i tylu tylu innych nieszczęśliwych, ale godnych najwyższego szacunku ludzi.

Na *otpie* nr 1 rozpoczęłam pracę na drugim oddziale. Lekarką była Ukrainka ze wschodniej Ukrainy. Podkreślałam ten fakt. Ukraińcy ze Wschodu byli to bowiem zazwyczaj ludzie o zupełnie innej mentalności aniżeli nasi Ukraińcy spod Stanisławowa czy Lwowa. Nie sądzę, by z mniejszą siłą nienawidzili Polaków, ale na pewno mieli większy kompleks niższości wobec Rosjan. Zazdrościli im wielkiej literatury i muzyki, zazdrościli im potęgi i, jak to często bywa z młodymi kulturami, wynosili ponad miarę talenty Szewczenki i mądrość Chmielnickiego. Przypominali też, że najwspanialszym na Rusi miastem był niegdyś Kijów, a nie mała Moskwa. Lekarka nasza próbowała przy najrozmaitszych okazjach robić mi małe wykłady z historii Ukrainy, pełne nacjonalistycznych akcentów i skrytej niechęci do „kacapów”. Byłoby to zabawne, gdyby nie inne jeszcze cechy tej chochłackiej duszy. Charakteryzowało ją skąpstwo, prawdziwie muzyczne skąpstwo, tak sobie ceniła nawet kruszynkę materialnego dobra, że i siebie za nią gotowa była sprzedać. Nienawidząc do Rosjan nie przeszkadzała więc być lekarce zwykłym obozowym *stukaczem*, węszącym wszędzie i wykorzystującym swoją sytuację małym szantażem w stosunku do chorych. Z każdej paczki chorzy zanosili jej do kabinki niemal połowę, a i tego było jej mało. Apetyt miała ogromny. Pamiętam ją dobrze, tłusta baba, wyglądająca, jakby całe życie spędziła przy grabiach w kołchozie. Na medycynie znała się nie lepiej ode mnie. Jej polityka polegała na wypisywaniu krnąbrnych, którzy się niedostatecznie opłacili i przyjmowaniu nowych chorych z czułością, gdy tylko wiedziała, że się coś da z nich wycisnąć. Na szczęście oddział miał tylko tak zwanych ozdrowieńców, ludzi przeznaczonych do wypiski lub co najwyżej przysłanych na obserwację. Trafiali się też i inni, specjalnie przysłani dla odpoczynku na zasadzie *blatu* z różnymi obozowymi dygnitarzami. Naczelnym lekarzem nie cierpiał Natalii, zorientowałam się w tej sytuacji dość szybko i prosiłam o przeniesienie do innego oddziału, aby tylko nie pracować pod jej komendą.

Wreszcie powinęła się jej noga. Był chory na obserwacji z jakąś wadą serca. To był niemłody człowiek i na pewno nie Rosjanin, Estończyk albo Łotysz. Miał duże paczki, dzielił się z innymi chorymi, ale Nataszkę pomijał. Miała na niego oko, widocznie jednak ktoś wstawiał się za nim, bo go dość długo nie wypisywała. Kilka razy umieszczała go na liście, a potem w ostatniej niemal chwili wykreślała. Nie wiem, jakie były kulisy tej sprawy, nie pytałam, zresztą nie by mi nie powiedziała. Tymczasem chory czuł się wyraźnie gorzej i nie uległo wątpli-

wości, że choroba jest autentyczna i że wymaga dokładniejszych badań. Mierzyłam mu co dzień puls i ciśnienie i to było wszystko od strony lekarskiej. Nie otrzymywał nic, żadnych specyfików. Na moją propozycję wezwania kardiologa tylko się roześmiała. Pewnego dnia dostał coś w rodzaju ataku, z którym usiłowałam sobie poradzić na własną rękę. Pani doktor wymyślała mnie, że się wtrącam nie do swoich rzeczy i zagroziła wyrzuceniem ze szpitala. A w niecały tydzień później z niezmiernym zadowoleniem kazała mi go wraz z dziesiątką innych chorych przygotować do wypiski.

Pamiętam dobrze ten dzień. Uprowadziłam chorych, co nie należało do przyjemności, bo już za progiem szpitala czekał na nich *nariadczyk* i przydzielił do brygady na roboty, i zabrawszy listę udałam się jak zwykle do naczelnego lekarza, który sam ją zawsze sygnował. Aganes Aleksandrowicz, o którym wiedzieliśmy wszyscy, że niegdyś otrzymał punkt szósty 58 artykułu, a więc po prostu szpiegostwo, i wyrok swój już parę lat temu zakończył, starał się, jak mógł, ratować ludzi i wypisywać nie lubił, choć oczywiście musiał, by zrobić miejsce bardziej potrzebującym. O każdego więc kandydata na ciężkie roboty dokładnie pytał. Spytał więc także i o naszego sercownika. Siostra nie ma prawa krytykować lekarza. To wbrew zasadom hierarchii, zwłaszcza obozowej, musiało jednak coś być w moim tonie, co go zastanowiło, wahał się bowiem, czy listę podpisać i raz jeszcze zaczął przeglądać historię choroby. Ale wtedy właśnie wpadła sama Natalia i zaczęła coś mu tam świergotać, tak, że wreszcie podpisał. Z ciężkim sercem szłam na oddział trzymając w ręku ten wyrok, od którego już nie było odwołania. Ale mój chory nie został wypisany. Przebierał się właśnie w obozowe szmaty, gdy nagle krzyknął i upadł. Zrobiła się *sumatocha*. Przybiegł sam Aleksandrowicz. Nikt nic nie poradził. Mój chory pojechał nie na ogólne roboty, lecz do Fiedorowicza. Fiedorowicz, dodać muszę, to był ostatni i najważniejszy z naczelników Tuskiego obozu. Rządził małym domkiem, gdzie na stole obitym blachą dokonywano ostatnich oględzin. Krojono ciało nieszczęśnika ostrym nożem od brody po pępek, robiono sekcję, zszywano skórę bandażem, końce bandaża związywano w kokardkę i wkładano wynędzniałe resztki do jednej z czekających trumienek. A Fiedorowicz pod komendę anatoma wpisywał do aktu zgonu odpowiedni numerok choroby, a skończywszy tę urzędową pracę, mył stół, podłogę, czyścił narzędzia i przygotowywał miejsce dla następnego delikwenta, którego już niesiono na szpitalnych noszach przykrytego białym prześcieradłem.

W trzy dni potem nie było już u nas Natalii. Pojechała jako lekarz do jakiegoś małego żeńskiego obozu. Wyobrażam sobie, jak tam eksploatowała biedne dziewczęta. W każdym razie Aganes Aleksandrowicz skorzystał z sytuacji i pozbył się jej, co świadczyło o tym, że nie bał się konfliktu nawet z operatywnym oddziałem. Trzeba jednak powiedzieć, że oddział ten tylko do czasu bronił swoich współpracowników. Gdy tylko rola *stukacza* stawała się powszechnie znana, a ukryć ją było trudno, bo przecież, by meldunki złożyć, kiedyś z *operem* stykać się trzeba, pozostawiano go samego sobie lub przetrzucano do gorszego obozu. A tam już się nimi gotowi byli zaopiekować *urki*, dla każdego *stukacza* mający dobry upominek — ostry nóż albo zwykły topór.

Po cóż wspominam Natalię? Nie wiem, takich wypadków było przecież mnóstwo. Ile razy sponiewierany więzień, któremu nie uwierzono, że jest chory, padał gdzieś w drodze do pracy i nie podnosił się więcej. Czasem nie była to zła wola lekarza, raczej nieświadomość, brak doświadczenia, niewiedza obozowego felczera, który mając alternatywę zwolnienia kogoś z wysoką gorączką i innego, który się skarżył na ból koło mostka, wybierał pierwszego. Ból sprawdzić trudno, to rzecz subiektywna, elektrokardiogramu nie ma, a gorączkę zmierzyć można. Czy można wyrzucić chorego za zonę, zmusić go do bicia kilofem w ziemię, gdy rtęć podnosi się do 39 stopni? Każdy naczelnik pochwali i poprze decyzję. W obozie liczy się ta choroba, którą nawet *oper* stwierdzić jest w stanie. Biegunka, gorączka, gruźlica, o ile chory pluje krwią, no i wszystkie choroby zakaźne. Te trudniejsze do diagnozy, ale towarzyszy im gorączka lub wysypka, i lepiej chorego odseparować na wszelki wypadek, bo zaraza może się przenieść poza obóz. Ale serce? Wymyśli, więcej, symulancie. Z najwyższym podejrzeniem przebiegały komisje naczalstwa przez sale oddziału kardiologicznego nie wierząc słowom Aganesa Aleksandrowicza ani ordynatora oddziału. Cóż to w ogóle znaczy *infarkt miokarda*? Gdzież ta choroba, której nie widać? W Tuskim szpitalu, wśród specjalistów, lekarzy z prawdziwego zdarzenia, chorego dawało się czasem uratować, ale na małych *tagpunktach*, gdzie opiekę lekarską pełnił domorosły felczer po przeczytaniu małej encyklopedii medycznej, chorzy na serce skazani byli na zagładę, tak jak ten mój chory.

Pracowałam przez pewien czas na kardiologii. Smutny to był oddział, beznadziejny, jak bowiem można było dopomóc zawałowcom? Trzymało się ich po prostu możliwie długo, nie

pozwalając się ruszać. To było wszystko. W ciężkich wypadkach byliśmy bezradni, cóż bowiem znaczy jedna lub dwie poduszki tlenu? To tylko chwila ulgi przed zapaścią. Najgorszy jednak był oddział otwartej gruźlicy. Spędziłam na nim trzy miesiące, dziewięćdziesiąt dni, z których każdy zaczynał się od myśli, kto dziś zostanie wyniesiony do Fiedorowicza. Z tego oddziału nie było już powrotu do zdrowia, wiedział o tym każdy chory. Każdy oczekiwał swojej kolejki. Świeżo przybyły zwykle płakał, chował w poduszkę głowę, nie chciał jeść, nie chciał pić nawet tych 200 gram mleka, które wyjątkowo tylko leżącym na tym oddziale dawano, jak gdyby chciano przed śmiercią przypomnieć im, że nie tylko krupa owsiana i kawałek czarnego chleba są na świecie. Potem przychodziło zobojętnienie a nawet jakaś złość, jakieś okrucieństwo. Lubili się więc chorzy bawić w zgadywanie, kto pierwszy, i kiedy. Ileż razy słyszałam te rozmowy, próbując je przerwać. Niewiele moje reakcje pomagały. Orientowali się doskonale w przebiegu choroby. Krwotok, to pierwszy gwóźdź. Wysoka gorączka — następny. Spadek nagły i słabość — to już prawie koniec. *Ot bratok*, ty już jutra nie doczekasz, daję ci czas do północy, ale przed porannym apelem cię wyniosą, rzęzisz a nie oddychasz, nie masz płuc, lepiej oddaj dzisiajszą pajkę mnie. A umierający słabym głosem przypominał, że jeszcze tydzień temu czuł się tak właśnie jak ten, który dziś mu dokucza. Pójdiesz za mną, już ci nawet calcium nie dają, bo żałują, bo i tak ci nie pomoże.

Czasem był szczęśliwy dzień, czasem umierało ich kilku, jeden za drugim. Ten oddział był prawdziwym przedsionkiem śmierci. Niektórzy leżeli długo, nawet następowała w nich jakaś poprawa, zdawało się, że proces udało się zahamować. Potem nagle przychodził kryzys. Inni byli u nas zaledwie kilka dni. Przywożono ich w tak strasznym stanie, że zdawało się cudem, że na swoim łagpunkcie jeszcze chodzili, jeszcze pracowali. Skąd brali siły, skoro zamiast płuc nosili w piersi zgniłą kaszę? Chodziłam wtedy prawie na każdą sekcję, jak gdybym sprawdzić chciała, czy było coś jeszcze do uratowania. Ale ratunek — to były tylko marzenia.

Nie pamiętam już dziś nazwisk chorych. Zatarły się ich twarze. Tylko jedna czasem staje mi przed oczyma, bladziutka twarz Janka. Miał może 19 lat. Pochodził z jakiejś wsi z okolic Wornian czy Głębokiego. Nie przypominam sobie, czy był synem Stanisława, czy miał nazwisko Stanisławski. Białoruski chłopski syn, uważał się za Polaka, mówił po polsku i patrzył na Rosjan z pogardą. Opowiadał mi, że z powodu wieku nie

chciano go przyjąć do partyzanckiej brygady, ale biegał jako łącznik i wreszcie dano mu karabin, z którym przyszedł aż na koncentrację pod Wilno, a potem w chwili rozbrojenia naszych oddziałów przez NKWD uciekł wraz z innymi i chodził po lasach, zaświadczać tą upartą a beznadziejną walką polskość tamtej ziemi. Teraz umierał, prosząc mnie, bym nie odchodziła. Bał się bardzo. Był do ostatniej chwili przytomny, mały zapomniany żołnierz Armii Krajowej.



Praca na oddziale otwartej gruźlicy miała także swoje dobre strony. Dostałam za te trzy miesiące pięć miesięcy *zaczotów*. Powinni dać sześć, ale i pięć — to było bardzo dobrze. Na krótko bowiem w 1947 roku wydano przepis, zgodnie z którym ci, którzy pracowali w miejscach niebezpiecznych dla zdrowia lub byli rekordzistami, mogli uzyskać wcześniej wolność. Każdy dzień liczono im za dwa lub nawet za trzy dni. Chociaż w niecały rok później przepis ten anulowano, zaliczone już przedtem *zaczoty* zostały uszanowane i dzięki temu o pięć miesięcy wcześniej opuściłam obóz. Co prawda życie poobozowe nie okazało się lepsze ani bardziej atrakcyjne, ale to już inna sprawa.

Oddział otwartej gruźlicy, czyli oddział dziesiąty, stał nieco na uboczu i rzadko był odwiedzany przez władze obozowe. Czuliśmy się więc tam swobodniej niż lekarze i siostry na innych oddziałach. Do felczera Lońki przychodziła jego dziewczyna, do mnie na pogaduszki moi współwięźniowie Polacy. Czasem różnonarodowym towarzystwem zbieraliśmy się w dyżurce na najrozmaitszych dyskusjach, głodni towarzyskiego życia, normalnej rozmowy, ludzkiej rozmowy, w której zapominało się, gdzie jesteśmy i kim jesteśmy. Ukraińiec Fiedia, czarny jak noc, opowiadał mi o swych walkach z Polakami, o swej nienawiści do nas, która tu rozplynęła się jak dym, pozostawiając tylko żal i poczucie skruchy; grał na gitarze chopinowskie preludia albo puszczał wodze fantazji, improwizując trochę w duchu Prokofiewa, którego wielbił i o którego muzyce mówił z zapałem. Czasem po prostu piliśmy przyniesioną przez kogoś wódkę. Ten, kto dyżurował, przechodził od czasu do czasu sale, sprawdzał, czy się coś nie stało, a gdy tylko było spokojnie, staraliśmy się odsunąć od siebie ponure myśli i żyć, choćby ułudą życia.

Z czasów tych pamiętam jedno anegdotyczne wydarzenie. Przestałam już pracować w dziesiątce, ale przy mnie tam miało ono swój początek. Lonia zaczął symulować gruźlicę. Miał tem-

peraturę, kaszlał, co więcej nasz ftyzjatra, zresztą Polak, doskonały kompan, którego uwielbiała cała tuska *szpana*, czyli brać bandycka, nauczył go specjalnie oddychać, pierwszy postawił diagnozę, co więcej, wykrył w jego płwocinie nieistniejące w niej pafeczki Kocha, jednym słowem przygotował Łońkę do wielkiej batalii o wolność. Nagle bowiem nieuleczalnie chorych, którzy nie posiadali 58 artykułu, zaczęto zwalniać z obozu, zapewne, by nie psuć sobie państwowej statystyki i nie mieć kłopotu z nieboszczykami. Około pięćdziesięciu rozmaitego typu kryminalistów kandydowało do zwolnienia. Łońka, który siedział za zabójstwo, miał wszystkie szanse. Muszę go trochę usprawiedliwić, bo morderca to brzmi groźnie i niemiło. Łońka był przemiłym chłopakiem, czułym dla chorych, koleżeńskim dla nas. Lubiany był powszechnie. A jego zbrodnia? Cóż, w obozie nikt cudzych zbrodni nie sądzi, nikt nie wie, czy czasem ten, który tak ostro moralizuje, nie był przyczyną śmierci tysięcy. Skąd mogą wiedzieć, czy ten Niemiec, któremu poprawiam poduszki, nie brał udziału w egzekucji, czy ten Łotysz nie pracował w Gestapo, a ten Białorusin gdzieś zza Mińska, który sam mi wspominał o partyzantce Markowa, a ja już wiem, co to znaczy i ilu naszych ludzi oddział ten wymordował, nie brał w tych mordach udziału. Łońka miał na sumieniu tylko jedną niemiecką prostytutkę, która kiłą zaraziła jego przyjaciela. To był niczym nie usprawiedliwiony samosąd. Gdyby się odbył na ziemiach polskich, Łońka nie znalazłby się w obozie. Ale to się działo już w Niemczech i co gorsza na oczach sojuszników. Łońkę więc posadzono, nieco zdziwionego reakcją własnych władz wojskowych, które nie reagowały na zabawy żołnierskie dokonywane przed Odrą. Był on naprawdę zdziwiony, nikt go bowiem nigdy przedtem nie uczył szanowania cudzego życia. Szafowało się nim w wojsku, szafował nim sam, nie myśląc o śmierci własnej ani o śmierci żołnierzy. Kto zresztą podczas wojny dbał o życie? Ukrył chłop prosiaka przed zwycięską armią, pod ścianę mierzawca. Nie chciał wpuścić „bojca” do chaty, spalić chatę wraz z nim. Ileż się tych rosyjskich opowieści nasłuchałam, ileż razy wspominali ci bohaterscy lejtnanci i kapitanowie o tym, co robili na wsi polskiej lub na Litwie. Nie za swe zabawy otrzymali wyroki, nie za niszczenie polskich miast, polskich dworów, dzieł sztuki. Za nieostrożne słowo, za wypitą wódkę z amerykańskim żołnierzem, za flirt z niemiecką dziewczyną. To była zbrodnia: kontakt z kapitalistami — to była zdrada nie do odkupienia.

Łońka więc był zdziwiony i przygnębiony, bo dopiero w

obozie zrozumiał, co to jest śmierć. Chciał więc żyć i miał maleńką szansę. Komisja za komisją badała go skrupulatnie, ale któż mógł mieć głos większy niż nasz ftyzjatra, a ten mówił o głębokiej kawernie, o ostrym procesie z takim przekonaniem, że najbardziej nieufni zaczynali wierzyć w tę fantastyczną diagnozę. Nie było bowiem rentgena. A Łońka rzeczywiście chudł, bo narzucił sobie reżim straszliwy, leżał apatyczny na kojce, a gdy wstawał przygarbiony, blady, cień człowieka, nawet u najbardziej podejrzliwych zaczynał budzić współczucie. Czasem co prawda w zamkniętych czterech ścianach w obecności wtajemniczonych przyjaciół skakał, tańczył, żeby wyładować z trudem hamowaną energię młodości, ale zaraz potem wracał na swój oddział powłócząc nogami, od czasu do czasu kaszląc przeraźliwie i plując krwią ze zranionych umyślnie dziąseł.

I wreszcie komisja wolnych lekarzy (widocznie marni to byli lekarze, w każdym razie dużo gorsi od naszych miejscowych zeków) przyznała mu akt najwyższej łaski, lecz jednocześnie zażądała dla potwierdzenia diagnozy rentgenowskiego zdjęcia. To była klęska. Przybył konwój, zebrano kilkunastu kandydatów, głównie z dziesiątego korpusu, którzy już ledwie włożyli nogami, posadzili nas na ciężarówkę, mnie z nimi jako siostrę, opiekuna nie tyle tych nieszczęśliwców, co paczki historii ich chorób, i powieźli nas do centralnego szpitala o dziesięć kilometrów, gdzie funkcjonował rentgen. Biedny Lonia, trząsał się jak osika widząc przed sobą nie wolność, lecz nowy wyrok za symulację. Żal mi go było. Nie znałam na W. lekarzy. Rozmowa z rentgenologiem, który, jak mi mówiono, niedawno zakończył swój wyrok i został zatrzymany na *wiecznoje posielenije*, nie była możliwa. Bałby się. Sądziłby, że to prowokacja. Nic nie mogłam zrobić, a jednak nie traciłam nadziei.

No i udało się, chyba cudem. Doktor okazał się miłym starszym panem. Kazał mi chorych ustawić w kolejce w przedpokojku, ułożyć w tej samej kolejności historie choroby i każdego chorego krótko charakteryzować. W tym ciemnym pokoju na podawanej przeze mnie otwartej już historii choroby (był to po prostu zwykły szkolny zeszyt) nanosił schematyczne płuca, zakreślał miejsce chore, krótko opisywał i przechodził do następnego delikwenta. Nie patrzył na okładkę z tytułem, nazwiskiem itd. Zaufał mi. Wykorzystałam więc tę ufność. Gdy wszedł Iwanow z wielką kawerną, procesem rozpadowym w lewym płucu, podałam lekarzowi zeszytek Łońki. W ten sposób diagnoza została potwierdzona. Co prawda Iwanow miał na rysunku tylko lekko zaciemnione szczyty, ale nie miałam spe-

cialnych wyrzutów sumienia. Jego sprawa była beznadziejna i nie miał szans doczekać się swobody. Umarł zresztą dosłownie w dziesięć dni później. Łońka nie się nie zorientował, choć udało mi się wyjść na korytarz i uprzedzić, żeby w razie pytania doktora podał nazwisko Iwanow. Nie rozumiał dlaczego i ze zdenerwowania zachowywał się jak głupi, nieporadnie ustawiając się tyłem a nie przodem za czarną taflą. Pamiętam, że to trochę zdenerwowało doktora i że wyjaśniałam dziwne postępowanie chorego postępującą demencją. Sytuacja nie była więc pozbawiona komizmu. Historie chorób musiałam zostawić lekarzowi, który chciał je jeszcze raz przejrzeć. Trochę się tego bałam, czy nie odkryje przypadkiem Iwanowa. Musiała się rzucać w oczy niewspółmierność przebiegu choroby i obrazu płuc. Rzeczywiście, w jakieś parę dni później zażądano Iwanowa na W., by rentgen powtórzyć, ale on już nie mógł jechać. Nikt natomiast nie skojarzył jego sprawy ze sprawą Loni. Kiedy historie choroby wróciły do naszego szpitala, wybuchła prawdziwa bomba. Obrońcy Loni wytykali podejrzliwym ich niekompetencję, nasz ftyzjatra chodził w glorii sławy, a sam delikwent, który dopiero teraz pojął, co go spotkało, gotów był nieostrożnie wyzdrowieć. Na szczęście proces *aktirowki* przebiegł szybko i Łońka wyjechał. Nie wiem, co się z nim potem stało.

Aktirowka, czyli spisanie na podstawie aktu. Cóż to za wygodna formuła prawna. Wszystko można „spisać”. Ukradziono z magazynu kilka par walonek. Nie bieda. Zbierzmy jakieś okrawki, sporządźmy akt, że walonki myszy zjadły i po wszystkim. Podpis magazyniera, buchaltera i kontrolera, który przy tej okazji wyfasował nowiutką parę, całkiem wystarczy. Wypiliśmy spirytus, piszemy natychmiast akt, tyle a tyle trzeba było użyć do takiego zabiegu i w porządku, kieliszeczek mocnego trunku dla naczelnika szpitalnego zaopatrzenia i po troskach. Spisać można pług, kombajn, setki pudów pszenicy, siano, traktor, benzynę, cegłę. Każdą rzecz, która gdzie indziej się przyda. „My niżej podpisani stwierdzamy, że w wagonie nr taki to a taki, w transporcie nr taki a taki, 60.000 cegieł uległo częściowemu zniszczeniu na skutek wstrząsu. 35.000 zostało składowanych, reszta usunięta jako gruz, co potwierdzamy własnoręcznym podpisem” — następują podpisy i gdzieś ktoś zaczyna sobie budować mały domek. W spisaniu zainteresowani są wszyscy, od naczelnika obozu do najmizerniejszego więźnia. Naczelnik chce przyzdobić swoje mieszkanie, mieć darmo spirytus albo produkty z kuchni, nie zarabia bowiem wcale tak wiele. Wolnonajemni, czyli ludzie wolni pracujący w systemie

obozowym też mają mieszkania, dymiące piece, często przeciekający dach. Zaopatrzenie w mięsie jest marne, mięsa mało, a do obozu przywożą tusze, co prawda obliczone według stawki 70 gram surowego mięsa na głowę, ale gdy jest dziesięć tysięcy tych gęb? 50 kilogramów *aktirować* można, zepsuły się przy transporcie lub trychnina na nich widoczna. Do kotła trafi mniej, ale czy naczelnikowi na tym zależy? Ktoś umrze? Spiszemy i po krzyku. Ale wyrok „spisać” trudniej, to wyjątkowa sprawa. Siedzimy więc, jak to mówią Rosjanie, od dzwonka do dzwonka, tyle ile napisano w formularzu.

Ale cóż to jest formularz? Co oznacza wyrażenie *prowierka według formularzy*? Rzecz to prosta. Każdy więzień ma swoją kartę z fotografią, danymi personalnymi, wyrokiem, krótkim wyciągiem z uzasadnienia wyroku i charakterystyką. Ta ostatnia jest najważniejsza, tam są zapisane dyrektywy, które się ciągną za więźniem latami. Na przykład: zużytkować na najcięższych pracach, albo wysokiej miary specjalista, wykorzystać według kompetencji. Są uwagi, które na zawsze przekreślają wszelką możliwość utrzymania się na powierzchni i takie, które od razu podnoszą ku wyżynom obozowego życia. Przy masowych aresztowaniach, sądach, jakie miały miejsce u nas na kresach wschodnich, o tych uwagach zapomniano, może wprost nie było czasu na tak drobiazgowo instrukcje. Stosowano je głównie do swoich, dobrze znanych, którym z góry przeznaczano albo śmierć, albo pracę na odległych terenach, w nafcie, w miedzi, w energetyce, tam gdzie zachodziła potrzeba. Świetny nabór specjalistów. O zgodę pytać nie trzeba, nie trzeba troszczyć się o stworzenie ochotnikowi warunków, wsadza się go szybciej do bydłowego wagonu i wiezie go do miejsca przeznaczenia, gdzie biedny więzień z radością przyjmie wyznaczoną mu pracę, o której kiedyś nawet myśleć nie chciał.

Formularz jeździ za więźniem wszędzie i nabrzmiewa wiadomościami. Ukaraný karcerem tyle a tyle razy, odmówił pracy (przestępstwo obozowe niesłuchanie ostro karane), wyraża się krytycznie o Związku Sowieckim, niepoprawny kontrrewolucjonista itd., itd. Każdy więc stara się mieć formularz możliwie czysty, bez uwag, i bojaźliwie się ogląda, czy jakiś *stukacz* nie podsłuchał nieostrożnie wypowiedzianego słowa. *Stukacz* bowiem doniesie, a *oper* zapisze nie sprawdzając, bo po co. *Stukacz* coś od siebie doda, pofantazjuje trochę, by się w znaczeniu umocnić, a *oper* zapisze, nie sprawdzi, bo po co. Lepiej więc *stukaczowi* dać zwolnienie, rzucić kawałek słońiny z otrzymanej paczki do czasu, póki go się zupełnie nie rozszyfruje. Wtedy

wkracza szpana i naczalstwo musi stukacza „spisać”, zapewne z żalem.

Rzecz jasna, więzień nigdy nie trzymał w ręku swego formularza. O nie! Do tego ma prawo tylko władza naczelna, oficerowie MWD. To skarb najwyższy. Od czasu do czasu trzeba jednak sprawdzić, czy ów skarb odpowiada rzeczywistości, zgania się więc cały obóz, nawet wszystkich jego miejscowych dygnitarzy, prócz takich chorych, którzy nie są w stanie ruszyć się z kojki, choć na ogół szpitale sprawdza się osobno, i zaczyna się wyczytywanie. Oficer krzyczy nazwisko, a dobrze już zapoznany z ceremoniałem więzień szybko odpowiada, imię i *otczestwo*, rok urodzenia, artykuł i wyrok. Szybkość nie oznacza tu podłego posłuszeństwa, ale chęć skrócenia do minimum tej nudnej procedury. Szybka *prowierka*, wszyscy są zadowoleni, i więźniowie, którym nie chce się stać w ordynku, i *naczalstwo*, które spieszy do swych żon. W starym obozie *prowierka* jest więc składna na zasadzie cichego porozumienia. W nowych, gdzie są więźniowie tylko co przybyli, mało doświadczeni, wlecze się ona zwykle w nieskończoność. Co prawda tam zeki stoją grzecznie piątkami, jak należy, bo się boją, bo nie wiedzą, co ich czeka. My w starych obozach nie umiemy zachować porządku i nie zwracamy uwagi na krzyki nadzoru, który rezygnuje szybko lub w ogóle macha ręką na takie błahostki. Gdy jednak my recytujemy jak pacierz dawno wyuczoną lekcję, tam trzeba ciągnąć za język i przepytanka trwa całe godziny.

Tak tu, w wielkim obozie, ginie nienawiść, która wypełniała serce więźnia siedzącego naprzeciwko swojego śledczego. Czymże bowiem różnisz się ode mnie, obywatelu kapitanie, który pełnisz funkcje naczelnika obozu? Dziesięć razy lepiej ode mnie jesz, to prawda, nie grozi ci śmierć w każdej chwili, poruszasz się bez konwoju, masz prawo krzyknąć na mnie, gdy ci się to spodoba. Ale czy jesteś rzeczywiście wolny? Wysłano cię do tego kraju tak jak mnie, nie pytając o zdanie. Kazano ci pilnować tych *dochadiagów*, instruując, że są najgorszymi zbrodniarzami, a ty chodzisz między nimi i widzisz, że są to zwykli ludzie, może lepsi nawet niż oficerowie w twoim pułku, ale opinii swojej boisz się wypowiedzieć, ba, nawet pomyśleć. Robisz więc to, co ci każą, starasz się być gorliwym, bo wiesz dobrze, czym to pachnie, bo przez twoje ręce przechodzą formularze i czarno na białym z nich widać, że niektórzy byli wyższymi niż ty oficerami, a jednak są tutaj, że siedzą twoi byli szefowie i twoi koledzy, twoi przyjaciele i twoi powinowaci. I ty sam czujesz się kandydatem, w myśl starego powiedzenia,

że cała Rosja dzieli się na tych, którzy siedzieli, siedzą lub siedzieć będą. Więc się boisz, i ten lęk to twoja niewola. Boisz się fałszywego kroku, a przecież masz do wypełnienia plan. Chcesz reżimu, ale reżim planu wykonać nie pomoże. Siedzi ci też na karku *oper*, ten naprawdę zaufany, ten z najwierniejszych wierny, który gotów i na ciebie raport napisać. Udajesz więc surowego, ale już wiesz dobrze, że zbytnia surowość nie popłaca, że obok na *ołpie* zarżnięto niedawno naczelnika. Jeżeli jesteś trochę inteligentniejszy, stwarzasz tylko pozory i przymykasz oczy na to, co się dzieje w zonie. Ale tu inteligentnych raczej nie przysyłają, więc jesteś zgubiony i kończysz marnie. Czy to wolność, obywatelu kapitanie?

Podwójna jest twoja zależność, od nas i od tych, co są tam na samej górze. Tamci groźniejsi, ale są daleko. Więc może lepiej rozluźnić trochę kajdanki? Więźniowie orientują się w lot, że robisz tylko to, co musisz. Mówią: dobry naczelniczek, ale ty i oni wiecie dobrze, że twoja dobroć płynie nie z serca, ale z lęku. Chcesz więc słabość pokryć słowami, przychodzisz na *provierki* i wygłaszasz stek banalnych słów, inaczej bowiem nie potrafisz, o pracy, o obowiązku służenia ojczyźnie (choć połowa więźniów może ci zadać pytanie, o jakiej to ojczyźnie mowa), o świetlanej przyszłości itd., itd. Jak z gazety. Wiesz, że więźniowie wzruszają ramionami, ale przystają na tę grę, bo rozumieją, że inaczej nie możesz, że jest to cena, którą płacisz *operowi* za swój spokój, za możliwość utrzymania się po tamtej stronie drutów. Czy to jest wolność, obywatelu kapitanie?

Boisz się tak bardzo, że zgadzasz się na wszystkie oszustwa. Wiesz, że nikt nie wypełnił planu, ale mądrzejsi od ciebie więźniowie, nie w ciemię bici, sporządzili znakomite sprawozdanie. Powinieneś ich wszystkich pociągnąć do odpowiedzialności, reprezentujesz bowiem władzę. Ale ty milczysz zadowolony, dajesz buchalterom i planistom nowe buszłaty, podpisujesz sprawozdania, wszystkie akty spisujące to, co ukradłeś sam, co ukradli twoi ludzie i więźniowie, i posyłasz te tony papieru wyżej, gdzie także nie będą wnikać, gdzie prawda, gdzie kłamstwo, gdzie tkwi obozowa *tufta*, bo i tam wiedzą, że „*tuftą* ZSSR stoi”, i śpisz spokojnie, bo się jeszcze raz udało. Ale oto przyjechał nowy oficerek, prosto po szkole, komsomolec, uczciwość chodząca, patrzy ci na palce, choć jest tylko młodszym lejtnantem i cały twój przez lata budowany spokój chwije się i trzeszczy jak ten dom dla wolnych w mieście, który kazałeś postawić bez mocnych fundamentów, bo cement był potrzebny,

o zgrozo, dla budowy indywidualnej kuchni w obozie. Związałeś się więc z więźniami, pozwoliłeś na sabotaż, bo przecież o sabotaż cię oskarżają, gdy się dom zawali. Więc już nie śpisz, oto jest twoja wolność, obywatelu kapitanie.

Sam chciałbyć zwiać stąd byle gdzie, byle dalej, ale wiesz także, że tam nie znajdziesz tak intratnej pracy, że nie masz żadnych kwalifikacji, że możesz co najwyżej zająć miejsce nocnego dozorca lub magazyniera. Ale to także praca niebezpieczna. Ktoś coś ukradnie, a ty będziesz odpowiadał. Lepiej więc siedzieć tutaj, w każdym razie nie za drutami, i siedzieć jak najciszej. Pomóc czasem więźniom, gdy to nie przeczy regulaminowi, i zamykać oczy, gdy się rządzą sami. W obozie dosyć różnych mierzawców, którzy za ciebie zrobią całą brudną robotę. A oficerka trzeba wysłać gdzieś dalej, jako naczelnika małego *łagpunktu*, niech mu *szpana* utnie szybciej głowę.

Iluż takich naczelników przychodziło cichutko do szpitala, przynosząc nieraz w kieszeni buteleczkę wódki, aby się u nas leczyć w tajemnicy, gdy złapali trypra z obozową dziewczyną. Był to dla nas nawet całkiem niezły dochód. Za zastrzyk płacno papierosami, paczką machorki, kawałkiem kiełbasy. Tajemnicę utrzymywaliśmy świętą. A korzyść była obopólna. Czasem dawało się kogoś wyciągnąć z karceru, czasem zatrudnić jako sanitariusza. Wolny oficer bał się, aby nikt nie wiedział, że zaraził się w obozie. Za związek z więźniem groził wyrok dziecięciu lat. Bał się także, by nie wyszła na jaw przyczyna jego nocnej u nas wizyty. Zwykle odbywała się podczas jego dyżuru w obozie pod pretekstem kontroli. Wolni nie mieli prawa leczyć się w obozowym szpitalu. Mieli własne ambulatorium. Cóż za straszliwe pomieszanie wszystkich spraw! W ambulatorium wolnych pracowali byli więźniowie, ci, którzy już skończyli wyroki, bo skąd wzięto by w tym zakamarku świata lekarzy? Co więcej, ci zsylni, oderwani tak dawno od wszystkich nowości medycyny, byli na ogół gorszymi specjalistami niż nowo przybyli więźniowie. Czegóż więc nie robili oficerowie MWD, nasi czujni stróże, aby któryś z zeków zgodził się zbadać jego chorą żonę. Sielanka trwała, dopóki nie przyszedł ktoś nowy albo rozkaz etapu. Każdy naczelnik starał się wysłać jak najdalej od siebie tych, którzy mogli go skompromitować, chyba że jeszcze byli mu potrzebni.



Szpital był duży. Obsługiwał wraz ze szpitalem w W. cały kombinat. A ten musiał być rozległy, jeżeli jeden z *łagpunktów*,

z brzošką, mieścił się 100 km dalej. Ile było obozów, trudno wiedzieć. Do nas trafiali ludzie z daleko położonych miejsc w tajdze, najczęściej zatrudnieni przy wyrębie drzewa lub na pomocniczych pracach, takich jak budowa dróg. Przywożono ich w bardzo ciężkim stanie. W przeważającej części była to gruźlica. Z reguły umieszczano ich w korpusie ósmym, aby już po paru tygodniach, po odkryciu pałeczek Kocha, przenieść do dziesiątego, z którego było już tylko jedno wyjście, do Fiedorowicza. Korpus dziesiąty cieszył się tak złą sławą, że decyzja o przeniesieniu wywoływała zazwyczaj szok. Wybudowano też z czasem korpus dwunasty i trzynasty — nowe, duże, gdzie się mieścić mogło ponad stu chorych (w każdym innym z korpusów leżało zazwyczaj około pięćdziesięciu ludzi) — oddane zostały gruźlikom. Dziewiąty — to były choroby zakaźne, siódmy i szósty wewnętrzne, ciężkie stany, piąty i czwarty wypadki lżejsze, trójka i dwójka — chirurgia, jedynka — gastrologia; jedenasty korpus — ozdrowieńcy. Szpital więc był całym miasteczkiem z kilkunastoma barakami, oddzielnym stojącym laboratorium, koło którego mieścił się też gabinet naczelnego lekarza, budynkiem fizjoterapii, kuchnią, magazynem, no i Fiedorowiczem.

Przepustowość była duża, jedni umierali, drudzy, jak tylko poczuli się choć trochę lepiej, wracali do swych obozów. Choroby zakaźne występowały rzadko, ostry klimat im nie sprzyjał. Najczęściej spotykało się różę — wynik brudu, zakażeń. Serce i nerki po gruźlicy czyniły największe spustoszenia, wreszcie dystrofia, powolna, niszcząca, tyle że w statystykach nie figurowała jako przyczyna zgonu. W ostatnim miesiącu życia u chorego występowało tyle najrozmaitszych powikłań, że można z nich było wybierać do woli, co kto chciał. Chirurgia pracowała pełną parą. W tym wielkim obozie mniej może było skrętów kiszki, więcej ran zadawanych nożem lub toporem — skutek cichych porachunków Tuskiej szpary.

Leczenie nie było skomplikowane. Streptocidy, cardiamidy, glukoza, wapno, bardzo rzadko penicylina. Rozdawano trochę witamin i tranu, piramidon i aspirynę. Umierającym dawało się kamforę, o ile był jeszcze sens, a ozdrowieńców leczyło się pracą. Trudoterapia, jak to pięknie określał Aganes Aleksandrowicz. Gnano więc ledwie trzymających się na nogach ludzi, aby kopal w śniegu ścieżki lub gracowali szpitalne alejki. Przed wyjściem na robotę mierzono im puls, ciśnienie i temperaturę, z reguły nie wynoszącą więcej jak 36,2. Po robocie to samo, i stwierdzano poprawę, jeżeli się nieco podniosło ciśnienie — z

90 na 100 — i ciepłota ciała. Rysowaliśmy nawet całe takie tabele, mające udowodnić wartość pracy dla kuracji. Może to było lepsze niż pozostawanie w korpusie na łóżku przy perspektywie wypiski od razu na ogólne roboty. Trochę powietrza i ruchu w normalnych warunkach mogłoby rzeczywiście dopomóc. Tam jednak, gdzie organizmy znajdowały się na skraju ostatecznego wyczerpania, praca była przedwczesna i opóźniała lub wręcz uniemożliwiała regenerację sił.

Personel szpitalny był liczny: w każdym korpusie przynajmniej trzech średnich medycznych pracowników, lekarz, często jeszcze prócz zeka starszy wolny, kilku sanitariuszy; a prócz tego laboranci, aptekarze, kucharze, magazynierzy itd. Pracowaliśmy po dwanaście godzin, tydzień w dzień, tydzień w nocy. Ale nikt się nie skarżył, przeciwnie, było to miejsce ciepłe, ciche, gdzie rzadko zaglądał ktoś z nadzoru, oddzielna szpitalna republika. Tu też gnieździł się najciekawszy ludzkie. Na zasadzie inteligenckiej solidarności wyłapywało się z przesyłki i innych *otpów*, gdy tylko to było możliwe, ludzi, których warto było uchronić od śmierci. Lekarz, zek pod pozorem choroby wpiery kierował do szpitala, później zaś naczelny próbował wynaleźć nieszczęśnikowi jakiś możliwy etat. Sanitariuszem w siódmym korpusie był jeden z wysoko postawionych polityków rumuńskich, Piotr Dż., ciężko chory na serce. W aptece pracował profesor Mendelejew z Uniwersytetu Leningradzkiego. Zarządzającym gabinetu fizjoterapeutycznego, gdzie zresztą mieszczyły się tylko najprostsze lampy, był Gruzin, dyrektor teatru w Tbilisi, itd., itd. Wspominałam już o lekarzu sekretarzu z Uzbekistanu. Iluż takich ludzi przewinęło się przez szpital, niektórych naczelny trzymał jako nieuleczalnych, jak długo mógł. Nie zawsze się to udawało, ale każdy miesiąc, każdy dzień był wygraną.

Mogliśmy się stosunkowo łatwo porozumiewać. Co prawda nie wolno było odwiedzać innych korpusów bez konkretnej przyczyny, ale niewiele zwracaliśmy uwagi na ten zakaz. Nikt go zresztą nie egzekwował zbyt gorliwie, czasami Aganes Aleksandrowicz, lecz to było zrozumiałe, musiał zachować pozory. W każdym razie pamiętam, jak spędziłam chyba godzinę w ubikacji siódmego korpusu, gdzie się zjawił niespodzianie, a ja właśnie plotkowałam z Piotrem Dż. W nocy, zwłaszcza latem, siadywaliśmy na ławeczkach przed korpusami, patrząc na ciężko poruszające się nad samym horyzontem słońce. Zawiązywały się przyjaźnie, miłość. Przez chwilę zapominało się o rzeczywistym otaczającym nas świecie. Trzeba jednak było od czasu do czasu

wstać, zobaczyć, co robią chorzy. Dopiero tam na salach ogarniał smutek i beznadziejność. Tam bowiem ciągle czekała się śmierć. Ileż razy stałam w progu myśląc, kto z leżących przetrzyma ten tydzień, następny dzień lub następną noc.

Niektórych może bylibyśmy w stanie uratować, gdyby nie zbyt późna diagnoza. W ambulatoriach obozowych pracowali zazwyczaj nie lekarze, lecz mało wykwalifikowani felczerzy. Nie umieli rozpoznać choroby i związani byli przepisami. Zwolnić od pracy wolno było tylko 1% wszystkich więźniów obozu. Felczer więc musiał przeprowadzać ostrą selekcję. Temperatura — to było najważniejsze kryterium. Gruźlik, dopóki nie płuł krwią, nie miał szans, a i wtedy jeszcze odnoszono się do niego nieufnie, bo ileż więźniów raniło specjalnie gardło, aby otrzymać zwolnienie. Byli też wśród lekarzy zimni dranie, którzy patrzyli tylko na wielkość wciskanej w rękę łapówki. Trzeba jednak przyznać, że spotykało się takie typy rzadko, przeważnie na dalekich, pozbawionych wszelkiej kontroli *łagpunktach*.

Śmiertelność nie była wielka, jeżeli liczyć poszczególne dni.

Czasem dwóch, czasem trzech, zależnie od pory roku. W lecie zawsze więcej, choć warunki pracy były łżejsze. Widocznie mróz lepiej konserwuje. W porównaniu z obozami niemieckimi niewiele. Jest to jednak myląca statystyka. Trzeba bowiem spytać, jaki procent więźniów był w stanie doczekać końca wyroku. Dopiero z takiej perspektywy cyfry zaczynają krzyżeć. Po paru miesiącach na moim pierwszym Tuskim *łagpunkcie* przejechało na tamten świat około trzydziestu, a były to pierwsze miesiące, gdy ludzie nie przekształcili się jeszcze w ciągnące z trudem nogi *dochodiagi*. Co było potem? Jeżeli nawet rocznie umarło na te dwa tysiące tylko pięćdziesięciu, to kto pozostał po dziesięciu latach? Trzy czwarte? Tylko trzech wyżyło z czterech? Podaję liczby skromne, jak najbardziej optymistyczne, choć wiem, że były obozy, gdzie ludzie padali jak muchy, nie mogąc znieść tamtejszych warunków. Był w Tu karny obóz, z którego na sekcję niemal co dzień przywożono trupy; była słynna *komandirówka* nr 6, las, bagno, namioty, bo był to obóz wędrowny, przenoszący się z miejsca na miejsce. Tych nie przywożono nawet na sekcję, podobno robiono ją na miejscu. Od czasu do czasu jechali tam nasi wolni lekarze na inspekcję i opowiadali straszne rzeczy. Nie wiem, czy rzeczywiście dochodziło w obozie tym do ludożerstwa, może nie, może była to tylko plotka. Ale sprawozdania dochodziły na nasz centralny *ołp* i nie było sekretem, że śmiertelność przewyższa w nim procentowo wszystkie pozostałe *łagpunkty*. Gdzieś szczegółowe dane chronią archiwa

MWD. My, którzy przetrwaliśmy, wiemy dobrze, ile razy otarliśmy się o śmierć. Wiemy też dobrze, że żyjemy nie tylko dzięki większej biologicznej odporności, lecz dzięki ludziom, którzy nam pomogli w ciężkiej minucie, dzięki przypadkowo korzystnej sytuacji, trochę dzięki przysłowiowemu łutowi szczęścia. Takim łutem szczęścia był dla mnie szpital.

Szpital, szpital, *rabationka nie płochaja, ciepło, światło i muchi nie kusajut.*

PRACA

Na bramie niemieckich obozów wisiał napis: *Arbeit macht frei*.

W sowieckich obozach na widocznym miejscu, w środku zony, olbrzymi transparent pouczał: *Czestnym trudom odkupaj swoju winu*. Zabawne, dwie obce sobie władze tak podobne miały pomysły. Nie ma mowy o naśladownictwie. Rosja organizowała łagry jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy. Hitler zaś zapewne nie wiedział, że na wschodzie istnieje potężna organizacja Gułagu. Skąd mógł wiedzieć, jeżeli tylu ludzi już po wojnie w istnienie jej nie wierzyło? Podobieństwo nie jest jednak pełne, są także znaczne i wiele mówiące różnice. Po pierwsze niemiecki napis był na zewnątrz, widoczny z daleka jak szyld, by go spostrzegli nie tylko ci, co już zostali wtajemniczeni po przejściu dobrze strzeżonej bramy. Służył zatem także jako straszak, mówił wyraźnie, że tam się pracuje i że ta praca lekką być nie może. Sowiecki napis, ukryty w zonie, przeznaczony był jedynie dla tych, których dotyczył bezpośrednio. Na zewnętrznej stronie muru czy drutów nigdy żadnych tablic nie umieszczano. Po co informować przygodnego przechodnia, co się za nimi kryje? Co prawda ci, co już zdobyli trochę doświadczenia, nie łudzili się, że za ogrodzeniem z wysokimi *wyszkami* i koczastym drutem hoduje się kwiatki lub produkuje konewki do ich polewania. Na wszelki wypadek jednak nikt reklamy robić nie zamierzał. Straszyc przestraszonych można innymi sposobami. Po drugie ze słów *Arbeit macht frei* przeciera coś, co sowiecki człowiek nazwałby mentalnością kapitalistyczną. Wszakże to wyraźny kontrakt, w dodatku pachnący wyzyskiem. Ile pracy trzeba włożyć, aby wolność mogła zostać uznana za odpowiednią płacę? Inaczej u nas na Kołymie, w Narylsku czy w Dżeskasganie. Nikt

kontraktu nie zawiera, nikt niczego nie obiecuje. Hasło nie przemawia do chłodnego rozsądku, nie ma na celu wywoływania pustych spekulacji: jak będę jeszcze lepiej pracował, to może..., ja wam tyle, a wy mnie tyle... itd. Przemawia do sumień, mówi o winie, o popełnionym grzechu i jego odkupieniu. Zaiste, ten napis, to cała teologia. Jedna jest bowiem wiara i jeden dogmat. Wierzymy w Związek Sowiecki i jego dziejowe posłannictwo. Kto wystąpił przeciwko dogmatowi, ten musi okazać skruchę, odbyć pokutę i mieć mocne postanowienie poprawy. A pokuta może być rozmaita i nikt nie śmie targować się o nią z kapłanem. On ją wyznacza, grzesznik powinien przyjąć los z pokorą w sercu, uczciwie wykonać, co mu nakazano, przejść przez bicowanie ze spokojem, nawet z radością. Pozwolono mu bowiem grzech odkupić, nie skazano od razu na wieczne potępienie. Niemcy, burzuje, uczynili z pracy przedmiot przetargu. Oszukańczy to był co prawda handelek, ale jednak handelek. U nas praca oczyszcza, bez niej nie można dostąpić przebaczenia i zapomnienia.

Cały więc obóz żyje pracą, praca jest objęta kultem, o pracy mówi się ciągle na zwoływanych produkcyjnych zebraniach i pisze w łagiernej *stiengazetce*. Nazwiska najlepiej pracujących umieszczone zostają na *doskach poczota*, najcięższym przestępstwem jest odmowa pracy. *Otkaz* i natychmiast karcer, karna *pajka*, a potem sąd. *Otkaz* — to poruszenie w obozie, wściekłość nadzorców, naczelników i wielkich naczelników, bo jakże pokazać w sprawozdaniu, że coś takiego ma miejsce, że ktoś nie wierzy, że pozostał upartym heretykiem? Heretyków pali się na stosie, więc i *otkaczików* niszczy się, i to szybko. Nie mają żadnych szans. Mało ich jest i kończą tragicznie. Rzadko któremu udało się przetrzymać gniew kapłanów.

Obóz żyje pracą i rytm dnia jej jest podporządkowany. O siódmej rano *razwod*, od słowa „*rozvodit*”, czyli rozprowadzać. Na placu przed bramą zbierają się brygady. Każda zna swoje przeznaczenie, każda wie, gdzie będzie pracować. Niektóre mają specjalności. Są więc brygady malarzy, tynkarzy, kamieniarzy, cieśli, murarzy. Najgorsze są roboty ziemne, drogowe, leśne. Na dany znak przechodzą otwarte szeroko wrota, ale jeszcze przedtem nadzorca sprawdza, czy ktoś nie niesie ze sobą kawałek chleba albo listu. Chleb — to jawny znak planowanej ucieczki, list — zamiar skontaktowania się z bliskimi poza czujnym okiem władzy. A więc nowe przestępstwa i to niemałe, grożące natychmiastową karą. Na ogół nikt niczego przy sobie nie ma, spokojnie przechodzi wrota. Za wrotami ciężarówka dla

tych, co jadą daleko. Nie wolno w nich stać. Trzeba siedzieć na podłodze, piątkami, jedni za drugimi, ciasno, każdy nowy rząd wciska się między kolana siedzących przed nim. Można tak zmieścić w trzytonowej ciężarówce trzydzieści osób. Rozmawiać nie wolno. Konwój z gotowymi karabinami do strzału stoi oparty o szoferkę, dwóch żołnierzy umieszcza się na burcie, naczelnik zazwyczaj koło kierowcy. Jazda trwa czasem godzinę, czasem mniej po wyboistej rozjeżdżonej drodze. Nogi drętwieją. Wreszcie miejsce pracy. Więźniowie z trudem wyłażą pod refren tak wszystkim dobrze znany: *dawaj, dawaj*.

Zaczyna się właściwy dzień. Jedenaście długich godzin z godzinną przerwą na rzadką ale gorącą zupę. O siódmej powrót, oczekiwanie pod bramą na swoją kolej, bo wszystkie brygady wracają o tej samej porze, rewizja przed wejściem i zona. Ostatnia godzina jest najgorsza, nie tylko dla nas. Żołnierze też mają dosyć. Gdy więc kierowca jest dobry, a naczelnik konwoju sprytny, uda się czasem jakąś inną brygadę prześcignąć, wyprzedzić tuż przed bramą i zająć lepsze miejsce w kolejce. Brygady piesze dobywają sił, aby nie zostać gdzieś w tyle. Codzienny wysiłek czasem wprawiał nas w dobry humor, czasem w złość, zwłaszcza, gdy byli tacy, którzy nie mieli sił iść i kolumnę hamowali. Więzień rzadko miewa uczucie litości.

ITŁ, *Isprawitелno-trudowej łagier*, czyli wychowawczy obóz pracy. I znowu myślę, jakie w tym tytule pomieszenie, jaka kazuistyka. Wychowawczy. Przypominam sobie to wychowanie na wyrębie drzewa, w śniegu po pas. Zgrabiałe ręce nie mają siły utrzymać siekiery. Elektryczna piła jest za ciężka dla kobiet, niebezpiecznie skacze po pniu, ani rusz nie chce się wpić w miąższ zmarzniętego *stwołu*. Przypominam sobie to wychowanie z kirką i łomem na gruntach siódmej i ósmej kategorii, to znaczy na skale. Każde uderzenie odbija się echem, sypią się iskry, ale ziemia się nie poddaje, a trzeba wykopać tyle a tyle m³, zwanych ciepło *kubikami*. Pamiętam jeszcze niektóre obowiązujące wówczas normy. Przypominam sobie upał hofmańskiego pieca i ciężar każdej surowej cegły. Po co jednak o tym mówić. Było to zawsze wychowanie z myślą o tym szerególnym świecie, który jest światem sowieckim.

Dziś pisze się wiele teoretycznych prac, próbując wyjaśniać panujące w nim mechanizmy. Znakomici politolodzy odkrywają coraz to nowe jego właściwości i prawa. Dla więźnia były one chlebem codziennym i oczywistością, zbyt jawną, by mogła podlegać dyskusji. Tak, dwoistość tego świata nie ulega wątpli-

wości. Miał on zawsze dwa oblicza: z jednej strony konkret, z drugiej abstrakcyjna fasada; brutalna rzeczywistość i ideologia. Każde słowo musi być zgodne z tą ostatnią, czyni na ogół podporządkowującą się realiom. Myliłby się ten, kto by sądził, że w obozie nie ma miejsca na ideologię, że wobec przestępców, w dodatku politycznych, staje się ona zbędna. Złudzenie. Po pierwsze nie ma więźniów politycznych, wszyscy jesteśmy kryminalistami, po drugie ideologia działa, bo jej siła bywa okrutniejsza aniżeli fizyczna przemoc i większa niż automaty żołnierzy. Ona stwarza obóz-pozór, obóz-ideę, którego reguły obowiązują na każdym kroku i których łamać nie wolno. Nie ma zwycięzców i zwyciężonych, którzy mogą nawzajem czuć nienawiść ale i szacunek, nie, są tylko surowi lecz dobrzy pasterze i zbłąkane owieczki, pełne wdzięczności, że okazuje im się tyle starań. Nie ma panów i eksploatowanych ponad siły niewolników, jest władza, nasza, bliska sercu, reprezentująca tę najwyższą w Moskwie, samego dobrotliwego ojca Stalina i my, pragnący ostatnie siły oddać wspaniałej ojczyźnie. Nie ma nieprzyjaciół, przedstawicieli obcej dla wielu z nas kultury, gdzie ludzie mówią niezrozumiałym językiem. Nie, to bracia, to przyjaciele, to najbliżsi, którzy nas przygarnęli, aby uchronić od faszystowskich i burżuazyjnych rządów tych krajów, które niegdyś wydawały się naszymi. Nie ma katów i mordowanych, oprawców i przerażonych, lecz do ostatniej chwili walczących o resztki ludzkiej godności ofiar. Nie, administracja obozowa odgrywa rolę nieszczęśliwych ojców, którzy z bólem serca muszą karać własne dzieci. Któż śmiałby pomyśleć, że obozy stworzono po to, by zniszczyć tych, co myślą inaczej, a przedtem jeszcze wykorzystać ich tak, by przy minimalnych nakładach finansowych przeprowadzić niezbędne inwestycje. Wersja ideologiczna mówi co innego: nie wygasła rewolucyjna walka klas, wrogowie ludu, starzy reakcyjniści, kryją się jeszcze przed sprawiedliwością narodu sowieckiego. Trzeba więc ich zdemaskować, usunąć chwilowo ze społecznego życia, ale jednocześnie stworzyć im szanse, by uznali swe błędy i zaczęli się bić w piersi dawnym rosyjskim obyczajem, mocno i z pokłonami. *Hospodi pomituj*. Raby boże, już dziś nie boże ale sowieckie, niech pokornie idą do pracy. Tylko oszczercy twierdzą, że milionowe kolumny niewolników stanowią podstawę gospodarki socjalistycznej. Więźniowie nie mają kajdan, pracują świadomie, *na błago rodziny*. Nie kibitki wiozą ich na Wschód, nie grożą im długie piesze marsze. Państwo roztoczyło nad nimi opiekę, nawet wówczas, gdy słowo katorga powraca jak dawny refren z zapomnianych już przedrewolucyj-

nych lat. W kodeksie katorga nadal istnieje, ale niewiele się różni od *itł-ów*, trochę surowszy reżim, trochę dłuższy wyrok, nie 10, a 15 lub 20 lat.

Niemiec nie ukrywał swojej wrogości, nie wymagał, by ktokolwiek deklarował mu miłość. Sowieckim więźniom władcy mogą wymyślać od faszystów i zdrajców, używając wspaniałej gamy rosyjskich przekleństw. Mogą go nazywać burżujem lub arystokratą, wrogiem sowieckiego narodu. Srogi wychowawca musi pokrzyzczeć. Niech no jednak więzień spróbuje przyznać otwarcie, tak jak się mówi do uczciwego przeciwnika: „Tak, jestem burżujem, waszym wrogiem, pełnym nienawiści za czynione mnie i moim bliskim krzywdy”. Niech się odważy być takim szaleńcem. Jego słowa zostaną zaprotokołowane i przesłane prokuratorowi. Ten z satysfakcją wytoczy nowe oskarżenie. I znowu sąd i następny wyrok, choć pierwszy się jeszcze nie skończył. Ktoś siedział już parę lat, a tu znowu dziesiątka wali mu się na łeb. Tylko głupiec krnąbrnie odrzuci reguły gry.

Naczelna reguła głosi, że antysowieckość jest grzechem, ba, zbrodnią. Można krytykować Francuzów, Anglików, można śmiać się z ich przywar, drwić z nawyków, odrzucać panujące wśród nich wyobrażenia, dziwić się instytucjom, poczynaniom władzy, odrzucać ich polityczne programy, demaskować zamiary, odkrywać historię. W stosunku do pierwszego kraju socjalizmu, stojącego na straży wolności i niepodległości podbitej wschodniej Europy, czynić tego nie wolno. Akceptacja każdego kroku władzy, każdego jej rozporządzenia jest obowiązkiem. I niech nikt nie sądzi ani przez chwilę, że ten obowiązek został narzucony siłą, nie, on ma się rodzić z wdzięczności, że oto nowa władza przyszła, chociaż nieproszona, że zawładnęła naszymi ziemiami i wbrew naszej nierozsądnej, wręcz głupiej chęci, pozwoliła zbudować nowe wielkie dzieło. Tych zaś, którzy nie pojęli jej wielkoduszności, musiała usunąć, i nadal będzie usuwać. Antysowieckość to przestępstwo wprost niewybaczalne, to działanie wrogiej imperialistycznej ideologii, to kontrrewolucja, to zamach na wolność, to negacja wspaniałych osiągnięć. Czymże jesteś, więźniu, ty że „prach”, bij pokłon, *Hospodi pomiluj*.

Tak oto więzień jak każdy sowiecki obywatel wkracza w sferę kłamstwa. Jeżeli marzy o przetrwaniu, musi się zaprzeć samego siebie. Musi mówić tym samym językiem, co jego prześladowcy, musi powtarzać te same frazesy, te same dobrze znane słowa. *Duszoj bolejet za proizwodstwo*, za plan, za procenty. Może robić to cynicznie, wiedząc, że taka jest gra. Może w tej

grze pójść za daleko, zbyt mocno prężyć się na bacność na widok naczelnika, zbyt usłużnie kłaniać się nadzorcej, zbyt gorliwie piętnować nowego *otkaczika*. Może wreszcie w tę grę uwierzyć, wówczas smutny jego los. Zanim zginie jego ciało, upadnie jego dusza.

Pamiętam niektóre sceny z początkowego okresu śledztwa. Byłam młoda, nierozsądna, lekkomyślna, zapewne nie potrafiłam zrozumieć otaczającego mnie świata. Miałam też głębokie przekonanie, że skoro mnie wzięli, niechybnie rozwalą. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, jak postępowali w czasie pierwszego ich pobytu w naszym mieście. Było mi wszystko jedno, trochę mnie bawiła własna przekora i nie zdawałam sobie sprawy, że ci, co prowadzą śledztwo, żyją w tak odmiennym świecie, świecie propagandy i pięknych słów, choćby na co dzień wykonywali szereg prozaicznych i brudnych operacji. Śledztwa trwały godzinami w dzień i w nocy i przychodziło na nie kilku pułkowników, *zołotopagonników*, prowokując pytaniami. Odpowiadałam wprost, tak jak myślę, nie obwijając w bawełnę i zgodnie z faktami. Nie pytali mnie o moją działalność, lecz o stosunek do szeregu politycznych wydarzeń. Musieli patrzeć na mnie ze zgrozą i zdumieniem, że w tak głupi sposób gubię sama siebie. Mówili więc o wkroczeniu swych wojsk do Polski jako o wyzwoleniu, a ja o nożu w plecy, wyjaśniali, że byli zmuszeni podpisać pakt z Niemcami, a ja się śmiałam, wyrzucałam im imperiaлизм, prowadzoną od czasów Piotra Wielkiego konsekwentną politykę zaborczą, skrycie przygotowywany z Niemcami nowy rozbiór Polski (a nie znałam jeszcze wówczas tajnych materiałów paktu Ribbentrop-Mołotow). Chwalili swoją socjalistyczną kulturę, a ja im przypominałam gwałty zadawane ludności cywilnej, palenie wsi, dworów, kościołów, deportacje ludności w straszliwych warunkach, wytykałam ciemnotę nie tylko prostych żołnierzy, ale i urzędników, grabieże, palenie książek, niszczenie zabytków sztuki. Śmiałam się z ich miłości do zegarków, pytałam czy pod rękawami mundurów też noszą ich całe kolekcje, jak to czynili żołnierze. Dziwne to były rozmowy, o rzeczach śmiesznych, małych i ważnych. To ja pytałam, dlaczego ten najbogatszy kraj świata doprowadzony został do takiej nędzy, drwiłam z ich politruków, gadających jak nakręcone katarynki, ich nieudolnych wieców, organizowanych w 40-ym roku, opowiadałam o reakcjach Polaków, śmiejących się z tej nieudolnej demagogii. Sami byli najlepszymi świadkami, miłkli więc, co mi sprawiało niesłychaną satysfakcję. Kiedyś była mowa o serdecznym powitaniu czerwonej armii przez ludność

polską w 1939 roku. Miałam jeszcze w oczach pierwsze dni jej pobytu i nie omieszkałam im przypomnieć niektórych faktów. Wiedzieli dobrze, jak przed nimi uciekano, jak tragiczny i szaleńczy opór stawiały niektóre wojskowe jednostki, jak na ulicach miast ludzie przemykali się pod ścianami. Jedynie męty powyłączyły z kątów, aby popatrzeć na tanki i ciężarówki, ziejące zapachem nieoczyszczonej benzyny, na kurnose i kałmuckie twarze żołnierzy, którzy puszczały płyty z wojskowymi piosenkami na śmiesznych staroświeckich gramofonach. Kwiatów nie było.

Refrenem rozmów była Wasilewska i Związek Patriotów Polskich. Uważałam ich za zdrajców: po wydarzeniach lat ostatnich trudno było mieć złudzenia co do zamiarów potężnego sąsiada. I pytałam, czy brali osobiście udział w wywózkach polskich obywateli, czy organizowali te nocne eskapady, podczas których wyciągano z łózek pod rząd biednych i bogatych, ziemian i urzędników państwowych, choćby nim był listonosz, chłop, który nie chciał czerwonego sołtysa, rzemieślnika i inteligenta? Czy byli autorami spisów, w których, jak mogliśmy się przekonać później, gdy uciekli, gdy szereg materiałów wpadło w ręce AK, znaleźli się niemal wszyscy Polacy, bo wystarczyło mówić i myśleć po polsku, by zostać uznany za wrogi element. Wypominali mi wówczas, że sama głosowałam za przyłączeniem naszych ziem do Związku Sowieckiego. To był często wysuwany argument i podstawa do wpisywania w ankietach personalnych obywatelstwa ZSSR. Obywatelstwo to przekreślałam konsekwentnie zawsze, wpisując polskie, co ich doprowadzało do wściekłości. Rozmowa zaś toczyła się najczęściej w taki sposób: głosowałaś! Nie. Jak to nie, wszyscy musieli głosować, gdybyś nie głosowała, dawno byłabyś na Syberii. W tym miejscu popełniali błąd. Cóż to bowiem za wybory, gdy idzie się do urn wyborczych pod bagnetami NKWD. Stosowaliście siłę, a więc wasze wybory nie są ważne i jest rzeczą całkowicie obojętną czy ktoś w nich brał udział czy nie. Ale oni twierdzili swoje i mieli rację. Pamiętam, że ludzie się bali, że radio londyńskie nawoływało, by nie stawiać oporu, mówiono, że wybory pod przymusem nie będą miały znaczenia wobec prawa międzynarodowego. Nikt nie znał wyznaczonych gdzieś w Moskwie kandydatów. Sowieckim obyczajem była tylko jedna lista i NKWD śledziło, by nikt nie poważył się skreślić z niej choć jednego nazwiska. Kabinki były co prawda w każdym punkcie wyborczym, ale nie śmiano do nich wchodzić, bo niektórych odważnych zabierano od razu. Zresztą cóż za różnica, czy się przekreśli czy nie, wia-

domo było z góry, jakie będą wyniki. Było to pierwsze tego rodzaju przeżycie, pierwsze spotkanie z rzekomą wolnością sowieckich instytucji i śmieliśmy się serdecznie z tego barbarzyńskiego proceduru. Nie był to śmiech mądry. Któż jednak mógł przypuszczać, że wybory zostaną przez aliantów uznane, że będą służyły w przetargach o granice. Mieliśmy śmieszłą wiarę, że istnieje prawo, że istnieje szacunek dla walczącego narodu, że będzie nam oddana sprawiedliwość. Jakże byliśmy naiwni.

Musiałam wydawać się im dziwną, nierozsądną istotą, bez politycznego stażu, zabawnie szczerą, gdy tłumaczyłam piękne ich słowa na język konkretów. Usiłowali mi wmówić, że AK współpracowało z Niemcami. To był jeden z ich koników. Ja zaś przypominałam, że to oni mieli z Niemcami pakt i nawiązaną ścisłą współpracę, my zaś walczyliśmy od pierwszej chwili.

Porozumienie było niemożliwe. Zresztą niektórzy z panów pułkowników, zwłaszcza ci, którzy znali już dobrze miasto, pracowali bowiem w nim już w latach 39-41 (lubili się tym faktem chwalić) cynicznie odrzucali pozory. Odślaniali prawdziwe oblicze. Pułkownik Pietrow drwił z powstania w Warszawie (nazwisko tego pana zapewne było fałszywe, tak jak większości z nich, żaden ze śledczych nie używał prawdziwego). Mieliśmy tyle przykładów, mówił, tyle doświadczeń, że wam pomagać nie będziemy i nie skorzystamy z waszej pomocy. Wiecie co było w Łucku, Wilnie, koło Lwowa i wciąż jesteście gotowi liczyć, że dotrzemy umowy. A my patrzymy spokojnie z drugiego brzegu jak krwawicie i czekamy, aż się wasza zabawa skończy. Zasychało w gardle słuchając tych słów, tym bardziej, że miał rację, że po doświadczeniach wojny od 17 września należało już wiedzieć, z kim mamy do czynienia i nie wierzyć, nie wierzyć, nie wierzyć. Ale my wciąż myślimy, że podpis coś oznacza, że podpis obowiązuje, że nie wolno go ot tak przekreślić. Pietrow zaś się dziwił. Czyż nie jest oczywiste, pytał, że polityk podpisuje każdy pakt, jeżeli wymaga tego chwila? Że nawet specjalnie niekiedy zawiera umowę, by uspić czujność i spokojnie dopiąć swego? To wymóg skutecznego działania. A wy jak dzieci, głupie łatwowierne dzieci. Zapamiętałam lekcję kłamstwa, przydała mi się później. Zostawmy jednak Pietrowa, czy jak się nazywał. Wróćmy do obozu. Oto powrót z pracy. Marzyliśmy kiedyś, żeby nakręcić z niego film. Trzeba tylko, by reżyser miał wycucie plastyczne, jak Wajda. Idą kolumny poszarzałych ludzi w za dużych buszłatach, niezgrabnych watowanych spodniach i koślawych walonkach. Na głowie dziwne czapki, to ze starego wytartego sukna, to z wypłowiałego baranka. Brama,

wyszki, mur, dokoła żołnierze i psy. Paru oficerów kontroluje porządek, przygląda się rewidującym więźniów nadzorcom. Ci ostatni na mundury nałożyli białe fartuchy, dla higieny, aby się czymś nie zarazić od więźnia. Jest ich pięciu, kolumny także stoją piątkami. Sygnał i pierwsza piątka podchodzi, szeroko rozpinając buszlaty. Nadzorcy sprawdzają kieszenie, macają boki, łędźwie, czy czasem nie ma kto noża, papieru, kawałka chleba. Ceremoniał trwa, aż cała brygada jest gotowa. Wówczas otwiera się brama. Konwój i nadzorcy liczą, *pierwaja, wtoraja, tretia*. Za bramą gra orkiestra. Nikt jej nie słucha. Ostatni członek brygady minął już wrota i krok się zmienia. Jakby nagle wróciły siły, biegiem do baraku, aby szybciej zdjąć przemoczone łachy, biegiem do stołówki po miskę gorącej zupy. Nareszcie można wyciągnąć się na kojce, zapalić papierosa, a raczej skręta z kupionej za chleb grodzieńskiej machorki.

Jedna brygada za drugą. Nadzorcy wywołują nazwisko brygadiera i kolumna spieszy do rewizji. Rewizja to w języku obozowym *szmon*. Doświadczony nadzorca wie, gdzie szukać. Doświadczony więzień wie, gdzie chować. Oto idzie Moskwina, jej brygada wyrabia 30% normy, ma więc poparcie i zaufanie naczałstwa. Szeroko rozpina swoją „ciało-grzejkę”, tę watowaną kurtkę, mundur każdego więźnia i robotnika. Nadzorczyńni Olga ledwo dotyka jej ciała, poklepuje po ramieniu; idź, odpoczywaj. Przechodzi Moskwina i nikt na wachcie nie wie, że na jej plecach wisi zawieszona na ukrytym pod starym swetrem sznurku butelka wódki, całe trzy czwarte litra. Wieczorem, na godzinę przed apelem, wypijemy ją razem, w pięć lub w sześć i dla zabawy pustą flaszkę postawimy w śnieg u progu biura nadzoru. Rano ją znajdą. Będą wściekli. Kto pił, kto przyniósł. Alkohol w zonie to przestępstwo. Dla nas wesoła godzina, jesteśmy jak uczniaki, palące w ubikacji papierosy. Nie wódka ważna, ale figiel. Trochę się w głowie kręci, bo zakąski nie ma. Ktoś zdobył trochę czosnku, ktoś przyniósł kawałeczek słoniny, który skrupulatnie dzielimy na wszystkie. Nie, nie mamy zamiaru wkładania włosienicy. Nie przyjmujemy pokutnych worków. Nie będziemy robić z siebie męczenników. W obozie się nie płacze, nie lamentuje, nie biada. Tam, gdzie cierpienie jest bez granic, nie mówi się o cierpieniu. Tam, gdzie się straciło wszystko, młodość, nadzieje, marzenia, swoich bliskich, nie mówi się o stracie. Gdzie się zostało pozbawionym nawet własnego imienia, nie pochyla się głowy, nie rozkliwia nad własną dolą, bo dokoła są tacy sami. Chcemy żyć, to jest jedyna nadzieja, a żyć, to śmiać się, kiedy tylko można, to kochać, jak

nadarzy się okazja, to cieszyć się promykiem bladego zimnego słońca, to raczej drwić do ostatka, nawet na szpitalnej койce.

Każda psota, każda zabawa, to jakbyśmy oszukały los, wydarły mu to, co nam się nie należy. Śmiech jest zwycięstwem zwyciężonych. Może dlatego tak drażni obywatele oficerów. Może dlatego budzi taką złość. Więzień się nie skarży, bo po co. Na pytanie naczalstwa: *kak żywiosz* odpowiada niezmiennie: *łucz-sze wsiech* i sprawa załatwiona. Każda beksa to zmora obozowego życia, rozkleja innych, płacz jest zaraźliwy, raz dać mu folgę i opanować się trudno. Płaczu więc nie słyszać, chyba gdzieś w nocy, pod kocem jakiś jęk, jakieś westchnienie, jakiś krótki szloch, lecz zaraz ktoś pół senny powie: cicho, cicho, daj spokój. Nie myśl, śpij.

Słowa „ogólne roboty” budzą w zeku lęk. Praca bowiem jest różna, za jedną czai się śmierć, inna pozwala przetrwać. Jedna niszczy więźnia bezpowrotnie, inna wzmacnia i dodaje sił. Wszystko zależy od szczęścia. Nie ma reguły, rządzi przypadek.

Praca to jednocześnie ludzie. Od nich zależy, gdzie, jak, z kim. Nie tylko od naczalstwa, ale i od zeków, od *nariadczyków*, brygadierów, czasem towarzyszy z jednej brygady, czasem obcych ludzi. Nie ma więc co się poddawać, raczej należy szukać sojuszników. Tylko, że niedoświadczony zek nie wie jeszcze, że w obozie sojusznika można zdobyć *matem*, ale i przeciwnie, postawą spokojną, godną, ale zawsze życzliwą.

Pewnego dnia już po sądzie i wyrokach wszystkie kobiety z naszej i sąsiedniej celi ustawiono rzędem w dużej pustej sali. Zjawili się jacyś oficerowie i jeden z nich, grubiotki, okrągły pykniczek, zaczął się nam dokładnie przyglądać. Niektórym kazał odchodzić na bok, inne zostawiał. Była to selekcja i szybko zorientowałyśmy się, że tylko sztuki zdrowe i silne mają tutaj szansę. Moje przyjaciółki zostały wybrane, zaczęłam więc wołać, że jestem nad podziw zdrowa, choć przypominałam raczej szkielec. Zlitował się i zapisał także mnie. Wylądowałyśmy w kolonii P., słynnej jeszcze z niemieckich czasów z swych pluskiew, ale na szczęście niezbyt odległej od naszego miasta, co umożliwiło przyjaciołom przysyłanie nam ogromnych paczek. Pierwsze dni wydawałyby się rajskie! Nagle skończył się towarzyszący nam od dnia aresztu smród parazy, ludzkich ekskrementów i potu. Była jesień, dokoła las, cudowne kolory, na których z taką przyjemnością spoczywało oko. Oddychałyśmy pełną piersią, wyzwolone z tłoku ludzkich ciał, z zamkniętej przestrzeni murów, z ciasnoty maleńkich cel. Można było chodzić po całym obozie, dość obszernym, aby nie tylko

rozprostować członki, ale nawet się zmęczyć. Byliśmy jak małe dzieci wypuszczone na swobodę, choć otaczał nas podwójny szereg podłączonych pod napięcie drutów i strażnicze wyszki. Przez druty widać było łąki i drzewa, piaszczystą drogę, opary wznoszące się rankiem nad kartofliskiem i wydobywające się z mgły kopce koniczyzny. Była to sielanka, gdyby nie parę przykrych chwil. Tam dopiero poznałyśmy, czym może być fizyczny trud. Kolonia pracowała przy wyrębie lasu, w polu, a przede wszystkim na torfowisku. Torf był produkcją najważniejszą. Cztery agregaty dobywały go od świtu do nocy. Zatrudnione w nich brygady miały najcięższy chleb. Zaraz też wybrano co silniejsze kobiety i utworzono z nich brygadę pomocniczą. Resztę skierowano do ogrodów i na pola. Z punktu widzenia organizacji był to obóz nietypowy. Jego klęską było mieszanie się konwoju do pracy, rzecz na ogół niepraktykowana w dalekich obozach Rosji. Naczelnik ochrony, *starszyna*, nazywał się Dobroduszyn, ale rzadko można spotkać okaz takiego sadysty. Robił wszystko, aby nam obrzydzić życie. Pamiętam, jak nosiłyśmy deski na nary aż z elektrowni, jakieś siedemset metrów od baraku. Deski, już zbite po trzy, były zmoknięte i za ciężkie na nasze siły. Brałyśmy więc jeden taki *szczyt* we dwie, ale Dobroduszyn zaprotestował i kazał każdej z nas brać po jednym. Właściwie nie bardzo wiem, jak go doniosłam, jak w ogóle go donieść mogłam? Niepojęte, skąd człowiek bierze nagle siły. Czy mogłam przypuszczać, że potrafię zarzucić na plecy 60 kg kartofli?

Dobroduszyn lubił robić rewizje w naszym baraku, oczywiście według najlepszych zwyczajów sowieckich zawsze w nocy. Trzeba było zdejmować z nar materace, prześcieradła, o których czystość tak dbałyśmy, wszystkie prywatne rzeczy, a on zabłoconymi buciskami po nich chodził. Obrzydliwiec. Chciało się płakać ze złości i z bezsilności. Wyraźnie nie podobały mu się te Litwinki i Polki, które ciągle prały i nie skarżyły się, gdy je pędzono do łaźni o trzeciej w nocy. Ktoś może pomyśleć, że łaźnia w nocy to jakiś specjalny sposób znęcania się nad zmęczonymi zekami. Rzecz jednak była dużo prostsza. Łaźnia niewielka, brygad wiele. Podczas dnia wszyscy pracują. Zostawał więc wieczór i noc. Regulamin mówi wyraźnie, że łaźnia przysługuje raz na dziesięć dni. Co miała więc robić administracja? Myślę, że była nawet względnie ludzka, wieczorem bowiem do łaźni chodzili najciężej pracujący mężczyźni. My kobiety, zatrudnione w kuchni, pralniach, i ogrodach, mogłyśmy iść i w nocy. Jesienią było to nawet przyjemne. Gorzej zimą. A mrozy tego roku nastąpiły silne i śniegu było mnóstwo.

Gdyby nie Dobroduszyn, nie byłoby nam w P. tak źle. Pluskwy co prawda chodziły po nas stadami i co wieczór odbywał się konkurs, kto więcej zabije, dochodziłyśmy de sześćdziesięciu, potem już morzył nas sen. Byłyśmy jednak jeszcze razem i mężczyźn Polaków było wielu. Paczki przychodziły regularnie, kartofle kradłyśmy na potęgę, gotując je sobie w piecyku. Objadałyśmy się po więziennym głodzie. Nasze ubrania zaczynały się wprawdzie niszczyć, ale czasem jeszcze w paczce jakiś sweter czy rękawiczki się znalazły. Spodnie watowane miałyśmy pocerowane (miałam wtedy przez pewien czas czerwoną łątę na biodrze, bo innego materiału nam nie dano), ale takimi rzeczami nikt się nie przejmował. Przypominam więc sobie wesołe Boże Narodzenie ze śpiewami kolęd i wesołymi wierszykami, urządzone u nas w baraku już po apelu. Stary nadzorca nie gonił nas do łóżek, a nasz barak stał daleko od innych i czułyśmy się w nim dość swobodnie. Przypominam też sobie różne zabawne chwile. Nie chciałyśmy w baraku paraszy, żeby nie było zapachu. Postawiono więc nam na dworze wielką beczkę, trzeba się było do niej wspinać po prowizorycznych schodkach. W zimie schodki pokryły się lodem, brzegi beczki także. Wiele było kłopotu z codziennym jej wypróżnianiem i czyszczeniem. W nocy wspięcie się do niej wymagało swoistej ekwilibrystyki. Trzeba było iść we dwie, jedna podawała rękę drugiej. Przyjaciółka moja kochała gwiazdy. Gdy więc ja wspinałam się, a potem z trudnością starałam zachować równowagę, ona wołała z zachwytem: popatrz, jaki wspaniały dziś Artur, itd., itd. Trudno mi było co prawda śledzić w takiej sytuacji gwiazdy i konstelacje, ale jednak coś z jej nauk zapamiętałam. Mogłam potem porównywać niebo północy i niebo południa z naszym polskim niebem.

W P. mimo paczek zaczęłam „dochodzić”. Jakaś ostra angina, coś z tarczycą i sercem, jednym słowem stałam się kandydatką na tamten świat. Mam jednak trochę szczęścia. Lekarz, Rosjanin, siedział za jakieś przestępstwa kryminalne, wmówił w naczałstwo, że trzeba mnie zwolnić z wszelkich prac, bo zepsuję obozową statystykę. Widocznie im na tej statystyce zależało, bo rzeczywiście kazano mi siedzieć w baraku, wygrzewać się na wiosennym słończku, nie pozwalano mi nawet szyć, co robiłam po prostu z nudów. Pędziłam więc słodkie dni nieróbstwa, już prawie sama, bo powoli zabierano na etapy nasze doborowe towarzystwo. Polki wywożono pierwsze, zostałam wreszcie tylko z Litwinkami. Jakoś doszłam do sił i wówczas wyznaczono mi wspaniałą robotę. Zostałam chłopcem na posyłki

nowego komendanta obozu. Paliłam w piecu w jego gabinecie i sekretariacie i biegałam po zonie, załatwiając różne rozporządzenia. Wtedy to miałam okazję poznać niektóre wewnętrzne konflikty obozowej władzy. Znajomość ich przydała mi się potem. Obóz bowiem jest miejscem represji, a więc ostrego rygoru. Dbają o niego nadzorcy, naczelnik i *oper*. Ten ostatni jest szczególnie zainteresowany, aby więźnia pogrążyć, aby go poddać surowej regule *pierewospitanijskaja*. Tymczasem naczelnik obozu jest odpowiedzialny za produkcję, chce wypełnić plan, chce więc zachęcić ludzi do roboty, lepiej ich nakarmić, lepiej ich odziać. I tak walczą ze sobą dwa różne interesy. Byłam więc nieraz świadkiem kłótni, *oper* sadzał kogoś do karceru, naczelnik żądał zwolnienia, bo był to mistrz stolarski, a zorganizowano wówczas dużą produkcję mebli. *Oper* rekwirował komuś paczkę, a naczelnik domagał się jej oddania, bo także chodziło o kogoś, kto pracuje wydajnie na torfie. Na ogół więc naczelnicy nie lubią *operów*, choć sami nieraz pełnią podobną rolę. Naczelnika *dusza boleje* za *proizwodstwo*, a *oper* nie uważa na plany, co gorsza nieraz w sporach jest górą, jego bowiem racje są ideologiczne, a więc wyższe od ekonomicznych. On jest stróżem obozowej ideologii, on odpowiada za nasze najskrytsze myśli. Cóż więc znaczy, że ktoś jest wspaniałym fachowcem, że pracuje uczciwie? Należy go przenieść do gorszej pracy, bo mu źle z oczu patrzy, bo sabotaż przygotowuje, bo obmyśla rzecz jakąś przeciwko sowieckiej władzy, lepiej więc go trzymać gdzieś indziej, lekarza na ogólnych pracach, elektryka na wyrębie lasu, a wykwalifikowanego drwala przy odgarnianiu śniegu w zonie, gdyż niebezpiecznie mu dawać siekierę do ręki. *Oper* po cichu obserwuje, ma swoich informatorów, interesuje się każdym wypowiedzianym słowem. A *stukacze* są wszędzie za machorkę, za dodatkową pajkę chleba. A choć wszystkie jego podejrzenia zrodziły się we własnej jego fantazji — to nieważne. Zresztą rozumuje prawidłowo — kto raz został uznany za wroga ludu (*wrag naroda*), ten jest *ex definitione* zdolny do najstraszliwszych rzeczy.

Nie pamiętam nazwiska *opera*, obrzydliwy to był człowiek, inny niż Dobroduszyn, mniej prymitywny, ale podstępny uśmiešek nie schodził mu z ust. Widziałam go raz, jak z satysfakcją przyglądał się zabawie dzieci miejscowej obozowej administracji. Rzecz działa się zaraz za zoną, gdzie stały domy naczalstwa. Pracowałam już wówczas w obozowym ogrodzie, sąsiadującym z tym osiedlem, także więc igraszki te mogłam oglądać. A były one pouczające. Oto chłopcy z patykami w dłoniach otoczyli

grupę ustawionych w szereg dziewczynek i mniejszych chłopców, wydając identyczne rozkazy jak nasz konwój wiodący ludzi od pracy. Mieli możliwość oglądania codziennie tego procederu i słuchania słynnej formułki, zaczynającej się od słów *wnimanije, zakluczonnyje*. (*Wnimanije zakluczonnyje, w puti isledowania nie rozgawariwat', nie roztiagiwat'sja, nie ogladywat'sja, szag w lewo, szag w prawo, konwoj prinimajet oruzie bez predupreżdienija, szagom marsz*). Biedne dzieciaki: ich naturalnym światem był świat więźniów i strażników, słownictwem zabaw konwój, karcer, reżim; normalnym sposobem zachowania trzymanie rąk z tyłu, jak to musiał czynić zek i natychmiast swą własną grupę dzielili na tych, którzy powinni się bać i słuchać i tych, którzy dziś, choć jeszcze z patykiem w rękę, wymuszali posłuszeństwo i strach. Nasz *oper* jednak patrzył z radością na rosnącą kadrę socjalizmu.

Oddać też muszę sprawiedliwość nowemu naczelnikowi, który przybył do P. gdzieś na początku roku i wprowadził bardziej ludzkie stosunki. Ujarmiony został Dobroduszyn, zmienione godziny pracy na torfie i w lesie. Teraz agregaty pracowały nie po dwanaście godzin dziennie, ale po dziesięć na dwie zmiany. To była duża różnica. Pozwolono na widzenia i do Litwinów zaczynały przyjeżdżać rodziny, a i do nas zjawiać się zaczęli goście. Byli to przyjaciele, bo rodziny nasze już dawno repatriowały się do centralnej Polski, ale zawsze mogliśmy porozmawiać z kimś swoim, kto mógł nam coś powiedzieć o tym, co się dzieje, jakie są nasze perspektywy. Nie były wesołe, ale jeszcze wtedy wydawało się nam, że lada chwila zostaniemy wypuszczeni.

Naczelnik miał dwoje dzieci w wieku 7 i 9 lat. Lubiły przychodzić do ogrodu i patrzeć jak pracuję. Bywałam tam sama. Ogrodnik najczęściej wychodził z brygadami w pole, sadzić kartofle, kapustę czy pomidory, a ja zajmowałam się rozsadą i wieczorem polewałam cały ogród. Był on duży, jakoś jednak dawałam radę. Otóż jednego dnia przyszedł naczelnik, zobaczył dzieci, które przyglądały się wieczornym zajęciom, wylegując się na matach i natychmiast zareagował. Kazał dać im niewielkie konewki, aby polewały razem ze mną. Bura jaką od ojca dostały bardzo je skonfudowała. Może nawet była ona zbyt ostra, zachowywały się bowiem względem mnie zawsze bardzo grzecznie i z sympatią. Pewno i on zwrócił uwagę na dziecięce inscenizacje za zoną i bał się, by jego własne dzieci nie przyswoiły sobie owej obozowej mentalności. Polecił mi, bym im zawsze dawała coś konkretnego do roboty. I rzeczywiście, pleły

razem ze mną, pikowały rozsądę, polewały z wielkim animuszem. Pewno dlatego, że opowiadałam im bajki. Lubiły słuchać, czasem tylko zadawały krępujące pytania. Nie mieściło im się w głowie, że ktoś taki jak ja może być zbrodniarzem zasądzonym na długie lata. Czyż mogłam im objaśnić, że zbrodniarzami byli nie ci co siedzieli w obozie, lecz ci, co wydali rozkaz ich aresztowania? Czy mogłam podważać ich wiarę w słuszność pracy ich własnego ojca?

Lubiłam ten ogród, pracę w nim, samotność i dzieci, które wносиły coś czystego, jakby z innego świata. Sielanki jednak kończą się szybko. Już nie pamiętam, dlaczego tego dnia byłam znów w obozowym biurze, może nowy chłopak na posyłki zachorował? Faktem jest, że nie był to dla mnie dzień szczęśliwy. Przyjechał bowiem wyższy oficer MWD z naszego miasta na kontrolę i poznał mnie. Widocznie zapamiętał moje śledztwo. Zdziwił się niepomieranie, że nie zostałam wysłana gdzieś dalej. Był zresztą uprzejmy, wdał się w rozmowę, opowiadał jak się skończyła wreszcie sprawa polska. Mówił o nagrodach i awansach tych pułkowników, o których wiedział, że ich nie zapomnę. Mówił o stopniu generalskim Żłotoustego, o zadowoleniu generała Iwanowa z powodu przebiegu śledztwa itd. Jednym słowem chwalił się, jakie to wspaniałe rezultaty w walce z AK odniosło MWD, jak AK zostało rozbite w puch i proch na chwałę Związku Sowieckiego, jak wreszcie oczyszczono już z Polaków miejskie więzienia, wysyłając ich dalej na wschód. Pani też tam pojedzie, to niedopatrzenie, że jeszcze tu została. Nie groził, konstatował fakt. No i widocznie zadbał, aby niedopatrzenie usunąć. Nie minął miesiąc, jak mnie zabrano na etap.



Ileż ludzi przewinęło się przez te wszystkie lata, starych i młodych, prymitywnych, którzy zaledwie umieli się podpisać i wykształconych, szubrawców i świętych, ludzi tyłu narodowości, tak odmiennych kultur, jak ci Chińczycy pracujący w obozowej pralni, weseli i zdyscyplinowani, lub pokorni ponad przyzwoitość Niemcy. Wszystkie narody ZSSR tłumnie wypełniały obóz; zapewne nie dość radośnie przyjęły panowanie starszych braci. Obok nich klębiły się narody podbite: Litwini, Łotysze, Estończycy, Polacy, ludzie z Bałkanów i dalekiej Korei, północnych Chin i Mongolii, a również ci, którzy walczyli u boku Niemców, często zmobilizowani na siłę, a więc Lotaryńcy, Austriacy. Tu jeden z lekarzy był Francuzem, z pocho-

dzenia Alzeczykiem. Brakło tylko Anglików i Amerykanów, bo niektórzy Hiszpanie i Włosi też naszego raję zaznali. Tłoczono tych ludzi razem, nie narodowość była bowiem ważna, lecz artykuł i wyrok. Wielkie obozy — to duże wyroki, siedzieli więc razem gestapowcy i akowcy, banderowcy z Ukrainy, włoścy z Białołusi i nieostrożni członkowie rosyjskiego korpusu dyplomatycznego, którzy pozwolili sobie wypić o jeden kieliszek za duzo z Amerykanami w Berlinie. Siedzieli zawodowi bandyci, kasiarze, małe złodziejaszki, a obok nich pierwszy sekretarz republiki uzbeckiej czy białoruskiej, generał, przyjaciel Tuchaczewskiego, profesor leningradzkiego uniwersytetu, który nie chciał uznać prawdy Łysenki i kołchożna baba, zbierająca z pola podczas głodowych lat ziarenka zboża. Różnojęzyczny tłum, nieufny, podejrzliwy. Wielcy i mali tego świata, którzy raptem przestali być sobą, stali się kimś innym, bo kogo w obozie obchodzi, że niegdyś jadałeś na srebrze lub spędzałeś wakacje na Côte d'Azur, trząsałeś życiem tysięcy czy wykradałeś z Prombanku przeznaczone na wypłatę rubelki? Teraz inna hierarchia rozwarstwia tłum, teraz panują nad nim inne prawa. Kto wspomina, że niegdyś był ważny, spotyka się z ironią i śmiechem. Przez zazdrośników będzie gnębiony tak długo, aż wyrzeknie się pamięci i zrozumie, że nie tędy droga ku obozowej górze, że lepiej siedzieć cicho i czekać okazji, a nuż się nadarzy, a nuż ktoś pomoże.

Zdumiewająca była solidarność inteligencji, ponad różnice narodowe i kulturowe. Tam, gdzie inteligencja zdobyła trochę obozowej władzy, robiła co mogła, aby uratować innych. Szpital tuwiński był inteligentami przepełniony. Leżeli jako chorzy, póki im nie znaleziono jakiejś lżejszej pracy, pełnili funkcje sanitariuszy, laborantów, felczerów itd. Czasem w ich grono wcisnął się jakiś *urka*, ale on też bywał potrzebny. Sanitariusz *urka* to szczęście dla personelu. Tam nikt nie odważył się okradać chorych, a i sam *urka* wolał to robić w innych korpusach szpitalnych, nie w swoim.

Przypomina mi się jeden zabawny szczegół. *Urka*-sanitariusz miał się naprawdę dobrze. Chorzy karmili go z otrzymanych paczek, nie znał więc głodu. Pracować nie musiał, bo cóż to za praca, pokrzykiwać na innych. *Urka* zawsze miał do pomocy ozdrowieńców, którzy za dodatkową zupę myli podłogi, poprawiali łożka, wynosili baseny itd. *Urka* przechadzał się po salach albo siedział w swojej małej „kabinie”, rzępoląc na gitarze i opowiadając bajki o swojej wspaniałej przeszłości. Wolność go nie nęciła, bo cóż by robił na wolności? Był więc taki

Saszka czy Griszka w moim korpusie chirurgicznym starszym sanitarem. Kończył właśnie wyrok. Niewielki zresztą, pięć czy sześć lat. Z małym workiem wyfasowanych lub nakradzionych w obozie rzeczy, a może był to drewniany *czemodan*, przyszedł się żegnać. Tak mi się przynajmniej wydawało. Ale nie było to pożegnanie. Było to tylko rozstanie na krótko. Niech siostra nie bierze nikogo na moje miejsce, prosił, ja wrócę. Jak tylko wyjdę, napiję się i wyróżnę kogoś w łeb, żeby mi dali recydywę. Jakie pięć lat, a może i więcej zarobię. Przyjęłam te słowa za żart, lecz okazuje się, że nie żartował. Nie chciał wolności, bo któż by mu na woli dał kawałek chleba bez żadnej pracy. Hulał więc przez tydzień, po tygodniu wdał się w jakąś bijatykę, ciężko kogoś pobił, okradł na dodatek, no i „siadł”. Jak mi sam opowiadał, gdy już objął z powrotem swoje ciepłe miejsce, bawił się prawdziwie po rusku i natychmiast przyznał się do wszystkiego, byle tylko nie siedzieć za długo w śledztwie w więzieniu. Mógł trafić do innego obozu, ale znał sposoby, aby się dostać do nas. Nazywaliśmy go dożywotnim sanitariuszem, bo nie wątpię, że ukończony nowy wyrok będzie się starał znowu o powrót do utraconego raj.

Iluż takich *blatnych* było, dla których obozowe życie stało się żywiołem, tam się czuli u siebie, tam panowali, bo tam nie stawiało tamy ich nieujarzmionej woli. Czegóż mogli się bać? Wyroku? Mieli już tak wielkie, że przekraczały całość ich życia. Karceru? A któż by chciał wieść *urkę* za kratę? Każdemu miła głowa. Głodu? *Urka* nie bywa głodny, zawsze ktoś ma w obozie paczkę i *urka* pierwszy się z niej posili. Pracy? To inni łamią grzbiet, gdy on spoczywa u ogniska lub śpi na kojce w dzień, by w nocy wyruszać na łowy. Marne co prawda łowy. Jakież buty, jakaś fufajka, jakaś paczka, ale prócz łowów jest coś jeszcze, karty i nocne ciche porachunki. *Urka* to król. Za nim oglądają się dziewczyny. On ma kierzowe buty, a czasem i skórzane, gdy się udało je ściągnąć z nóg polskiego oficera, wojskowy trenz z angielskiego materiału zdobi jego umięśnione ciało, w zimie kożuszek „pierwszej jakości”, nowiutki, nie połatany, i mięciutkie walonki. Inni chodzą w dziwnych starych butach, porwanych fufajkach, ręce mają odmrożone, bo brak ciepłych rękawic, głowy pod wytartą czapką muszą owijać chustką. Chodzą też wolno, włócząc nogami, nieporadni, zmęczeni, niedożywieni lub wręcz głodni, *urka* zaś dziarskim krokiem mija brygadę, rzuca żarty na lewo i prawo, pewny siebie, spokojny, hardo spogląda w twarz naczelnika, kpi w żywe oczy z nadzoru, a gdy idzie do pracy jako brygadier, to dlatego, że

znudziło mu się siedzieć w zonie, zachciało się na las popatrzeć, po białym śniegu pochodzić. Czasem i w nim odezwie się tęsknota za szeroką przestrzenią, za *wolą woluszką*, za tym „czekoladowym życiem”, które gdzieś zostało, choć chyba tak naprawdę czekoladowym nie było. Czasem przypomni mu się matka i w takiej chwili gotów się rozczulić, lać łzy, dziwnie łatwe u tej na pozór bezdusznej braci, w gruncie rzeczy sentymentalnej i słabej. Gdy tylko bowiem zły los przycisnie, *urka* mięknie, traci butę, traci odwagę i gotów jest na wszystko, pokorny, tchórzliwy, jakby orzeł, co go nosi wyrytego na piersi. Zmienił się nagle w małego drżącego wróbelka.

Kiedys obudziły nas strzały. Strzelano na przesyłce, za płotem, prosto z *wyszek* strażniczych do wnętrza obozu. W godzinę po zejściach dowiedzieliśmy się od przywiezionych rannych, że przyszły wczoraj dwa etapy, jeden z Litwy, bojowych Litwinów, jeszcze dobrze ubranych i wypasionych, i drugi gdzieś z głębi Rosji, pełen kryminalistów, przetrzucanych z obozu do obozu. Ci ostatni przywykli rządzić, otoczyli w nocy Litwinów, niedowiadczonego frajerów, nie znających praw gułagowskiego kraju, domagając się ubrania i wałówek. Napotkali na opór, niespodziewany i wbrew wszelkim przyjętym zwyczajom. Chcieli więc dać Litwinom nauczki. Ale i nauczka się nie udała. Przy pomocy wyrwanych desek z nar Litwini poszli w bój, pędząc przed sobą zaskoczoną watahę. Trzeba było przywrócić porządek odgórnie, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Władze wydały odpowiedni rozkaz i z wieżyczek strażniczych posypały się strzały na walczących, nie czyniąc między nimi różnicy. Było siedmiu zabitych, w tym czterech Litwinów, i kilkudziesięciu rannych z obu stron. Więcej się jednak dostało bandytom. Rannych wyciągano spod kojek, spod stert przygotowanego do kuchni opałowego drzewa, gdzie nadaremnie usiłowali się schować przed napastnikiem i strzałami. Jakiegoś Litwina znaleziono martwego w ubikacji, prawdopodobnie dobitego kijami przez żadnych zemsty *blatnych*. Widziałam później całą grupę tych bandziorów. Prerażone naczalstwo nie bardzo wiedziało, co z nimi zrobić. Wywiedziono ich z przesyłki, przyprowadzono do nas, do obozu, ale nie chciano ich tu zostawić. Oni jednak, widząc wielki obóz, siedli na ziemi i nie chcieli nigdzie iść. Zabawna historia. Około pięćdziesięciu więźniów, rozwalonych na piasku, a dookoła nich cała kupa żołnierzy i oficerów, którym widocznie strzelać zabroniono, któż bowiem strzela bez potrzeby do kontyngentu przysłanych do pracy nad rozwojem socjalistycznej gospodarki. I tak już poniesiono straty. Czekali więc emwu-

dziści bezradnie, by wreszcie ktoś zdecydował, jak wyjść z tej kłopotliwej sytuacji. Trwało to parę godzin. Dopiero gdy *urkom* obiecano, że pojedą do jednego z innych wielkich obozów, zdecydowali się ustąpić. Wyprowadzano ich pojedynczo z obozu przez wachtę, za którą czekały lepsze od nich zbiry z fachowych wojsk MWD z kajdankami w rękach. Oszukano ich. Stare wygi, a dały się nabrać. Pojechali do jednego z karnych obozów na pewne zatracenie. Litwinów także uznano za zbyt wojowniczych, posłano ich w głąb tajgi, do nieistniejącego obozu, jako pionierów. Ileż było takich pionierskich obozów! Niemal wszędzie dokoła, zwłaszcza tam, gdzie las gęsty i drzewo dobre na budulec. Przyjeżdżała w serce tajgi nowa ekipa, jeszcze niedoświadczona, zostawiano jej namioty i topory, by mogła wyrąbać sobie drzewo na opał i słupy na przyszłą zonę, drutem kolczastym zakreślano *zaprietkę*, zmuszano do budowy obozu od początku, od wytyczenia jego granic, wzniesienia wysokiego ostrokołu, wyznaczenia pierwszej dojazdowej drogi. Dobrze, jeżeli jeden barak został zbudowany do mrozów, bo jak nie, to zimę trzeba było przetrwać w namiocie, szpary zatykając choiną i mchem, żeby mniej wiało. Miałam pisać o pracy i ludziach, o moich więziennych przyjaciółach, a ciągle staję mi przed oczyma obrazki, w których jakiś Wańka-Czuma lub Kolka-Moskwa (zawsze z akcentem na ostatnią zgłoskę) grali główną rolę. Oto wychodzimy ze stołówki w letni dzień, wyjątkowo wolny od pracy. Na ubitej ziemi gawiedź obozowa otoczyła kręgiem tancerzy. Wychodzą po kolei, pod dźwięki gitary lub akordeonu, powolutku, dostojnie, ledwo zaznaczając rytm. Tłum klaszcze w dłonie, rytmicznie, powoli i razem z tancerzem i muzyką zaczyna przyspieszać, coraz prędzej, coraz prędzej. Tancerz zdaje się płynąć po ziemi, ale już muzyka wprowadza go w trans i zaczynają się prysiudy to na jedną, to na drugą nogę, obroty i szaleńczy, dudniący marynarski step, aż kurz idzie. Lecz już się szykuje następny, jeszcze wolniej zaczyna, jeszcze płynniej i oto też przyspiesza, stepuje, bije dłońmi w ten dziki rytm to o biodra, to o kolana, a zachwycona gawiedź wtóruje mu oklaskami i krzyczy, jeszcze raz, jeszcze raz, *wychod, wychod*, to znaczy wyjście, bo powolne wyjście decyduje o całym kunście tańca.

Urka w popisach tych jest zwykle najlepszy. Ale czasem jakiś marynarz, który mimo wszystkie obozowe rewizje zachował swoją pasiastą koszulkę, okaże się szybszy, lżejszy. Wtedy lepiej uciekać, by nie świadczyć, by nie widzieć. Bójka w obozie wybucha tak szybko, tak niespodziewanie, że patrzący nie zdo-

łają wybiec z koła. Błysk wyciągniętego z cholewy noża i zaczyna się nowy tan. Okrutna to walka. Dwa razy musiałam się jej przyglądać, bo stojące za mną z tyłu *urki* nie chciały mnie puścić. Kiedy dziś przypominam sobie te momenty, nie mogę uwierzyć, że patrzyłam zafascynowana. Każdy chyba czuł lęk, ale jednocześnie coś, co przykuwało do miejsca. Nikt nie przeskadzał, jak na ringu, nikt nie próbował powstrzymać walczących. Na szczęście obyło się bez ofiar, tylko kilka mocniejszych szram. Ale wiem przecież, ile takich spotkań kończyło się tragicznie. Przywożono bowiem do nas na chirurgię tych pociętych jak w jatkach delikwentów.

Kiedyś szłam z żeńskiej zony na dyzur do szpitala. Była zima, chodziło się wąskimi korytarzami wśród wysokich zasp śniegu. Bałam się zawsze jakiegoś nieprzyjemnego spotkania na dróźce, z której nie było ucieczki. Zwłaszcza, gdy przechodziłam przez tak zwaną roboczą zonę, która dzieliła właściwy obóz od zony szpitalnej. Wieczorem było tam z reguły pusto, paliły się rzadkie latarnie, zaledwie oświetcając ścieżkę i sylwety zamkniętych już o tej porze warsztatów ślusarskich, stolarskich, kuźni itd. Wielki komin miejscowej elektrowni rzucał cień na połyskujący śnieg. I wtedy nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, tupot nóg, jakiś mężczyzna potrącił mnie uciekając i wszystko umilkło. Wleciałam jak burza na szpitalną wachetę. Tam już się kotłowało. Krzyk usłyszeli wszyscy. Pół godziny później wniesiono przez szpitalną bramę trupa z rozbitą toporem głową. Poniesiono go prosto do Fiedorowicza. Można cały tom napisać o tych cichych porachunkach, o tych morderstwach z zemsty lub dla zabawy. Zginął od siekiery miły sprzedawca z obozowego sklepiku, który czasem wciskał mi w rękę paczkę „Białomorów”, zabito dwóch kucharzy, jednego nie wiadomo po co, ot obudził się niepotrzebnie, gdy małolatek Griszka włożył w baraku na stołek, by rąbnąć Anisima, śpiącego na górnej kojce. Dostał więc i tamten, zanim się zorientował. Pamiętam go, śliczny wysoki chłopiec, blondyn, Białorusin, miał może dwadzieścia lat. Zarżnięto grubego nadzorcę, który lubił się skradać pod okna baraków i podsłuchiwać rozmowy. Kto by tam ich wszystkich spaamiętał. To była normalna rzecz.

Nie mogę jednak myśleć bez uśmiechu o moich dwunastu apostołach, choć raczej powinnam ich nazwać dwunastoma robójkami. To było jeszcze na tym *ołpie*, gdzie rośla brzoźka na miejscu przyszłego szpitala, i gdzie było tak mało kobiet, zaledwie kilka na 2.000 mężczyzn. Zaraz po przybyciu przez kilka dni zbierałam mech w zonie, nie wiadomo po co. Widocznie

władze obozowe nie wiedziały, jak nas zatrudnić. Maritié poszła zmywać naczynia w kuchni, miła pani Łastienie została przez naszych kompanów lekarzy uznana za inwalidkę i prała im i jeszcze kilku sympatyczniejszym więźniom bieliznę. Nelkę urządzono w ambulatorium. Było ciepło, początek lipca i chwaliłam sobie tę robotę na słońcu, samotną, spokojną, gdzie mnie nikt nie gonił. Zebrałam dużo mchu, za dużo, bo kazano mi szorować podłogi na wachcie i w biurze, jedynych stojących wówczas w zonie budynkach. Nie cierpię myć podłogi, choć doszłam do dużej wprawy w tej sztuce jeszcze w więzieniu. Lepiej bowiem było zgłosić się do mycia aniżeli siedzieć w dusznej celi, w zaduchu babskich nieumytych ciał. Cóż jednak było robić? Dostałam wiadro, ścierkę i zaczęłam *czestnym trudom* odkupywać swą winę. Uczciwość popłaca. Jakiś nieznajomy więzień z litością popatrzył na moje spierzchnięte ręce i zaproponował mi miejsce pomocnika *normirowszczyka*. Naprawdę nie wiem, jak ten wyraz przetłumaczyć na polski. Być może teraz w produkcji ma on jakieś fachowe określenie. Nie znam go jednak. Może normator, może normownik albo normatyk. Wszystkie brzmią źle. Chodzi po prostu o inżyniera, który zgodnie z normami ocenia pracę brygady. Cała sztuka polega na stosowaniu odpowiedniej normy, tyle jest rozmaitych wykretów, tyle dających się uwzględnić współczynników bądź zmniejszających, bądź zwiększających płacę. Nam oczywiście nie płacono, ale od wypełnienia normy zależała *pajka* i zupa. Ten więc, kto znał się na normach, mógł uczynić wiele dobrego, ale i złego, jeżeli miał na to ochotę. Nie umiałam jeszcze wtedy pisać po rosyjsku ani nawet dobrze mówić. Musiałam się do tych braków przyznać, nie okazały się jednak na szczęście ważne. Mój wybawiciel poszedł do *nariadczyka* i w pięć minut sprawa była załatwiona. Zaprowadził mnie do jednego z namiotów, gdzie mieściło się jego biuro, i oddał w ręce dwóch inżynierów, aby mnie nauczyli sztuki, a jeszcze przedtem trochę pisać po rosyjsku.

Złoty człowiek, ile mu zawdzięczam! Był to, jak się okazało, ostatni jego dzień w obozie, właśnie kończył dziesięciolatkę i już miał w kieszeni tak zwany okrężny list. Zdobyłam wówczas drugi zawód, i to dobry zawód w obozie.

Moi inżynierowie okazali się przemiłymi ludźmi. Jeden z nich, Iwan Mojsiejewicz, po paru dniach uprzedził mnie niemal bez zażenowania, aby w jego obecności nie mówić o polityce, bo się wynajął za *stukacza*. Zdumiewająca szczerość i odwaga. Widocznie naprawdę mnie polubił. Musiałam uznać jego argumenty. Siedział już 8 lat. Był ciężko chory na serce i miał dolegliwy

ischias. Chciał przetrwać, wrócić do żony i dzieci. Ogólne roboty równały się dla niego wyrokowi śmierci. Zgodził się zostać donosicielem, ograniczając się do spraw politycznych. Wydawał innych, by żyć. Nie wiem, czy przeżył. Wobec mnie okazał się lojalny. Wobec innych więźniów? Nie zauważyłam, by specjalnie szukał kontaktów, by prowokował rozmowy. Nie orientuję się, jaki charakter mogły mieć jego raporty. Może śledził tylko określone osoby? Na przykład tego profesora, specjalistę od wierceń nafty, podobno naczelnego dyrektora przemysłu naftowego w ZSSR, który dokonał jakiegoś odkrycia i nie chciał go ujawnić, żądając wolności i pełnej rehabilitacji. Iwan Mojsiejewicz nieraz mówił o nim z szacunkiem, a nawet podziwem. Doświadczenie mnie jednak nauczyło, że ani przyjaźń, ani szacunek nie przeszkadzały w skrzętnym notowaniu każdego podejrzanego słowa, które mogłoby zainteresować czekistę. Faktem jest, że kiedy profesora zabrano do karnego obozu, Iwan Mojsiejewicz chodził parę dni jak struty. Czyżby przyczynił się do tej drakońskiej kary, wymierzonej za upór i stanowczość?

Lubiłam Mojsiejewicza, ale wolałam drugiego z inżynierów. Był to człowiek niezmiernie wiotki, chorobliwie nieśmiały, ledwie trzymający się na nogach nie tylko z powodu wycieńczenia, niemiłosiernego głodu, który go żarł od wielu lat, ale także z powodu jakiegoś dziwnego poetyckiego usposobienia. Miał w sobie coś z postaci chagallowskich. Nie rozumiał, co go otacza, nie umiał sobie radzić, pisał wiersze, które natychmiast darł, zamyślał się patrząc przed siebie, niepomny rzeczywistości, zdumiony i rozgoryczony, jeżeli nagle w momencie zapatrzenia ktoś mu nagle wyrwał chleb z ręki. Uczył mnie rosyjskiego, deklamując Błoka, Jesienina, Balmonta. Pamięć miał doskonałą. Powtarzałam za nim strofy, czując coraz silniej ich urok. To on nauczył mnie lubić rosyjską poezję, więcej, rozbudził podziw dla giętkości i melodyjności rosyjskiego języka. Jak się nazywał? Przykro mi, ale nie wiem, zatarło mi się jego nazwisko w pamięci. Pewna jestem tylko, że zginąłby, gdyby nie Iwan Mojsiejewicz, który go podkarmił i chronił od ogólnych robót.

Całe dni spędzałam na przepisywaniu norm, akt i rozporządzeń, aż ręka nawykła do rosyjskich liter, a mowa do rosyjskiej składni. Wówczas władze uznały, że mogę pracować samodzielnie. Musiałam się pożegnać z moimi miłymi inżynierami. Zostałam *normirowszczykiem* w *prorabstwie* leśnym. *Prorabem* był tam inżynier Żukow, stary więzień, odsiedział już wówczas z siedem lat. Brygadierami zaś było dwunastu apostołów, dwunastu bandytów, starych recydywistów, którzy cuda mi opowia-

dali o wielkich obozach, o Narylsku i Kołymie, o Sołowkach i Białomorskim kanale, gdzie ludzie marli jak muchy, gdzie układano w sterty trupy lub wywożono je na barkach w morze na pożarcie rekinom. Moi podopieczni mieli już po kilka wyroków, zwiedzili niemały obszar gułagowskiego kraju. Sypały się nazwy nieznanymi mi obozów, opowieści o drogach na dnie statków, gdzie ludzie siedzieli w wiecznie sączącej się wodzie i gdzie było tak duszno, że tylko najsilniejsi mogli się doczekać brzegu. Sypały się opowieści o krasnojarskich komarach, z którymi nie można porównać naszych, puchły bowiem od ich ukłucia ciała, tworzyły się trudne do zagojenia rany. Słysy wspomnienia o rozmaitych przesyłkach, o tej słynnej Kirowskiej, gdzie do łaźni pędzono w nocy kilka kilometrów i gdzie nikt nie potrafił uchronić z trudem dotąd zachowanych rzeczy, butów lub kurtki, wszystko bowiem zabierała miejscowa *szpana* przy śmiechu miejscowych nadzorców. Z ust moich bandytów usłyszałam po raz pierwszy, że pod każdym podkładem kolejowym na linii Wołogda-Workuta leży jeden polski oficer (przysłowie wielokrotnie przeze mnie spotykane), to oni nauczyli mnie, że wołogodski konwój żartować nie lubi i że ucheińska nafta jest lepsza niż tagilskie błota. Była to lekcja swoistej geografii Związku Sowieckiego, jeszcze mi nieznaney, zaskakującej, przeraźliwej. Raptem cały ten wielki kraj pokrył się siecią *ołpów* i *łagpunktów*, kombinatów i trustów, siecią gęstą, gęstsza niż zaznaczone na mapie miejsca wsi i miast. W drodze do Tu przez tajgę ciągle spostrzegaliśmy *wyszki* i druty, przy każdej małej stacyjce kolejowej, a to i między nimi. Krzyczałyśmy wówczas: obóz, znów obóz. Ale oni opowiadali o obozach w samej Moskwie i w Leningradzie, o zamkniętych więzieniach dla najwyższych związkowych szyszek, gdzie kryminalista przebywa rzadko i krótko, o obozowych instytutach, jednym słowem, jak to pisał Sołżenicyn, o tych różnych kregach, pierwszym i ostatnim, o tych, gdzie można przetrwać i tych, skąd nikt nie wraca. Nasz *ołp* uważali za jeden z tych bliskich dna. Nie wróżyli długiego życia członkom własnych brygad. Zbyt silne zimy, zbyt głęboki śnieg, za ciężka praca przy wyrębie lasu i las podły, niski, sękaty, nie dający wymaganej produkcji. Oni sami jednak mieli się dobrze, siedzieli w lesie przy ognisku i korzystali z paczek innych. Czasem i mnie przynosili to paczkę machorki lub nawet „Biełomorów”, to kawałek słoniny. Nie pytałam, skąd brali. Nie zadaje się w obozie takich pytań.

Kiedy myślę o moich apostołach, przypominają mi się różne anegdotyczne zajścia, nie zawsze zbyt miłe. Nie chcę o nich

pisać. Inna rzecz nie daje mi spokoju. Wszystkie te postacie, tak różne, które towarzyszyły moim dniom, które znałam tak dobrze, przestały być żywe. Zamazały mi się w pamięci, wytarły, nic o nich nie potrafię powiedzieć. Zresztą mało wiedziałam. Czym byli przedtem, za co zostali zasądzeni, jak się układał ich los? Wiem tylko, do czego byli zdolni, wiem, gdzie leżały granice ich strachu i ich podłości, ich serca i ich współczucia. Wiem, ile warte było ich słowo. Co dzień mogłam stwierdzać ich słabość, gdy zdradzali przyjaciół lub ich siłę, gdy potrafili oddać ostatni kawałek chleba.

Co na przykład mogłabym powiedzieć o Troszynie? Był już wolny, pełnił urząd przedstawiciela kombinatu. Godność dość wysoka. Wysoki, ciężki mężczyzna, z zawodu inżynier, podobno nawet profesor moskiewskiej politechniki. Początkowo odnosiłam się do niego nieufnie. Przychodził do zony na konferencje z *prorabami*. Zawsze choć na krótko podchodził do mnie, mówił kilka życzliwych słów. Może mu się podobałam? Tak sądziłam na początku. Kiedyś wieczorem dogonił mnie na ścieżce, gdy wracałam do naszego domku. Wówczas dopiero dowiedziałam się, że odsiedział już 10 lat, że z Tu wyjechać mu nie wolno, że ma pozostać na zsyłce do końca życia. Aresztowano go w 1934 r. Sprawa zatem była jasna. Już dość dobrze zaczęłam się orientować w kalendarzu kolejnych czystek, 29 — trockiści, 34 — sprawa Kirowa, ostateczna kolektywizacja, 37 — wielka czystka, 45 — jeńcy sowieccy, itd. Miał córkę w moim wieku. Uwielbiał ją, całą swoją miłość przelał na nią po stracie żony. A ona wyrzekła się go, zmieniła nazwisko, nie chciała mieć nic wspólnego z ojcem-przestępcą. Nie przysłała mu ani jednej paczki, ani jednego listu. Pisała do niego czasami jego starsza schorowana siostra, która niewiele mu mogła powiedzieć o swojej siostrzenicy. Opowieść Troszyna była dla mnie szokiem. Później wielokrotnie spotykałam się z podobnymi faktami. Niektóre rosyjskie rodziny zrywały wprawdzie z więźniem oficjalne kontakty, ale przez kogoś mniej widocznego, jakiegoś dalszego krewnego, po cichu starały się pomóc i przekazać jakieś czulsze słowa. Były jednakże i takie, które ze strachu odżegnywały się od nieszczęśnika jak od zarazy. Rwały się wszystkie więzy. Byli to zawsze Rosjanie, raz tylko czy dwa spotkałam się z podobnymi przypadkami w rodzinie ukraińskiej, gdzieś z okolic Charkowa. Dla nas, Europejczyków, było to coś, co przekraczało możliwość zrozumienia, coś, co przeczyło najbardziej fundamentalnym wartościom. Jakże się można wyrzec ojca, matki, syna czy córki, skoro nie popełnili żadnej zbrodni,

a nawet — jeżeli dopuścili się takiej. Jest w naszych słownikach słowo: miłosierdzie. Czyżby go w sowieckim języku zabrakło?

Od cierpienia się ucieka, cierpienie jest zaraźliwe. Wolałam towarzystwo Gniesina. Zresztą z Troszynem nie mogłam się spotykać. Był naczelnikiem, a ja zekiem. Gniesin był także więźniem i pracował w drożdźwiarni, tym znakomitym obozowym miejscu, gdzie pachnie fermentującym alkoholem. Drożdże dawano nam wszystkim, po 100 gram, aby uniknąć pelagry. Tylko że to, cośmy dostawali, to była pachnąca nieco drożdżami lura, odrobinę słodkawa, przypominająca nieco marnie zrobiony chlebowy kwas. W drożdźwiarni natomiast zawsze się znalazło wiaderko nierozcieńczonego zacieru, bimbrowatego, o mocy około 12 stopni. Bardzo mi ten zacier smakował. Chyba też podtrzymywał moje słabe siły. Były to bowiem drożdże, cukier, a więc odżywka pierwszorzędna. Gniesin po cichutku mnie częstował. Lubił mnie bardzo i ja go lubiłam. Był mały, trochę pokraczny, brzydki jak nieszczęście, z brodawkami na twarzy. Miał natomiast bardzo dobry głos, tenor, i był szalenie muzykalny. W dzień, gdy brygady były w pracy, naczelnicy zajęci, wykradałam się z biura do drożdźwiarni choć na pół godziny. Lubiliśmy razem śpiewać, nie żadne tam pieśni, lecz muzykę symfoniczną. Przypominaliśmy sobie symfonię Beethovena, koncerty chopinowskie, sonaty Mozarta. Smieliśmy się dziecinnie z tych dźwięków, które wypełniały drożdźwiarnię, a miały zastąpić całą orkiestrę, skrzypce lub fortepian, złościłmy się, gdy nie mogliśmy przypomnieć sobie jakiejś frazy. Pamięć miał lepszą ode mnie. Zabawny jednak był niezmiernie, gdy wymachując rękami udawał, że prowadzi dziewiątą Beethovena. Z niewielu słów, które mu się czasem wymykały, wiem, że został aresztowany w 37 roku. Był więc już więźniem doświadczonym. Rodzice jego mieli ponoć przed rewolucją wielki koncert wódek i win w Moskwie. Zostało po nich ogromne mieszkanie, właściwie dom, który, jak mi Gniesin ze śmiechem opowiadał, został przymusowo zasiedlony przez okolicznych mieszkańców tak gęsto, że nie mógł przejść do kuchni, by nie potraćić po drodze paru dzieciaków, spieszących się po zakupy staruszek, młodych rewolucjonistów, którzy wypinając pierś nie chcieli ustąpić drogi burżujowi. Opowiadał zabawnie i bez gniewu. Uważał, że i tak postąpiono z nim dość łaskawie, oddano mu bowiem do użytku cały pokój, gdzie zgromadził wszystkie cenniejsze meble: żyłem jak w muzeum, aby przejść do biurka, musiałem po drodze pokonać przeszkody w postaci empirowej kanapki, czechotkowej serwantki i dwóch skórą obitych foteli.

Wesołość go prawie nie opuszczała, czasem tylko zastawałam go skupionego, gorzkiego i wówczas wiedziałam, że na chwilę zdejmuje ciężącą mu maskę. Podobno przez długie lata był dyrektorem państwowego zjednoczenia przemysłu alkoholowego. Rodzice zginęli podczas rewolucji, on sam, gdy dorósł, opowiedział się za sowiecką władzą. Nie układało mi się to wszystko w jakąś koherentną całość. Może żartował. Na pewno był chemikiem, znał się na alkoholach, winach, sposobach fermentacji. Jedno nie ulegało wątpliwości. Był to człowiek straszliwie samotny. Nie otrzymywał paczek, nie miał rodziny ani przyjaciół, którym by mógł zaufać. Gdy go pytałam, dlaczego, odpowiadał niezmiennie, że na każdym kroku widział zdradę, widział kolegów z uczelni wydających się nawzajem, sąsiadów szpiegujących przez dziurkę od klucza. Z jego opowieści wyłaniał się obraz kraju, w którym nikt nie wierzy nikomu, w którym można nawet i pohulać, i pobawić się, i wesoło pędzić życie, ale owa *dusza na rozpaszku* stała się pozorem. Jak mi mówił później Krupskij, trzeba zjeść razem worek soli, aby komukolwiek w Rosji zaufać. Nie wierz, mówił mi Gniesin, nie wierz nikomu, nawet mnie nie wierz, bo to, co powiesz, wykorzystają przeciwko tobie. Lepiej śpiewaj. Porozmawiać można np. o muzyce.

Taki był pierwszy rok mojej obozowej edukacji. Jestem dziś wdzięczna moim nauczycielom, uchronili mnie przed popełnieniem wielu głupstw. Może dzięki ich naukom żyję?



Wszystkie tajniki organizacji pracy w ZSSR odsłoniły mi się wówczas dopiero, gdy wraz z innymi przedstawicielami 58 artykułu znalazłam się w *spectagu* w kazachskiej Republice. Tam poznałam sekrety wspaniałego planowania i jeszcze wspanialszej sprawozdawczości. Dwie rzeczy panują nad nimi niepodzielnie: *tufta* i *blat*. *Tufta*, czyli po prostu oszustwo, *blat*, czyli — mówiąc współczesną sloganową polszczyzną — układy. Trzeba korzystać z każdej możliwości *tufty* i trzeba wykorzystywać *blat*. Zasada ta nie odnosi się wyłącznie do więźniów, rządzi ona całością produkcji. Socjalistyczna gospodarka nie mogłaby po prostu bez nich istnieć. Jak bowiem zdobyć odpowiedni materiał lub instrument, gdy się nie ma *blatu* u kogoś, kto nimi właśnie rozporządza? Na oficjalne przydziały nie ma co liczyć. Nie pozostaje nic innego, niż wchodzić w osobiste kontakty, poparte zwykle obietnicą wzajemnej usługi. Trzeba jed-

nak w tym celu odpowiednio spreparować sprawozdanie, *tufta* idzie więc w ślad za *błatem*. Jedno bez drugiego żyć nie może, jedno warunkuje drugie, od nich zależy to, co każdemu spędza sen z powiek: plan.

Jak wykonać plan wyrębu drzewa, skoro normy są wysokie, ludzie słabi, piły tępe, *dzielanki* odległe czasem i o dwie godziny drogi, komunikacji żadnej, śnieg powyżej pasa. Co miał robić *planowik* w Tu, ażeby nie zostać posądzonym o brak organizacji pracy, o niedbalstwo, nawet o umyślny sabotaż? Był skazany na pomoc najpierw zaopatrzeniowca w centrali, aby zdobyć lepsze topory i choć jedną elektryczną piłę, był skazany na fałszywe raporty z wyrębu, musiał podczas kontroli przymykać oczy na sągi, wyraźnie stawiane na pniach i na kupie ziemi, udawać, że nie wie o do połowy naładowanych wagonach. Zanim je rozładują, można będzie powiedzieć, że je rozkradziono w czasie drogi i niech się koleją tłumaczy. On plan wypełnił na 100 z górą procentów. Zek orientuje się w tej grze natychmiast i wykorzystuje ją na swoją korzyść. Po co bowiem ma się męczyć, jeżeli norma jest i tak niemożliwa do wykonania? Więc gdzie może, uprawia *tuftę*. W jego sprawozdaniach rośnie grubość odrzuconego śniegu, ilość sęków w piłowanym pniu, głębokość kopanych rowów, sześciennie metry przerzuconej ziemi, odległość przewozów itd. Nikt nigdzie nie podaje autentycznych cyfr, chyba że sytuacja jest zbyt jasna, ale zawsze istnieje jakiś mały kruczek, trzeba go tylko wynaleźć. Oszukuje zek, przymyka na oszustwo oczy *prorab*, dodając jeszcze coś od siebie, przymyka oczy dyrektor przedsiębiorstwa, kombinatu, republiki, aż do Moskwy w górę wyniki rosną, procenty biją rekordy, tylko produktów nie przybywa, gdzieś nie wiadomo gdzie topią się one wraz z przygrzanym wiosennym słońcem śniegiem.

Bez *błatu* nie. Wolny musi mieć *błat* z zekiem, jeżeli chce coś po cichu z przedsiębiorstwa dostać. Zek ładuje cegły i może schować kilka sztuk na piecyk, ale zekowi za usługę też coś trzeba dać. Wszystko zależy od tego, kto co może, kto czym rozporządza. Czasem chodzi o sprawy takie, jak na przykład nowy motor do elektrycznej piły, a czasem o zwykłą pajkę chleba. Naczelnik mechanicznego cechu w ogromnej hucie prosi mnie o szybsze naładowanie czterech wagonów cegieł przeznaczonych na rozbudowę cechu. Rozbudowa ta musi być ukończona w terminie trzech miesięcy, a cegły mu wciąż nie dają, idzie na inne cele. Wagony zdobył, pozwolenie na ładunek ma, ale już trzeci dzień jego ludzie stoją, bo cegielnia dla innych organizacji odprawia ładunek. Pytam się więc, co mi za przy-

spieszenie może dać, mieli wyremontować nam dwa silniki Siemens'a i dotąd ich nie ma. Więc się wije, targuje, wreszcie umowa stoi. Nazajutrz silniki wracają, możemy uruchomić stojącą od trzech tygodni zapasową prasę. Pełne wagony opuszczają fabrykę. I tak jest stale. W małej i wielkiej skali, ceny usług zmieniają się, ale zasada pozostaje ta sama. Wydaje się więc, że błatem i tuftą cały wyrok utkać można i jakoś go przeżyć. Są jednak różne obozy. Nie daj Boże, jeżeli jego produkcja ma tylko pomocnicze znaczenie i nie wchodzi do wielkich artykułów państwowego planu. Wówczas zwyciężają inne kryteria: oszczędności na brzuchach zeków. Naczelnikami takich obozów zostają zwykle ludzie najbardziej prymitywni, którzy chcą tylko premii za gorliwość i maksymalnego wykorzystania wszelkich ewentualnych dóbr dla siebie. W takich obozach dziewczyny szyją suknie dla pani naczelnikowej, mężczyźni przygotowują drwa na opał, remontują, malują, sprzątają, a to i mebelki robią, a może także malują obrazki dla całej rodziny *komandirów*. Jednocześnie nikogo nie obchodzi, w jakich warunkach zeki pracują. Obcina się im wszystko, nawet podstawowy *pajok*, z kuchni zabiera się co lepsze produkty, skargi wrzuca do kosza, zresztą nikt się i skargi złożyć nie ośmieli. Komisja kontrolna odjedzie, a naczelniczek zostanie i na jeszcze gorszą robotę pośle. Wielka produkcja — więcej wykombinować można, łatwiej zekowi przetrwać, łatwiej naczelnikowi plan zrobić i na awans zasłużyć. Na małych *komandirówkach* głód i wszy. Naczalstwo wściekle, że się do takiej dziury dostało, gdzie tajga, bagna, dróg nie ma, żadnej rozrywki, żadnego towarzystwa, jedna tylko woda na pocieszenie. Złość swoją gdzieś wylać trzeba, a najłatwiej na biednym zeku, którego sam widok przyprawia o mdłości. Podarty buszlat, połatanie watowane spodnie, nieforemne, za duże, kłapiące walonki, czerwona odmrożona twarz, zapuchnięte oczy, czarne od szkorbutu zęby. Trudno nawet współczuć tym pół-ludziom, których trzeba pilnować i zaganiać do roboty. Jak który w śnieg padnie i nie podnosi się więcej, to się go spisze z rejestru i nikt się nie będzie przejmował.

Są więc obozy, które mają ustaloną sławę najgorszych. W Tu było wiadomo, że leśna *komandirówka* nr 7 to śmierć, stamtąd ciągle przywożono trupy na sekcję. Wiedzano też, że trzeba się trzymać centralnego *otpu* nr 1. On i kopalnia były najlepsze. Złą sławę miała WW, gdzie się uczyłam norm, bo większość prac to był las, budowa dróg, a wszędzie dokoła straszły bagna i niesamowite ilości komarów. W takich obozach *tufta* i *błat* też niewiele pomogą.

Klęską też było, jeżeli w obozie rządziły wszechwładnie *urki*. Brygadier *urka* mógł całą brygadę trzymać na karnej *pajce*, sam żywiąc się paczkami odebranymi od swych robotników. Nic więc dziwnego, że ci, którzy się w ich ręce dostali, szybko „dochodzili”. Doświadczeni więźniowie woleli brać rządy w swoje ręce. Gdy tylko nadarzała się sposobność, brygady starały się, aby naczelstwo zaakceptowało wybranego przez nie brygadiera. Nieraz się udawało, przy różnych reorganizacjach, lub gdy się zmieniało obóz. Nowo przybyłych zwykle dzielono mechanicznie na grupy po 30 osób i mianowano brygadierem więźnia pełniącego funkcję starosty podczas etapu. Pytano więc, kto u was starosta, więźniowie krzyczeli: Biełajtis, Biełajtis. *Choroszo, pust' budiet Biełajtis*. Jaka tam różnica, gdy się ludzi nie zna, a wszyscy mają paskudne wyroki i fatalne opinie w formularzach. Dla naczelnika to obojętne. Jeśli bandytów dużo i są groźni, to lepiej mianować bandytę. Ale kiedy ich jest mniej lub wcale nie ma, to może być i Biełajtis albo jakiś tam na ski, *polaczok*. Czort z nim, byle plan został wykonany. W pierwszym moim obozie w ten sposób wybrałyśmy na brygadiera koleżankę, tłuściutką, wesołą Ninę. Podobnie postąpiły dziewczyny w K. Tam nie było kryminalistów. Stare więźniarki wiedziały dobrze, że głupi brygadier to prawdziwe nieszczęście. Pamiętam, że *nariadczykiem* została energiczna Syrniewa. Podejrzewano ją co prawda, że *stuka*, ale szkody nie przynosiła, a sprytna była nadzwyczajnie. Brygadierkami zostały porządne dziewczyny, trochę Rosjanek, wiele Ukrainek, jedna Polka. Na ogół były inteligentkami i trzeba przyznać, że dzielnie walczyły, aby nie dać zmarnować ludzi.

Najlepsza sytuacja tworzy się tam, gdzie obóz nie prowadzi własnej produkcji, lecz wypożycza siłę roboczą organizjom cywilnym, tak zwanemu *chozorganowi*. Powstają wówczas dość skomplikowane systemy rozliczeń finansowych. *Chozorgan* płaci obozowi tyle, ile więźniowie zapracują według normalnych państwowych norm. Obóz jest więc zainteresowany, aby otrzymać jak najwięcej i broni zeków przed próbami zaniżania stawek. Jeżeli czyni to skutecznie, tym samym zarabia i zek, oczywiście nie w gotówce, lecz w chlebie. Jego procent wykonania norm rośnie. *Chozorgan* jednak czyni wszystko, co może, aby zapłacić najmniej, ma bowiem własny plan i zobowiązany jest do robienia oszczędności. Konflikty więc mnożą się, zwycięża ten, kto lepiej zna przepisy i potrafi udowodnić swoje racje. W takich wypadkach sprytny brygadier lub *prorab* staje się dla *chozorganu* ciężkim kamieniem do zgryzienia, zwłaszcza wów-

czas, gdy lepiej się orientuje w zasadach normowania aniżeli wolni inżynierowie. Ma też za sobą poparcie obozu. Jeżeli jednak ten sam brygadier lub *prorab* okaże się dobrym organizatorem, pozwala *chozorganowi* wykonać plan produkcji, to choć *chozorgan* jest zmuszony płacić więcej, jednocześnie broni takiego *proraba* przed władzami obozowymi i razie jakichś przewinień reżimowych. Tak więc można zależnie od potrzeby wykorzystywać jedną siłę przeciwko drugiej i w ten sposób uczynić życie nieco lżejszym. Dochodzi zresztą czasem do nieprawdopodobnych wręcz sytuacji. Kiedyś znalazłam się w takiej i wspominam ją z satysfakcją. Byłam już wtedy *prorabem* w cegielni. Robiliśmy także duże ciężkie bloki żużlowe. Produkcja szła dobrze, dziennie wyrabialiśmy ponad 50 tysięcy cegieł, ponad półtora miliona miesięcznie. Ilości bloków nie pamiętam. Codziennie przychodziły wagony, wyspecjalizowana w ładunku brygada zarabiała do 140%. Tak się jakoś stało, że przez pewien czas brak było wagonów, zmuszone więc byłyśmy składować bloki coraz dalej od torów kolejowych, więcej niż pięćdziesiąt metrów. Gdy przyszło wreszcie do ładunku, inżynier odpowiedzialny za transport, który za ładunek płacił, odmówił mi podpisania *nariadu* na podnoszenie. Co to był *nariad*? Rzecz nadzwyczaj dla nas ważna, zlecenie wykonania jakiejś pracy. Na listku papieru o specjalnym nadruku musiały zostać wpisane: rodzaj prac, np. podnoszenie bloków na odległość 50 m, norma, ilość faktycznie wykonanej roboty, opłata, suma zarobiona. Pamiętam niektóre normy. Otóż jeden człowiek musi przenieść 100 sztuk bloków na odległość trzydziestu metrów w czasie 2,22 godziny. Proszę policzyć, ile wynosi jego dzienna norma, licząc ośmiogodzinny dzień pracy. Trochę więcej niż 400, wówczas zarobi 100%, czyli dostanie gwarancję. Pracowaliśmy dłużej, 10 godzin, ale normy liczono nam według państwowych stawek, czyli ośmiogodzinnego dnia pracy, co było rzeczą wygodną. 400 bloków w dzień, to 40 na godzinę, jeden blok w ciągu półtorej minuty. Trzeba go podnieść, zrobić trzydzieści kroków, położyć i wrócić, a jeden taki blok waży ponad 12 kg. Norma załadunku z układaniem bloków w wagonach była niższa, około 200 sztuk w dzień, 100 w ciągu 4,1 godziny. Można to było wykonać, gdy bloki były pod ręką, tuż koło szyn. Praktycznie zawsze leżały nieco dalej. Tak więc norma załadunku razem z podnoszeniem znacznie ułatwiała sytuację, a gdy uwzględniało się pięćdziesięciometrową odległość składowiska, praca stawała się zupełnie znośna. Nie pamiętam dokładnie, ile bloków należało załadować, mniej więcej 80, czyli po osiem

sztuk na godzinę. Dziewczęta ustawiały się w szereg i 15-tonowe platformy zapełniały się w mig, dając dobry zarobek. By jednak tę wygodną normę uzyskać, *nariad* musiał zostać podpisany przez odpowiedzialnego inżyniera przed przystąpieniem do pracy, na zasadzie wstępnej umowy.

Tymczasem inżynier odmówił, dowodząc, że od torów do składu jest około 20 metrów. Twierdził tak, nie chcąc nawet pójść i przekonać się naocznie. Wobec tego odmówiłam ładowania. Zdenerwował się strasznie, próbował ingerować u dyrektora cegielni, ale ten oświadczył, że go to nic nie obchodzi. Robocza siła zależy wyłącznie ode mnie jako przedstawiciela obozu. No i zaczęło się. Inżynier zaczął telefonować, gdzie, nawet nie wiem, i raptem dano mi znać, że przyjechał do fabryki sam Jaziew.

Jaziew to była nie lada figura, najważniejsza w K., dyrektor kombinatu, członek *Wierchownogo Sowietu ZSSR*, pan życia i śmierci wszystkich wolnych mieszkających w mieście. Od jego kaprysu zależała praca setek tysięcy ludzi. Potrafił z miejsca kazać aresztować lub przenieść na robotę do kopalni ołowiu, złapanego na małej kradzieży szofera, który właśnie wiózł do domu trochę państwowego węgla. MWD słuchało go bez szemrania. Rozporządzał ludźmi, jak chciał, jego kontrole budziły strach. Był dość wysoki, bardzo gruby, toczył się jak kula i krzyczał na wszystkich i za wszystko. To prawda, że w tym bałaganie musiała go brać złość. Ale gdy krzyczał, robił wrażenie małego wschodniego satrapy, dla którego człowiek to tylko bydlę spełniające potrzebną robotę. Kiedy się zjawiał w cegielni, wolni biegli za nim przerażeni, tylko ślusarze chowali się po kątach, wołając przeczekać burzę. My nie reagowałyśmy, choć mógł i nam zrobić wiele złego, bo władza obozowa niezmiernie się z nim liczyła. To on nas najmował i płacił za naszą pracę. Uważał się więc niemal za właściciela.

Natychmiast wezwano mnie do biura. Siedział już tam, nie mieszcząc swojego potężnego cielska na wąskim krześle. Było z nim paru inżynierów. Gdy weszłam, obrzucił mnie stekiem przekleństw w rodzaju zdrajcy narodu, organizatora sabotażu, faszysty itp., obiecując mi natychmiast nowy sąd i nowy wyrok. Nie przejęłam się zbyt, zawsze w takich wypadkach moja wyobraźnia przestawała funkcjonować. Nie lubię krzyku. Odpowiedziałam mu więc spokojnie, że nie jestem uprawniona, aby posyłać ludzi do pracy, która nie jest opłacana. Jeżeli obóz się zgodzi na taki wyzysk i każe mi ładować, to będę ładować.

Na siebie jednak tej odpowiedzialności wziąć nie mogę. Nie reagowałam na argumenty, że na bloki czeka jakaś tam niesłychanie ważna budowa i że hędę odpowiadać za jej opóźnienie. Powtórzyłam swoje i wyszłam z biura, co było dla tych Rosjan, przyzwyczajonych do niemal niewolniczej dyscypliny, rzeczą niesłychaną. Ja, więzień, powiedziałam „nie” tak ważnej figurze w hierarchii administracyjnej ZSSR. Groziło mi co najmniej zdjęcie z *prorabstwa* i najcięższe roboty. Ale bywam uparta jak koziół i na ogół źle na tym nie wychodzę. W pół godziny później przyjechał niemal cały obozowy sztab. Naczelnik, oficer odpowiedzialny za siłę roboczą, *oper* itd. Wezwano mnie znowu, abym wytłumaczyła, o co chodzi. Powtórzyłam to samo. Nie mam prawa działać na szkodę obozu. Oboz powinien otrzymać pieniądze za naszą robotę, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy tracić, tym bardziej, że jutro znów przyjdą wagony. Obliczyłam już przedtem, ile by wyniosła owa strata. Nie były to wielkie sumy, ale zawsze, no i sama argumentacja podobiała się pułkownikowi. Oto jak więzień broni interesów obozu. Takiemu można zaufać, on na pewno plan wykona. Kazano mi odejść, a tam zaczęły się przetargi. Trwały krótko. Znowu mnie wezwano, ale po to tylko, abym dała przygotowany wcześniej *nariad* z tą normą, jaką tam umieściłam. Sam Jaziew go podpisał, wściekły, ale podpisał, pytając tylko groźnie, ile mi teraz czasu potrzeba, aby te 10 platform naładować. Godzinę — odpowiedziałam. Ściągnęłam wszystkie brygady. Dziewczyny doskonale się orientowały w całej historii, teraz więc rzuciły się do roboty, jakby chciały pokazać, że racja była po mojej stronie. Ładowały w mig. Liczyłam bloki na platformach, kiedy całe naczalstwo cywilne i obozowe dotarło, aby przypatrzeć się robocie. Parowóz już wjeżdżał do zony. Jaziew mnie zawołał. Okazał się nie taki zły. Spytał, kiedy kończę wyrok. Za dwa lata, powiedziałam. Dajcie mi wówczas znać, chcę was tu zatrzymać w K. Na wysokim stanowisku, dodał. Dostałam w rezultacie pochwałę i ofertę pracy w przyszłości. Wszystko dlatego, że się nie przestraszyłam. Zawsze tak jest z Rosjanami. Jak na nich z góry, to miękną. Najgorzej, jeżeli pokazuje im się swój strach.

Pamiętam też obrazek, ilustrujący odwrotną sytuację. Było to także w cegielni. Przyjechał do niej jakiś wysoki urzędnik z Moskwy, nazywano go profesorem, pamiętam jego nazwisko, profesor Kiedrow. Specjalista od cegieł. Miał wprowadzać w naszej fabryce nowe metody technologiczne. Początkowo chodził po wszystkich wydziałach nie wdając się w rozmowy. Obserwo-

wał. Po kilku dniach zawołał mnie i spytał — czym ogromnie mnie zaskoczył — dlaczego więźniowie pracują tak dobrze. Widocznie wyobrażał sobie, że zek — to sabotażysta. Nie rozumiał, że zek musi jeść, i że tajemnica dobrej roboty leżała w kilogramowej *pajce* chleba. Cała cegielnia otrzymywała rekordową porcję, największą, o której inni tylko śnią. Rzadko schodziliśmy poniżej 130 procent. Miałyśmy więc dodatkową kaszę z mięsem, dodatkowy cukier i chleb. Nie wiedział też, i tego mu nie mogłam wytłumaczyć, że robotnice ceniły sobie niezmiernie swój przydział do brygad cegielni, bały się przeniesienia gdzie indziej. Były to najczęściej proste chłopskie córki, przyzwyczajone do ciężkiej pracy, może jeszcze nieraz cięższej w kołchozach niż tu. Miały też różne drobne przywileje. Codziennie przez fabrykę przewijało się kilkadziesiąt ciężarówek po cegły i bloki. Ileż razy szofer, który już się zapoznał, już się nie bał donosu, prosił o naładowanie tych dwudziestu cegieł więcej, aby zbudować w domu piec, poprawić gdzieś w chlewiku ścianę, powoli zebrać materiał na przybudówkę. Przywoził więc dziewczętom w zamian to chleb, to kawałek słoniny, gdy mu się udało go dostać, to kiełbasę lub pudełko szazana w oleju. Inni brali listy, by je wrzucić bezpośrednio do odjeżdżającego pociągu. Ciężarówka były rewidowane na wachcie, konwojent długim sztykiem macał wśród cegieł, czy pod nimi nie leży czasem człowiek, ale rewizje osobiste robiono szoferom rzadko. Pisać wolno nam było tylko dwa razy do roku, jakże więc ważną rzeczą było wysłanie dodatkowego listu!

Dziewczęta ceniły cegielnię i miały za co. Było w tym też trochę hazardu, trochę dumy. Kiedy prasa pierwszy raz osiągnęła w miejsce 24 tysięcy cegieł podczas dnia 32 tysiące, przeżywałyśmy prawdziwe święto. Przywieziono nam wówczas całą ciężarówkę kawonów i melonów (były to najtańsze owoce, którymi karmiono normalnie bydło), pomidory i ogórki, co sprawiło niesłychaną radość. Praca wszędzie była ciężka, tu przynajmniej coś przynosiła. I nie była nudna. Co prawda pokrywał nas ceglany pył i sadza, ale miałyśmy prawo do codziennej łaźni. W lecie w samej fabryce urządziłyśmy sobie prysznic, w zimie nie musiałyśmy przebywać na dworze, na tym niemiłosiernym wietrze, gnającym przez pustynię. Wydział to wydział, zawsze w nim ciepło. Tylko ten, kto nie pracował przy 30 stopniach mrozu, może nie docenić, jakim dobrem była dla nas cegielnia.

Kiedrow widział, że dziewczęta po prostu lubią cegielnię, że się złością, gdy brak gliny i fabryka stoi, że są zadowolone, gdy osiągną rekord. Dziwił się, że nie trzeba ich poganiać, dzi-

wił się też, że dyrektor, miły nasz Jegor Matwiejewicz, zawsze trochę pijany, w gruncie rzeczy zdaje się całkowicie na brygadierów i na mnie, kontrolując tylko od czasu do czasu ogień w wielkim hofmańskim piecu. Kiedyś w nocy cała fabryka stała, nie było od kilku dni gliny, wagony nie przychodziły. I nagle telefon, że wagony idą, że za chwilę już będą w zonie. Siedzieliśmy razem z Kiedrowem w biurze i on trochę zniecierpliwiony, że nie reaguję na wiadomość, podliczając dalej jakieś *nariady*, zwrócił mi uwagę, że trzeba przygotować więcej ludzi do wyładunku. Uśmiechnęłam się, bo wiedziałam, jak to zwykle u nas w takich wypadkach bywa. Wstałam jednak, proponując mu, aby razem ze mną poszedł w kierunku kolejowych torów. Gdy wyszliśmy na dwór, usłyszeliśmy sapanie parowozu. Zanim doszliśmy do torów przechodzących przez wielki pogłębiony teren służący na magazyn gliny, już tam było pełno ludzi, trzy brygady, i ta, która normalnie glinę podwoziła, i ta, która pracowała na prasie, i ta z suszarni. Wszystkie dziewczyny z łopatami, zanim się wagony zatrzymały, zwalniały mechanizmy wywrotek. Glina waliła się w dół, a one z zamachem odrzucały ją dalej. Kiedrow stał bez słowa. Kiedy zobaczył, że część dziewcząt porzuciła wyładunek, by z kolei zapełnić gliną małe wagoniki i pehać je w kierunku cegielni, gdy usłyszał szum włączanych motorów, znak, że ruszyła prasa, powiedział tylko: inaczej to sobie wyobrażałem. Odtąd był przyjacielski, miły, żartował z dziewczętami, mnie zaś uczył tajników technologii. Był chyba dobrym fachowcem.

Któregoś dnia przyjechali jacyś wyżsi oficerowie z centrali *steptagu*. Wezwano nas brygadierów i *prorabów* na zebranie. Przyjezdny pułkownik w niezwykle ostrych słowach zaczął wypominać nam nasze zbrodnie, zdrady ojczyzny itp., i nasz krnąbrny upór. Krzyczał, że nie chcemy wyrabiać norm, że sabotujemy pracę, że nie potrafimy wymagać od ludzi, że kryją się wśród nas wredne i niebezpieczne elementy, kontrrewolucjoniści (większość obozu siedziała za kontrrewolucję). Nie ma jednak na to rady. Skoro już tu jesteśmy, to nie mówi się dla czego, zresztą siedzimy tak dawno, że już powinniśmy dawno skruczę okazać, prawdę ujrzeć, i zadającą sobie tyle trudu władzę gorąco polubić.

Słuchałam tych krzyków, nie wróżąc z nich nic dobrego. Kiedy kolejno zzywał nas, abyśmy złożyły sprawozdanie z sytuacji w produkcji, powiedziałam, że nasze brygady wykonują zadania na 130 procent, a nawet na więcej. Reakcja była gwałtowna, zażądał mego nazwiska, zwymyślał od zdrajców narodu,

i w dodatku miał beczelność powiedzieć, że oto przyjechał do cegielni znakomity profesor z Moskwy, a ja mu całą pracę psuję. Tego dnia zdjęto mnie z *prorabstwa* i skierowano na ogólne roboty. Nazajutrz więc znalazłam się na budowie wielkiego nasypu, który miał odgrodzić odpadki wywożone z huty od jeziora. Brygadierka, dobra znajoma, nie dała mi łopaty do ręki, lecz *nariady*. Przesiedziałam więc cały dzień, licząc i pisząc. Tak było parę dni, bo profesor Kiedrow gdzieś wyjeżdżał i nie pojawiał się w cegielni. Gdy wrócił, natychmiast zauważył moją nieobecność i spytał dziewcząt, co się stało. Opowiedziano mu. Podobno zdenerwował się, zadzwonił do obozu. Wiemy, że przysłano po niego auto, że pojechał nim w stronę budynków obozowego zarządu. Jaka była treść rozmowy Kiedrowa z naszym pułkownikiem, nie wiem, dość, że tego samego wieczora Syrniewa mnie uprzedziła, że nazajutrz wracam do cegielni na dawne miejsce. Tym razem *chozorgan* obronił mnie przed obozem i obronił tak skutecznie, że do końca wyroku nikt już mnie z cegielni nie ruszył.

Trochę to idylliczny obrazek. Wydaje się, że w naszej cegielni przestały panować prawa *tufty* i *blatu*. Ktoś też pomyśleć może, że więźniowie byli pracowici, że się zawsze przejmowali swoją pracą. Sądzę, że błąd takiej interpretacji polega na owym „zawsze”. W Gułagowskich gospodarstwach należy używać słowa „czasem”. Czasem bowiem praca się opłacała, czasem niszczyła zdrowie. Niekiedy tylko sił zeka broniła *tufta*, niekiedy przeciwnie, jego rzetelność. Raz tak, raz tak. Żadnej reguły. Nawet w cegielni różnie bywało. Gdy zaczęłyśmy tam pracować, płacono nam od uformowanego surowego produktu, należało więc formować jak najwięcej, a potem mógł się on kruszyć, bić, wszystko nam było jedno. Później wprowadzono tak zwany kompleks, to jest system opłaty za gotową produkcję. Musiałyśmy więc wyrabiać dobrą cegłę, za wybrakowane nie otrzymywałyśmy nic. Chodziło o to, aby osiągnąć dobre rezultaty przy minimum wysiłku. Sabotaż nie wchodził w rachubę. W morzu narodowości, wobec lojalności Rosjan w stosunku do władz obozowych najmniejsze podejrzenie o umyślnie sabotowanie pracy pociągało za sobą tragiczne skutki. Nie pozostawało nic innego, jak dążenie, by ta przymusowa praca nam samym przynosiła korzyść. Każda brygada chciała mieć brygadiera znającego się na rzeczy, zręcznego *proraba*. Być dobrym *prorabem* nie było rzeczą trudną, ogólny bowiem poziom różnych wolnych inżynierów i naczelników był zdumiewająco niski.

Zapomina się też o jednej jeszcze rzeczy, a może w ogóle

nie bierze się jej pod uwagę? Czy człowiek może żyć stale kłamstwem? W *tufcie* jest coś poniżającego. Jest jakby akceptacja sowieckiej rzeczywistości z jej przyzwarami i jej bezprawiem. A myśmy się czuły wciąż Europejkami, na przekór tym trybom, które groziły zdławieniem wyobrażeń i zasad wyniesionych z domu. Dobra praca była zatem odruchem samoobrony, nie jest bowiem możliwe żyć przekreślając wszelkie ludzkie wartości. Sołżenicyn pisał o Iwanie Denisowiczu, że z zadowoleniem kładł równiutko cegły na ścianie. Zapewne i takie uczucie w nas się rodziło, gdyż było coś w tej pracy prawdziwego, czego nie trzeba się było wstydić. Ale jednocześnie czułyśmy więcej niż sołżenicynowski bohater. Przenikała nas chęć przeciwstawienia się światu tonącemu w morzu nieuczciwości, chęć pokazania samym sobie, że nawet w takich warunkach jesteśmy lepsi, sprawniejsi intelektualnie i organizacyjnie.

Gdy dziś patrzę wstecz, przypominam sobie, z jaką autentyczną dumą dziewczęta patrzyły na wyniki produkcji, na fabrykę uporządkowaną, czystą, która w momencie, gdy ją poznawały, przedstawiała żalosny obraz zaniedbania, gdzie walały się maszyny, porozbijane cegły, zniszczony sprzęt. Wiem, że ta dumą płynęła z poczucia wyższości w stosunku do tych, co przed nami pracowali i do tych, co nami tak nieporadnie zarządzili. W tej pracy, która miała nas zniewolić i poniżyć, odnajdywałyśmy siebie, wiarę we własne siły i co więcej podziw ciemniejszych. Można mówić „nie” w rozmaity sposób. Można odmówić pracy lub robić ją źle. Ale ten, kto wybrał tę drogę lub był zmuszony do jej wybrania przez panujące w danym obozie stosunki, nie miał szans na porzucenie niewolniczej skóry. Pomiatany nie tylko przez władzę, lecz także przez współwięźniów, dla których stawał się ciężarem, zmieniał się szybko w żalosego *dochadagę*, tracąc nawet zdolność do myślenia. W gruncie rzeczy pomagał władzy we własnej likwidacji. Można zatem było, gdy się sposobność nadarzyła, choć jest prawdą, iż zdarzała się rzadko, uznać pracę za swoją. To było także „nie” wypowiedziane tym, co chcieli w nas widzieć jedynie pociągowe zwierzęta, którzy chcieli, byśmy we własną nędzę uwierzyli. Praca wszakże miała nas *pieriewospitat'*, miała być środkiem represji. Jeżeli udało się z niej zrobić źródło moralnej siły — to była nasza wygrana. Pozbawieni głosu i możliwości protestu, walczyliśmy o to, by pozostać ludźmi, a ludzie wiedzą, co to jest uczciwość, rzetelność, radość, gdy się dzieło uda. Mieliśmy wszakże tylko pracę, nie więcej.

Nie wątpię, że gdyby uczciwość nie pozwalała nam lepiej

zarobić, robiłybyśmy wszystko, aby znaleźć procenty w jakiś inny sposób. A gdyby i owe sposoby zawiodły, ciężar codziennego trudu stałby się nieznośny. Na szczęście nie musiałyśmy oszukiwać. Przyznać tu jednak muszę, że w samym systemie została głęboko ukryta *tufta*. Ani brygadierki, ani robotnice o niej nie wiedziały, mogły się tylko domyślać. Była to tajemnica moja i Maryjki, świetnej *normirowszcicy*, która razem ze mną w pracach nad cegielnią uczestniczyła. A było to tak, że każdego dnia przez parę tygodni odpowiedzialny wolny inżynier kontrolował prace w cegielni, obliczając to, co konieczne dla produkcji: ilość gliny, odległość dowozów, różne dane odnoszące się do pracy w suszarni czy w piecu hofmańskim. Nie będę męczyć czytelnika opisem. Trzeba było coś zrobić, aby normy zmniejszyć. Wykonywałyśmy wówczas mnóstwo prac pozornych. W każdej hofmance są szlakowe jamy, gdzie się zbiera pył i gruz po wypalanej cegle. Przy dobrej produkcji czyści się je raz na parę miesięcy. Ale my czyściłyśmy je ciągle, gdy tylko inżynier wchodził do pieca. Jedna z dziewcząt spuszczała się na dół czyniąc niesamowity kurz, więc uciekał i tę pracę, przekonany, że jest nieodzwonna, wmontował w plan, tak że od razu dała nam oszczędność dwóch ludzi na zmianę. A to dużo. Przypominam sobie, że w nocy, gdy inżynier słodko spał, brygady przewoziły dalej od szyn węgiel, glinę, aby potem za dnia pokazać, że jesteśmy zmuszone na większą odległość podwozić je do załadunku. Czegośmy nie robiły! Chowałyśmy stalowe kładki, po których leciutko toczyły się taczki i kładłyśmy ciężkie deski, bo była dla nich inna norma. Pamiętam ten rozkład prac. Pierwsza zmiana, gdy pracowały dwie prasy, wymagała 220 ludzi prócz brygad, które zajmowały się ładunkiem gotowej cegły. 48 tysięcy cegieł, 220 ludzi — to 100%. Gdy się jednak wszystkich prac nie wykonuje, można tę samą produkcję wykonać mniejszą ilością ludzi. Jeżeli jest ich 200 — to 110%, a jeżeli 160 to 135%. Nie pamiętam już dokładnie, ile nas na dzienną zmianę chodziło, ale było to właśnie około 160-170 ludzi. Nie więcej.

Tuftę zrobiłyśmy z Maryjką, dwa *proraby*, i starałyśmy się wszędzie, gdzie to było możliwe, sytuację wykorzystać według znakomitych nauk Iwana Mojsiejewicza. Ale by manewrować skutecznie i spokojnie, każda z nas musiała być kryta. Nic zaś lepiej nas nie kryło, niż porządna cegła, dzwoniąca, czerwona, doskonała. I gdy piętrzyły się jej równo układane stosy, nikt nie poddawał w wątpliwość norm. Dowiedziałam się już później, po tak zwanym oswobodzeniu, gdy wysłano mnie do obskurnego kołchozu, a Maryjkę gdzieś do centrali, że nagle władze *chozor-*

ganu harmonogram zmieniły i że cegielnia przestała wykonywać plan. Widocznie Borysewa, która po nas została *prorabem*, nie umiała się bronić.

Zostawmy jednak cegielnię. Choć nie, muszę jeszcze do niej wrócić, bo przed oczyma ciągle przesuwiają mi się różne z niej obrazki, czasem komiczne, czasem wręcz sentymentalne. Był tam taki płaski dach, na którym można się było wygodnie położyć. Pod spodem szumiały motory, i ten szum jednostajny usypiał. Nad głową cudowne niebo południa. Tyle gwiazd. I wreszcie człowiek sam, bez nieustannie otaczających zeków. Chwila samotności to w obozie coś cudownego. Więc tylko od czasu do czasu schodzę, sprawdzam czy wszystko w porządku i znów wracam. Noc długa. Zdejmują nas z roboty dopiero o piątej rano, mogę więc patrzeć w gwiazdy, a potem jak niebo blednie, i jak daleko w stronę widocznej na horyzoncie sopki wstaje powoli ogromne złociste słońce. Z dachu widać step, linia nieba zlewa się z linią szarej pustynnej ziemi. Ale teraz o świcie niebo jest tak przesycone złotem, że dostrzegam wyraźnie jego kres i bezmiar otaczającego nas stepu. Tu bliżej, zaraz za drutami zony małe osiedle tubylców. Już się budzą, malutkie jęczyczki dymu wznoszą się do góry i widzę, jak młoda kazaczka z dzbanem pełnym wody na głowie idzie prosto przed siebie, w step. Idzie załatwić swoje potrzeby i umyć się. Nie krępuje się mnie, choć na pewno dostrzegła moją postać; nie zna wstydu. Step jest wielki, żadna toaleta nie jest potrzebna.

Dwa kilometry dalej obóz, a po przeciwnej stronie linia kolejowa. Daleka, ledwo rysują się dymy parowozów. Jedyna linia, jedyna droga wyrwania się stąd, linia przebiegająca setki kilometrów, zanim się rozdzieli na pierwszej węzłowej stacji. Ucieczka z naszego obozu jest zupełnie niemożliwa. Kolej silnie strzeżona, nikt bez dokumentu do wagonu nie wejdzie i ten step bez drzewka, goły, gdzie nie ma nic, suche badyle, skorpiony i falangi. Ani źdźbła soczystej trawy.

Przez 10 długich nocnych godzin tak wiele można pomyśleć, tyle sobie przypomnieć, tyle naopowiadać! Można też zawiesić myśl, oddać się gwiazdom, nocy. Szkoda tylko, że noc nie ma aromatu. Nie nie pachnie, jest zbyt gorąco, zbyt sucho. Za to cisza jest wspólna. Nie reaguję na głos motorów, jestem do nich przyzwyczajona. Obejmuje mnie cisza stepu. Dopiero gdy milknie głos silników powracam do rzeczywistości.

Zimą noc wydaje się dłuższa. W cechach palą się małe węglowe piecyki naszej własnej roboty. W biurze, czyli małym

baraczkę, w którym mieści się skład i jeden pokój do pracy, stoi prawdziwy piec. Nie marzniemy. Dziewczeta pracujące na dworze od czasu do czasu skupiają się gdzieś w cechu, by się ogrzać, zapalić spokojnie papierosa. Jakaż to różnica — cegielnia z innymi pracami, z nocnym ładowaniem węgla do barek na jeziorze lub z budową torów kolei żelaznej. Jesteśmy w tym obozie uprzywilejowane, uśmiechną się do nas los. Inne brygady patrzą na nas z zazdrością.

Rozumiem tę zazdrość, bo już spróbowałam wielu prac. Kilka miesięcy spędziłam jako zwykła robotnica na budowie nasypu kolejowego. Biegł on niedaleko jeziora i musiał być odpowiednio wysoki, by go woda nie zalała. Wychodziłyśmy z zony wcześniej niż inne brygady, jeszcze przed siódmą rano, od szóstej już stojąc na *razwodzie*. To była zima, mrozy normalne w tej okolicy około 30° i wiatr. Poniżej 30° regulamin przewiduje tak zwany *aktirowany dzień*. Ale naczalstwo oszukiwało. Wsadzano więc nas na ciężarówkę i wieziono około 15 km po ubitej śliskiej drodze. Czasami zdarzał się miły konwój, wówczas żołnierz siedzący na burcie ciężarówki przodem do nas wołał: ty z prawej strony w drugim rzędzie, nos masz biały. Trzeba było natychmiast zaczerpnąć śniegu z burty samochodu i mocno trzeć nos. Odwzajemniałyśmy się *strietkowi*, bo siedząc wysoko często odmrażał sobie policzek lub ucho. Nie wszyscy żołnierze zdradzali te zwykłe ludzkie odruchy. Myśmy zaś siedziały tyłem do siebie, dopiero więc po przyjeździe na miejsce następowały wzajemne oględziny. Nie zawsze już dawało się zmarznięte miejsce rozetrzeć. Robiła się czerwono-fioletowa plama, szpecąca dziewczęce policzki.

Pierwsza godzina pracy była nieznośna. Grunt szklisty, przemrożony. Nie brał go żaden kilof. Trzeba było wbijać kliny ciężkim młotem, w kilku miejscach w koło, w odległości 15 cm od siebie, ażeby wreszcie ziemia pękła. Przy pomocy łomu można było wówczas ten pęknięty kawał wydobyć. Zabierało to dużo czasu, a norma była wysoka. Zgrabiałe ręce nie miały siły utrzymać narzędzi, twarz lodowaciała na wietrze. A jednak po godzinie zrzucałyśmy buszłaty, zostając tylko w watówkach, mimo mrozu i wiatru. Tylko ręce były nie do ogrzania. Mimo rękawic chłód stali przenikał je na wskroś. Przez chwilę można się było ogrzać w małym baraczkę przy piecyku, ale należało tego unikać, gdyż łatwiej przy zmiennej temperaturze ostatecznie odmrozić sobie dłonie. Lepiej więc było szukać ciepła w pracy, w ruchu, tylko że praca ta nie poddawała się dziewczęcym siłom. Czekaliśmy więc jak zmiłowania wieczoru. Zupy nam nie przy-

wożono, przerwy nie organizowano, bo gdzież by ją można było spędzić, na wietrze? Zdejmowano nas o godzinę wcześniej niż inne brygady, po dziesięciu godzinach, a nie po jedenastu. Ostatnie godziny pracowałyśmy przy nikłym elektrycznym świetle, prowizorycznie przeprowadzonym, które nie pozwalało dojrzeć, jak ustawić klin. A ustawienie klina jest ważne. Wracałyśmy w pełnej ciemności, zmęczone na ogół tak bardzo, że trudność sprawiało nam przeniesienie na stół miski z zupą. Nie władały ręce. Trochę lżej nam było, gdy zaczęłyśmy kłaść szyny, podsy-pywać je żwirem, wyładowywać kamienie. Wyładunek był wesoły, szybki, tylko bardzo niebezpieczny. Jedną z Ukrainek kamienie przywalały, zgniatając jej zębra. Wyszła jednak z tego. Najgorzej, że na budowie kolei nigdy nie osiągnęłyśmy nawet 100 procentów. Musiałyśmy więc żyć na tym paskudnym *pajku* zwanym gwarancją, pół głodowym. Coraz bardziej słabłyśmy. Całe szczęście, że z powodu jakichś oszczędności nagle budowy poniechano i to na długie lata. Jeszcze kilka lat później wolni, którzy się w tamte okolice zapuszczali, opowiadali mi o dziwnej linii kolejowej prowadzącej do nikąd. Wiedziałyśmy, dokąd miała prowadzić: zapewne do naszego wyniszczenia.

Czegoś się jednak i tam nauczyłam. Zdobyłam doświadczenie, jak należy wznosić kolejowe płótno i kłaść szyny, oczywiście ręcznie. Gdy więc trzeba było podjąć w cegielni roboty kolejowe, mogłam je już na tyle kontrolować, aby przyznano nam wygodniejsze normy.

Nie wiem co gorsze, mróz i wiatr czy upał i gorący jak z pieca hutniczego wiatr sypiący piaskiem w oczy, zatykający wszystkie drogi oddechowe. Upał bywał taki, że człowiek w ubraniu oblanym wodą wysychał w ciągu kilku minut. W cegielni stale oblewałyśmy się wodą od stóp do głów, ale tam wody było pod dostatkiem. Jednego lata chodziłam z brygadami na tak zwany *wodoprowodnyj uczastek*. Było to spore przedsięwzięcie — budowa kilkudziesięciokilometrowego wodociągu. Wykop musiał być ze względu na warunki klimatyczne głęboki na 6 metrów, dostatecznie szeroki, aby ułożyć w nim wielkie rury. Ziemia twarda tak jak wszędzie, czasem przysypana pustynnym piaseczkiem. Posuwałyśmy się w stronę miasta 50, czasem 100 metrów dziennie. Prace zaczęły się gdzieś w maju i trwały do jesieni. Step, ani jednego drzewa, cień można było zrobić rozwieszając chustkę na wbitych w ziemię łopatach. Ani kropli wody. Rano czekała na nas beczka, którą trzeba było rozdzielać sprawiedliwie, aby nikt nie dostał więcej. W parę minut była pusta. Mały konik ciągnął ją aż do odległego o 8 km miasteczka. Długo

trwało, zanim wróciła z powrotem. Konik był słaby i szedł wolno, woźnica się nie spieszył. Pragnienie dusiło wszystkich, z wykopu coraz to ktoś wyłaził na brzeg, wypatrując w stepie powrotu woźnicy. Kiedy po paru godzinach ukazywał się wreszcie na horyzoncie, podnosił się krzyk. Dziewczeta rzucały robotę, biegły w kierunku wachty, nie mogły się doczekać. Nie dziwię się im. Były mokre od potu na tym niemiłosiernym słońcu, które rozgrzewało piasek tak, że parzył stopy. Temperatura trzydziestu paru stopni jest w tamtych stronach normalna. Bywa czasem i czterdzieści w cieniu bez odrobiny wilgoci. Konwój straszył automatami, bojąc się, że niecierpliwe nie bacząc na nic wybiegną za druty. Beczka zatrzymywała się za zoną. Brygadierzy kolejno pod strażą konwoju przechodzili za zonę, aby napełnić wiadra. Zdarzało się, że tłum takie wiadro wyrwał, że ktoś przy padał do jego brzegu wargami nie dając innym, trudno było zachować jakiś porządek i dyscyplinę. Energiczniejsi brygadierzy sami kubek podawali, kolejno, aby wystarczyło i dla słabszych, którzy nie mogli się przecisnąć, a którzy tak samo cierpieli. Rzadko kiedy woźnica zgadzał się zrobić jeszcze jedną turę. Konik był zmęczony upałem i długą, piaszczystą drogą. Trzeba więc było zacisnąć zęby i trwać w nieposkromionym pragnieniu do wieczora, aż do powrotu.

A nam w ciegelni, w której latem było także strasznie gorąco, zwłaszcza w hofmańskim piecu, gdzie temperatura podnosiła się do 50°, Igor Matwiejewicz zaproponował przygotowanie na upały lodu. Wykopałyśmy więc odpowiednio głęboki rów, powoli zimną lałyśmy doń wodę, która zamarzała natychmiast. Przykryłyśmy lód trocinami, o które nasz dobry dyrektor się postarał, później warstwą ziemi. Latem jak znalazł. Nasza woda była krystaliczna, chłodna, orzeźwiająca. Miałyśmy poczucie komfortu.

Igora Matwiejewicza wspominam z żęzką. Zesłano go dawno, przed naszym przybyciem, zaraz po wojnie, z całą rodziną. Przyjechał gdzieś z zachodniej Rosji. Nie wiem, co było powodem zesłania i czy w ogóle jakiś powód był. Podobno wolno mu było nawet wrócić. Ale nie chciał, przyzwyczał się do stepu, do jeziora. Nie przypuszczam zresztą, aby miał ambicje lub chęć rozpoczynania życia na nowo. Wpadł w alkoholizm. Pił od rana, i jeżeli nie wypił swoich dwustu gramów, trzęsły mu się ręce, nie mógł w nich utrzymać pióra. Dla nas był życzliwy, czasem ruskim obyczajem okrywał kogoś matem, ale działał bez złości. Interesował się głównie hofmańskim piecem, spędzając na nim długie godziny, resztę zostawiał niemal całkowicie nam. Nigdy o sobie nie opowiadał. Tyle lat spędziliśmy razem chodząc po

cechach, lustrując roboty, zastanawiając się nad różnymi produkcyjnymi problemami, nigdy nie pytał, za co siedzę. Myślę, że był bardzo ostrożny, że jako zesłaniec bał się każdego bardziej osobistego kontaktu. Ale można było go zawsze o coś poprosić, coś mu wytłumaczyć, gdy się zdarzyła awaria lub inny jakiś kłopot. Wiem, że miał do mnie pełne zaufanie. Czasami więc tylko przychodził na zakończenie prac, aby zapisać, co zostało zrobione, czasami w ogóle cały dzień go nie widziałam. W razie czego zastępował go majster Kolka, strasznie głupi i ważny, z którego niewiele sobie robiłyśmy. Ale ktoś wolny musiał być choćby dlatego, aby przyjmować telefony, bo mnie i innym więźniom było to surowo zakazane. Dyżurna nadzorczyńni nie zniosłaby takiego naruszenia reżimu. A telefon dzwonił często, zapowiadając wagony, parowóz, ciężarówki itd. Najchętniej dyżurował w biurze kazach Abaj, pełniący funkcje pomocnika majstra. Uwielbiał rozmawiać przez telefon, wydając rozkazy w swojej murzyńskiej ruszczyźnie: *Pięć wagon dawać tupik*, wołał. Nazywałyśmy go tupikiem. Chodził w lecie i w zimie w tym samym buszłacie, w tych samych połatanych spodniach i ogromnym malachaju. Zawsze dziwiło mnie, że się w tym ubra- niu nie upiekł.



Niedobrze jest pisać o obozie. Od paru dni śni mi się po nocach bardziej realny niż jawa. Wydaje mi się, że się właśnie obudziłam, że powrót, Warszawa, wszystko, co nastąpiło po powrocie, przez te długie dwadzieścia lat, jest tylko marzeniem, sennym urojeniem, i oto znów idę dróżką koło hofmanki i widzę ją tak wyraźnie, z drobnymi szczegółami, które się dawno w pamięci zatarły. Spostrzegam charakterystyczne załamane muru, odrapany tynk, nierówny tor szyn i koślawe wagoniki, które, tak myślę, trzeba znów oddać w ręce ślusarzy. Potem nagle siedzę w biurze za dwoma złączonymi stołami naprzeciwko Igora Matwiejewicza i czuję niepokój, bo mi brak iluś tam człowieko- dni do normy. Niepokój był tak dotkliwy, że się obudziłam cała nim nasiąknięta. Dlaczego tak wyraziste są sny, a tak mar- twe słowa? Nie wiem, czy w ogóle jest możliwe oddanie tamtych nastrojów, lęków, tęsknoty, cierpienia. Czy można je sobie wyobrazić, jeżeli się ich nie przeżyło? Do wyobraźni przema- wiają rzeczy znane albo brutalne fakty, które przerażają, więc bicie, tortury, śmierć. Czy więc czytelnik może pojąć mój niepo- kój? Może wyda mu się on wręcz błahy. Nie wie bowiem, czym

jest więzienie, nie przeżył w nim długich dni i nocy, i nie wie, co to jest głód. Zna tylko apetyt, zdrowy apetyt, z którym tak przyjemnie siadać do suto zastawionego stołu. Ale apetyt i głód są rzeczami nieporównywalnymi. Głód nie mija, głodu nasycić ot tak, byle większą porcją nie można. Ściśnięte kiszki nie przyjmują pożywienia. Przez chwilę udaje się je oszukać, ale dla wynędzniałego organizmu ta chwila niewiele znaczy. Zresztą jest rzadka. Głód jest więc stale, w dzień i w nocy, tygodniami, miesiącami, bez wytchnienia. Nie pozwala myśleć, zmusza do czynów niskich, nęka, upokarza. Czasem uda się go przytłumić ofiarowanym przez kolegę sucharem, dużą skręconą *bankrutką*, ale to złuda, już jest, już ćmi. Całe ja zamienia się w jedno pragnienie: jeść. Wszystko jedno co i za jaką cenę. Głodny szuka wśród wylanych pomyj, schyla się po rzucony ogryzek, śsie kartoflane obierzyny. Ileż tych ludzkich cieni kręci się zazwyczaj koło kuchni, czeka, aż ktoś zostawi resztkę mizernej zupy, kawaleczek rybiej głowy.

Kiedy pierwszy raz w więzieniu przyniesiono mi porcję chleba, wydała mi się ogromna. Kto może zjeść 400 gramów. Nigdy w domu nie spożywano takiej ilości pieczywa. Jak szybko jednak organizm traci zapasy. Wystarczy tydzień rzadkiej zupy bez mięsa i tłuszczu, kompletny brak cukru, a już porcja chleba staje się w oczach więźnia mikroskopijna. Żyje on bowiem tylko chlebem. Po latach diety organizmy są tak wycieńczone, że nawet parę dni zmniejszonej racji powoduje katastrofę. Ileż razy obserwowałam, jak biedny zek, któremu przez kilka miesięcy udawało się żyć trochę lepiej, który nabierał sił i ciała, przeniesiony do innej pracy, gdzie już normy nie można było wykonać, gdzie zostawała mu osławiona gwarancja, zaczynał „dochodzić”.

Po pięciu dniach podlicza się wszystkie prace. Pięciodniowe wykonanie normy decyduje o pięciu dniach życia, o tym, jaki dostaniemy *pajok*. Utracić rekordową *pajkę*, to z powrotem głodne dni. Tylko pięć, bo na ogół mamy rekordowy *pajok*. Ale za nami ciągną się lata głodu i każda chwila, która znów nim grozi, jest nie do zniesienia. Mój sen jest jakby powtórzeniem przeszłości. Ileż razy siedziałam tak naprzeciwko Jegora Matwiejewicza, patrząc na niego. Był za sprytny, nie dawał się oszukiwać. Z nim kręactwa nie miały najmniejszego sensu. Trzeba było się zdać na jego dobrą wolę. Gdy gliny brakło i cegielnia praktycznie mówiąc stała, lub gdy zdarzyła się jakaś awaria, wszystko brało w łeb, nasz plan stawał się martwy, nie można było produkcji cegły zastąpić inną pracą.

Nigdy nie prosiłam, to także było bezskuteczne, on sam

rozumiał dobrze sytuację. Ile ci potrzeba? — pytał. — Tyle a tyle. — Dużo. — Jeżeli będzie mniej, zwrócą uwagę, zaczną pytać, dlaczego tak źle. — Nie może być zawsze dobrze. — Zainteresują się nie tylko w obozie, także i w pana dyrekcji, Jegorze Matwiejewiczu. — Znał moje argumenty równie dobrze jak ja. Przyznawał im słusność. Trzeba było jednak wpisywać fikcyjne prace, tego się bał. Na dwoje babka wróżyła. Wreszcie brał pióro do ręki, a ja cała zamieniałam się w soplek lodu, czy dopisze tyle, ile mi potrzeba. Sam liczył. 113%, naprawdę więcej nie mogę. Wiedziałam, że nie może, ale to i tak nie było źle. Część ludzi będzie mogła mieć dalej rekordową *pajkę*, część *otliczną*, można się zmieniać. Jutro będą remontować prasę, a jak wszystko znów będzie grało, znikną kłopoty. Wtedy nie będę patrzeć z niepokojem na naszego dyrektora.

Niekiedy przychodził w sztok pijany i zasypiał w biurze. Żał mi było patrzeć na tego niemłodego, zniszczonego przez życie człowieka. Niekiedy wypijał w sam raz i wpadał w doskonały humor. Najbardziej lubił Olę U. Jej brygada pracowała na prasie. Wołał ją wówczas do biura pod byle jakim pretekstem, aby się trochę przekomarzać, pożartować. Śmiał się z jej ukraińskiej mowy, z chochłackiego akcentu. Nie cierpiał natomiast naszej nadzorczyńi, zwanej Skorpionem, która nam niezmiennie asystowała w cegielni, biegając z cechu na cech, węsząc, czy ktoś gdzieś nie naruszył reżimu, a że naruszało się go nagminnie i ciągle, bardzo trzeba było uważać. Jegor Matwiejewicz doskonale naśladował sposób mówienia Skorpiona, jej pełną błędów chłopską gwarę gdzieś z okolic Mordowskiego rejonu, z tym charakterystycznym akcentem na o. Była to rzeczywiście baba nieprzejętnie głupia, a przy tym złośliwa i podejrzliwa, która wszystkim zalała sadła za skórę. Miała nieprawdopodobnie małe świdrujące oczka, ale wzrok bystry i niesłychaną spostrzegawczość. Wchodziła w zonie do baraków cicho jak kot i zawsze zauważała, jeśli ktoś miał nożyk w ręku albo druty do robienia swetrów. W mig była przy ofierze, zabierając skarby, często także samą ofiarę od razu do karceru. Umiała znaleźć najprzemysłniej pochowane listy, ołówki, druty, żyłki czy też kłębki wełny. Miałyśmy zawsze satysfakcję, gdy się jej coś nie powiodło.

Raz zdarzył się w cegielni wypadek, który ubawił nas wszystkich. Jegora Matwiejewicza nie było, poszedł do domu, za żonę. I nagle dano mi znać, że gaśnie w hofmance ogień. Jest to technologiczna kłeska. Wysłałam dziewczęta, aby zbierały, gdzie się da, połamane deski i biegły na górę, a sama poleciałam do składu po naftę. Z ciężkim wiadrem spieszyłam z powro-

tem, gdy wtem Skorpion zniecała, widocznie śledząc mnie, jak z beczki nabierałam paliwo, zastąpiła mi drogę. Benzyna — krzyczała — chcesz podpalić cegielnię, *sabotażnik, faszyst*. Chciała mi odebrać wiadro, więc ją pchnęłam wbrew wszystkim zasadom reżimu i poleciałam na hofmankę, gdzie już deski się piętrzyły. Zaczęłyśmy akcję, deskę umoczoną wrzucać trzeba było do otworów pieca, płonął wówczas silniejszym ogniem. Jeden otwór za drugim, trochę nafty, trochę drew. Znalazł się i Jegor Matwiejewicz, obejmując od razu komendę. Rąbcie deski, mniejsze szczapy, lej tu, jeszcze lej, dawaj, dawaj, i wreszcie okrzyk radości, poszedł. To ogień nabierał siły i zaczynał powoli potężniejąc poruszać się wprzód obejmując coraz to nowe ściany surowej, przygotowanej do wypalania cegły. Byliśmy tak zajęci, że nie zauważyliśmy, że na hofmańskim piecu stali już od pewnego czasu nasz pułkownik, komendant obozu, naczelnik oddziału produkcji, naczelnik reżimu, *oper*, sprowadzeni telefonicznie przez Skorpiona, aby stwierdzić, jak to sam *prorab* podpala cegielnię. Co myśleli, widząc nas i naszego dyrektora, bądź co bądź wolnego człowieka, osmolonych, czarnych od sadzy, rozgrzanych, bo temperatura, jak się otwór pieca otworzy, sięga wyżej tysiąca stopni, a co najciekawsze zupełnie nie zwracających uwagi na nic, pochłoniętych swą dziwną czynnością, tym zbiorowym podsycaniem ognia buszującego gdzieś w czeluściach budowli. Dostrzegłam ich w pewnym momencie kątem oka, ale udałam, że nie widzę, choć zrozumiałam od razu, po co przyjechali. Szepnęłam o nich Jegorowi Matwiejewiczowi i o mym spotkaniu ze Skorpionem. Nic nie powiedział, ale był wyraźnie zadowolony. Wreszcie mogliśmy odetchnąć, ogień został uratowany, dziewczęta odesłałam do zwykłej ich roboty, a sama poszłam zameldować się naczałstwu. Jegor Matwiejewicz mnie wyprzedził. I od razu z miejsca zaczął, że trzeba mnie jakoś nagrodzić, że w jego nieobecności uratowałam ogień, a więc tysiące cegieł, tysiące rubli, że bardzo mi dziękuje, ot jeszcze jakieś takie słowa. Mina Skorpiona była nie do opisania. Naczelnicy, jak to naczelnicy, chwalić zeka nie lubią, więc coś tam powiedzieli, że to dobrze, iż tak *czestnym trudom odkupaju swoju winu*, i poszli. Woleliby zapewne, aby naprawdę ktoś okazał się podpalaczem. Za wykrycie takiego złoczyńcy posypałyby się orderzy i nagrody, może nawet awanse, a tu nic. Zwykła produkcyjna sprawa. Jakiś tam ogień zgasł i trzeba było podlewać go naftą. Nic wielkiego. Nie ma o czym napisać raportu. Tylko Skorpion była wściekła i patrzyła na mnie z nienawiścią. Kiedyś wreszcie spytała mnie, dlaczego jej nie wyjaśniłam sprawy,

skąd mogła wiedzieć, że mam dobre intencje. Cóż mogłam odpowiedzieć. Spieszyłam się i tyle, nie było czasu na wykład. Trochę nawet żał mi jej było, bo dziewczęta, jak mogły, drwiły, najbardziej zaś śmiał się Jegor Matwiejewicz. Mógł sobie na to pozwolić. Żadnej nagrody oczywiście nie otrzymałam.

Sielankowy obóz. Sielankowa cegielnia. I więźniarki wyglądają w mojej opowieści jak aniołki. Pocziwe, pracowite dziewczyny marzące o tym, żeby cegła była piękna. Coś jest w tej mojej opowieści, co mnie dziś razi, a jednak jest prawdziwa.

Przypominają mi się słowa jednego z moich mistrzów profesorów. Mówił, że każdy człowiek, być może, musi mieć jakieś drzewko, którego się może uchwycić, choćby to była złuda, choćby wątłe i chwiejne, samo ledwo się utrzymywało na trzęsawisku. Może ta cegła była dla nas takim drzewkiem? Może pozwalała nam zachować resztki człowieczeństwa? Dla nadzorców byliśmy nikczemnikami i ta nikczemność nasyciała nasze własne dusze; trzeba było się przed nią bronić, a wszystko jej sprzyjało, i wieczny niepokój, i głód, i donosy, i represje, i wlokący się czas, wyjaławiający, rozcieńczający w powodzi drobnych codziennych trudności życia resztki woli, myśli, człowieczeństwa. Z jakim trudem trzeba było walczyć o ten wewnętrzny ogień, o tę człowieczą siłę. Cegielnia — to ciężka praca. Ileż razy bywało, że po powrocie do zony któraś z dziewcząt miała już dość, nie chciała iść do łaźni, kładła się na nary obojętna na wszystko, brudna, w ceglany mule. Ileż cierpliwości trzeba było, aby ją przekonać, że ten wysiłek jest konieczny, że się trzeba jeszcze raz umyć, że trzeba zmienić tę brudną fufajkę na schowany pod głową sweter, że trzeba zjeść obrzydliwą kaszę owsianą, choć skurcz żołądka powodował niemal wymioty. Perswadowało się raz delikatnie, raz ostrzej, aby nie dopuścić do abnegacji, do upadku. Abnegacja to początek końca, to rezygnacja z człowieczeństwa, to prosta droga do więziennej choroby, dziwnej choroby, gdzie człowiek stawał się automatem, szedł, gdzie mu kazali, robił, co mu kazali, nic nie dobijając z siebie, jakby w ogóle zatracił własne ja.

Jeden z moich kolegów już po powrocie do kraju nie miał siły się wyzbyć tej więziennej choroby. Czuł się dobrze tylko w sanatorium, gdzie lekarze i siostry nim komenderowali. W domu nie podnosił się z łóżka. Niegdyś wykształcony, inteligentny, nie czytał nic, nawet gazet, nie interesował się polityką, życiem, rodziną. Słuchał biernie muzyki, nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, co grano. Gdy go odwiedzałam, opowiadał o pracy akowskiej, ale jakoś bezbarwnie. Mnóstwo rzeczy zapomniał.

Skleroza atakuje szybko niedożywiony i bierny organizm, który nie zmusza się do żadnego wysiłku. Umarł któregoś dnia cicho, bez żadnej określonej przyczyny. Po prostu zgaś.

Psycholodzy twierdzą, że wystarczy posiedzieć w więzieniu trzy lata, aby zaszły zmiany w ludzkiej psychice. U nas mówiło się, że pięć lat można przestać na jednej nodze. Pięć lat to jeszcze nic, jest się tym samym człowiekiem. Im dalej, tym gorzej. Perspektywa dziesięciu lat jest perspektywą bez granic. To całe gimnazjum, dwa fakultety, córka, która zdążyła przejść do czwartej klasy. Nikt z nas w normalnym życiu nie myśli takimi kategoriami czasu, nie układa takich planów. Cóż można wiedzieć, co będzie za rok, za dwa? A za dziesięć? Czy można w ogóle myśleć o końcu wyroku? Czy można snuć jakieś marzenia czy plany? Przyszłość staje się pusta. Wspomnienia zacierają się. Głowa nie pracuje tak jak dawniej, fakty uciekają, ucieka wiedza, nazwiska, wiadomości. Tylko wciąż przed nami dzień zaczynający się pobudką o piątej rano, tylko ta miska zupy i łyżka kaszy oraz kawałek *garbuszki*, potem *razwod*, czasem od szóstej rano, oczekiwanie na wymarsz bez względu na to, czy wieje wiatr, czy jest mróz, czy straszliwy upał, potem droga pieszo lub ciężarówką, poprzedzona sakramentalnymi słowami konwoju. I robocza zona. Długie godziny dnia, cięższe, lżejsze, jak Bóg da, nędzna obiednia zupka i znów dalsze godziny bez końca, aż wreszcie przychodzi *zjom* i droga powrotna po długich jedenastu godzinach. Jeszcze czekanie na wachcie na *szmon* i zona. Obiad, łaźnia, parę wolnych chwil, które można wykorzystać, jeżeli nie jest się zbyt zmęczonym, na przeczytanie paru stron jakiejś książki, na rozmowę z przyjaciółmi i już nadchodzi wieczorna *prowierka*. Cały obóz ustawia się piątkami, nie mogąc doczekać się końca liczenia. Chciałoby się pomóc analfabetom nadzorcom, którzy się nieustannie myślą. Dzwon obwieszcza zakończenie *prowierki*, teraz został tylko barak, cisza nocna, zamknięcie za zekami drzwi na kłódkę, duchota zatłoczonej sali z piętrowymi łózkami, zapach wilgotnych watówek. Jeszcze należy wymyć zęby, koniecznie, choćby była tylko zimna woda, trochę się opluskać pod umywalką, jeżeli się nie było w łaźni i na nary. Ostatnia przed snem wielka *bankrutka*, druga przygotowana na rano, na *podjom*. I sen. Śnić najlepiej jest o cegle, przynajmniej nie ma się rano kaca.



Próbuję odtworzyć kilka cyfr. Produkcja nasza wynosiła miesięcznie około półtora miliona cegieł. Za tysiąc cegieł płacono

w zależności od pory roku i od tego, czy pracowaliśmy nocą czy dniem. Średnio suma ta wynosiła około 95 rubli. Sama więc cegła dawała obozowi z górą sto czterdzieści tysięcy miesięcznie. Pamiętamy, że wszystkie roboty takie jak ładowanie wagonów, produkcja bloków cementowych, wyładunek węgla, oczyszczanie śniegu itd. były płatne oddzielnie. Gdyby nawet liczyć, że wykonywano je jedynie na 100% według stawki dziennej zwykłego robotnika, która wynosiła wówczas 17,86 rubli, a przy tych pracach zajętych było około czterdziestu osób, trzeba dodać jeszcze 20 tysięcy rubli, razem 160.000 miesięcznie. Ale zarabialiśmy dużo więcej — średnio około 600-700 rb na człowieka. Sumę tę przynosiło do obozu około 300 ludzi. Według danych buchalterii, które nie były tajemnicą, bo wszystkie rozliczenia prowadzono w zonie, koszty utrzymania więźnia, a więc jego wyżywienie, ubranie, a także koszty elektryczności, wody itp. kształtowały się w tych latach na poziomie mniej więcej 80 rubli na miesiąc. Wniosek stąd jasny. Trzysta osób pokrywało całkowicie koszt utrzymania ponad 2.200 osób, a więc cały żeński obóz plus 200 osób. Ale inne brygady także pracowały i przynosiły dochód. Staram się podawać cyfry najskromniejsze. Przypuścimy więc, że nie wypracowywały one normy, że więc zarabiały mniej niż 18 rubli dziennie — tylko 15. Licząc 24 dni w miesiącu (a zwykle pracowaliśmy więcej) pokrywały one w pełni sumy wydawane na ich życie i jeszcze na każdej obóz zarabiał ze 280 rubli. Wystarczy zatem dokładnie policzyć, aby przekonać się, jak intratną gospodarczo instytucją są obozy, które skupiały w tamtych czasach ponad 10 milionów ludzi. Straty minimalne, dochody ogromne. Zamiast płacić po czterysta, sześćset czy tysiąc rubli (wszystkie te rozliczenia pochodzą z czasu przed reformą pieniężną), płaci się najwyżej 80. Reszta może być odprowadzona do skarbu państwa. Przy tym więźniów można posłać wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba, tam, gdzie wolny człowiek jechać nie chce i gdzie trzeba by mu dać wysoką pensję. A więc i w pracy kryła się dwoistość. Została zorganizowana w celu *pieriewospitania*, ale ideologiczne hasło przesłaniało prawdę bardziej prozaiczną i konkretną. To w dużej mierze baza decyduje o istnieniu obozów, a nie nadbudowa.

ZYCIE CODZIENNE: OBÓZ

Trzeba przypomnieć czytelnikowi o kilku faktach. Do 1948 kryminaliści i polityczni byli razem. Na wiosnę 48 gruchnęła wieść o zwalnianiu Polaków. Żyliśmy wówczas w ogromnym napięciu. Na naszym centralnym *oście* były tylko trzy Polki i około 120 Polaków. Pierwszy etap przyniósł rozczarowanie. Pojechali wyłącznie ci którzy mieli 5 lat wyroku i artykuł 58, 10 lub 12. Nikt z kobiet, kilkunastu chłopców. To wszystko, ale na przesyłce za płótem słyszeliśmy głosy innych Polaków, i przynieszone stamtąd wieści mówiły o dużym formującym się etapie, wyraźnie zmierzającym do Polski. Mężczyznom bowiem nie golono głów, wydano ubrania podobno w miarę porządną, otrzymali lepsze wyżywienie. Gdzieś w czerwcu wyszedł drugi etap i wówczas wstąpiła w nas nadzieja, pojechali bowiem i dziesięcioletnicy, w tym moje dwie panie. Zostało nas około dwudziestu osób. To był naprawdę duży etap i cieszyłam się szczęściem kolegów, choć gdzieś w duszy nękał żal, że nie ja. Było mi tym bardziej gorzko, że rozstawałam się z najlepszymi obozowymi przyjaciółmi, z którymi widywałam się często, prawie co dzień. Pojechał nasz kasjer, mecenas S., który pomagał nam czasem — po cichu prowadził rozmaite cywilne sprawy wolnym, szukającym u niego pewnej porady. Był lepszy niż prawnicy rosyjscy. Zawsze więc wolniaszki w jakiś sposób próbowały się mu wywdziękzyć, choćby puszką świńskiej tuszonki. Nie muszę chyba dodawać, że cały ten prawny proceder toczył się w tajemnicy, mecenas pisał pozwy i odwołania, a wolny adwokat je parafował. Wyjechał nasz miły doktor królujący pośród *blatniaków*, śmiejąca się Roma, gotująca mnie i Romce wspaniałą szpinak z pokrzywy pani J. Zostałam sama. Koledzy Rosjanie pracujący w naszym obozowym biurze planowania

zapewniali, że szykuje się następny etap i że na pewno jestem na liście.

Tymczasem w drugiej połowie października zarządzono nagle nie w terminie ogólną komisję zdrowotną. Prowadzili ją wolni, nieznanymi nam lekarze. Po kategoriach można było domniemywać, że szykuje się wielki etap. Inwalidom dawano 3 kategorię, tym, co mieli trzecią — drugą lub nawet pierwszą. Nie ulegało wątpliwości, że obóz chce się pozbyć słabszych. Rzecz charakterystyczna, dawano te wyższe kategorie przede wszystkim politycznym, choć wezwani przed areopag sędziów zostali wszyscy.

Pod sam koniec października wpadli jeszcze przed *podjmem* nadzorca i *nariadczyk* z krzykiem, jak zgraja wilków, każąc się wielu z nas momentalnie pakować. Jak jest etap, to naczałstwo dostaje obłędu. Zek jest poganiany nieprzytomnie, nie ma czasu ani się porządnie spakować, ani pożegnać z kimkolwiek. Niedoświadczeni natychmiast się tracą. Znałam już ten ceremoniał, ale wezwanie mnie na ten właśnie etap razem z całym tłumem politycznych Rosjanek, Ukrainek i Łotyszek nie wróżyło nic dobrego, to na pewno nie był etap do Polski. Brutalne wrzaski naszych władców przyprawiły mnie o dygotanie raczej z wściekłości, niż z rozpacy. Ledwo się zebrałam, jak wylądowałam razem z tłumem innych dziewcząt w obozowej łaźni, gdzie nas poddano dokładnej *sanobrabotce*, to znaczy goleniu włosów wszędzie prócz głowy. W łaźni siedziałyśmy niemal do wieczora. Po tym porannym gwałcie i pośpiechu, leżałyśmy na swoich workach, czekając na dalszy ciąg. Hans jako lekarz wśliznął się, przynosząc mi z dziesięć paczek „Białomorów”. Pod wieczór przeprowadzono nas na przesyłkę. Tam już było pełno kobiet, sam 58 artykuł. Wielonarodowe towarzystwo z rozmaitych *ołów* i *łagpunktów* naszego północnego obozowego królestwa. Plotki chodziły najrozmaitsze. Dlaczego ta separacja? Może wiozą nas tam, gdzie będzie nam lepiej, może uznano status więźnia politycznego? Naiwności. Owszem, uznano, ale po to, by zaostrzyć reżim.

Nary były wszędzie pozajmowane, trzeba było szukać miejsca na ziemi. Zauważyłam kilka dziewcząt o inteligentniejszych twarzach i ku nim się skierowałam. Zamieniłyśmy ze sobą kilka grzecznych słów, nie okazały jednak ochoty przyjęcia mnie do swego grona. To były Rosjanki, jak zawsze nieufne wobec każdego obcego. Trzymałam się więc sama, bo tych kobiet, które przysły z naszego *ołu* prawie nie znałam i nie miałam o nich wysokiego wyobrażenia. Były to proste Ukrainki

ze wsi, trochę Litwinek, Łotyszek i Estonek. Grupy narodowościowe trzymały się razem, Polek nie znalazłam. Parę inteligentek, także Rosjanek, miałam jeszcze przedtem możliwość obserwować, jak spędzały wolne noce w męskich barakach. Nie ciągnęło mnie do nich.

Noc jakoś przeszła. Rano, gdy wyszłam na podwórze, zobaczyłam paru znajomych naszych panów. Lżej stało się na sercu. Nie będę znów taka sama. Poznali mnie też z innymi Polakami i zaprzyjaźnionymi Ukraińcami a także z rodaczkami, które przyjechały z innych ołów i zostały umieszczone w innych barakach. Z tymi dziewczętami trzymałam się do odjazdu. Poprzedził go jak zwykle szmon, rewizja, którą robił konwój, już nie zwykła ochra, a więc ci niemal emeryci, żołnierze, którzy nie nigdy nie obchodziło i którzy obowiązki swoje wykonywali pospiesznie i bezładnie. Tym razem był to prawdziwy MWDowski konwój, który nam pruć czapki, wysypywał cukier mieszając z mąką i tytoniem, łamał z pasją nasze drewniane walizeczki. Dobrze, że miałam prócz walizki uszyty worek, coś w rodzaju plecaka. Rewizja trwała niemiłosiernie długo. Zabierano fotografie, listy, małe pamiątki z domu, lusterka, igły, nici, blaszane łyżki (można było mieć tylko drewniane). Moich domowych fotografii, które miałam głęboko zaszyte, nie znaleźli. Drewnianą walizkę, kupioną w szpitalu za kilka pajek chleba sama połamałam, żeby nie mogli na niej wyładowywać swojej złości. Wreszcie zaczęło się ładowanie, jak zawsze po 40 osób do bydłowego wagonu. Udało mi się wleźć natychmiast na górne nary koło okienka. Mogłam potem przez nie patrzeć, dokąd nas wiozą. Kotłas, Wołogda, Perm, Mołotow, mijaliśmy Ural. Przed nami rozpościerała się już nieobjęta syberyjska ziemia.

Sołżenicyn długo się zastanawiał nad tym, komu były potrzebne te nowe obozy o wzmocnionym reżimie, tak zwane spec-obozy, *specłagi* w oficjalnej nomenklaturze, które z taką szybkością zaczęto organizować pod koniec 1948 roku. Jego zdaniem chodziło o to, aby jeszcze silniej represjonować nienawistnych sobie ludzi, jeszcze bardziej ich poniżyć, a może w ogóle doprowadzić do masowej eksterminacji. Pewnie ma rację, ale tylko częściową. W Rosji wszystko jest dialektycznie powikłane. Kto wie, czy jakiś prawnik nie domagał się oddzielenia politycznych, nie dlatego, by im życie pogorszyć lub ułatwić, lecz by odciąć ich od kryminalistów i tych ostatnich ratować przed wpływem wrogiej propagandy. No bo jakże? Bandyta, morderca wróci kiedyś do społeczeństwa, ale cóż będzie z jego pie-

riewospitanijem, skoro zostanie przeżarty trucizną kontry? Zresztą w zwykłych *itł*-ach kontakt z wolnymi był łatwy, wielu z nich pracowało wprost w obozie, przekonując się na własne oczy, że ci z 58 artykułem to ludzie bądź zupełnie niewinni, uwikłani w splot zawiłych wojennych sytuacji, bądź też inteligentni, ciekawi, uczeni, to znów patrioci walczący o wolność swych krajów. Czy można zrozumieć, dlaczego się tu znaleźli? Sądzę, że takie mogły być argumenty. Lecz skupienie w jednym miejscu ludzi tak niebezpiecznych wymagało specjalnych środków ostrożności. *Spectag* — to specjalny reżim. W oknach *kraty* (przedtem ich nie było, no bo po co, dokoła zona, po której chodzić można, a zonę otacza płot i drut). W *specu* jednak barak na noc się zamyka, wstawiwszy przedtem paraszę. A więc i okna powinny być zabezpieczone. Zek w nocy nie ma prawa przejść się ukradkiem z baraku do baraku. Zek stracił też nazwisko, teraz jest numerem. My kobiety mamy na sukniach z przodu i na plecach wszyte białe kawałki materiału, na których mocnym chemicznym ołówkiem wykalfigrafowany jest numer. Nosimy je też z tyłu na watówkach i buszłatach, na watowanych spodniach, a mężczyźni jeszcze na czapkach. Numer wisi również na deszczułeczce nad każdą kojką. Nadzór już nie woła ani po nazwisku, ani po imieniu, tylko numerkiem. MW 190 chodź tutaj. W praktyce jednak mówiono do nas po nazwisku, bo zazwyczaj nie reagowałyśmy na numery, a to dyżurnych nadzorców zbyt denerwowało. Mamy też częściej rewizje. Nie mówię o tych normalnych przy wyjściu z zony do pracy i przy powrocie. To codzienny ceremoniał, na który nie zwracałyśmy uwagi. Wielkie rewizje odbywają się przed każdymi świętami, a więc przed 7 listopada i 1 maja, wygania się nas wtedy bez względu na pogodę poza zonę ze wszystkimi rzeczami. Można zostawić tylko materac. Wpierw nadzorcy i żołnierze robią bardzo dokładny *szmon* w zonie, potem zabierają się za nas. Kończy się ta zabawa gdzieś koło 5-6 wieczorem, obiad, a ponieważ jutro święto, to na pociechę przywożono kino. Ale my musiałyśmy wpierw posprzątać w barakach, ułożyć trochę rzeczy, a to i wysuszyć, gdy właśnie wypadł deszcz. Rewizje bywały i z innych powodów, z których najgorszy — to gorliwość naszych obozowych władz.

Mamy też dwa więzienia w więzieniu, karcer i *bur*. *Bur* jest lżejszy, zamyka się w nim zaraz po powrocie z roboty i wypuszcza rano prosto na *razwod*. Pajkę dostaje się normalną, nie karną jak w karcerze. Zawsze też te kilkanaście godzin nie jest się zamkniętym, żyje się z innymi. *Spectag* wprowadził więc

stopniowanie kar. Karcer — to samo dno. *Bur* trochę lepiej, a normalna zona — niemal sanatorium. Takie bywa odczucie tego, kto przeszedł cały ów więzienny ciąg.

Teraz już nie tylko płot, druty i *wyszki* otaczają nas dokoła. Przed nimi ciągnie się podwójnie odrutowana *zaprietnaja zona*, zabronowany pas, na którym byłoby widać odcisk stopy, gdyby śmiałek odważył się wejść. *Zaprietka* jest zresztą oświetlona w nocy mocnymi reflektorami. Energii w Związku Sowieckim stale brak, ale dla pilnowania niebezpiecznego elementu zawsze się znajdzie. Liczą nas też po kilka razy w dzień. Po *podjomie*, czy w nocy ktoś się nie prześliznął przez gęsto zakratowane okno, przed wyjściem do pracy, przy wejściu do roboczej zony, przy opuszczaniu pracy, przed wejściem z powrotem do zony i wreszcie wieczorem ogólna *prowierka* wszystkich. Potem na zakończenie dnia już szybko przed wejściem do baraku na noc. Do bardaku, jak mówiły nasze dziewczęta. Siedem razy! Ile to zabierało czasu, jeżeli weźmiemy pod uwagę zdolności rachunkowe naszych nadzorców i konwojentów. Mogłyśmy być pewne, że nikt się nie zgubił, nie wywietrzył nagle. Nikt nie myślał zresztą o ucieczce. Jedna linia kolejowa. Dokoła step, gdzie nic nie rośnie, gdzie nie ma ani kropli pożywienia ani wody. Najbliższe miasto o 800 km. Las mógł przeżywić, step bez broni, bez zapasów wody, nigdy.

W barakach nie wolno było trzymać produktów z paczek ani własnych rzeczy, prócz jednej zmiany bielizny. Kto zresztą ją już wtedy miał? Tylko ci, co otrzymywali paczki. My Polki byłyśmy ich pozbawione. Chodziłyśmy więc w państwowym ubraniu. W zimie dawano nam po jednej parze bawełnianych koszulek i majtek, zmienianych przy okazji łaźni co dziesięć dni. Nie wiem, jak się inne kobiety urządzały, ale zawsze miałyśmy dwie pary, skrzętnie prane co parę dni i nie oglądałyśmy się na te, które proponowano nam w łaźni. Nieznośna była sama myśl, że można włożyć po kimś bieliznę, choćby porządnie wypraną. Każda z nas miała także jedną ciemną szewiotową sukienkę, watowane spodnie, fufajkę i buszlat, a także czapkę uszaną. Rękawiczki, szaliki miałyśmy własne, zdobywane różnym przemysłem. Na nogi jesienią wydawano nam sznurowane buciki, które wydawały się nam niezmiernie eleganckie. W zimie chodziłyśmy w walonkach, nowych, starych, bardzo starych, już niemal rozłazących się, w zależności od *blatu*. Jak był *blat*, to i walonki były nowiusieńkie. Wychodząc na *razwod* wyglądałyśmy w tych wszystkich nałożonych na siebie waciakach jak niezgrabne ciężkie kule. Ale dziewczęta uważały, że

są ubrane według najnowszej mody, bo szaliczek fantazyjnie zawiązany, czapka kubanka nałożona trochę po szelmowsku i starannie wykaligrafowany na plecach i z przodu numererek. A latem, w upały, kiedy na nogach miałyśmy tylko lekkie „tapestki” i sukienki, czułyśmy się wręcz jak modnisie. Pewnego lata nasz zaopatrzeniowiec, oficer, bardzo wesoły chłopak, frontownik (tacy zawsze byli lepsi) kupił dla tych dwu tysięcy kobiet kilkanaście bel różnokolorowego perkalu, tłumacząc się przed wyższymi władzami, że nie mógł nigdzie dostać jednokolorowego materiału. Co to była za uciecha! Krawcowe szyły wprawdzie sukienki według jednego standardu, ale zawsze można było przymierzyć, a nawet wybrać kolor. Jak stawałyśmy na *pro-wierce*, wyglądałyśmy ku zgrozie naczalstwa jak kwietna łąka.

Ogólne obozy koedukacyjne. Mimo obecności *blatnych* łatwiej w nich było żyć. Specobozy płęć rozdzieliły skrupulatnie. Ale jak to zawsze bywa, bałagan, brak przygotowania, Japończycy tylko co wyjechali, cała organizacja obozu nowa, więc pierwsze osiem miesięcy byłyśmy razem z mężczyznami. Żeńską i męską zonę rozdzielono dopiero chyba w kwietniu, po wybudowaniu własnymi siłami wielkiego samannego muru. Szpital został po tamtej stronie. Tamta zona była zresztą większa. Nasza początkowo wydawała się nam zbyt wąska, zbyt ciasna, zwłaszcza w porównaniu z wielkimi obozami północy. Baraki stały w rząd z jednej i drugiej strony, tworząc ulicę, za nimi na lewo *zaprietka* i samanny mur, na prawo więcej pustej przestrzeni, gdzie wybudowano kuchnię, klub, składziki na prywatne rzeczy, pralnie itp. Dalej rozciągał się niewielki pas ogrodu, w którym sadzono dla szpitalnych chorych trochę dyni i kawonów, ogórków i pomidorów. Nigdy nic z tych grządek nie udało mi się skonsumentować.

W obozie tym było jedno przyjemne miejsce. Tuż koło ogródka robiono saman. Brzegi wykopanych dołów, zawsze suchych w tym klimacie, nadawały się doskonale do wygodnego siedzenia. Za plecami miało się całe stosy porządnie poukładanych samanów schnących na słońcu. Przed oczami trochę zieleni ogrodu, druty, a za drutami bezbrzeżny step z widniejącą gdzieś w dali sopką. Za tą sopką zachodziło słońce. Step, zielony tylko wiosną, latem szary od kurzu zrywających się ciągle buranów, wyschnięty, spalony słońcem, przyciągał wzrok. Był absolutnie pusty. Tam nie mógłby nikt usłyszeć głosu, tam nikt nie wołał.



O *kwcz*, czyli *kulturno-wospitatelnoj czasti* pisze się zawsze źle. Jakże inaczej, skoro tam siedzą najbardziej zaufani, politycy, *stukacze*, albo po prostu rozmaite obozowe chytrusy. W *kwcz* są jednak gazety. Trzeba wiedzieć, co się na świecie dzieje. W *kwcz* jest biblioteka. Zbiór raczej dziwny, widać, że z darów, z jakichś starych zbiorów, pełno tu bowiem książek, które na wolności zostały wycofane z obiegu. Nikt ich jakoś u nas nie sprawdza. Są więc wyklęci pisarze, jak Ałdanow, Mereżkowski, Jesienin. (W tym czasie jego poezja była na indeksie). Są jakieś wydania wierszy Bunina, Balmonta. Czasem można znaleźć coś z wielkiej klasycznej literatury rosyjskiej. W tuskim obozie zaczytywałam się Dostojewskim, także niezbyt dobrze widzianym „na woli”, no i połykałam Gogola, tego najbardziej może rosyjskiego ze wszystkich rosyjskich autorów, Turgieniewa, Korolenkę czy Mamin Sybiraka. Przebrnęłam nawet przez Gorkiego. Przysyłano także do obozu rozmaite dramatyczne wypisy dla amatorskich teatrów. Była to moja ulubiona lektura, wprowadzająca mnie zawsze w doskonały humor. Tematyka tych sztuk obracała się najczęściej wokół najważniejszych narodowych rosyjskich wydarzeń. Albo więc była to historia jakiegoś bogatyrza, który się przeciwstawił osadzeniu na tronie Władysława IV, albo hunt Razina, albo pogrom armii francuskiej w 1812 r., nie tyle przez manewry Kutuzowa, co przez dzielne chłopstwo, rewolucja i ostatnia wojna. Rosjanie zawsze byli zwycięzcami, każda przegrana taktycznym posunięciem, i tylko oni mieli monopol na szlachetność, bohaterstwo i inteligencję. Polacy byli na ogół w tych dramatach przedstawieni jako łotrzykowie, spryciarze, eleganci bez charakteru, wyzyskiwacze, panowie w długich butach z ostrogami, nahajami bijący wierny ruski lud (choć jak wiemy, nahaje gdzie indziej były w modzie). Można by napisać na podstawie tej lektury o wyobrażeniach przeciętnego Moskala o Polaku. Nie tylko zresztą o Polakach. Smutne to, bo książeczki te zapewne szeroko się rozchodziły po różnych wolnych klubach chłopskich i robotniczych, szerząc prymitywny, wąski nacjonalizm.

Kwcz to także namiastka muzyki, gdy ktoś czasem zagra na akordeonie, a nawet na skrzypcach. W Tu było paru niezłych orkiestrowych skrzypków. Grali w dużej symfonicznej orkiestrze, składającej się pół na pół z zesłańców i więźniów. Grali jednak tylko za zoną, w miejskim teatrze. U nas, na pierwszym *otpie*, wystąpili raz czy dwa, w wolny dzień, przy nabitej sali. Grali jednak repertuar lekki, złożony przede wszy-

stkim z uwertur operowych. *Kwcz* organizowało chór i sporo osób brało w nim udział. Urządzano także spektakle, najczęściej składanki z tańców, chórów, solowych występów śpiewaków czasem niezłych.

Przypomina mi się historia Maryny A. Była to Ormianka, pani koło czterdziestki o wspaniałym mezzosopranie. Aresztowano ją wraz z mężem w 1941 roku. Nie chcieli się ewakuować z Moskwy: on miał jakąś pilną pracę konstrukcyjną na wykończeniu, której nie mógł kontynuować gdzie indziej, ona chciała zostać z nim. Nie wierzyli w wejście Niemców do stolicy. Niemcy nie weszli, ale ich posadzono o chęć przejścia na niemiecką stronę i dano 15 i 10 lat.

Maryna wylądowała w Tu. Był to czas wojny, czas okrutny, gdy zmarznięte trupy układano w regularne stosy, czekając, aż ziemia odtaje, by je pochować. Pelagra była królową obozu. Marynę wysłano natychmiast na ogólne roboty. Ciężki na niej zakaz wykonywania jakiegokolwiek lżejszej pracy. Zachorowała ciężko na nerki, umieszczono ją więc w szpitalu, a traf chciał, że w tym czasie szpital objął Aganes Aleksandrowicz. Ormianie jak wszystkie mniejszości narodowe są solidarni. Trzymał więc nasz naczelny lekarz Marynę w szpitalu tak długo, aż zdołała wydobrzeć, odchruchać się, stanąć jako tako na nogi. Skończyła się wojna, zelżał reżim. Marynie jako inwalidce pozwolono pracować w zonie. Ktoś też odkrył jej głos. I nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko się zmieniło. Nowo organizujący się w Tu teatr miejski, korzystający szeroko z talentów więźniów, otrzymał zezwolenie na zatrudnienie Maryny. Piszę zatrudnienie i śmieję się w duchu. Rzecz jasna nie było tam żadnej umowy o pracę, żadnego etatu, żadnej płacy. Po prostu została umieszczona na liście więźniów, którzy codziennie rano pod konwojem opuszczali zonę, aby się udać na próbę do miejskiego teatru. Wracali koło trzeciej, dużo wcześniej niż inne brygady, jedli gwarancyjną zupkę i kaszę, i o piątej wychodzili znów za zonę, by wrócić już po spektaklu. Brygada artystów, śpiewaków, muzyków, aktorów. *Pajok* mieli marny, ale wolni zawsze coś tam za kulisy przemycili. Teatr bowiem wśród swych pracowników miał także zesłańców, no i trochę wolnych ludzi, którzy nie wiadomo dlaczego znaleźli się w tym mieście. Z czasem nawet udzielono aktorom przepustek. Odtąd mogli sami opuszczać zonę, idąc wprost do teatru. Jeśli ktoś ich spotkał na innej ulicy aniżeli te, którymi zezwolono im chodzić, odbierano im nie tylko przepustki, ale także skreślano z uprzywilejowanej brygady.

Miejscowy widz teatralny dobrze się orientuje, kto jest zekiem, a kto wolniaszką. Miasto jest małe, wszyscy się znają. Ale przyjezdny?

Gdzieś w zimie czterdziestego siódmego roku nagle do Tu zawitali nadzwyczajni goście. Jechali dalej, w naszym mieście znaleźli się przejazdem, lecz że droga była długa i męcząca, postanowili się zatrzymać, tym bardziej, że mieli za zadanie lustrację prowincjonalnych teatrów i możliwość zorganizowania w Workucie opery. Jeden z tych panów był dyrektorem czy jednym z dyrektorów Teatru Wielkiego w Moskwie, inni jakimiś naczelnikami czy sekretarzami z wydziału kultury KC i z ministerstwa. Tego dnia był koncert poświęcony pamięci Czajkowskiego. Goście zasiedli na widowni, nie zdradzając swego *incognito*. Koncert przebiegał spokojnie, poprzez uwertury i muzyki do baletów, występy solowe basów i tenorów nie najlepszej jakości aż do momentu, gdy pojawiła się Maryna. Bili jej tak mocno brawo, że zwrócili tym uwagę reszty widowni. Po spektaklu natychmiast znaleźli się w garderobie artystki.

Maryna lubiła opowiadać tę historię. Widziała dobrze ze sceny, jak wstali i klaskali i nie była zdziwiona, gdy się w trójkę wdarli do niej, zasypując ją komplementami. Co pani tu robi? Dlaczego pani marnuje swą karierę w tym teatrze? Natychmiast podpisujemy kontrakt do *Bolszowo*. Pani jest lepsza niż Obuchowa! To przestępstwo siedzieć w takiej dziurze! — No i co? — pytałam. — Jak to co? Powiedziałam, że się zgadzam, o ile stojący z tyłu pan pozwoli. A ten pan to był po prostu naczelnik konwoju, który nie dopatrzył porządku i nie zauważył, że najwolniejsi z wolnych wtargnęli do zakazanego rejonu. Trzeba było widzieć miny tych panów, jak się wycofywali w pośpiechu i co tu mówić, strachu. Ale satysfakcję miałam.

Maryna się śmiała i śmiały się jej teatralne koleżanki, świadkowie zajścia. To wtargnięcie za kulisy nie uszło gościom na sucho, zabrano ich do gabinetu dyrektora, a potem ciężarówką wprost do miejscowej komendantury MWD, no bo to była w oczach *opera* próba nawiązania łączności z zekiem. Można za to dostać nawet dziesięć lat. Kłócono się w obozie, czy ich wypuszczono tego samego dnia, czy dopiero następnego. Była już wszakże noc i trudno się było z Moskwą porozumieć. W każdym razie wyjechali dopiero w dwa dni później. Tak twierdził dyrektor teatru, który ich odprowadzał na dworzec. No i dobrze im, sukinsynom. Niech wiedzą, w jakim żyją kraju i jak tiumra smakuje.

Smiano się i oburzano jednocześnie. Nie na tych, co gości zatrzymali, lecz na samych gości. Był bowiem i 35 rok i 37 i lata wojenne, a oni co, przypuszczają, że ktoś z własnej woli siedzi tu na północy? I dla kogo chcą organizować operę? Dla konwoju i nadzoru? Dla tych tysięcy enkawudystów, którzy siedzą w Workucie dokoła drutów, pilnując setki tysięcy ludzi, najlepszych sowieckich ludzi — dopowiadały Rosjanki — prawdziwych ideowych komunistów? Bo tylko tu są komuniści, ci, co nie wahali się nawet ze swej wolności złożyć ofiary dla idei. I gorycz rośnie. Maryna jednak reaguje inaczej. Nie wierzy w komunizm, bo jest Ormianką, bo wychowała się na Krymie w willi swego ojca, który sam był muzykiem, kompozytorem, sądząc po córce człowiekiem wyrefinowanej kultury. Śmieje się, nie czując ani złości ani goryczy, raczej tylko absurd tej sytuacji, absurd rzeczywistości, który tu nabiera znaczenia symbolu. Bo czyż nie było w geście owych panów uznania dla jej sztuki? Było. Czy nie okazali, jak nonsensowny jest jej pobyt w tym dalekim mieście, że gdzie indziej jest bardziej potrzebna? Potrzebna temu właśnie narodowi, który ją skazał, wygnał, przekreślając wartości, które właśnie jemu mogły służyć. I tak jest z każdym. Każdego przeszczepia się gdzieś na pustynne miejsce, wiedząc z góry, że ten przeszczep nie ma żadnych szans, by się rozwinąć, że jest to odrzucenie milionów wspaniałych ludzi, którzy społecznie byli warcami największego szacunku. Jakiż naród pozbawia się sam swego bogactwa!?

Marynę bawi naiwność gości, którzy w swym mniemaniu mogą tak wiele, którzy należą do czołówki ludzi, decydujących o kulturze w kraju i którzy nie mogą nic wobec jedynej rzeczywistej potęgi, jaką jest MWD. Cóż dziwnego, że się przestraszyli, pierwsze spotkanie zwykle budzi strach. Strach jeszcze większy tkwi w sercach tych, którzy już coś wiedzą, lecz nie zdają sobie sprawy, z której strony może spaść cios. Tylko zek już się nie boi, bo on stoi po drugiej stronie granicy. On już doznał wtajemniczenia. A lęk wznieca najsilniej to, co niewiadome. Maryna wzrusza ramionami, gdy kto pyta, czy goście jej współczuli. Nie, to ona im współczuje, bo to oni przeżyli chwile trwogi, bo to ich ogarnęła zgroza, choć krótka, choć przez chwilę. I jest im wdzięczna, bo poczuła się człowiekiem, na przekór całemu poniżeniu, jakiemu nas tu się co dzień poddaje. I co śmieszniejsze, to same obozowe władze przyczyniły się do tego, by mogła przeżyć ten moment triumfu.

Jest zresztą taki konwojent, który uwielbia muzykę. Jeżeli zdarza mu się iść samemu z Maryną, lub stać u drzwi jej gar-

deroby, mówi jej szczerze słowa zachwytu: *ty priekrasnaja, ty luczsze wsiech etich, szto tiebia sudili*. Słowa te mają dla niej posmak moralnego zwycięstwa.

Maryna nie lubi śpiewać dla wolnych. Musi jednak, jeżeli chce żyć. Uwielbia natomiast śpiewać dla nas, w zonie. Parę razy organizowano takie koncerty. Zapamiętałam, bo odbył się jeden w niezwykłych okolicznościach. Maryna była znów chora. Nerki. Leżała w szpitalu na dziewiątym oddziale, pod troskliwą opieką siostry Olgi Hainowny, sympatycznej, życzliwej dla wszystkich Niemki nadwołżańskiej. Lubiłam zachodzić do nich wieczorami po dyżurze. Był to maleńki pokoik, w którym spały obie, chora i siostra dzięki specjalnemu pozwoleniu Agnesa Aleksandrowicza. Gdy Marynie było lepiej, wyszywała serweteczki krzyżami (skąd brała nici, to był sekret) i opowiadała nam o Krymie, ojcu, swej siostrze poetce, która tłumaczyła ormiańskie wiersze na rosyjski. Czytałyśmy nieraz te wiersze, stare, w typie owych wspaniałych wschodnich bajek, pełne delikatnego liryzmu. Raz przyszła też Marta z akordeonem. I wówczas Maryna spróbowała zaśpiewać, początkowo cichutko, żeby nie przeszkadzać chorym, ale oni usłyszeli dźwięki akordeonu i kilku zdrowszych przyszło prosić o otwarcie drzwi na szpitalny korytarz. Prośli nawet ci, którym już tak niewiele do życia zostało. I Maryna zaczęła śpiewać pieśni Schuberta i Mahlera. Mam w oczach ten szpitalny korytarz pełen przykucniętych chorych w żółtawych, spranych kalesonach i koszulach, o szarych twarzach, głęboko wpadniętych oczach, które nagle zaczynały się szklić łzami.

Wróćmy jednak do *Kwcz*. W K., gdy już wybudowałyśmy sobie klub, duży budynek z salą teatralną, sceną i zapleczem, niewielkim, ale wystarczającym na potrzeby naszych dorosłych artystek (raczej marnych, bo już takich jak Maryna Aleksandrowna nie było z nami). Urządzałyśmy tam sobie w wolne dni bale. Siemionowa grała na akordeonie, my zaś, same babki, tańczyłyśmy do upadłego. Siemionowa była *stukaczem* i każdy o tym wiedział. Ale wybaczałyśmy jej tę słabość, niewiele bowiem przynosiła szkody, a akordeon w jej rękę stawał się całą jazzową orkiestrą. Niejeden się zapewne zdziwi, że miałyśmy ochotę tańczyć. Miałyśmy, miałyśmy, i lubiłyśmy patrzeć jak Maszka Syrniewa zasuwa kozaka, lub Maryjka lezginę.

Za kulisami Olga Konstantinowna urządziła sobie pracownię malarską. Leżał tam cały stos długich desek, przeznacz-

nych na transparenty. Na nich to właśnie Olga kolorowymi farbami kaligrafowała najrozmaitsze budujące hasła. Zbiór odpowiednich haseł dostarczał naczelnik *Kwcz*, wolny oficer. Podejrzewam jednak, że wymyślała je Siemionowa, czerpiąc z Gorkiego, Lenina i innej sowieckiej literatury. Olga sporządzała także *doski poczota*, a także niezbędne napisy, jak np. wejście srogo zabronione, zakazana zona itp. Musiały być one wyraziste, czytelne, widoczne z daleka. W przerwach tego ambitnego artystycznego zajęcia malarka oddawała się z pasją robieniu portretów naszym naczelnikom, ich żonom i dzieciom, nadzorcom, całej obozowej administracji. Każdy z nich marzył o portrecie. Tym, którzy nie mieli prawa wejścia do zony Konstantinowna robiła portrety na podstawie fotografii. Miały one prawie zawsze jakieś fantastyczne tło, zamawiane również przez klienta. Góry lub skały, czasem morze, albo przeciwnie — wielkie drapacze chmur. Niektóre z tych obrazów były portretem rodzinnym: babki i dziadkowie, wnuczeta, syn *armiejec* ze wszystkimi orderami. Wspaniałe bohomyzy, wywołujące nasz uśmiech, ale dostarczające biednej Oldze czasem dodatkowy kawałek chleba albo puszkę sazana. Nie wolno jej było natomiast psuć farb na te małe pejzażyki, które czasem kreśliła paru rzutami pędzla, i które przez pewien czas chowała za deskami, jakby się nie mogła z nimi rozstać. Kiedyś je jednak znaleziono. Olga Konstantinowna przesiedziała za karę dziesięć dni w karczerze, wyszła stamtąd ledwo powłócząc nogami, z ostrą niewydolnością serca i byłaby na pewno przeniosła się na tamten świat, gdyby nie pułkownik, któremu malowała właśnie portret żony. Położono ją więc do szpitala, trochę oddechowano i uprzedziwszy srogo, by więcej nie czyniła „przygotowań do ucieczki”, zostawiono wśród jej sztalug i desek. Dlaczego te małe pejzaże, przyjemne zresztą w kolorycie, miały służyć ucieczce, tego zrozumieć niepodobna. Czyżby przypuszczano, że w tym głodowym stepie przypadkowo spotkany kazach kupi jakiś obrazek? Że uciekający więzień skazany na przebycie pieszo tysiąca kilometrów może nieść jakiegokolwiek deski? Że wydostając się z obozu, co byłoby zresztą cudem, rzeczą absolutnie nieprawdopodobną, więzień zabierze z sobą obrazy zamiast chleba? A może widzieli w tych obrazach dokument najszej rzeczywistości, znak usytuowania obozu? Ale taki znak należałoby komuś przekazać, komu, gdzie? Nie ma już w K. Anglików, którzy jeszcze w dwudziestych latach budowali tu kopalnie i huty. Tylko legenda wśród starych Kazachów przypomina o cudzoziemcach ubranych na biało w korkowych heł-

mach. Miasto, które widać na horyzoncie, gdy wspinam się na dach cegielni, jest zaludnione przez zesłańców. Zesłańcom zaś nie wolno się poruszać bez specjalnych przepustek po wielkiej krainie. Są też tam prawdziwie wolni, o ile takie określenie jest w ogóle na miejscu. Są to ci, co dyrygują i pilnują. Kto z nich chciałby nawiązać jakąkolwiek łączność z zekiem? Dać kawałek chleba, wrzucić jakiś list, to jeszcze można. Ale nie więcej. *Oper* przez całe godziny męczył biedną Olgę, dopytując się, po co malowała te dziwne znaki, w jakim celu, dla kogo, co chciała przekazać, kto jest razem z nią w zмовie, w organizacji, i ani rusz nie chciał zrozumieć, że można malować dla samej potrzeby nadawania formy swoim snom i tęsknotom. To było ponad możliwości jego rozumienia.

U Olgi Konstantinowny spotkać czasem można lekarkę Marię Pietrowną. Niemłoda to pani, drobniutka, lekko przygarbiona. Ma anginę pectoris, czasem porusza się z trudnością. Siedzi już dawno. Podobnie zresztą jak i Olga i nie pierwszy raz. Mówi się o nich jako o trockistkach. Aresztowano je mniej więcej w tym samym czasie po upadku Trockiego, gdy Stalin przystąpił do likwidacji zwolenników swego konkurenta. Maria Pietrowna odsiedziała wówczas lat siedem, Olga pięć. Kilka przedwojennych lat przeżyły spokojnie, ale gdy tylko Niemcy wdarli się do Rosji, „niebezpieczny element” eliminowano z życia skrupulatnie i Maria Pietrowna znalazła się znów w obozie bez procesu, bez sądu, mocą specjalnego postanowienia na następne 15 lat. Podobnie i Olga Konstantinowa, troszkę później i na troszkę krócej. Oskarżenie? Żadne. Pytałam się obu pań, czy rzeczywiście uważają się za trockistki. Wzruszały ramionami. Okazuje się, że ktoś z krewnych, do których Maria Pietrowna była bardzo przywiązana, uczestniczył w ruchu trockistowskim. To wszystko. To wystarczyło, aby trzymać w więzieniu człowieka przez 21 lat.

Patrzę dokoła i zastanawiam się, za co siedzą te wszystkie kobiety? My, Polki, siedzimy za AK, to jasne. Podobnie zresztą Litwinki i Estonki, które miały analogiczne, choć o dużo mniejszym zasięgu organizacje. Ukrainki to banderówki. Co to jednak znaczy: banderówka? Nade mną śpi Orysia, pochodzi gdzieś ze Stanisławskiego. Jeden z jej braci był w AK, drugi u Bandery. Przychodzili nocą, jednemu i drugiemu dawała chleb i słoninę. Obu kochała. Zginęli obaj w jakiejś potyczce, być może bratobójczej. Przyszli Rosjanie i posadzili pozostałą rodzinę na 25 lat.

Los każdej z tych kobiet mógłby być opowieścią samą w

sobie. Ale my jesteśmy już otępiełe, nas nic nie dziwi, chyba coś nadzwyczajnego, ekstra, co się innym nie przydarzyło. Zresztą nikt przecież o swych przejściach nie opowiada. Można się czasem domyślić historii z urywanych słów. Historie się powtarzają, co nie znaczy, by traciły w ten sposób swój tragiczny sens. Ale tak już jest, że śmierć jednego człowieka wstrząsa silniej niż śmierć tysięcy, nieszczęście kogoś znanego, a w dodatku bliskiego — niż nieszczęścia całych narodów. By się przejąć, trzeba się zetknąć z faktem indywidualnym. W masie zaczynają się one rozptywać, nabierają monotonii, czegoś zwykłego, co już nie dotyka, co już nie przeraża, staje się codziennością. Jesteśmy więc obojętne wobec wzajemnych przeżyć i nie pytamy o nie nie tylko z nakazu obozowej dyskreacji, lecz i z braku zainteresowania.

Zobojętnienie. Robimy się wszyscy coraz bardziej twardzi, coraz mniej zdolni do współczucia. Na płacz reagujemy niecierpliwością, na skargę — wzruszeniem ramion, na czyjeś rozpaczliwe spojrzenie odwróceniem głowy. Uciekamy od tych, co snują smętne rozpamiętywania. Wolimy biec do *Kwcz* na tańce. Jak inaczej mogłybyśmy przetrwać te dni, te tygodnie, te lata?



Ilekróć spotykałam się z naszymi obozowymi *stukaczami*, niekiedy inteligentnymi, kulturalnymi ludźmi, tyle razy ogarniało mnie zdumienie: dlaczego? Niektórzy podobno *stukali* z poczucia patriotycznego sowieckiego obowiązku. Najwierniejsi spośród fanatycznych, zaciętrzewieni aż do aberracji, ślepi na fakty, na własny los, na los innych, na całą rzeczywistość, której byli świadkami? Osobiście sędzę, że raczej liczyli na łaskę, na skrócenie wyroku, na jakiś akt dobrodziejstwa, który pozwoliłby im się uratować. Mogli się jednak upewnić, patrząc dokoła, że wybawienie nie przychodziło. Po cóż było się zatem kajać i kłaść? Z ruskiej pokory wobec władzy?

Byli też tacy, którzy sprzedawali się za lżejszą pracę, dodatkową *pajkę* i paczkę papierosów. *Stukaczy* robił z nich głód i słabość charakteru. Było to postępowanie nierozsądne. W wielkich obozach mogło się skończyć nagłą śmiercią pod toporem *urki*. W *spectagach* rozszyfrowany przez kolegów *stukacz* tracił przywileje i szedł do najgorszej roboty. *Stukanie* pozwalało tylko na krótki oddech. Słabość ludzka jest jednak siłą niezwalczoną.

Czyżby to były wszystkie przyczyny? *Stukacze* są przecież

wszędzie, otaczają nas w naszym normalnym ludzkim życiu, tu w tej chwili, gdy piszę, pełni się to plugastwo dokoła, coraz go więcej, małe i duże ubiaki, donosiciele z zamięłowania i z profesji, oprawcy, sadyści. Ileż tego błota, zapewne o wiele więcej niż w obozie. Mam uczucie, że mimo wszystko otaczała mnie wówczas czystsza atmosfera. Tam człowiek upadał bądź z bezrozumnej wiary, że nagrodą będzie wolność, bądź ze słabości, braku sił, by stawić czoła codziennej męce. Chciał sobie ulżyć, niezręcznie, mylił się co do skutków, ale było to szukanie ratunku przez tonącego. *Stukacze* nie byli cynikami, choć można ich na pewno nazwać zdrajcami obozowej społeczności. To byli ludzie, którym nieszczęście lub lęk przed nim zżarły serce i wstyd. Nie było w nich buty, raczej strach przed demaskacją, a demaskowali się tak szybko.

O, proszę nie myśleć, że *stukacz* zaczął we mnie budzić współczucie, że gotowa jestem po chrześcijańsku mu wybaczyć. Nie, to raczej przyzwyczajenie do zła, otrząskanie się z tym, co powinno budzić zgrozę, obojętność na podłość i niedolę. Podłości jest zbyt wiele i zaczynamy poddawać się ośpieniu, nie robi już na nas wrażenia i nie wydaje się taka straszna. Dziś widzę, że ta zaraza obozowa jest naprawdę zarazą i że wszyscy uodporniamy się na nią powoli, przestając reagować.

Wystarczy zresztą rozejrzeć się wkoło dzisiaj. Szpicle naszej daty nie walczą o życie, nie mają więc żadnego usprawiedliwienia. To zwykle ludzie mali, cierpiący na kompleks niepełnowartości, a jednocześnie zbyt tchórzliwi, aby działać otwarcie. Wolą zostawać w cieniu, mając jednocześnie cichą satysfakcję z władzy nad innymi, zwłaszcza lepszymi od siebie, godnymi szacunku, cieszącymi się społecznym autorytetem. Jakże przyjemnie jest podstawiać im nogę, uzależniać ich życie od swego kaprysu, od takiej lub innej chętki. Jakże przyjemnie czuć się bezkarnym, zawsze krytym przez stojących wyżej, czuć się potrzebnym, bo spełnia się rolę, której inni nie chcieliby pełnić. Jakże przyjemnie spokojnie rzucać oskarżenia, potwarze, stosować represje, mieć niemal nieograniczone możliwości. Ofiara zaś nie wie, może się nawet nie domyślać, kto zastawia sieć. Stanąć z nią oko w oko, wystąpić przeciw niej publicznie, na to donosiciel nie ma ochoty ani śmiałości; dopiero gdy ofiara jest już bezbronna, zdana całkowicie na łaskę i niełaskę, można ją kopnąć butem.

Dziwimy się, czemu ich jest tak wielu. Rzecz to jednak naturalna. W każdym społeczeństwie są tchórze i ludzie żądni władzy. Zdrowe społeczeństwo stara się ograniczyć ich działania.

Władza totalitarna rozbudowuje swój aparat represyjny i przed kanałami otwierają się ogromne perspektywy. Wystarczy cichy apel władzy, by ze wszystkich kątów wylaziły owe pająki, by sieć naciągać i dławić schwytanego. W tę sieć uwiją nawet władzę, która je zrodziła.

Sama więc sytuacja rodzi zastępy *operów* i *stukaczy*, *kapusiów* i *ubeków*. Ten, kto zmuszony jest wśród nich pływać, musi nałożyć ochronny kostium obojętności. Czyż takiego kostiumu nie nosimy dziś wszyscy? Co się więc dziwić biednym zekom? Co miał czynić zek, wciągnięty wbrew woli w tę kloakę? Ten, kto nie dostrzega innych czystych wód, powoli przyzwyczajają się do smrodu. Nic nam więc nie przeszkadza, że Siemionowa *stuka*, skoro tak dobrze gra na akordeonie.

I tak powoli tracimy dusze. Dzień po dniu, razem z głodem, z pracą ponad siły, z beznadziejnością czasu, sączy się w nas kropla po kropli coś, co należy nazwać po imieniu, sączy się w nas przyzwolenie na zło. Już nie potrafimy się oburzać, już tylko wzruszamy ramionami. Dziwi nas raczej człowiek uczciwy, na którym można polegać. Sowieckie *pieriewospitanie*, ponura groźba dnia codziennego.

MIŁOŚĆ

*tolko wyszytyj kisiet'.
wzglada łaskowowo niet
tolko żałost', tolko trubka
tolko wyszytyj kisiet'.*

Wyszywany woreczek na machorkę — to symbol obozowej miłości. Wańka czy Kolka wyjmuje go ostrożnie z kieszeni, rozluźnia kolorowy sznureczek, chwytając palcami akurat tyle tytoniu, ile potrzeba na jedną bankrutkę i sypie go w nastawioną bumażkę kumpla, który pożera zazdrosnym okiem widomy znak szczęśliwego związku. Właściciel puszy się z zadowolenia i daje przyjrzeć się lepiej woreczkowi. A jest się czemu przyglądać. Na woreczku bywają kwiatki, gałązki misternie wywiedzione zieloną nitką, a czasem także wielkie serce i strzała, lub napis mówiący o wiecznej miłości, o wierności do końca dni. Z tą wiernością trochę gorzej, dochować jej trudno, nie pozwalają na to okoliczności, ale co szkodzi kilka pięknych słów, utrwalonych, by im nadać więcej mocy, one pocieszają i napawają dumą. Niełatwo mieć dziewczynę w obozie, kobiet jest mało, a konkurencja ogromna, bo chętnych do obozowej żeniaczki wielu. Nie każdy więc ma szansę.

Herling-Grudziński dał obraz zbiorowego gwałtu w słowach plastycznych i przejmujących. Widzę więc natychmiast ten barak dość obszerny, piętrowe kojki, tępawe i obojętne twarze siedzących na nich zeków. Część z nich przygląda się scenie, część nie zwraca uwagi na fakt tak mało znaczący. Dziewczyna o pokornie strachliwym spojrzeniu i *błatniacy* spuszczaający spodnie, zaspokajający żądę z naturalnością załatwiania najprostszej fizjologicznej potrzeby. To przecież przyroda — mó-

wią Rosjanie. Czemu się dziwić. Zbędne tu są czułe słowa. *Łożyś i dawaj* — wystarczy.

Lecz miłość w obozie ma różne oblicza. Obraz Grudzińskiego ukazał tylko jedno, może najbardziej drastyczne, mniej jednak nasycone dramatem, niż się to na pozór wydaje. Przypominam sobie inne sceny, inne twarze kobiet, które szczególnie silnie dotykał gułagowski los. Tylko kobieta bowiem ponosi tragiczne skutki nawet krótkiej chwili zapomnienia.

Bawiłyśmy się kiedyś w obozie w układanie traktatu na temat miłości. Jak w każdym porządnym traktacie, należało zacząć od klasyfikacji. Trzy są więc jej rodzaje. Nazwanie ich jednak stwarza niemałe trudności. Język rosyjski poradził sobie co prawda z nią doskonale. Wiadomo było, że inna jest miłość *zakonnaja*, inna miłość uprawiana przez *żenatików*, a jeszcze inna ta, której oddają się *kobły*. Jak przetłumaczyć na polski język te lapidarne określenia? Jak przetłumaczyć słowa *żenatik*, albo *kobiet*? Brak mi inwencji. Wielki traktat socjo-psychoseksuologiczny na samym początku grozi nieadekwatnością. Chyba, że zostaną przy nazwach rosyjskich, a tym, którzy nigdy nie chcieli się nauczyć języka starszego brata, niech wystarczy, że mowa będzie o prawnych małżonkach, o tych, co żyją na kurzą łapę i o pederastach, których także w obozie nie brakło.

Klasyfikacja gotowa, możemy przystąpić do określenia poszczególnych grup. Najważniejsza z nich to *żenatiki*. W Tu połowa naszych dam była z kimś związana. Z kim? Oczywiście tylko z mężczyzną, który mógł zapewnić odpowiednią obozową opiekę. Związek małżeński zawierano szybko na zasadzie dwustronnej zgody. Mężczyzna pytał: *chcesz drużyć?* Były to sakramentalne słowa. Kobieta odpowiadała: no tak, ale... I w tym miejscu zaczynał się mały przetarg na temat wzajemnych usług. Jeśli to był *nariadczyk*, *prorab*, komendant mógł obiecać wybrance lżejszą pracę: to propozycja nie do pogardzenia. Inni proponowali papierosy, coś z paczki, *kierzowyye sapogi*, albo walonki pierwszego asortymentu, rzeczy cenne, warte rozpatrzenia. Kobieta zgadzała się prac, cerować, zrobić na drutach szalik. O woreczku na tytoń nie było mowy. Rzecz ta do układu nigdy nie należała, będąc wyrazem wzruszonego miłością serca. O woreczku się marzy, na woreczek się czeka.

Układ zawarty, przystąpić należy do wykonywania małżeńskich obowiązków. Nie jest to łatwe, bo kochać się nie wolno. Za wszelkie intymne związki idzie się wprost do karceru. Trzeba więc oszukiwać nadzór. Trzeba wykorzystywać pory, gdy wszyscy z nadzoru są zajęci. Spotkania muszą być siłą rzeczy

krótkie. Nie marnuje się też ich na słowa. Patrzą, jak na parę minut przed *podjome* nasze kobiety-*ženatiki* naciągają na koszule watowane spodnie i buszłaty, na bosc nogi walonki i po cichu wysuwają się z baraku. To dobra pora. Zaraz zadzwięczy dzwon i nadzór zbierze się w swym biurze, żeby zdać raport o nocy naczelnikowi reżimu. Część nadzorców dyżuruje w stołówce, do której spieszą wychodzące za zonę do pracy brygady. *Ženatiki* wślizgują się do kabinek, gdzie czeka mąż *prydurek*, inne wprost do męskich baraków. Tam z górnych nar wystarczy spuścić trochę koca, by osłonić dolne przed wzrokiem gawiedzi i stworzyć intymny kącik. Czasem zresztą i na to czasu ani głowy nie ma, gdy się spieszyć trzeba, a jakaś mała przeszkoda opóźniła przyjsie. Miłość kwitnie publicznie, bez specjalnej *ženady*. Pół godzinki, sprawa załatwiona. Dziewczyna leci prędko do baraku, trzeba bowiem ubrać się, zjeść *bałandę* i zdążyć na szóstą na *razwod*.

Ženatiki korzystają z każdej nadarzającej się okazji i na ogół cieszą się dyskrecją kolegów. Nie wypada donosić o miłości. Dziś zresztą masz dziewczynę ty, jutro ja. Kobiety też są solidarne. Ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, ułatwiają sobie wzajemnie przeżycie miłej półgodzinki. Naczelniczka krawieckiej pracowni wpuszcza stęsknioną parę do magazynu i zamyka drzwi na kłódkę. Po pół godzinie otworzy. Starszy łaźiennik po cichu wręcza klucze od nieczynnej o tej porze łaźni. Miłość znajduje sobie miejsce wszędzie, w składzikach i w małej dyżurce doktora, w barakach i za stołem żelastwa w warsztacie, w piwnicy wśród kupy zwalonej kapusty i po prostu w ubikacji, co prawda niewygodnie na stojąco, ale co to dla pragnących siebie znaczy. Do Muzy, która zajmuje posłanie obok mnie na kojce, Igor przychodzi zaraz po dzwonku na *razwod*. Oboje pracują w zonie, jest więc to dla nich najlepsza pora. Mój stary, jeszcze ojcowski pled wisi między nami. Muza wyciąga przescieradło i starannie zasłania kojkę z pozostałych stron. Mało tam miejsca, więc Igor ściąga spodnie stojąc między narami i wślizguje się w ten prowizoryczny namiot. Halka — Rosjan-ka, która śpi nade mną, i ja czym prędzej uciekamy z baraku. Walce, która pracuje w kuchni na nocnej zmianie, nic igraszki Muzy nie przeszkadzają, choć się całe nary trzęsą. Spi na górze pochrupując i tylko patrzeć, jak spadnie. Budzi to w nas serdeczny śmiech.

Ženatik musi być wierny. Obozowego męża zdradzać nie wolno. Kara może przyjsć natychmiast i jest okrutna. *Urka* wpierv jednak udziela przestrogi. Dziewczyna stara się prze-

wiązać sine podbite oko, trochę się wstydząc, a trochę pyszniąc uczuciem swojego Czumy. Biję, więc kocha. Czasem jednak przestroga nie odnosi skutku. Wówczas należy się spodziewać najgorszego: albo tramwaju, a więc zbiorowego gwałtu (*urka* rzuca niewierną na uciechę kumplom), albo noża. Czasem się uda spod noża uratować, czasem ktoś powstrzyma od zadania ostatecznego ciosu. Dziewczyna wyliże się w szpitalu i wraca na *ołp*. Nie na długo. Mogli już kochanka zabrać, mogli za próbę zabójstwa skazać go na nowy wyrok, lub, co częściej bywało, odesłać do kolonii karnej. Zostawiali koledzy i ci zwykle mścili się jeszcze okrutniej na niewdzięcznicy.

Naprzeciwko mnie zajmuje kojkę dr Lidka K. Jest naszą obozową dentystką. Sympatyczna kobieta, fachowiec raczej marny, ale ząb wyrwać potrafi. W gruncie rzeczy na tym polegało leczenie. Kiedyś podobno była związana z jakimś lekarzem, zabrano go jednak na inny łagpunkt. Teraz żyje z inżynierem z biura planowania, dość przystojnym, sympatycznym mężczyzną, zajmującym wraz z kolegą w baraku „planowików” oddzielną kabinkę. Doktor Lidka ma więc wszystkie wygody, nie musi zrywać się rano. Jej przyjaciel także pracuje w zonie, wystarczy zatem wyjść na chwilę w czasie roboczego dnia, spotkać się dyskretnie, najlepiej wówczas, gdy brygady wracają z pracy i nadzór zajęty jest ich przyjmowaniem. Sielanka trwa. Dr Lidka ma dużo rzeczy, więcej niż ktokolwiek z nas. Podobno poprzedni obozowy mąż otrzymywał duże paczki od rodziny, także z przeznaczeniem dla niej. Lidka ma porządne buty, nowe burki, chyba ze trzy sukienki i aż trzy swetry, ma własną bieliznę, rękawiczki, szaliki. Patrząc na nią zawsze z pewną zazdrością. Sztafirkuje się przed wyjściem do pracy, zawiązuje na szyi coraz to inną chusteczkę. Robi to jednak wszystko poważnie, bez kokieterii, jest bowiem osobą szanowaną, godną, zajmującą w hierarchii obozowej wysokie miejsce.

Piszę Lidka, a przecież nikt tak do niej w tym czasie nie mówił. Zwracano się zawsze per Lidia Daniłowna, skąd więc ta Lidka została mi w pamięci?

Miałam wówczas nocną zmianę i spałam w dzień w baraku. Obudził mnie babski jazgot. Wszystkie kobiety znajdujące się w sekcji, chore i nie chore, próbowały coś wyperswadować niemłodemu już mężczyźnie, który wyrzucał z drewnianych walizek Lidii Daniłowny rzeczy na podłogę, przebierał je i wypychał do przyniesionego worka. Klął przy tym jak *urka*, wyrazy na „p” i „b” mieszały się w jego ustach ze zwykłym słowem:

suka. To był ów doktor, były mąż. Przyjechał na nasz ośp z chorymi do szpitala i skorzystał z okazji, by niewierną przyuczyć. Ze skarbów lekarki wyciągał co najlepsze, a może i więcej. Zabierał jej wszystkie swe podarki. Ciężki worek zarzucił na plecy, i co dziwne, żadna z krzyczących bab nie próbowała mu go odebrać. Machnął więc tylko w ich kierunku ręką i odszedł. Odtąd właśnie Lidia zmieniła się w Lidkę, taką jak inne *żenatiki*, poddaną obozowym prawom. Cóż za różnica, czy mężem był lekarz czy *urka*?

Pytałam później tych jazgoczących kobiet, dlaczego przestały na krzyku, dlaczego pozwoliły mu zrabować cudze rzeczy. Nie mogły zrozumieć moich pretensji. Były przekonane, że miał prawo, zdradziła, więc jej się już więcej nic od niego nie należy. — Przecież te szmatki kiedyś jej podarował — upierałam się — darowanego nikt nie odbiera, to wbrew wszelkim zasadom współżycia. Rosjanki tylko wzruszały ramionami. Kiedy z nim żyła, to obsypywał ją podarkami. Żyje z innym, musi ponieść konsekwencje. On teraz ma pewno inną żonę, chce jej także coś dać. A skąd ma wziąć. — To po co krzycząłyście? — Tak sobie, może pożałuje, może co zostawi, ale jak nie zostawił to trudno, jego prawo.

Takie to małżeństwo obozowe, taka to moralność. Odeszłaś — oddaj wszystko, choćbyś miała zostać w jednym porwanym buszłacie. Elegancja Lidki skończyła się. Zniknęły szaliki i sweterki, trzeba było na nowo zarabiać na gułagowskie skarby. A to niełatwo, nie każdy ma możliwości, nie każdy ma ochotę tak pieścić wybrankę. I bez tego się obejdzie. Wystarczy, gdy dostanie dodatkową pajkę chleba i czasem gęstszą zupę.

Dobrych kandydatów na mężów też nie tak wiele, choć mężczyzn dziesięć razy tyle co kobiet. Masa obozowa do miłości się nie nadaje. *Dochodiagi* to istoty bezpłciowe. Myślą tylko, co by tu zjeść. Seksualny głód dawno w nich zamarł. W ich wyblakłych oczach nie budzi się nawet najślabsza iskierka uczucia, najślabsza iskierka pożądania. Ciągną się szkielety do stołówek w kłapiących za dużych i połatanych walonkach i żaden z nich nawet głowy nie odwróci w stronę przebiegającej dziewczyny. Tylko brygadier poprawi czapkę-uszankę i błysnie zawadiacko oczyma, tylko on może pokazać zdrowe zęby w uśmiechu, tylko on rzuci żart, spróbuje zatrzymać biegnącą, coś jej rzec, coś zaproponować. By kochać, trzeba być *prydukiem*, *robotiagą* nie jest już zdolny do niczego.

Obozowym mężem Marii Grigoriewny, ordynatorki z pierwszego oddziału naszego szpitala, jest sam naczelnik obozu.

Jest to tajemnica poliszynela. Nikt nie przeciwko Marii Grigoriównie nie powie. Jej władza jest ogromna. Kończy zresztą wyrok, niewielki, pięcioletni, i podobno ma zostać w szpitalu, pracując już jako wolna. Naczelnik przychodzi do niej tylko w nocy, na oddział, ostrożnie, by nikt go nie widział. Za związek z więźniem grozi wyrok do dziesięciu lat. Podobno latem, gdy są białe noce, unika tych spotkań. To raczej Maria Grigoriówna idzie do domu komendantury pod jakimiś tam pretekstami. Niektórzy twierdzą, że idzie tam spotkać się nie z komendantem, lecz z *operem*, że *stuka*. Być może. Czymś miłość swoją musi opłacić. Miłość to zresztą intratna. Ze szpitalnej kuchni sanitariusz niesie w zakrytych kociołkach obiad dla Marii Grigoriówny. Jest tam i kawałek mięsa, i kasza gęsta, i zupa z samego dna, taka, że łyżka stoi. Maria Grigoriówna tego nawet nie potrzebuje. Mamy teraz w obozie sklepik, a w nim bywa świńska tuszonka, marmolada, czasem nawet masło, choć rzadkość to wielka. Są landrynki różnego rodzaju, kiedyś przywieziono chałwę. Maria Grigoriówna kupuje wszystko, co jej się zamarzy, bez kolejki. Przychodzi do sklepiku i każdy się na bok usuwa, robi miejsce, aby nie pobrudzić wysmoloną fufajką jej czystej, wyfasowanej z żołnierskich przydziałów szubki. Na usługę dzień dobry, prosimy, pozwólcie, ledwie odpowiada. Kiwa tylko głową łaskawie lecz chłodno. To jeszcze dość młoda kobieta, koło czterdziestki i ładna. Niejeden *urka* westchnie patrząc za nią: *Wot takuju by p.....!*

Nie lubimy tej baby i trochę się jej boimy. Za wiele może. Mam nocny dyżur, ktoś umiera mi na oddziale. Potrzebny jest tlen. Biegnę do apteki, ale nie chcą mi tlenu wydać. Za mało go. Potrzebny podpis dyżurnego lekarza, a dyżuruje właśnie Maria Grigoriówna. — Gdzie ją można znaleźć? — Chyba jest u siebie, w jedyńce. — Jedyńka zamknięta na cztery spusty. Stukam. Otwiera mi stary zaufany sanitariusz lekarki. Nie będę jej budzić — upiera się. Klócimy się dobrą chwilę i widocznie podnoszę głos, bo nagle się drzwi otwierają i pokazuje się sama Maria Grigoriówna. Jest w białym fartuchu narzuconym na bieliznę. Z trudem hamuje gniew. Wyraźnie jestem intruzem. Nie dochodzi do niej, że ktoś umiera. Wreszcie podpisuje mi receptę. Uciekam jak najszybciej. Do apteki niedaleko, potem z workiem pełnym tlenu biegiem na mój oddział. Droga się wije między wysokimi na niemal dwa metry zaspami śnieżnymi. To raczej wąska dróżka, z trudem przekopana przez zdrowszych chorych. Moja trójka leży na tej samej ścieżce co jedyńka. Zakręt i oto wpadam z rozpędu prosto w ramiona naczelnika.

Mało się nie przewrócił. Rzucam śpieszne przepraszą i coś tam jeszcze na usprawiedliwienie i staram się szybko i zniknąć mu z oczu. W sercu mam strach. Żeby tylko nie poznał, żeby tylko nie wiedział, kto to. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że on jest na pewno jeszcze bardziej przerażony. Kto bowiem widział, żeby naczelnik *ołpu* przechadzał się w zonie sam, bez asysty, bez nadzoru. Nadzorcy zawsze chodzili w dwóch, trzech, a to i kilku. Iść samemu między zeków — to czyste samobójstwo. Jeśli więc przyszedł, to dla arcyważnych powodów, by skryć swe odwiedziny w zonie przed innymi enkagebistami. Wystarczy, że rozpaplę, iż go widziałam, a wyślę go do innego obozu, może nawet wdrożą śledztwo. Wystarczy, że się będzie bał mojej paplaniny, a wyśle mnie natychmiast gdzieś do *sztatnej* leśnej kolonii. Niedobrą mam noc, niedobry dzień pełen niepokoju.

Wieczorem w mojej dyżurce zjawia się nagle Maria Grigoriewna. Pyta o chorego, czy mu lepiej. Chce go nawet zobaczyć. Choremu jest rzeczywiście znacznie lepiej, może się go da uratować, to było serce, pewno zawał. Lekarka nachyla się nad nim, poprawia koc, wzdycha. Przegląda potem historię choroby, choć to nie jej oddział, a dzisiaj nie pełni nocnego dyżuru. Czekam aż coś powie, dostrzegam jak drżą jej wargi. Wreszcie się decyduje. — Spotkałaś kogoś wczoraj w nocy w zonie? (Mówi do mnie „ty”, ja do niej „wy” — obozowa hierarchia. Nie boli mnie to specjalnie, bo jest ode mnie o te 15 lat starsza). Odpowiadam bez namysłu: Tak, jakiś wojskowy, nie wiem czy żołnierz czy oficer, bo było bardzo ciemno. Mało go nie przewróciłam. Uciekłam, żeby mnie za niegrzeczność nie wsadził do karceru. Tylko niech pani o tym nikomu nie mówi. — Nie poznałaś, który to? — Skąd, w tym pośpiechu? Leciałam jak wariatka. Nawet nie wiem, czy nie był to czasem jakiś *urka* w wojskowej czapce, ale to byłoby jeszcze gorzej. A czy pani coś słyszała? — Nie, nie — wycofuje się natychmiast — tak mi się tylko zdawało, że ktoś w nocy koło oddziału się kręcił. Maria Grigoriewna wyraźnie jest uspokojona, choć wszystko to brzmi nieprawdopodobnie. Zona jest oświetlona dostatecznie, aby poznać, kogo się spotyka na drodze. W walonkach chodzi się bezszelestnie, trudno usłyszeć kroki. Rozumiemy się jednak doskonale. Ona wie, że nic nie powiem, ja wiem, że i ona będzie milczała. Cichy układ został zawarty. Boże, jakże my w tym obozie nawzajem się siebie boimy!

Lepiej więc nie widzieć i nie wiedzieć, kto, z kim, kiedy, jak. Nie nasza sprawa. Miłość *żenatików* odbywa się niemal

publicznie, a jednocześnie nikt o niej nie mówi, jakby jej w ogóle nie było. Czasem się zdarza, że ktoś przez zazdrość doniesie, że nadzorcy złapią parę *in flagranti*. Oboje idą do karceru. Po karcerze etap. Reżim jest nieubłagany. Małżonkowie nie mają nawet możliwości się pożegnać. Rozdzieleni już na zawsze jadą w różne strony, kto wie, czy nie na zatracenie, do innych, cięższych obozów.

Miłość to ryzyko. A jednak tylu zeków podejmuje to ryzyko wciąż na nowo. Przysługa, mówią Rosjanie. Nie tylko. Kto by nie chciał mieć kogoś bliskiego, kogoś, kto by się uśmiechnął, powiedział coś czule, zatroszczył się, zaniepokoił. W tym chłodzie wzajemnej obojętności cenne jest każde cieplejsze słowo, każdy życzliwszy uśmiech, a cóż dopiero miłość. Nawet ta krótka, brutalna ma swoje chwile radości, uspokojenia. Uciec więc od niej trudno.

Kiedyś, jeszcze na początku moich obozowych lat w tym szpitalu, w którym królował Michaił Daniłowicz, na parę dni przywieziono do naszego babskiego pokoiku więźniarkę. Siedziała już dziewięć lat. Pamiętam, że był to dla nas szok, że ktoś mógł przebywać w tym piekle tak długo. To była miła, inteligentna dziewczyna. Za co siedziała? Wystarczy policzyć. Czterdzieści sześć mniej dziewięć, to trzydzieści siedem. O szczególności pytać już nie trzeba. Opowiadała nam pierwsze lata w obozie, te najgorsze, gdy panowała wszechwładnie pelagra. Gdzieś po dwóch latach dostała pierwszą paczkę. Była to mała paczuszka, a w niej trochę rodzyneków, wschodnich łakoci (rodzice stale mieszkali w Gruzji), orzeszki, chałwa, skórkowe rękawiczki i para cienkich pończoch. Płakała nad tą paczką marząc o sucharach, cebuli i słoninie. Jakże ludziom na wolności brak wyobraźni.

Wieczorem pani Ł., Maritié i ja rozmawialiśmy z nią o miłości. I wy — powiedziała — znajdziecie sobie obozowych mężów, dziesięciu lat nie przeżyje się w cnocie. Pamiętam, jak oburzyły nas te słowa. My? Nigdy.

Trzeba tu przyznać Polkom, także Litwinkom, że się broniły, że były twarde. Rzadko która wiązała się przygodną miłością. Ale gdy się spotkało Polaka, swego chłopca, coś się w nas budziło. Paraliżował tylko lęk: co zrobić w razie czego z dzieckiem. Zajście w ciążę uważaliśmy za tragedię, w przeciwieństwie do *urkaczek*, które tylko o tym marzyły. Gdy już bowiem ciąża wyjdzie na jaw, stosunek władz obozowych się zmienia. Kobieta zaczyna dostawać 200 gram mleka, przenoszą ją do

lżejszej pracy, a potem czeka ją specjalny obóz dla matek, gdzie jest położony szpital, *dietdom* i leciutka praca, póki się karmi swe małe. Pół roku takiego odpoczynku — to dużo. Warto postarać się o następną ciążę.

Urkaczki nie przejmowały się zbyt tym, co się dalej z ich dzieckiem stanie. Miały zresztą prawo pisać od czasu do czasu do zarządu sierocińca, a nawet odebrać dziecko po wyjściu z więzienia. Nie wiem, czy to robiły. Listy pisały, to prawda. Nieraz do kilku różnych miejsc, widocznie miały już po kilkoro dzieci. Czy chciały się nimi zająć? Wątpię. Zbyt obojętnie reagowały na wiadomości. Tylko niektóre spoglądały wieczorem na fotografie małego chłopaczka czy dziewczynki trochę płacząc, wzdychając. Nie wiem, czy się bardziej rozczuły nad sobą, czy nad tymi maleństwami.

Dla politycznych, czy były nimi proste wiejskie dziewczęta czy inteligentki z Moskwy i Leningradu, rozstanie z dzieckiem było tragedią nie do zniesienia. Nie wiedziały, czy je jeszcze zobaczą, czy będzie miało opiekę. Sierocińce nie cieszyły się dobrą sławą. To tam właśnie powstawały watahy *bezprizornych*, zdemoralizowanych „małolatków”, buszujących po całym terenie ZSSR i kończących swą karierę niechybnie pośród kryminalistów. Rodził się strach o przyszłość własnych dzieci, a więc i strach przed ciążą. Polki, Litwinki, Estonki na samą myśl o dziecku w rosyjskim *dietdomie* dostawały gęsiej skórki. Stąd nasza powściągliwość. Stąd też mnóstwo abortów w obozie, czasem kończących się tragicznie. Również wrażliwsze *urkaczki* niekiedy wołały przerwać ciążę. Niektóre się chwaliły, że są specjalistkami od tego zabiegu. Wystarczy zwykłe szydełko — mówiły. Widziałam skutki tych szydełek, gdy skrwawione, pozbawione niemal życia dziewczyny przywożono w ciężkim stanie do szpitala. Zakażenie, które zwykle takiemu abortowi towarzyszyło, torowało prostą drogę na tamten świat. Czasem jednak którejs się udawało. Niejedna z kobiet zyskiwała też cichą sławę dobrej akuszerki. Czasami usługi ginekologiczne pełnili lekarze. Dawało to lepsze gwarancje higieny. Pamiętam jednak o tym, że zarówno lekarz jak i kobieta podająca się zabiegowi mogli być natychmiast sądzeni. Prawo rosyjskie nie pozwalało na przerywanie ciąży.

Specjalistą od zabiegów był nasz ftyzjatra, Zbyszek. Kiedy pracowałam na chirurgii, przygotowywałam mu instrumenty. Przychodził po nie późnym wieczorem, w godzinę potem oddawał. Komu robił, gdzie, czy na swoim oddziale czy w innym miejscu, nigdy nie pytałam. Musiał także udzielać pomocy

wolniaszkom, bo dostawał pieniądze. Trochę mi zawsze coś nie-coś odpalił, co było niezmiernie dla mnie ważne. Był przecież wówczas w obozie sklepik. Zbyszek był ostrożny, dyskretny. Wiem, że czasem odmawiał, bał się prowokacji, bał się gadulstwa niektórych kobiet. Lecz, jak sam przyznawał, czynił to zawsze niechętnie. Współczuł bowiem zbyt silnie tym zdesperowanym, gotowym na wszystko kobietom, nawet na utratę zdrowia, więcej, życia, by tylko nie wydać na świat dziecka skazanego na sieroctwo.

W Zbyszku kochała się Marta. Sliczna czarnowłosa dziewczyna z pasmem siwych włosów na skroni. Uważała się za Ukrainkę, choć ukończyła polskie gimnazjum we Lwowie, po polsku mówiła jak każda z nas, a po ukraińsku z fatalnym twardym akcentem. Pracowała jako siostra w dziewiątce razem z Olgą Hainówną. Nie wiedziałam, że jest w ciąży. Kryła się z tym, jak zresztą i inne kobiety. Skrobankę robił jej sam Zbyszek i czy to ze zdenerwowania, czy z przejęcia, czy z poczucia zbyt wielkiej odpowiedzialności zabieg sknocił. Marta dostała szalonej gorączki, zakażenia, choć instrumenty były wysterylizowane tak jak zawsze, z całą skrupulatnością. Trzeba było ją hospitalizować pod jakimś pozorem, dostać potrzebne leki. Położono ją więc z podejrzeniem na tyfus, bo tej choroby śmiertelnie się bało naczałstwo. Dawało to rękojmię, że nikt niepowołany do niej nie wejdzie, że można ją będzie odseparować również od innych chorych, a więc od domysłów i plotek. Były to dni krytyczne i ogromnie żałowałam ich obojga, zszarzałego z niepokoju Zbyszka i rozgorączkowanej, mało przytomnej Marty. Udało się ją uratować. Zaczęła już powoli wstawać, blada i chudziutka, kiedy nagle Zbyszka zabrano na etap powrotny do Polski. Był to dla niej grom z jasnego nieba. On jechał nie kryjąc swej radości, jechał do domu, cóż może być cudowniejszego. Ona zostawała tu, słaba, bez zdrowia, na nieświadome, z wyrokiem dziesięciu lat, bez perspektywy powrotu. Próbowwała się cieszyć razem z nim, kochała go naprawdę. Nie, zaiste, lepiej nie kochać, lepiej zachować chłód w sercu i nie przeżywać rozstania. Zekowi wydaje się, że miłość przynosi mu jaśniejszy promyczek w jego pochmurne dni. Gdy jednak ten promyczek gaśnie, noc robi się jeszcze zimniejsza i ciemniejsza.

Czyż nie wystarczy nam, że rozdzielono nas z bliskimi w chwili aresztu? Po co wchodzić w nowe związki, z konieczności nietrwale? Zawsze bowiem grozi etap, zawsze grozi przymusowe rozstanie. *Urka* wie o tym i dlatego się nie przejmuje. Dziś ta, jutro będzie inna. I ta inna może wyszyje woreczek

kolorowymi nićmi. *Urka* ma marynarskie usposobienie, w każdym porcie dziewczyna.

Staram się odwiedzać Martę jak najczęściej. Obie nosimy w sercu zmorę. Po pracy późnym wieczorem nie chce mi się wracać do baraku. Siedzimy więc na ławeczce przed szpitalnym oddziałem nr 9 i patrzymy w kierunku zachodnim. Płot z tej strony jest daleko od nas, co najmniej 600 metrów, nie zasłania więc czubków drzew. Po tych czubkach toczy się ogromne fioletowawo-czerwone słońce. Toczy się powoli i wierzchołki świerków jak ręce wydają się przekazywać je sobie, nie pozwalając mu się zanurzyć w ciemniejszą zieleń. Gdzieś tam ku temu słońcu pojechał Zbyszek, gdzieś tam jest też mój dom. Obok na ławeczce siedzi kilku rekonwalescentów. To *urki*. Śmieją się głośno, widocznie opowiadają anegdoty. I nagle zaczynają śpiewać zgodnym chórem:

*Ot Suchumi do Batumi szariki katała
Jeslib nie było p...y s gotodu propała.*

Brutalna prawda wyziera z tej błatniackiej pieśni. Nie ma co patrzeć na słońce. Mówimy chorym dobranoc i rozchodzimy się, każda w swoją stronę. Na wachcie dzielącej teren szpitala od ogólnej zony strażnik mnie pyta, dlaczego wracam tak późno. Miałam ciężki wypadek, operacja. Kiwa głową i przepuszcza mnie łaskawie. Zona jest cicha, pusta, dawno po *odboju*. Jest jasno jak w dzień, jeżeli ktoś w barakach nie śpi, widzi mnie z daleka. Idę szybko, z trwogą, bo ktoś może skorzystać z okazji, zaatakować, zaciągnąć w ciemny kąt. Niemal biegnę. Zdyszana otwieram furtkę w ogrodzeniu oddzielającym nasze kobiece baraki. Furtka powinna być zamykana na kłódkę, ale z reguły nikt tego nie robi. Za krzakiem dzikiego głogu, który jakimś cudem nie został wykarczowany, natykam się na leżącą na ziemi parę. Nie patrzę na nich, nic mnie to nie obchodzi. Otwieram ostrożnie drzwi od baraku i za chwilę już leżę na койce. Jeżeli mnie ktoś zauważył, jest pewny, że wracam z miłosnego spotkania.



Muza powiedziała mi dziś, że jest w ciąży. O, Boże, Zbyszek wyjechał. Naprawdę nie wiem, jak jej pomóc. Siedzą razem z Igorem obok mnie na койce i płaczą. Co robić? Może by się

zgodził wolny chirurg. Kręcę głową przecząco, on nigdy nie zaryzykuje, nie będzie chciał narazić się na ewentualne aresztowanie, a nawet tylko utratę pracy. Jest już chory, odsiedział swoje dziesięć lat. Inni lekarze nie mają żadnego doświadczenia w takich rzeczach. Jedna Maria Grigoriowna umiałaby zabieg zrobić, ale ona z zasady nie udziela takiej pomocy. Abort to przestępstwo. Zbyt jest praworządna. — W stosunku do innych — szepcze Muza, nie do siebie. Ma rację, niczego to jednak nie zmienia. Zwracać się do jakiejś babki, cichej akuszerki? Muza jest słabowita, chuda, w razie krwotoku nie przetrzyma. Odradzam jej stanowczo, lepiej urodzić. Igor jest też tego zdania. Muza myśli inaczej. Wywołanie sztucznego poronienia to ryzyko, mówią, że lepiej poczekać do trzeciego miesiąca. Jeżeli weźmie mnie szlag, to razem z dzieckiem. Dziecko się męczyć nie będzie — to najważniejsze. Ktoś powie, że najlepiej było nie bawić się w miłość, nie byłoby kłopotu. No to niech spróbuje sam napełnić lodem swoje serce. Lodu mamy w bród tu na północy. Niech zawiąże oczy, pozbawi palce czucia, niech chodzi po tej zonie, jak przemarzły pień rachitycznej brzozy, nic nie czując, nikogo nie widząc. My jednak chcemy pozostać ludźmi, chcemy, żeby nie wygasło w nas życie, bronimy się przed śmiercią uczuciowego wyjałowienia. Chcemy o kimsz myśleć, o kogoś się bać, do kogoś się przytulić. Umoralniające nauki i chłodny rozsądek niech zatrzyma dla siebie. Miłość to ludzki zryw duszy w tym nieludzkim świecie. Nie można od niej uciec, choć zbyt wielkich żąda ofiar. Czas nadszedł. Igor tuli Muzę do siebie i po twarzy tego chłopaka, który ma nie więcej jak 25 lat, ciekną łzy.

Przychodzi mi do głowy szczęśliwa myśl. Muza otrzymuje paczki od matki. Należy do tych nielicznych Rosjanek, których rodzice nie wyrzekli się córki-przestępczyni. Paczki przychodzą regularnie, regularnie przychodzą też krótkie smutne listy. Znam je, bo mi je Muza czyta. Jej matka musi być kobietą wielkiej dobroci. Nigdy żadnego wyrzutu, tylko serdeczność i trochę nowin ze swego życia. Po areszcie Muzy zwolniono ją z pracy, męża zajmującego przedtem jakieś wysokie stanowisko przeniesiono do małego biura niewielkiej produkcyjnej spółdzielni. Wiążą z trudem koniec z końcem, paczki więc są skromniutkie, widać w nich jednak serce. Poczekaj, mówię, nie nie rób, tylko otwarcie o wszystkim napisz do mamy. Mogę ci pomóc w przesłaniu listu za zonę. Maryna Aleksandrowna na pewno go przez wachtę przeniesie. Może będą mogli zabrać dziecko i zaadoptować, póki nie wrócisz. Podobno jest

to możliwe. Igor się ożywia. Wstępuje w nas nadzieja, trzeba się tylko dowiedzieć, czy takie prawo istnieje. Igor też chce napisać list do swojej dalekiej ciotki staruszki, która czasem się z nim kontaktuje. Rodzice już dawno się go wyrzekli. Jeszcze podczas śledztwa zorganizowano mu spotkanie z nimi, oczywiście w obecności prowadzącego dochodzenie. Ojciec, partyjny dygnitarz, uroczyście oznajmił, że nie chce znać syna zdrajcy komunizmu, i te same słowa powtórzyła matka. Kiedy Igor opowiada o tym, cały drży z wściekłości. Jakiż kontrast między tymi dwiema matkami, tą daleką, odwracającą wzrok od syna, i tą tu obok mnie, gotową nawet umrzeć, aby tylko dziecka nie unieszczęśliwić.

Listy napisane. Czekamy odpowiedzi. Nieszczęścia chodzą zawsze parami, lepiej by było powiedzieć — tabunami. Nowy nadzorca, gorliwiec nad gorliwcami, nakrył Igora w naszym baraku. Mużę zabrano do izolatora, Igora jeszcze tego samego dnia wysłano do innego obozu. Nie mamy wiadomości, dokąd. Gdzieś w Tu, ale w promieniu co najmniej dwustu kilometrów rozmaitych łagpunktów jest wiele. Mógł wylądować w kopalniach, na wyrębie lasu, na budowie dróg. Koniec miłości. Po pięciu dniach Muza wraca chuda niemiłosiernie, jakby te ostatnie dni wypompowały z niej resztę tłuszczu. Skóra i kości. Kaszle. Skończy się na tym, że dostanie gruźlicę. Na szczęście nie zdjęto jej z roboty, nadal zostaje w zonie. Teraz płacze nie tylko z powodu dziecka, lecz także Igora. Mija trudny, smutny miesiąc i wreszcie przychodzi list. Matka Muzy jest cudowna, chciałoby się ucałować tę panią. Już się dowiedziała, że ma prawo wziąć dziecko do siebie i uczyni to natychmiast, jak tylko zostanie odłączone od piersi. Nie będzie w *dietdomu*, znajdzie kochającą babkę. Muza płacze tym razem z radości. Jej wyrok to siedem lat, odsiedziała już trzy, jeszcze cztery i jakoś to się ułoży. Byle tylko Igor przeżył, aby mogła się z nim kiedyś spotkać. Dni Muzy wypełnione są teraz marzeniami. Dostaje już mleko, więc się trochę poprawiła. Nadzieja pomaga żyć, o ile ma się jeszcze nadzieję.



Jest rano. Noc spędziłam w operacyjnej. Mieliśmy ciężki przypadek skrętu kiszek. Całe jelito skręcone w wymyślny węzeł. Skutek obżarstwa po długotrwałym głodzie. Jak zawsze — paczka i brak powściągliwości. Chory śpi, pewno z tego wyjdzie. Śpi i Michaił Daniłowicz, śpi Maritié. To mój dzień

dyżuru, więc musiałam się nakręcić po oddziale, a teraz siedzę na stopniach szpitalnego budynku i patrzę na tajgę i coraz wyżej szybujące nad nią słońce. Przez otwarte okna sąsiedniego budynku widać krzątającego się Andreasa, myje obłożnie chorych. Czasem dobiega mnie jego głos, serdeczny, ciepły. Andreas to ukochany Maritié, pracuje u nas jako sanitariusz. Sliczny wysoki chłopak, prawdziwy Litwin z ogromnymi niebieskimi oczyma. Nagle zza płotu słychać motor ciężarówki, rozmowy na wachcie, skrzypią drzwi *prachodnoj* i już idzie ku mnie wysoki mężczyzna. Nie widzę, jakie ma oczy, ciemny czy jasny zarost, widzę tylko jego koszulę, zwykłą męską koszulę, gładką, lekko niebieskawą, której otwarty kołnierzyk prosi się o luźno zawiązany krawat. Nie *gimnastiorka* przepasana pasem, nie rubacha ukraińska na wypusk, wyszywana przy kołnierzu, które otaczają mnie tu co dzień. Koszula, jakiej nie oglądały moje oczy od trzech z górą lat. Europejska koszula. Jej właściciel coś do mnie mówi, ja mu zmieszana odpowiadam, śmiejemy się. *Coup de foudre*. Z powodu niebieskiej męskiej koszuli.



Miłość *ženatików* pociągała za sobą jeszcze inne konsekwencje — choroby weneryczne. Rzeżączka była nagminna. Leczyły się ją kąpielami w kali-hipermanganicum, popularnie zwanym morgancówką, co efekty dawało problematyczne. Pełno też było syfilytyków. Tym z kolei aplikowano bizmut i salwarsan, co niekiedy powstrzymywało chorobę. Sądząc jednak po zmianach w twarzy, charakterystycznych nosach, nie zawsze udawało się opanować destrukcyjny proces. Obawa przed krętkiem bladym stanowiła duży hamulec dla obu płci. Starano się dowiedzieć, jak się przedstawia stan zdrowia ewentualnego małżonka czy małżonki. Na ogół mieliśmy dobrą orientację, syfilytycy byli bowiem regularnie wzywani na comiesięczną komisję lekarską. Jednakże ów przepis regulaminu, którego przestrzegano dość pilnie w wielkich obozach, na małych łag-punktach i koloniach stawał się pustą literą, choćby z braku odpowiedniego personelu medycznego. Zaraza więc szerzyła się zwykle na tych odległych *komandirowkach*, z których do naszego centralnego szpitala przywożono zeków nieraz w bardzo już zaawansowanym stadium choroby. Co gorsza, kiła jest zaraźliwa także przez przedmioty wspólnego użytku. A ileż razy tak bywało, że z braku bielizny, najprostszych okryć dwie

kobiety lub dwóch mężczyzn dzieliło się jednym kocem, jednym nie zawsze czystym prześcieradłem, jednym ręcznikiem.

Przypominam sobie doskonale, jak trafiła do naszej czwartej sekcji młodziutka, licząca zaledwie 17 czy 18 lat dziewczyna. Za co ją posadzono? Nie wiem. To była Rosjanka, a tyle w latach 47-48 wpadało z powodu małego flirtu z cudzoziemcem marynarzem, czy też nierozsądnie rzuconej krytycznej uwagi o jakimś sowieckim wyrobie. W pierwszym przypadku dawano szpiegostwo, w drugim — zniesławienie Ojczyzny i jej władz. Przyznanie, że amerykańska świńska tuszonka jest lepsza od sowieckiej mogło być natychmiast uznane za szerzenie szkodliwej dla interesów państwa propagandy. Takich artykułów było sporo w karnym kodeksie ZSSR. Okazały się one zresztą przydatne nie tylko w jurysdykcji Starszego Brata. Jeżeli komuś na tym zależało, mógł zawsze odpowiedni artykuł wynaleźć i spreparować na oczekaniu politycznego przestępcę nawet z Bogu ducha winnego baranka. Dziewczyna nie miała ze sobą nic, ani grzebienia, ani jakiejś szmatki, jedynie wyfasowaną brudną po etapie koszulę, rwącą się pod pachami sukieneczynę i zniszczone buty. Bogatsze z naszych kobiet próbowały jej dopomóc, tym bardziej, że miała iść na ogólne roboty. Ktoś dał ręcznik, ktoś inny mydło, a nawet szczotkę do zębów. Z magazynu obozowego wydano jej stary koc, żółtawe prześcieradło, burki i watówkę. To wszystko. Wyposażenie znakomite. Dziewczyna była jednak zapobiegliwa i staranna, powolutku wchodziła w obozowe życie. Komuś usłużyła, komuś coś przyniosła, wyprała, choć po pracy była zmęczona, i tak zdobyła gdzieś sweterek, spódnicę, czystą koszulę. Miała szczęście, że trafiła właśnie na nasz ołp, gdzie tyłu siedziało ludzi ze starej rosyjskiej inteligencji. Udało się ją nawet zabrać z ogólnych prac. Od amorów stroniła, była jeszcze zbyt dziecinna, przyjaźniła się natomiast z inną Rosjanką, starszą już kobietą, bardzo pocziwą, mającą paczki, którymi się z nowoprzybyłą dzieliła. I nagle po roku mała Taniuszka dziwnie zachorowała — podejrzana wysypka, powiększone gruczoły chłonne. Syfilis. Kto był winien? Ta stara kobieta? Trudno powiedzieć. Nie odnosiłam wrażenia, by była chora. Zresztą każda przez Tanię otrzymana rzecz mogła przynieść zarazę. Rozpacz Tani była straszna i mimo perswazji z młodzieńczą zapalczywością oskarżeniami obrzuciła przyjaciółkę. Ta zaś, nie wiem, zdruzgotana wiadomością o chorobie czy napastliwością oskarżeń powtarzała tylko w kółko: *Nie rozumieją, Taniusza, nie rozumieją*. Taką ją zapamiętałam, tragiczną i przerażoną. Zrozumiałam wtedy,

że dla tej kobiety Tania była jakby córką, przedmiotem macierzyńskiego uczucia, które wydawało się już wygasać. Trudno się jednak dziwić reakcji Tani. Jej wyrok opiewał na 25 lat, takie bowiem w tym czasie dawano wyroki. Jaką miała przed sobą perspektywę? Okresy zaleczenia, po których choroba wybuchnąć mogła z jeszcze większą siłą? To nie wolne życie, gdzie są antybiotyki i fachowa opieka. To obóz z surowo reglamentowanym bizmutem. A i to nie wiadomo, czy lekarz bizmut przepisze.

Nic tedy dziwnego, żeśmy się bali jak ognia tej choroby, zbędnych kontaktów z rzeczami innych, choć w tych warunkach i w tym stanie higieny zachowanie ostrożności było niezmiernie trudne. Kobiety zresztą nieraz tę broń wykorzystywały we własnej obronie. *Urka* zaczęła, napastował. Dziewczyna niby zmieszana godziła się na zaloty, dodając tylko, że ukryć nie może, powinna mu powiedzieć — że jest chora. Na ogół wybieg ten skutkował, *urka* puszczał całą litanie obrzydliwych wyzwisk, okręcał się na pięcie i odchodził. Znam jednak i takie wypadki, kiedy niby chorą dziewczynę skazywano na śmierć, aby już nikogo nie mogła zarazić.

A mógł się i taki *blatniak* zdarzyć, który na wieść o chorobie rzucał stereotypowe powiedzonko: stare do nowego się nie czepia i bynajmniej nie zrezygnował z zalotów. I tak źle i tak niedobrze. Żaden z członów alternatywy nie był zachęcający.

W *spectagu* przeżyć miłość było znacznie trudniej. Przez pierwsze pół roku, póki nie oddzielono nas od mężczyzn, kontakty nawiązywano tylko sporadycznie. Zamknięte na noc baraki uniemożliwiały spotkania po *odboju*. Nadzór był gęstszy, zresztą atmosfera nowego obozu, zwiększonego rygoru, bardzo ciężkich prac w ciężkim klimacie, szybko nasilający się głód wyjaławiał serce z wszelkich uczuć. Nie było już *blatnych*, intratnych propozycji, znikły *ženatiki*. Teraz ze spotkaniem koło ambulatorium lub koło stołówki znajomym mężczyzną można było zamienić parę słów, podzielić się troską i nic więcej. A jednak i taki kontakt był potrzebny, gdy bowiem wzniesiono płot, który odseparował męską i żeńską zonę, kobiety zaczęły tęsknić, nawet do tych niewiele znanych, z którymi się tylko raz porozmawiało. Byliśmy przecież na nowym łagpunkcie zebrani z różnych miejsc, jeszcze sobie całkiem obcy. Nie zdążyliśmy przez te pół roku nawiązać bliższych znajomości. Mimo to obfitość korespondencji przerzucanej wiecz-

rami przez płot była nieprawdopodobna. Niemal każda chciała pisać, każda chciała mieć swego przyjaciela, który by jej przesłał kilka słów pociechy. Dziewczeta, które nikogo nie znały, szukały kontaktów przez pośredników. Chłopcy także pisali: czy nie ma u was Litwinki z okolic Poniewieża, chciałbym z nią korespondować. No i Litwinka się znajdowała i kontakt zostawał nawiązany. Wieczorne wędrówki pod płot, wymagające wielkiej ostrożności, aby oszukać wężącego przestępstwo reżimowe Skorpiona, było rozrywką niesłychaną. Dzielenie się wiadomościami zajmowało puste wieczory. Korespondencja nie urwała się nawet wówczas, gdy zamiast płotu zbudowaliśmy same wysoki *samanny* mur i szeroką zabronowaną *zaprietkę*. Były specjalistki od przerzutu, wystarczył niewielki kamień.

Nastąpił więc czas miłości romantycznej, sentymentalnej, która mogła nie przeżyć jednego bezpośredniego spotkania. Wiem jednak, że niektóre kontakty przeżyły całe sześć lat obozu, rozstanie w zsyłce, by wreszcie spełnić się w małżeństwie. Tylko wyjątki miały takie szczęście. Miłość korespondencyjna była raczej samooszukiwaniem się, stwarzaniem sobie i partnerowi iluzji, z którą łatwiej było żyć. Tak łatwo sobie wmówić, gdy tak bardzo chce się kochać.

Niekiedy zdarzało się, że jakiś śmiałek, szalony, przeskoczy płot i skryje się w żeńskim baraku. Były to sporadyczne wypadki, kończące się zazwyczaj długim okresem karceru. Skoczkowie nie budzili w nas sympatii, szukali zwykle byle kogo, aby dziewczyny, podczas gdy korespondenci woleli swych pań nie narażać na przykrości. Głód seksualny zaćmiewa umysł, prowadzi do nieobliczalnych czynów lub do zwyrodnienia. Miłość załatwiana gdzieś, byle jak, budziła w nas obrzydzenie. Kiedyś z Haliną wyszliśmy z łaźni, koło której tuż o piętnaście metrów ciągnął się płot. Było lato, niedziela, gorący dzień. Wszyscy kryli się przed słońcem. Przed dziurą w płocie na ziemi siedziała jedna z pracownic szwalni. Nogi miała rozkraczone, zadarte w górę, całą swoją nagą pupę starała się wcisnąć w deski. Z drugiej ich strony słyhać było ni to jęk, ni to prośbę mężczyzny: *daj posmotriet, szyrie, szyrie*. — Tfu, splunęliśmy obie.

Jednocześnie kwitła zwykła prostytutka. Mogła mieć miejsce tylko za zoną, podczas pracy, wszędzie tam, gdzie żeńskie brygady spotykały się z wolnymi. Wolni byli najczęściej szoferami, czasem inżynierami, majstrami itd. Niektóre z kobiet nie gardziły też stosunkiem z naczelnikiem konwoju lub nadzorcami. Patrzyliśmy na te wyczyny na ogół z całkowitą obojętnością, starając się raczej o niczym nie wiedzieć. Najstarszy

zawód świata zawsze, w każdych warunkach znajdzie chętnych do jego wykonywania. Zmienia się tylko wysokość opłat. W obozie kawałek kiełbasy był dobrą zapłatą. Co ciekawe, prostytutkę uprawiano także w obozie męskim, a klientkami były kobiety. Brygady zeków pracowały nieraz na dużych budowach całych mieszkalnych kwartałów albo wielkich zakładów fabrycznych. Zakamarków było tam pełno, nie do przesłedzenia. Wolne kobiety zjawiały się wcześniej przed przybyciem brygad, chowały się starannie, by ich nie dostrzegli nadzorcy, kontrolujący zawsze rano całą roboczą zonę. Potem spotykały się z wybranymi. Odchodziły dopiero, gdy już nikogo nie było. Jak opowiadali mi koledzy, płaciły dobrze, przynosząc nie tylko żarcie, ale i rzeczy. Nie znajdowały jednak zbyt wielu chętnych, bano się choroby. Podobno były bardzo prymitywne i wulgarne. Co powodowało tymi kobietami, że mając wszystkie możliwości, jakich dostarcza wolne życie, ryzykowały dziesięciu latami więzienia? Czy przyciągała je uroda ogolonych głów, czy miłość z dreszczykiem niebezpieczeństwa? A może dla tych rosyjskich dziewcząt zek, polityczny, na ogół grzeczny, „kulturalny”, jak mówiono, był mimo okrywających go łachmanów czymś tak egzotycznym jak książę z bajki? Hipoteza nie jest nieuzasadniona. Kto to wie. Spotykaliśmy na różnych pracach przez te lata wielu wolnych mężczyzn. Iluż z nich cechowała chamska gruboskórność! Czy mogli jej nie mieć? Musieli przecież sobie radzić w tej sowieckiej rzeczywistości, gdzie aby coś zdobyć, aby żyć, trzeba mieć nie byle jaką „siłę przebicia”. Byt określa świadomość, jak nas uczył Marks.

Utrudnione kontakty z drugą płcią sprzyjały wynaturzeniom. Homoseksualizm i miłość lesbijska to osobny rozdział. Te pary określano dosadnym zwrotem: *kobły*. Wśród mężczyzn panowała swobodnie i cynicznie, na zasadzie trochę sportu, trochę zabawy, rzadko się łącząc z sentymentalnym uczuciem. U kobiet było inaczej. Zetknęłam się z tą miłością już w pierwszym moim obozie. Była tam młodziutka Litwinka, Grażyna, miała wyraźne skłonności safistyczne i nim się spostrzegłyśmy, wciągnęła w wir swoich zabaw najmłodszą z naszych Polek. Przykra to była sprawa, staraliśmy się bowiem wszystkimi siłami przeciwdziałać zaraźliwym wpływom. Bezskutecznie.

W obozach koedukacyjnych problem homoseksualizmu zniknął, w każdym razie nie dostrzegano go niemal u kobiet. Wystarczyła jednak przymusowa separacja z mężczyznami, aby zaczynał dawać o sobie znać. Co ciekawe, dojrzałe kobiety, mężatki, nie były nań podatne i przymusowy celibat znosiły dość

dobrze. Ulegały zazwyczaj młode dziewczyny, jeszcze niewinne, nie znające miłości. Koło pięćdziesiątego roku *specobozy* zaludniły się „dwudziestopięciolatkami”. Na tyle lat opiewał wyrok. Duszono w ten sposób żywe i wciąż się odradzające ruchy nacjonalistyczne na Ukrainie, Litwie, w Estonii. Fala represji zagarniała przede wszystkim młodzież, która nie chciała uczestniczyć w komsomołach i gotowa była w każdej chwili do sabotażu, do walki wręcz, beznadziejnej co prawda, ale uporczywej i okrutnej. Wśród tej młodzieży było pełno dziewcząt mających po siedemnaście, osiemnaście lat. Pochodziły zazwyczaj ze wsi, z ukraińskich chutorów rozrzuconych po Podolu i Wołyniu, otoczonych sadami, bogatą lessową ziemią, którą teraz zabierano ich rodzicom na sowchozy i kołchozy. W dwadzieścia lat po kolektywizacji w ZSSR przyszła kolej na oczyszczanie polskiej i ukraińskiej ziemi ze wszystkich jej synów, którzy chcieli żyć wolni. Była to masówka, aresztowano i sądzono naprędce setki tysięcy ludzi. Tyłu młodych, tyle dzieci! W naszym obozie budowano szybciej nowe baraki. Sześć sekcji po sześćdziesięciu ludzi w każdej. To był pierwszy rzut. Za nim poszły inne. Żeński obóz, liczący początkowo około 500 kobiet, w niespełna dwa miesiące rozrósł się do dwóch tysięcy. Nowoprzybyłe prawie nie siedziały w więzieniu. Nie zdążyły więc zmienić się w *dochodiagi*. Wiejskie zdrowe dziewczyny chciały jeść, pracowały dobrze, nawykłe do ciężkiej pracy, i nie chciały patrzeć w przyszłość. Perspektywa spędzenia całej młodości w obozie była przerażająca. Właściwie odebrano im życie, i za co. Niektórym tylko za to, że podały swemu bratu, który się gdzieś ukrywał, kawałek chleba. Inne i takiej przewiny się nie dopuściły. Wystarczyło, że ojciec miał dom, pole, bydło. A nawet jeśli wiele z nich miało sympatie banderowskie, lub nawet brało udział w banderowskich oddziałach, to czy nie miały prawa iść z braćmi i ojcami, skoro wydawało im się, że właśnie ta droga prowadzi do wolności? Nigdy nie miałam sympatii do Ukraińców, ich okrutne czyny budziły wręcz nienawiść. Tam nagle, z daleka od naszych ziem dostrzegłam zagubiony, nieszczęśliwy naród, który miał w sobie coś ze stepowego sokoła. Był piękny, gdy szybował ciesząc się mocą swych skrzydeł, i straszliwy, gdy spadając jak kula wpijał pazury w ciało zdobyczy. Ten naród chciał być wolny, tylko nie wiedział, jak dążyć do wolności.

Niełatwo zatrzeć dawne bolesne urazy. Wspólne nieszczęście bynajmniej nie pomaga w torowaniu drogi do wzajemnego zrozumienia. Stare konflikty narodowościowe bardzo ostro wybuchają w obozie, przy różnych nawet drobnych okazjach. Ukraiń-

cy wymyślali Rosjanom, Polakom, ci nie zostawiali dłużni. Gruzini nie cierpieli Moskali, darzyli sympatią Polaków. Chińczycy do wszystkich odnosili się z grzeczną rezerwą bez odrobiny sympatii. Ale wśród poszczególnych ludzi nawiązywały się kontakty, nawet jeśli pochodzili z wrogich sobie narodów. Miałam bardzo dobre stosunki z Ukrainkami. Lubiłam je. Były czyste, skrzętne, ładnie śpiewały i wyszywały, a ich zaciętość i nienawiść wobec ruskich nie pozwalała na żadne z nimi konaszachty. Nie było wśród nich *stukaczek*.

Przykro więc było patrzeć, jak niektóre z tych najmłodszych zawiązywały nagle związki między sobą. Co prawda nie było ich wiele i przypuszczam, że nie zostawiły po sobie większego psychicznego spustoszenia, choć nasycone były niemal histeryczną żarliwością. Żarliwość ta budziła w nas niekiedy wesołość, częściej odrzę. Patrząc z dystansu mam wyrozumiałość dla tych dziewcząt, rozpaczliwie chwytających się namiastki miłości, byle tylko znaleźć zapomnienie i mieć poczucie bliskości z innym człowiekiem. Wówczas tej wyrozumiałości nie miałam i razem z innymi nieraz gęstą drwiną obsypywałam kochające się pary. Dla otoczenia były one nieznośne: szloch, spazmy, sceny zazdrości, rozpacz przy najmniejszym rozstaniu, nawet do innej brygady lub baraku. Reakcje gwałtowne, chorobliwe, jak cała ta miłość. Rzecz jest jednak dobrze znana, wielokrotnie opisywana, nie będę się na niej zatrzymywać dłużej. Pozwolę sobie tylko wspomnieć o jednej postaci, anegdotycznej, dla niejednej z nas wręcz śmiesznej i bardzo smutnej.

Spędziłam razem z Siergiejem Michajłowiczem w jednym obozie sześć długich lat, wiązało nas coś w rodzaju zdystansowanej przyjaźni opartej na wzajemnym szacunku, choć niekiedy, przyznaję, jego zachowanie budziło we mnie wesołość. Starłam się jednak tę wesołość hamować, nie ze strachu przed sporą wiązką *matów*, lecz ze współczucia. Należałam bowiem do nielicznych, którym opowiedział swą historię.

Piszę: on, jego, a przecież była to zwykła kobieta, jej prawdziwe nazwisko brzmiało Sofia Michajłowna Afanasjewa. Lecz także w oficjalnym formularzu dodano: vel Siergiej Michajłowicz. A więc trawestyta. Zawsze ubrany po męsku. Nosił wojskowy frencz, wojskowe spodnie i archaiczne buty ze sztylpami. Jak je zachował, gdzie je zdobył, należało do jego tajemnic. Włosy miał ostrzyżone krótko po męsku, nie ogolone, choć zgodnie z reżimem, skoro chciał uchodzić za mężczyznę, powinien był być wygolony na czysto. Zarostu oczywiście nie miał, natomiast cechowało go wiele męskich zdolności. Umiał maj-

sterkować i lubił to. Zawsze go wzywano, gdy coś się zepsuło, gdy trzeba było naprawić jakieś drzwi, zamek, elektryczność i coś tam jeszcze. Niezmiernie był wówczas dumny, a usiłującym mu pomóc kobietom rzucał zwykle krótkie i wzgardliwe: Zostaw, to nie dla ciebie robota. Lekarze twierdzili, że pod względem anatomicznym był jak każda kobieta, podobno nawet kiedyś musiał rodić, bądź miał poronienie. Niech no jednak która z nas weszła do łaźni, gdy się kąpał, podnosił krzyk pod niebiosą.

Siergiej Michajłowicz był tolerowany przez władzę. Raz tylko jeden z naczelników próbował go zabrać do męskiej zony. Wynikła z tego cała awantura, która zmusiła naczelnika do zamknięcia Sergieja w karcerze, ale do męskiej zony zabrać się go nie udało. Bał się zapewne nie tylko drwin prawdziwych mężczyzn, ale i czegoś gorszego. Tak więc żył między nami ten dziwny twór, stając się przedmiotem różnych opowieści, tym weselszych, że wiecznie był zakochany.

Jego najdłuższą, najtragiczniejszą miłością była Żenia. Inteligentna, kulturalna Rosjanka, Leningradka, przyjmowała hołdy z pobłażaniem, wyrozumiałością, a może nawet ze współczuciem. Siergiej nie był głupi, dużo wiedział, dużo czytał, choć nie miał właściwie żadnego porządnego wykształcenia. Rozmowa z nim odsłaniała zwykle pod pozorną gruboskórnością nieoczekiwaną subtelność, artystyczne wycucie, refleksję drażącą gdzieś w głąb wydarzeń i rzeczy. Można z nim było dyskutować, można się było od niego wielu rzeczy dowiedzieć. Żenia więc z nim rozmawiała, tak jak rozmawiałam ja czy Maryjka. Może właśnie z powodu tych rozmów dzisiaj go wspominam. Był jednym z nielicznych w obozie ludzi, który się nie bał zapuszczać w analizy otaczającego nas systemu, ukazywać jego sprzeczności i paradoksy i sięgający korzeni fałsz. Nie miał złudzeń. Rosjanin z krwi i kości, na pewno przywiązany do swego narodu, umiał jednak oceniać go chłodno, nie szczędząc surowych ocen.

Nie jestem dziś w stanie powtórzyć jego wywodów ani argumentów. Nie wierzę też, aby ktokolwiek, po wielu latach, tego typu dyskusje i wynurzenia mógł odtworzyć z pamięci. Nigdy nie zapisywane, zacierały się stopniowo, pozostawiając po sobie tylko coś na kształt ogólnego wrażenia lub zarysu jednej czy dwóch ogólnych tez. W próbach odtworzenia zawsze brzmi fałsz. Interesujące rozmowy Wata w więzieniu sowieckim są znakomitymi dialogami z samym sobą. Rodzą się one z rewizji własnych poglądów, z potrzeby usprawiedliwienia zachwianej wiary.

Są literackim kamuflażem procesu zdejmowania łusek z własnych oczu. Jest to zawsze proces fascynujący, godny najwyższej uwagi. Lecz ja nigdy takich łusek nie miałam. Wychowana na samej granicy, w codziennym kontakcie z tymi, co uciekli z tamtej strony, błagającymi o prawo pozostania na każdych warunkach, aby tylko nie zostać odesłanymi znów do raju, wiedziałam, że nie ze Wschodu należy oczekiwać szczęścia dla ludzkości. Siergiej jest wart wspomnienia dlatego, że również tych łusek nie miał, a rzecz to była rzadka. Na ogół bowiem Rosjanie, nawet ci, którzy krytycznie odnosili się do nowego systemu (oczywiście w najgłębszej tajemnicy, z niesłychaną ostrożnością formułując jakże nieśmiałe uwagi), wierzyli, że może się zmienić na lepsze i przyjmie wreszcie idealne formy. Choćby cała rzeczywistość krzyczała przeciwko, człowiekowi jest ogromnie trudno pozbyć się myśli, do których się przyzwyczał, którymi się nasycił i uznał w końcu za własne. Komunistyczna wiara jest jak rak, czasem i obozowa operacja nie zdoła usunąć przerzutów. Kto wie, czy chorobliwego procesu u niektórych nie przyspiesza. Tak mniej więcej mówił Siergiej. I dodawał: „Cierpią, wszystko straciły, ale niech no umrze Stalin, a będę płakać”. I po śmierci Stalina: „A nie mówiłem? Płaczą — Rosjanin nie ma oczu, jest ślepy, gorzej, nie umie myśleć sam, tylko według wskazówek, jak mu każą. Zanim zdanie wypowie, wpierv spyta, co na ten temat myśli Komitet Centralny”. Trafność tych uwag uderzała mnie. Ileż razy pytałam o jakieś zdanie kogoś z kolegów Rosjan. Zawsze słyszałam odpowiedź, może nie zupełnie szczerą, ale niemal automatyczną: „Trudno powiedzieć, nic jeszcze w tej sprawie w *Prawdzie* nie pisano”. Koniec, kropka. Nawet opinie literackie są kształtowane odgórnie. Mieć własny odrębny sąd — to odwaga ponad miarę. Ktoś ze śledezych powiedział mi kiedyś: Pani myśli w sposób niezależny, już tylko z tego powodu należy panią posadzić.

Siergiej często wdawał się w rozważania na temat rosyjskiej kultury. Tylko w wielkim skrócie mogę oddać jego tezy. „Każdy Rosjanin — mówi — to barbarzyńca, który tak niedawno został uwolniony spod jarzma mongolskiego. Przepojony jest więc żądzą odwetu, naturalnym imperialistycznym pędem, którego nic teraz nie powstrzyma. Podbić świat, tak właśnie, jak to czynili Mongołowie, oto cel jego działania. Jak potem trzeba będzie tym światem rządzić, jakie mu nadać formy ustrojowe, to sprawa drugorzędna. Komunizm wbrew temu, co się o nim myśli potocznie, nie jest bowiem żadną wizją organizacji społecznej ani politycznej. Jest on wyłącznie ideologią, która uła-

wia znakomicie podbój. Został on ze względu na takie właśnie zadania odpowiednio zmodyfikowany, odbiega daleko od teorii Marksowskich, atrakcyjność jego polega na niedookreśleniu, łatwości, z jaką każdy rząd a nawet człowiek może nagiąć jego tezy do potrzeb chwili. Okazał się skuteczniejszym orężem niż otwarta imperialistyczna polityka carów. Nie łudźmy się, stworzył takie możliwości, których nie miał Piotr Wielki. Piotr marzył o przebicciu okna na Zachód. Nasi władcy o panowaniu nad Zachodem, ba, nie tylko nad nim. Co się dzieje wewnątrz kraju, Rosjanina dziś nie obchodzi, jak i nie obchodziło go dawniej. Rosjanin może głodować, siedzieć w więzieniu, być przesładowany przez własne władze, pęka jednak z dumy, gdy zobaczy, że czerwony kolor rozlewa się po mapie na nowo zdobyte terytoria. Mongolia, Korea, całe południe, zaraz będzie Afganistan i Zatoka Perska, a z drugiej strony Inflanty, marzenie Piotra, kraje bałtyckie, Polska. Czyż pani nie widzi, że gdybyśmy tylko myśleli o sobie, jak każdy normalny naród, gdyby nie ten dziki irracjonalny pęd, który nas ogarnia, moglibyśmy żyć spokojnie w węższych granicach, ale bogaci, niemniej bogaci jak Kanadyjczycy? Wszystko mamy, surowce, ludzi, i to zdolnych ludzi. Siły jednak, które ten kraj kryje, trwonimy na propagandę, zbrojenia, szerzenie dywersji tam gdzie tylko to możliwe. Po co? Komu to potrzebne? Przecież to postępowanie absurdalne. Gdzieś musi być tego postępowania przyczyna, gdzieś jest jego źródło. Proszę jednak pamiętać, że od czasów ruskiej wspólnoty indywiduum nie nigdy w Rosji nie znaczyło. Rosja nie zna liberalizmu, to był zawsze kraj panów i niewolników. Nawet tu, w obozie, Rosjanin albo chce panować, upokarzając innych, albo zmienia się w niewolniczą *sześciorkę*. Nie umie inaczej. To atawistyczny impuls, nie do pokonania”.

Próbowałam oponować, bronić Rosjan przed nim samym. Ale on się nie dawał zbić z tropu. Podczas jednej z takich rozmów opowiedział mi o sobie. Mowa była o starej rosyjskiej arystokracji. Śmiał się z niej, z jej blichtru, zewnętrżności, snobizmu — przykrywających gnuśność i wiarę w ten stary ruski ideał, że jeżeli los nie dał mi być bogatyrem, to najlepiej siedzieć na przyłbzie i siemeczki gryźć. Sam z tego środowiska pochodził. Czasem o nim mówić z goryczą, niemal ze złością: Cóż z tego, że ojciec jeździł po różnych uniwersytetach świata. Trochę tych książek przywoził, które czytałem ukradkiem. Jego największą pasją było zawsze polowanie. Cierpiał nad tym, że się urodziłem dziewczyną. Zabraniał mi nosić sukienki. Ostrzygł mnie na chłopaka i uczył konnej jazdy, fechtunku, strzelania.

Chciał mieć syna. Przyzwyczałem się do bycia synem i to mnie uratowało. Jak przyszła rewolucja, zmiotła nasz dom, rodzinę, mnie jednemu udało się ukryć i uciec. W chłopięcym przebraniu wśród żołnierzy, rozbestwionej gawiedzi mogłem się jakoś utrzymać przy życiu. Pracowałem, gdzie się dało, czasem fizycznie, czasem w naprędcie organizowanych biurach wiejskich rad. Umiałem czytać, co się tej ciemnej masie wydawało czymś niezwykle cennym. Byłem więc nawet komisarzem w jakiejś tam małej mieścinie. I tak życie szło. Dobiłem się wreszcie lepszej pracy, zacząłem nawet chodzić do wieczorowej szkoły, aby uzupełnić wykształcenie, choć okazuje się, że książki w domu ojca dały mi więcej wiedzy niż ówczesny zakres dziesięciolatki. A gdy koledzy się śmiali, że nie mam kobiety, to spróbowałem. I tak poszło, sam nie wiem jak.

Potem przyszła wojna. Zmobilizowano go, i rzecz się wydała. Chciano go posłać na front jako sanitariuszkę, on chciał zachować swoje męskie szatki, uchodzić za felczera. Nie potrafił już inaczej. Posądzono go wpieryw o próbę dezercji, potem o szpiegostwo, i znalazł się na dalekiej północy.

Jak każda lesbijka, Siergiej był sentymentalny. Przychodził do baru Zeni, siadał na taborecie i patrzył jej w oczy. Widocznie pewnego dnia miała już dość wzdychań i miłosnych spojrzeń. Nie chciała też przyjąć bułeczek, które gdzieś zdobył z za zony. Wrócił więc zdruzgotany do sekcji. Nie wiem, czy to była poza, czy rzeczywisty akt rozpacz, ale nagle jednym ruchem rozdarł na piersi poły frenceza, aż się posypały wszystkie guziki. Potem położył się, kryjąc twarz w poduszce. Dziewczęta trochę się śmiejąc zebrały guziki, rzucony na ziemię frencez i zajęły się jego reperacją. Siergiej przeleżał, nie mówiąc do nikogo ani słowa, aż do *odboju*. Gdy jednak tylko barak zamknięto i dziewczęta zaczęły układać się spać, wyjął wzgardzone bułeczki i zaczął je zajadać jedną po drugiej. I tak go widzę, w męskiej gimnastycznej podkoszulce, bez stanika, z widocznymi pod białą płaskimi długimi piersiami, ze zmierzwioną siwą czupryną zajadającą bułeczki. Dialektyczne pomieszanie mądrości i nierozumu, dramatu i śmieszności.

A miłość *zakonnaja*, czyli ta uznana przez prawo? Cóż o niej napisać można, skoro właśnie ona, ta zwykła, ta najgłębsza, była spod prawa wyjęta. Aresztowani razem małżonkowie, rodzice i dzieci, rodzeństwo, mogli być pewni, że zostaną rozrzućeni po najrozmaitszych obozach, jak najdalej położonych od siebie, aby się nigdy nawet przypadkiem nie spotkać. Nie będą

o sobie nawet wiedzieli, gdzie są. Czasem przez kogoś na wolności, z kim się utrzymuje korespondencję, dojdzie niezauważona przez opera wiadomość, że mąż żyje, że się ma dobrze, że zdrow. Najczęściej jednak nieubłagana ręka cenzora wymaże te słowa lub cały list wyrzuci do kosza. I płyną dni, miesiące, lata, a żadna z nas nie wie, czy jest już wdową, czy jest sierotą, czy może umarło jej najdroższe dziecko. Do tej miłości lepiej się nie przyznawać. Służy ona bowiem jako szantaż w śledztwie, najstraszliwszy szantaż. Złośliwe oczy śledczego wpijają się z lubością w ofiarę, gdy mówi: *Niczewo, molczy. Uże my twojewe muža dostatoczno prokatili, on wsio skazał.* I cierpnie skóra od tych słów, od bezsilności i tylko jedna myśl się kołacze, nie pokazać, że to aż tak boli.

Nie ma też większej radości jak krótka wieść. Radością tą dzielimy się wzajemnie. To jakby święto. Ci, co dostają listy regularnie, są szczęśliwi, zawsze coś zostanie przemycone. Listy przechodzą zresztą też od tych kochanych, którzy zostali na wolności, są jakby promyczkiem ciepła, ogrzewają nasze zziębnięte serca. W *specobozach* jednak listy te przechodziły bardzo rzadko, nam zaś wolno było pisać tylko dwa razy w roku. Dwa razy i to krótko, bo znów oper lub cenzor nie zadadzą sobie trudu, by cały długi list przeczytać i ewentualnie tylko jakieś słowo skreślić. Nie, wrzuci list prosto do kosza. Więc trzeba pisać tak — oczywiście tylko po rosyjsku, inne języki nie są dozwolone — jestem zdrowa, nie mi nie brakuje. Trochę się niepokoję o Janka (Janek siedzi). Całuję, myślę i podpis. List złożony w trójkącik, bo kopert nie ma, napisany na obskurnym papierze do pakowania, idzie w świat, jako ten jedyny ślad, że jeszcze żyjemy.

Litwinki, Ukrainki otrzymują listy. My Polki już prawie wcale, do Polski pisać nie wolno, z Polski także. Jeżeli jeszcze ktoś został po tej stronie, to stara się przejmować od wyjeżdżających repatriantów korespondencję. Każdy następny list jest podpisany przez nową nieznaną mi osobę, która mnie zawiadamia o wyjeździe poprzedniej. O rodzinie nic, albo wzmianka, że podobno wszystko dobrze. My Polacy jesteśmy zupełnie odcięci od świata. Niemcy piszą. Mają prawo przesyłać korespondencję przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Bodajby to być zwyciężonym. Rzekomi zwycięzcy skazani są na niepokój i nieustanną tęsknotę.

Jednakże nasz los jest pod pewnym względem lepszy aniżeli braci Rosjan. My jesteśmy pewni, że nasze rodziny o nas myślą, że się nas nigdy nie wyrzekną, przeciwnie, że są zdolne ponieść wszystkie ofiary, by nas ratować. Prawo wobec naszej miłości

jest bezsilne. Może nas rozdzielić, ale nigdy nie zmusi do zapomnienia. U Rosjan jest inaczej. Ich miłość jest przeciwko prawu. Kochać zeka, to ściągnąć na siebie podejrzenia. Czują na ten fakt jest niemal wyłącznie inteligencja. Prości kołchoźnicy i robotnicy piszą, widocznie nikt nie próbuje wobec nich nacisku, albo się dobrze przed nim bronią. Wystarczy jednak zajmować w hierarchii sowieckiej jakie takie stanowisko, a postawy ulegają radykalnej zmianie. Żona przysłała mężowi wiadomość, że się już z nim rozwiodła. Ojciec zawiadamia oficjalnie syna, że przekreślił wszystkie łączące ich więzy. Czasem jako odpowiedź na szereg listów wysyłanych uparcie przez zeka przychodzi tylko notatka z sądu, że tow. taki i taki nie chce znać takiego a takiego i że nie uważa go za członka swej rodziny. Takie zawiadomienie zek czyta w kółko, pokazuje innym, nie może uwierzyć, nie chce uwierzyć, broni się przed tym faktem, bo nie wie, jak będzie mógł dalej żyć, jak przetrwać opuszczenie, potępienie tych najbliższych, których jeszcze nie wydarł z serca, a którzy tak bezwzględnie wydarli go ze swoich serc. Miłość rodzinna jest nicią łączącą nas z wolnością, domem, normalnym życiem, czymś lepszym, czymś, dla czego trzeba przetrwać, trzeba znieść, żyć. Gdy nić zostaje zerwana, życie traci cel. Wyjść z obozu, to znaczy wrócić. Zek nie mówi nigdy „pojadę do domu”, lecz „wróć”. I nagle nie ma powodu, nie ma do kogo. Nie można zawołać w swych gorączkowych, pełnych tęsknoty nocnych majaczeniach: czekaj, wróć. Nikt już nie czeka.

Zmartwiały z bólu zek jeszcze przez parę miesięcy będzie się łudził. Może tak powiedzieli dla niepoznaki, może ich zmuszono, może znajdą jakąś drogę, żeby mi powiedzieć, że to nie prawda. Gdy przynoszą listy biegnie i czeka, czy nie zostanie wywołany. Sprawdza gorączkowo listę adresatów paczek. Nigdzie jednak nie ma jego nazwiska. Powoli prawda dociera do wciąż broniącej się przed nią duszy. Za nią zaś skrada się apatia, pierwszy krok ku nieuniknionemu upadkowi. Zek przestaje walczyć, skoro wszyscy go się wyrzekli! Milczący, nie protestujący przed nieubłaganym prawem silniejszego, na coraz gorszych pracach, na coraz gorszych *pajkach* staje się cieniem samego siebie. Iluż takich opuszczonych umiera. Tylko nieliczni swój gniew, swoje oburzenie przetapiają w siłę życia i przeżycia, z myślą o zemście. I ciśnie się na usta pytanie: Kto jest tu zbrodniarzem? Czy ten zek, choćby nawet popełnił przestępstwo wobec panującego sowieckiego prawa, czy ci co to prawo ustanowili, zmuszając jego rodziny do haniebnych czynów? Zbrodnia i kara,

ulubiony temat rosyjskiej inteligencji. Czyż jeszcze nie zrozumiała, że zbrodnia jest tam na zewnątrz otaczających nas drutów, a kara przede wszystkim dla niej i nie w jednym wymiarze.

Na tym powinnam skończyć ten traktat psycho-socjologiczny. Byłby on jednak niepełny. Zabrakło tu jeszcze jednego — miłości do zwierząt. Nie było ich w obozie. Od czasu więzienia, gdzie obserwowałam bawiące się koty, żadnego kota, psa nie widziały moje oczy, tylko ptaki gdzieś wysoko na gałęziach.

Nieprawda. Psy były, ale tylko te, które szły obok nas na smyczy, których lubić nie można było, które były dla nas dobitnym wytworem wynaturzonej rzeczywistości. Te psy dyszały nienawiścią, chęcią mordy. Były groźniejsze niż ich panowie. Gdyby zaś jakieś domowe zwierzę przedarło się przez ogrodzenie, zostałyby natychmiast zabite i pożarte. W Tu, gdzie tyle było głodomorów, opowiadano tylko po cichu o schwytanym psiaku lub kocie. Brr, pieczono nawet na ognisku szczury. Głodny zek zje wszystko, co mu pod rękę popadnie. W K. jednak *blatnych* nie było, a po śmierci Stalina رژیم jak gdyby nieco zelżał. I wtedy, pamiętam, zjawił się w cegielni bezpieczeństwa pies, zwykły kundel. Został od razu przyhołubiony przez dziewczęta. Karmiły go jak mogły, same sobie odejmując od ust. Pies był miły, warczał na ludzi w szynelach, miał mentalność naszą, bez zaufania dla obozowych władz i tylko nas się trzymał. Oswoił się tak bardzo, że nie chciał zostawać w cegielni sam. Wciskał się w środek kolumny i naprawdę cudem przebiegał wachtę, szczęśliwy, że jest razem z nami w zonie. Radość nam sprawiał ogromną. Z kuchni dostawał najlepszą zupę. Jak tylko ktoś miał paczkę, zaraz go wołał, nie żałując najsmakowitszych kasków. Ukrainki wołały na niego Rex, Rosjanki — Czurik, a on zdawał się rozumieć wszystkie nazwy i wszystkie języki.

Niestety, kiedyś rzucił się na jakiegoś oficera. Kazano go natychmiast wygnać z obozu. Dziewczęta go ukryły, a następnego ranka przemyciły w kolumnie za zonę i mądra psina biegła za nami w dostatecznie dużej odległości, aby konwój nie mógł do niej strzelić. Przyszedł do cegielni, przekradłszy się pod drutami i przez kilka dni byliśmy o niego spokojne. Ale niedziela była wolna i widocznie nudził się sam, lub był głodny, bo przyszedł nagle do obozu. Dostrzeżono go z wyszki i za chwilę cała wataha żołnierzy rozpoczęła obławę. Znaleziono go. Mimo próśb, mimo płaczu wyprowadzono go na rzemieniu poza druty i tylko usłyszałyśmy strzał. Nawet psa nie wolno nam było kochać.

TEATR I AKTORZY

Rosjanie uwielbiają teatr. Mają znakomitych reżyserów i aktorów, wielu zdolnych scenografów. Mają świetnych teoretyków, choćby Meyerholda czy Staniewskiego. Tego pierwszego co prawda posadzili do obozu, ale drugiego cenią niezmiernie, zwłaszcza za jego teorię *pierieżywanja*, którą doprowadzili do perfekcji nie tylko na zawodowej scenie.

Pisałam już wielokrotnie o tych przedstawieniach, w których reżyserzy z różnych ministerstw, a przede wszystkim z NKWD, z całym kunsztem operując masami, niemal jak Eisenstein na słynnych schodach w Odessie, tworzyli niezapomniane obrazy, opracowane tak starannie, jakby tworzyli sztukę dla sztuki. Dramaty bywały różne, pisane *ad hoc*, rozgrywane na zasadzie komedii *dell' arte*, niekiedy przygotowywane długo, pieczołowicie, w zależności od sprawy i potrzeby. Niekiedy były to dramaciki kameralne: kilka osób na scenie, jedność czasu i miejsca. Niekiedy wielkie spektakle przy udziale setek lub tysięcy aktorów, którym dokładnie wyznaczano role, choć bywało, że aktorzy zawadzili i wbrew sztuce wyłamywali się spod władzy reżysera. Wówczas reżyser zdejmował maskę. Tych co nie chcieli grać, karał okrutnie.

Rosjanie są socrealistami. Przedrostek „soc” jest szczególnie ważny. W sztuce bowiem nie chodzi o realizm w „wulgarnym” znaczeniu. Sztuka nie ma odbijać marnej zakulisowej rzeczywistości z jej strachem, łzami, codzienną szarością, całą egzystencją ubogich i pokornych sowieckich ludzi. „Soc” nadaje obrazowi — soczystości, wydarzeniom — wzniosłości, ludziom — wielkości. Na scenie poruszamy się w koturnach i mówimy z patosem. Wszystko tam potężnieje zgodnie z wielką Ideą. Za kulisami chodzi się, na scenie się kroczy; za kulisami zmierza

się do celu, na scenie wyznacza się długofalowe kierunki; za kulisami ludzie kochają się lub po prostu lubią, tu się integrują we wspólnocie; za kulisami ludzie klepią biedę, ale tu płyną *gody rosta i proswietania, ekonomiczeskowo i kulturnowo podjoma*; tam ucisk i ograniczenia, tu *pieriewospitanie ludiej w duchie socjalizma itd.* Jak to już dobrze znamy, jakeśmy się wdorożyli do tej gry, jak niecierpliwia nas ci, co grać nie umieją, poruszając się po scenie topornie, bez wdzięku!

Społeczne role rysują się wyraźnie, bez wieloznaczności. Dobry żołnierz ma zawsze jedną kulę w zapasie dla siebie na wypadek okrążenia. Wypadłby z roli, gdyby nie użył jej w odpowiedniej chwili. Dobry konspirator, *gieroj Sowieckowo Sojuza* partyzant złapany przez Germańców powinien umrzeć męczeńską śmiercią. Takie są scenariusze. Co się dzieje z tymi, którzy pogubili słowa roli? Jest na szczęście Gułag, on im przywróci pamięć.

Ileż takich inscenizacji widziałam, ilu byłam świadkiem! Niektóre poznałam tylko z opowieści. Czy były prawdziwe, czy rzetelnie przedstawiały fakty, tego nie wiem. Ten jednak, kto tam opowiadał, czynił to z nadzwyczajną żarliwością spowiedzi. W obozach bowiem, jak już mówiłam, nikt nigdy nie dzielił się przeżyciami, nie mówił, za co siedzi, jak wpadł, jakie były koleje jego życia. Na ogół wystarczył rok aresztu lub artykuł. Dekret z 7 sierpnia 1932 r. — i wiadomo, że ten ktoś prawdopodobnie wykazał zbyt wielką inicjatywę w przedsiębiorstwie lub zebrał trochę kłosów żyta na polu. Dekret o zdradzie ojczyzny z 1934 r. — gorsza sprawa, może krytykował kolektywizację; 1937 — o tym już wszyscy wiedzą, od 36 r. zaczął się *kirowskij potok* itd.

Gdy więc ktoś decydował się na opowieść, musiał mieć wielką potrzebę serca. Mówię tu oczywiście o Rosjanach, lub szerzej o obywatelach najszcześliwszego kraju. Losy Polaków, Litwinów czy Ukraińców były na ogół bliźniaczo podobne, zasady inscenizacji te same. Gdzieś na początku piękny sowiecko-polski układ, potem otoczenie, okrążenie, rozbrojenie, areszty itd. Znane dramaty, tylko że my nie nauczyliśmy się jeszcze wówczas odpowiednio grać i zamiast składać kwiaty wybawicielom, próbowaliśmy stawiać opór. Zaskoczony naszym postępowaniem inscenizator, oburzony naszą nieudolnością zdjął maskę i zagnał nas tam, gdzie tacy marni aktorzy znaleźć się powinni.

O jednym jednak teatrze muszę opowiedzieć, była to bowiem scena, na której się rozgrywał polski dramat, i Polacy byli jego aktorami. Opowiadanie o tym fackie było krótkie i przekazy-

wane mi gorączkowo. Mieliśmy tak mało czasu i tak wiele sobie do powiedzenia. Kuzyn mój Ś. był aresztowany miesiąc przede mną. Znęcano się nad nim według wszelkich reguł NKWD-owskiej sztuki. Siedział długo w karcerze, chorował na ciężkie zapalenie płuc, mimo to nie pozwalano rodzinie przekazać mu ani jednej paczki. Na zapytania, gdzie jest, odpowiadano niezmiennie: niczego nie wiemy, u nas takiego nie ma. Gdy go więc przeprowadzano w grudniu z jednego więzienia do drugiego, szedł przez ulice w dwudziestostopniowy mróz w tym samym letnim ubranku, w którym go wzięto: trepy na boscie nogi, spodnie i mocno porwana koszula. Na głowie zawiązał chustkę do nosa, robiąc węzły na czterech rogach, jakby był na plaży i chronił się przed słońcem. Mówił mi o tym wszystkim obdarty, nędzny. Spotkaliśmy się w więziennej ubikacji. Poszłam tam na ochotnika myć podłogę, on wraz z kolegą wynosił z celi paraszę. Dowiedziałam się wówczas od niego o procesie Okulickiego i towarzyszy. Kuzyna mego wożono do Moskwy samolotem jako świadka. Przebrany w porządne ubranie, które po powrocie do łagru natychmiast z niego zdjęto jak teatralny kostium, zostawiając go ponownie w łańkach, przez trzy dni siedział obok sali rozpraw i czekał na chwilę, gdy będzie mógł zabrać głos, przedstawić prawdziwą wersję wydarzeń. Nie doszło do tego. Zrezygnowano z wystąpienia wielu przywiezionych świadków. Nie byli odpowiednio spreparowani, nie uczyli się dość dobrze swych kwestii, mogli powiedzieć rzeczy zbędne. To nie był proces, szepotał, to była bandycka inscenizacja, teatr dla cudzoziemców, pozory prawa kryjące brutalne bezprawie. Nie jestem dziś pewna, jakich użył słów, lecz pamiętam ich sens. Był wstrząśnięty bezczelnością na międzynarodową skalę, kłamstwem o gigantycznych rozmiarach, wypowiedianym cynicznie w poczuciu absolutnej bezkarności. Jeżeli Rosjan stać było na zorganizowanie takiej szopki, jeżeli nie wywołała ona fali protestu na świecie, jakaż przyszłość mogła rysować się przed nami? Byliśmy całkowicie izolowani, bez gazet, bez radia, wiadomości przenikały jedynie przez nowo aresztowanych. Rozchodziły się szybko po więzieniu, lecz trzeba było je traktować z całą ostrożnością, nie mogły być uważane za pewne. Stąd ciągle spodziewaliśmy się jakiejś zmiany. Nie można przecież więzić i skazywać ludzi za ich ofiarną walkę z Niemcami! Naiwne to przeświadczenie nie opuszczało nas bardzo długo, mimo doświadczeń wyniesionych ze śledztwa, sądu. Proces Okulickiego rozwiewał złudzenia. Stał się obok siebie nad wyplukaną paraszą, ponaglani przez niecierpliwego nadzorcę, który nam za paczkę papierosów umożli-

wił spotkanie. Kuzyn mój wyrzucał z siebie wiadomości o tym, jak go próbowano złamać, co mu kazano mówić, a czego on nawet na śledztwie nie chciał z siebie wykrztusić. Skąd mógł wiedzieć, czy inni nie ulegli, czy nie odegrali podobnej roli, jak świadkowie w procesach 37-go roku. Nie wiedział, co mówili oskarżeni, jak się zachowywali, wierzył, że godnie. Nie znał wszystkich nazwisk, nie znał też świadków prócz tych, którzy razem z nim lecieli samolotem. Rzucał nazwiskami, przed niektórymi mnie ostrzegał, wydawali mu się podejrzani, choć mógł nie mieć racji. Na dziesięcioletni wyrok Niedźwiadka on, który otrzymał 25 lat, patrzył wzruszając ramionami. Była to dla niego prawidłowość systemu, który na ogół gorzej się obchodził i surowiej karał tych, co są na dole, aniżeli wodzów. Międzynarodowe organizacje mogą się ująć za wodzem lub sławnym intelektualistą, ale przejdą do porządku dziennego nad poniewierką setki tysięcy prostych ludzi. Złowróźbna była ta wiadomość, niosła z sobą smak kłeski. Uścisnęliśmy się na rozstanie, aby już nigdy więcej się nie zobaczyć.

Kiedy wróciłam do celi, zrobiliśmy składkę. Każda dała co mogła, rękawiczki, skarpety, szalik, koszulę, sweter, aby go trochę ubrać. Paczkę tę udało się nam przesłać przez przekupionego nadzorcę. S. miał już jednak przez karcer zrujnowane zdrowie. Zginął gdzieś w obozach w okolicy Archangielska. Podobno znów zachorował na zapalenie płuc. Drugi raz tej choroby nie przetrzymał.

Pamiętam i inne relacje z procesu szesnastu, może nawet bardziej dokładne, moi rozmówcy bowiem uczestniczyli w rozprawie. Opowiadali, jak wyglądała cała ta szopka, ilu było z zagranicy dziennikarzy, jak jeden z nich podszedł do siedzących więźniów i zapewnił, że niedługo już wrócą spokojnie do kraju. Ile prawdy było w takich opowieściach, ile przeinaczeń, trudno mi dziś powiedzieć. Słuchając ich, przypominam sobie tylko słowa mego kuzyna, który na pytanie o reakcję Zachodu powiedział: wiesz, małe kłamstwo zawsze zostaje ujawnione, wielkie ma w sobie dziwną moc przekonywania. Wierzy się w nie łatwo, trudno bowiem sobie wyobrazić, aby oficjalne władze były zdolne do tak daleko idącej mistyfikacji. Na pewno Zachód jest przekonany, że Rosjanie mają rację. A zresztą, czym jest dla nich dziś Polska, jak nie wewnętrzną sprawą Związku Sowieckiego?

Wspominam tę rozmowę, bo była ona dla mnie i nie tylko dla mnie etapem edukacji politycznej. Jeszcze byliśmy w kraju, jeszcze mimo sądu tliła się w nas iskierka nadziei. Teraz gaśta.

Kłamstwo. Czasem ogarnia mnie zdumienie, że uciekano się do tak kunsztownych inscenizacji, zgoda zbędnych, nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebnych. Jeszcze w śledczym więzieniu którejś nocy wepchnięto do celi nową. Nie było elektryczności, na korytarzach świeciły małe kopciutki, w celi panowała absolutna ciemność. Przerażoną kobietę umieściliśmy tam, gdzie jeszcze było miejsce, oczywiście na podłodze. Ona zaś wciąż pytała, gdzie jest, co to za miasto. Czy pod wpływem szoku pomieszało się jej w głowie? Musiała sobie zdawać sprawę, że znajduje się w budynku, dobrze znanym każdemu obywatelowi miasta. Ona jednak dopominała się o nazwę miasta i dziwiła się, że mówimy po polsku. Wy nie jesteście Czeszki? — pytała — to nie Praga? — Skąd Praga, co za pomysł z Pragą? — Może Wiedeń? — pytała znowu. Rzecz się wreszcie wyjaśniła. Nieszczęsna kobieta była uratowaną od zagłady przez chłopów Żydówką. Podobno ogłoszono w mieście, że ci Żydzi, którzy mają krewnych w Palestynie, mogą się tam udać. Wyjazd kosztował drogo, jej rodzina jednak, nieliczna, mąż, dwoje dzieci, cudem uratowani, postanowili wyjechać. Zapożyczyli się, sprzedali resztę rzeczy, ostatnie złote ruble i zgłosili się na wyjazd. Wieczorem sprzed hotelu całą grupę emigrantów elegancyści organizatorzy wyjazdu wsadzili do taksówek i zawieźli na lotnisko. Samolot stał już gotowy. Nastąpiły pożegnania. Wsiadli i za chwilę znaleźli się w powietrzu. Lecieli ponad dwie godziny, wreszcie zakomunikowano im, że lądują dla nabrania paliwa w jednym z miast po drodze. Na lotnisku nie paliły się światła, co ich trochę zdziwiło. Czekająca natomiast ciężarówka z plandeką, która miała ich przewieźć na nocleg do hotelu. Trochę byli zaniepokojeni tym sposobem potraktowania, zapewniono ich jednak, że miasto ucierpiało podczas wojennych zmaganiań, lecz hotel na pewno będzie wygodny. Szczelnie zakryta plandeka nie pozwoliła im zorientować się w terenie. Nie przypuszczali, bo kto mógł przypuścić takie głupstwo, że przez dwie godziny krążyli wciąż nad tym samym lotniskiem. Kiedy wyładowano ich na małym podwórzu, wprowadzono do dyżurki wypełnionej enkawudystami, nie mogli zrozumieć, co się z nimi dzieje. Po dokładnej osobistej rewizji zabrano im wszystkie pieniądze i resztki dobytku. Naszą więźniarkę rozdzielono z płaczącymi z przerażenia dziećmi i z mężem i oto znalazła się w naszej celi, ogłupiała, nie mogąc dojść do siebie, nie wierząc naszym słowom, że jest w dalszym ciągu w tym samym mieście. Podsadziliśmy ją rano do okna, aby się sama mogła przekonać. Wystarczyło jedno spojrzenie na charakterystyczną sylwetkę niedalekiego kościoła, by ją opuściły

siły. Teraz już bała się tylko o dzieci. Przebyć całą wojnę w ukryciu, ujść gestapowcom i nagle zginąć tak głupio, tak się okrutnie dać podejść. Po paru dniach zabrano ją z naszej celi. Nie wiem, co się z nią stało. Spotkałam jednak w obozach północy inną Żydówkę, która przeżyła identyczną przygodę. Obrabowano ją doszczętnie, a potem dano OSO, dziesięć lat i wywieziono do Rosji.

Tak więc chciano wykorzystać ocalałych Żydów do końca. Stary rosyjski antysemityzm był żywy i nieraz się z nim spotkałam w obozie. Żydzi mieli opinię bogatych. Czyżby bolszewik miał za złe Niemcom, że tak niewiele zdobył mu pozostawili? Po co jednak ta humorystyczna inscenizacja, po co te taksówki, samolot, opowieści z 1000 i jednej nocy. Z miłości do teatru? Czy nie prościej było tych ludzi zaarrestować? Fakt ten można wytłumaczyć jedynie chęcią nabrania jeszcze innych, kolejnych naiwnych emigrantów. Ciekawa jestem, ilu ich było, czy ktoś kiedyś zebrał te cyfry, opisał wydarzenie? Zastanawiam się też, co się stało z dziećmi nieszczęsnej kobiety. Czy je odnalazła, czy w ogóle żyje, czy udało się jej i mężowi wrócić do Polski w 1956 r.?

Prześladowały mnie długi czas jej oczy. A i teraz znów je widzę wyraźnie, czarne, ogromne i zupełnie martwe, bez iskry życia, jakby przestał się w nich odbijać świat. Gdy już zrozumiała, co się z nią stało, z trudem wydobywała głos z gardła, jakby już do niej nie należał. Chciała jednak nam przekazać to, co się jej wydawało najważniejsze, więc potykając się opowiadała, jak się enkawudyści zanosili od śmiechu, widząc w tym wydarzeniu doskonały żart. Kpili z niej i męża. Palestyny wam się zachciało, ot macie Palestynę. Zgroza biła z jej słów. Wreszcie umilkła. Siedziała przez chwilę milcząc, potem wyszeptła: dlaczego nie poszłam z moją mamą? — Dokąd? zapytał ktoś. — Na..... I w tym miejscu wymieniła nazwę miejscowości pod miastem, gdzie Niemcy rozstrzeliwali Żydów.

Kiedy dziś wspominam to wydarzenie, wstrząsa mną ono silniej niż wówczas, gdy byłam jego świadkiem. Byłyśmy tak oblepione ze wszystkich stron nieszczęściem, że jedno więcej nie mogło już zrobić na nas wrażenia. Miało ono dla nas inny sens. Każda jego nowa postać przynosiła wtajemniczenie w sekrety bolszewickiego świata. Poznawałyśmy go zza kulis, mając jednak możliwość dokładnego widzenia, co się dzieje na scenie, mogliśmy dostrzec, że kostiumy są zniszczone, a wspaniały park zrobiony z taniej tektury. Jednym słowem oglądałyśmy ten teatr jakby od podszewki, od wewnętrznej, jedynie prawdziwej stro-

ny. Przekonywałyśmy się, do czego jest zdolny i jak funkcjonuje. Oto jeszcze jedno doświadczenie, oto jeszcze jedna postać maski.

Świat kłamstwa używa kłamstwa przede wszystkim jako oręża w walce. Ile też trudu zadaje sobie, aby możliwie dobrze kłamstwo przygotować. A jednak zawsze się gdzieś na czymś potknie, czegoś nie dopatrzy. Ukryć je potem dość trudno, zawsze czyjeś oczy dostrzegą, często te najbardziej niepowołane. Świat ten jednak nie zna słowa „kompromitacja”. Reagując na demistyfikację nie ma zamiaru nigdy wyjaśniać, usprawiedliwiać się, przyznawać do ewentualnej pomyłki. Nie, broń Boże. On jeszcze mocniej kłamstwa swe powtarza, z uporem, zwiększającym się wprost proporcjonalnie do budującej się niewiary. Tych zaś co nie wierzą, co kłamstwo dostrzegli schowa głęboko do obozu, jeżeli są w jego mocy. Gdy zaś takiej nad nimi nie posiada, użyje każdego oszczerstwa, każdej zniewagi, aby tylko wagę świadectwa umniejszyć. Ten świat najmniejszą krytykę, wątpliwość w jego wspaniałe wartości uważa za zbrodnię nie tylko polityczną, lecz i moralną. Mówić coś przeciwko Sowietom to niegodziwość, to obraza pierwszego w świecie kraju socjalizmu.

Stąd owe dla nas dziwne uzasadnienia niektórych wyroków: za dużo wiedział, trzeba zatem go w obozie potrzymać, *periewospitat!* Halce tak właśnie powiedziano. Posiedzisz, to o pewnych rzeczach zapomnisz. Halka spała nade mną. Pracowała gdzieś w buchalterii. Była młoda, inteligentna, przystojna, z dużym poczuciem humoru. Przynosiła z żony rozmaite anegdoty, którymi mnie i Muzę karmiła wieczorami. Czasem wracała pijana w sztuk, nie wiem z kim piła, jak jej się udawało uniknąć karceru. Pijaństwo właśnie zdemaskowało ją przede mną. Wraciałam ze szpitala wieczorem i przed żeńską żoną zobaczyłam, jak chwiejąc się idzie i nie może trafić do furtki. Chwycałam ją pod ramię, pytając, gdzie się tak zaprawiła. W odpowiedzi zaczęła kłąć po polsku, z całkiem niezłą znajomością mojego rodzinnego języka. Kiedy ją nazajutrz przycisnęłam do muru, pytając, skąd zna polskie słowa, ze zdumiewającą niefrasobliwością opowiedziała mi swoją historię. Pochodziła z Moskwy, jej rodzice zajmowali jakieś wysokie państwowe stanowiska. Odniosłam wrażenie, że tata pracował po prostu w NKWD. Studiowała polonistykę, zachęcana do tego przez rodziców. Była jeszcze wojna, studia szły nieco kulawo, brakowało nauczycieli, książek. Zaczęła się uczyć pełną parą dopiero w 46 roku i wtedy dostała nader zachęcającą propozycję. Zostanie odpowiednio przeszkolona i pojedzie do Polski jako repatriantka, aby tam żyć przez

pewien czas i spełniać odpowiednią rolę w życiu publicznym. Będzie mogła zająć wysokie stanowisko, mieć dużo pieniędzy, będzie wysyłana także za granicę. *Zamancıwoje przedłożenie*, forsa, wyjazdy, trudno o lepszą rolę. Nic jej specjalnie w Moskwie nie trzymało. Ciekawa była innego świata. Zgodziła się. Nauka odbywała się w jakimś starym pałacu na terenie wschodniej Ukrainy. Uczestnikom kursów nie wolno było widzieć się z kimkolwiek. Uczono ich nie tylko języka i polskiej literatury. Halka studiowała plan miasta starej Warszawy, nazwy ulic, kawiarni, nazwiska nieistniejących już okolicznych sklepikarzy wokół rzekomego jej domu. Uczono ją tańczyć mazura i kujawiaka, zwłaszcza tego ostatniego, wiedziano bowiem, że przed wojną żaden bal nie mógł się bez niego obejść. Dawano nawet dziecinne polskie książki do czytania. Bardzo jej się podobała Makuszyńskiego „O dwóch takich co ukradli księżyc”. „Wicka Warszawiaka co pognębił śmierć” jednak nie znała. A szkoda, dogadywałam, dowiedziałybyś się trochę prawdy o wojnie dwudziestego roku.

Była to edukacja dość gruntowna, ale pełna luk, której przyświecało dziwne wyobrażenie o Polakach. Przesadna grzeczność, sztuczne reweranse, używanie w języku potocznym zwrotu „wielmożny panie” czyniły jej język i sposób zachowania nienaturalnym, zwłaszcza jak na studentkę. Powiedziałam jej o tym. Była naprawdę zmartwiona. — Rozszyfrowano by cię po paru godzinach i wszyscy uciekaliby od ciebie jak od zarazy.

— Starałabym się was naśladować, broniła się.

— Upiłabyś się przy lada okazji i zaczęła kłać po rosyjsku.

Tak, to jej groziło. Była niestęchanie lekkomyślna. Nie nadawała się na agentkę. Lekkomyślność ją też zgubiła. Puszczono ją na wakacje do rodziców, a ona, przyszła agentura NKWD, nic lepszego nie znalazła do roboty, jak zakochać się w przypadkowo poznanym urzędniku polskiej ambasady i wypląć mu swoje plany. Ów urzędnik, podobno młody i przystojny, okazał się wierniejszy w stosunku do sowieckich mocodawców niż ona sama, bo rzecz całą doniósł i Halkę posadzono. NKWD musiało zrezygnować z jej usług. Na tym jednak nie poprzestało. W zbyt wiele tajników sceny została wprowadzona. Posiedzisz trochę, zapomnisz, mówiono jej na śledztwie.

— Psiakrew, cholera, (bardzo lubiła te przekleństwa), nigdy nie zapomnę. Jak wyjdę, to ucieknę, znajdę sposób i opowiem, jak kształcą agenturę. Obok nas były takie same kursa dla Czechosłowaków i Węgrów. Wiem, że są przygotowywani działacze do wszystkich krajów bałkańskich, także Niemcy, Litwini, Łotysze. — Obawiam się, że mimo małego wyroku (do-

stała pięć lat), nigdy stąd nie wyjdiesz. Za wiele gadasz, z byle kim pijesz. — Z *operem* piję — przyznała się pokornie. — On mnie ciągle wypytuje co się dzieje na *ótpie*, a ja mu opowiadam.

— Donosisz. Tylko tego brakowało.

— Nie, ja mu opowiadam niestworzone rzeczy o różnych jego *stukaczach* i o parszywych nadzorcach. Powiedz mi, kogo nie lubisz, to też na niego nagadam.

Chyba mówiła prawdę, bo w niewytłumaczony sposób jednego ze znanych *stukaczy* nagle wysłano do sztrafnego obozu, a potem zdjęto najgorszego z nadzorców, postrach całej zony. Konradówna Wallenrod w rosyjskim wydaniu.



Opowieści o duchach, przewidzeniach i widzeniach to typowe opowieści więzienne i obozowe. Rozwijał się w nas jak gdyby szósty zmysł. Byliśmy niezmiernie wyczuleni na każdą zmianę. Przeczucia traktowałyśmy poważnie. Kiedy pani Łastienie powiedziała do Michaiła Daniłowicza, który jechał do ambulatorium na trzeci *ótp* badać tam chorych, żeby zwrócił uwagę na Litwina o nazwisku Merkis, bo to jest jej mąż, Michaił popatrzył na nią jak na wariatkę. Biedna pani Łastienie, sama była przecież niedawno na trójce, męża jej tam nie było. Zresztą doskonale wie, że etap, którym go z Kowna zabrano miał zupełnie inny kierunek. Przekupiony nadzorca, któremu wsunęła ukradkiem uratowane z rewizji pięć złotych rubli zapewniał ją, że etap poszedł do Karagandy.

Pani Łastienie cały dzień wyglądała powrotu lekarza. Gdy wreszcie przyjechał, spytała z całkowitym spokojem: — No i co, rozmawiał pan z nim? Michaił kiwnął potakująco głową. Myślałam, że nie chce jej drażnić. Nic podobnego. Merkisa rzeczywiście przywieziono do nas na północ.

— Skąd pani o tym wiedziała? — pytał doktor.

— Nie wiem, powiedział mi we śnie, że jest, że bym go szukała. Widziałam go wyraźnie na tle tych zrąbanych pni naprzeciwko ambulatorium na trójce.

Spotkać męża w Gułagu to nie lada przeżycie. Pana Merkisa udało się hospitalizować i przez trzy tygodnie trzymać u nas w szpitalu. Małżeństwo mogło się nagadać do woli, choć czyniło to ostrożnie, aby ich więź nie wyszła na jaw. Oficjalnie nosili inne nazwiska, ale NKWD kowieńskie dobrze się w ich stosunkach orientowało, nasze w Tu — nie. Wyszło też dopiero teraz na jaw, jak ich wzajemnie szantażowano. Okazuje się, że aresz-

towano ich tego samego dnia, ją wzięto z domu, jego z ulicy. Śledczy jednak te fakty zachował w tajemnicy. Natomiast żądał od każdego przyznania się do niepopelnionych win, pod groźbą zaareztowania małżonka. Pani Łastienie długi czas była przekonana, że mąż się gdzieś ukrywa. On sądził, że to ona jest na wolności. By historii nadać więcej prawdopodobieństwa, oboje otrzymali paczki rzekomo wzajemnie przez siebie nadawane, co ich umocniło w błędzie. Śledczy nie żałował trudu, by paczki przygotowywać, dobrać odpowiednie rzeczy z do cna obrabowanego domu. Potem nagle znudziła mu się ta zabawa. Widocznie uznał, że nie przynosi należytego skutku. Zawiadomił ją, że męża wzięto, a jego o areszcie żony. Paczki ustały, śledztwo zakończono, wyrok zapadł szybko, przed wojennym trybunałem. Podczas rozprawy nie pozwolono im ze sobą zamienić ani słowa. Trzymano ich z daleka i natychmiast po sądzie rozdzielono. Czyżby władze bały się, że ich pokrętne postępowanie zostanie rozszyfrowane? Teraz oboje małżonkowie rozsypywali splecione węzły nitka po nitce.

W szpitalu nie było separatek, prócz jednej, w której umieściliśmy obłąkanego, pana Merkisa położył więc Michał Daniłowicz w dwuosobowym pokoju razem ze starym Rosjaninem, może zresztą nawet nie tak starym, jak przeraźliwie wyniszczonym. Wzbudzał nasze zaufanie, bo całymi dniami żarliwie się modlił. Rzeczywiście, będąc mimowolnym świadkiem małżeńskich rozmów, zachował wiernie ich tajemnice, nie wydał nikogo. Nie przypominam sobie nazwiska tego chorego. Któregoś dnia cichutko umarł. Cierpiał na niewydolność nerek. Nieraz z nim rozmawiałam, gdy jeszcze miał ochotę cokolwiek mówić. Wspominał zawsze fińską wojnę. To ona mnie uzdrowiła, dodawał. Chyba zniszczyła wam zdrowie, odpowiadałam. — Uzdrowiła duszę — szeptał. — Teraz już nie boję się śmierci.

Pewnego dnia opowiedział nam swoją historię. Nieważne, czy była prawdziwa. Ważne są jej skutki. Opowiadał monotonnym głosem, spokojnie, starannie dobierając słowa. Nie miał wykształcenia. Był chłopskim synem, ale już od pierwszych dni rewolucji bolszewikiem, ochotnikiem w Czeka. Brał udział w wielu akcjach, uczestniczył w niejednej egzekucji. Wykonywał swój katowski zawód bez skrupułów, nawet z dumą. Kazali mu śledzić każdego, kto o partii źle mówi, to śledził. — Jakże tak, na partię nagadywać, nie wolno — mówił. Dosłużył się stopnia sierżanta, przeszedł nawet jakieś kursa.

Przyszła wojna fińska. Jako zaufany czekista otrzymał zadanie oczyszczenia terenu z osób podejrzanych. Rzecz szczególna,

okrażenie w 41 roku, Stalingrad, wszystko to nie zostawiło tak mocnego śladu w pamięci sowieckich żołnierzy jak ta fińska wojna. Wciąż wracali do opowieści o białych diabłach, którzy na swych nartach zjawiali się niespodziewanie, by równie szybko po zwycięskiej akcji zniknąć. Zaciętość tych diabłów, ich zręczność i inteligencja budziły przerażenie i nienawiść. Ze złapanymi Finami rozprawiano się okrutnie.

— Byliśmy niedaleko linii frontu — mówił chory — gdy któregoś dnia przyprowadzono nam wziętych do niewoli dwóch młodych chłopców. Mieli najwyżej po piętnaście lat, obaj byli ranni, jeden mocno w nogę, broczył krwią, drugi miał lekki postrzał w rękę. Mógł zapewne uciec, ale nie chciał porzucić towarzysza. Nie patyczkowaliśmy się z nimi. Wyprowadziliśmy za chatę i sprawa skończona. Ten młodszy, słaby, płakał, prosił, żeby go nie zabijać. Coś tam po swojemu gadał jeszcze, ale kto by go tam rozumiał. Ukląkł na śniegu i modlił się. Wtedy strzeliłem, zdenerwował mnie i pierwszy raz źle trafiłem, musiałem poprawić.

Chory widocznie miał wyrzuty sumienia, bo wciąż do tego tematu wracał. Inni chorzy, którzy chętnie przysłuchiwali się opowieści, pocieszali go po swojemu. Cóż, wiadomo, wojna. Ile razy jeńców zabijano. Bywało, że się i pobawiło z nimi. Zwyczajna żołnierska rzecz. Żołnierz nie zna litości. „*Malczyszki fińskie wredne, za swiżnikow służyli*”. Chory jednak wdychał nie przekonany i dalej ciągnął swoją opowieść.

W jakiś miesiąc później rozbito ich jednostkę. Uciekał z towarzyszem, ten jednak był ranny i zmarł po drodze. Został więc w lesie sam nie bardzo wiedząc w jakim powinien iść kierunku. Błądził trzy dni. Szedł w głębokim śniegu, często zapadając się po pas. Był głodny, zmarznięty, coraz słabszy. W dzień bał się iść. Kopał zwyczajem fińskich żołnierzy jamę w śniegu, przykrywał ją złamanymi gałązkami choiny i w takiej dziurze siedział do zmroku. Dni były króciutkie, jak to bywa na dalekiej północy, noce długie, mroźne. Słychać było gdzieś wycie wilków. Jeżeli go wywęszą, to koniec, zostało mu tylko kilka naboí. Coraz częściej padał, coraz trudniej było mu wydobyć się z zasp. Tracił nadzieję. Gdy na trzeci dzień znalazł wykopaną przez siebie samego jamę i poznał własne ślady, zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku. Chodził w kółko. Jeszcze jednak próbował. — *Bratcy — jęczał — bratcy, satana mną kruciła, wot znał szto spaszenia niet.*

Nie umiał powiedzieć, którego dnia wędrówki to mu się wydarzyło. Było ciemno, ale on nie miał siły wyleźć spod świer-

ka, który go nieco chronił przed gęsto padającym śniegiem. Purga. Zamieć. Kto nie zna północy, nie wie, jak straszne to słowo. Można stracić drogę koło własnego domu, ugrzęznąć w śniegu, zasnąć, zamarznąć. Ogarnęła go rezygnacja, nie miał sił walczyć dalej. Oczy mu się kleiły, różne widzenia roily się w głowie. I nagle dostrzegł dziwną jasność, coraz wyraźniejszą i coraz mocniejszą. Szła ku niemu, aż dojrzał niewiastę, która trzymała za rękę zastrzelonego fińskiego chłopca. Zaczął się trząść ze strachu. Ona zaś rzekła tylko: on ci przebaczył, i wskazała na chłopca. A potem kazała mu iść prosto i podała mu jakiś łańcuszek. Oprzytomniał, wylażł spod świerka. Zamieć jakby się trochę uspokoiła. Coś leżało na śniegu, więc podniósł i schował do kieszeni. Szedł, a raczej pełził i po jakichś stu krokach trafił na leśną przesiekę. Ledwo się na niej znalazł, z krzaków wyskoczyli żołnierze. To byli swoi, Rosjanie.

Leżał potem długo w szpitalu. Miał paskudnie odmrożone nogi. Wykaraskał się, tylko z nerkami od tej pory działał się coś niedobrego. A łańcuszek? — pytali chorzy. Nosił go zawsze na szyli, nie rozstawał się z nim. Przez ten łańcuszek go aresztowano. Kazano mu zdjąć, odmówił. Jak to — persadowano mu — *ty że komsomolec, sowieckij czelowiek i w głuposti wierisz?* Nie odpowiadał. Chciano siłą zabrać. Nie pozwolił. Wsadzono go do aresztu. Wysiedział. Wyrzucono z partii za bigoterię. Zgodził się bez słowa. Wreszcie oddano pod wojskowy trybunał. Został oskarżony o sianie wrogiej religijnej propagandy i sprzeciwianie się władzy. Dostał dziesięć lat. łańcuszek był zwykłym różańcem o nieudolnie wyciętych z drzewa ziarenkach z nieproporcjonalnie dużym krzyżykiem. Ktoś go w szpitalu nauczył, że trzeba trzymać ziarenko i modlić się. Żadnych modlitw nie znał, mówił więc tak od siebie, o tym, co go bolało.

Historia jakich wiele, może niespecjalnie godna opowieści, gdyby nie to, że w różnych wersjach opowiadana była i przez innych żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy brali udział w fińskiej wojnie. Wielokrotnie byłam świadkiem takich właśnie wspominek prostych ludzi, czy to w szpitalach, czy gdzieś w wolny dzień na *ópie*. Niektórzy widzieli dzieciątko idące boso po śniegu, częściej jednak była to Matka Boska, zawsze w promieniach, złocie, jakby zstąpiła prosto z ikony wiszącej w rogu rodzicielskiej izby. Narrator pokazywał bądź mały brzoźowy krzyżyk, bądź mały różaniec, zwykle nie wiedząc, do czego ma służyć, a jednak chowany niby skarb. Naiwność tych opowiadań była wzruszająca i wzruszający też byli słuchacze, wierzący

każdemu słowu. Co skłaniało tych żołnierzy do oporu, grożącego niekiedy wieloletnim wyrokiem? Skąd czerpali odwagę, by zawieszać różańce i krzyżyki na szyi, co było wszakże złamaniem zasad komsomolskiej postawy? Ich opowieści zawierały w sobie świadectwo strachu, cierpień lecz także wyrzutów sumienia za zadany gwałt, pragnienie ekspiacji i nadzieję, że kiedyś wszystko zostanie im wybaczone, a wreszcie zwykłą religijną potrzebę ponad miarę umęczonego człowieka.



Na całym świecie zdarza się, że ktoś zostaje aresztowany przez pomyłkę, na skutek fałszywych obciążających poszlak, zeznań nieuczciwych świadków itd. W momencie wyjaśnienia pomyłki aresztowany opuszcza więzienie bez żadnych dla siebie prawnych następstw. W kraju naszego wspaniałego brata rzecz nie przedstawia się tak prosto, zwłaszcza gdy chodzi o artykuł 58 kodeksu karnego. Kto raz wszedł do środka NKWD-owskiego królestwa, nie opuszcza go łatwo. Zanim się wróci do raju, choć marny to raj, należy się czyścicowe odpokutowanie. Za co? Jak to za co!?! Za sam fakt, że się było podejrzanym. Jest to wystarczające przewinienie. Jeżeli jeszcze w dodatku aresztowany przez swą naiwność zepsuje z trudem przygotowany scenariusz, nie licząc się z pracą i inwencją śledczych, zachowa się krnąbrnie, zamiast potulnie wejść w rolę, niech nie liczy na pobłażanie.

Na nasze wieczory z Maryną Aleksandrowną i Olgą Hainową przychodzi czasem profesor Mendelejew. Śmieje się serdecznie z ormiańskich anegdot, lub gdy Maryna naśladuje baby na ormiańskim targu. Profesor był niegdyś w Erywanii, zna atmosferę wschodnich bazarów. Profesor jest człowiekiem bywałym. Z urywanych zdań domyślałam się, że nieraz bywał w Europie nie tylko przed pierwszą wojną. Lubi gawędzić i z tych gawęd, które najczęściej dotyczą kogoś spotkanego, z tych drobnych przygód z podróży lub studenckich lat powoli zaczyna mi się układać jego życiorys. Gdy wybuchła rewolucja, miał już około czterdziestki, poważną pozycję w Leningradzkim uniwersytecie po studiach za granicą, chyba w Londynie. Ekonomia polityczna. To była jego specjalność. Musiał też być człowiekiem zaufanym, całkowicie oddanym młodej sowieckiej władzy. Jeździł na kongresy naukowe, a także, jak mi się wydaje, towarzyszył oficjalnym delegacjom jako ekspert w dziedzinie ekonomii. Moje supozycje któregoś dnia potwierdził, opowiadając historię swego aresztu. Widocznie wzbudziłyśmy w nim dość zaufania,

a może był to nastrój chwili, chęć wyrzucenia z siebie goryczy, choć mówił żartobliwie, jakby nie o niego chodziło, dowcipnie, lekko. Pamiętam doskonale, że zanosiliśmy się od śmiechu, jakby to była najlepsza anegdota. Dziś natomiast, kiedy o tym piszę, nie chce mi się już śmiać. Widocznie wówczas inaczej człowiek reagował. Areszt dla każdego z nas to była rzecz codzienna, a nie tragedia. Skoro zaś nastąpił w tak nieprawdopodobnych okolicznościach, wydawał się nam zabawny.

Profesor przebywał całą wojnę w Leningradzie. Pozostał z jedną z siostr akademiczek w swym wielkim mieszkaniu, należącym kiedyś do jego rodziców. Fakt, że mu go nie zebrano świadczył o pełnej *blagonadziejności* całej rodziny. Głód i nade wszystko niemiłosierny chłód pozbawionego żywności i opał miasta nie dotknął go zbyt boleśnie. Był oczywiście ograniczony w środkach, nie tak jednak jak inni. Dostawał specjalne deputaty. Uważał to za rzecz całkowicie naturalną. Należał zawsze do elity. Profesor, znany specjalista, zasłużony, należały mu się specjalne względy. I nagle, w parę miesięcy po wojnie, gdy już wrócił do swych normalnych obowiązków, gdy organizował właśnie jakąś niezwykle ważną konferencję, obudziło go w nocy gwałtowne łomotanie do drzwi. Stara służąca, którą zresztą wspominał z czułością, poszła otworzyć. Zanim wylażł z łóżka i włożył szlafrok, wpadło ich do pokoju kilku i nie zważając na protesty i wyrazy oburzenia, odepchnąwszy go w kąt, przystąpili do szczegółowej rewizji. Pytał, o co chodzi, nie raczyli nawet odpowiedzieć. Słyszał, jak przesuwali meble w innych pokojach, klęcząc i żartując. Stał w kącie przerażony, zdziwiony, niczego nie rozumiejąc. Wiedzieli, kim był, bo czasem zwracali się do niego per profesor, nadając temu słowu pełne ironii brzmienie. Trwało to długo. Jego siostry nie było w domu. Wyjechała do Moskwy. Był więc sam z oniemiałą ze strachu gosposią. Wreszcie rewizję skończono. Widocznie nic nie znaleziono. Kilku enkawudystów parokrotnie schodziło do piwnicy, wracali jednak z pustymi rękami, mocno niezadowoleni coś tam szeptali wysokiemu, barczystemu pułkownikowi. Pułkownik sam przeglądał papiery w biurku, notatki z przygotowywanej do druku książki, skoroszyty notatek i ekspertyz, stertami leżące na półkach. Profesor czuł nieludzkie zmęczenie, lecz nie pozwalał mu usiąść. Nie pozwalali też wyjść do ubikacji. Wreszcie pół żywy siadł na ziemi w kącie, w którym go ciągle trzymano, i w tej pozycji czekał końca absurdalnej rewizji.

Było już jasno, gdy kazano mu się ubrać. Szedł do łazienki w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy, którzy go nie opuszczali

ani na chwilę. Kazali mu wziąć najpotrzebniejsze przybory toaletowe, jak szczotka do zębów i grzebień. Mydło tam dostaniecie, zażartowali. Ubrał się w gruby sweter, płaszcz, włożył dwie pary kalesonów, dwie koszule, czuł bowiem po zachowaniu się enkawudystów, że czeka go coś niedobrego. Ale jeszcze nie tracił otuchy, że wszystko się skończy pomyślnie. Był jednak zbyt doświadczonym człowiekiem, zbyt dobrze pamiętał 37 rok, aby się nie zabezpieczyć. Wziął ze sobą większą kwotę pieniędzy. Dopiero wieczorem wyprowadzono go z mieszkania razem z gosposią. Zamknięty w ciemnej klitce czarnej wrony, nie miał pojęcia, dokąd jedzie. Przypuszczał, że do jednego z więzień. Gdy mu kazano wyjść z samochodu, stwierdził ze zdumieniem, że znajduje się na lotnisku. Zrozumiał, że przewożą go do Moskwy.

Tak się zaczął jego dziwny dramat. Łubianka, pojedyncza cela, absolutny zakaz wychodzenia na spacer. Kompletna izolacja od innych więźniów, no i śledztwo. Przesłuchania trwały całe długie noce i nie tylko noce, pełne dziwnych pytań, których nie rozumiał. Gdzie mieszkał w Londynie w takim i takim roku, w jakim hotelu, w jakim pokoju, kto miał pokój obok, z kim się spotykał, dokąd chodził, dzień po dniu. Starał się przypomnieć sobie szczegóły, które mu dawno wyleciały z głowy. Jakże mógł pamiętać, a nawet wiedzieć, czy wtedy mieszkał tam, czy gdzie indziej, czy była to Astoria, czy Bristol, czy jakiś inny pensjonat, jakie niekiedy wynajmowała sowiecka delegacja. Niemal zawsze jeździł w grupie z innymi kolegami. Widocznie wzywano ich na świadków, a może też siedzieli, enkawudyści mieli bowiem sporo informacji, ale zwykle niedokładnych, jakich dostarcza człowiek po wielu latach, gdy już jakiś fakt mało ważny został zupełnie wymazany z jego pamięci. Nagle zmieniano temat i zaczynało go pytać o Turków, Persów, o kontakty w Teheranie i w Stambule, miastach, w których nigdy w życiu nie był. Pytano go o jakiś hotel w Salonikach, o tamtejszą ambasadę sowiecką, kontakty z jej urzędnikami. Później ni z tego ni z owego pojawiła się Malta, choć jej także nie znał. Enkawudyści nie byli jednak o tym przekonani. Przecież łatwo jest sprawdzić, choćby przeglądając wizy w moim paszporcie — bronił się. Wówczas padało pytanie o przybrane przez niego nazwisko, i kto był dostarczycielem odpowiednich dokumentów. Z liczby nazwisk i miejscowości, które mu się obijały o uszy zaczynał rozumieć, że posądzony jest o jakąś poważną szpiegowską aferę. Tajemnicze konszachty, szyfry, łącznicy — to była treść coraz natarczywiej

stawianych pytań. Czuł się zupełnie zmiażdżony bezsenssem tych zarzutów. Zaczął się straszliwie bać.

Sledztwo trwało ponad pół roku. Wychudł, czuł się coraz gorzej. Wiedział, że jego ciśnienie jest nienormalnie wysokie, że lada chwila wszystko może się tragicznie skończyć. Nie mógł jednak przekonać oprawców o swojej całkowitej lojalności. *Dokazi, szto ty nie wierbtud* — mówią Rosjanie. Chcieli, żeby szczerze się przyznał do niepopęfnionych win i bliski był już tego, by żądaniu ulec, zacząć mówić zgodnie z tekstem śledczych, aby tylko skończyła się udręka. I wówczas, gdy obmyślał historię, by pasowała do ogólnikowych zarzutów, wezwano go na konfrontację. *Oczna stawka* w języku NKWD. W obecności całego garnituru śledczych spotkał się z zupełnie mu nieznanym człowiekiem koło czterdziestki. Nieznajomy wyglądał na torturowanego. Miał nieco błędne oczy, podpuchniętą od długiej bezsenności twarz, poruszał się z trudem, jakby go bolały wszystkie mięśnie. Na wiadomość, że stoi właśnie przed profesorem Mendelejewem wydał stłumiony krzyk. Z początku profesor nie mógł zrozumieć, o co w ogóle chodzi, dopiero gdy tamten rzucił się na kolana i zaczął wołać: — Niech mi pan wybacz, myślałem, że pan już nie żyje, pan był taki stary, to ja, Sasza — profesor zaczął sobie przypominać małego dziesięcioletniego chłopca, który jeszcze przed rewolucją bawił się nieraz w ogrodzie państwa Mendelejewów. Profesor, który w tamtych odległych czasach był już w sile wieku, musiał chłopcu wydawać się starcem. Pamiętał go teraz już dobrze, czasem dawał mu cukierki, czasem jabłko z ogrodu. Chłopiec był synem ubogiej nauczycielki angielskiego. Mieszkała obok, w oficynie. Podczas rewolucji zniknęła, nie wiedział, co się z nią stało i zapomniał o jej istnieniu.

Teraz ze zdumieniem słuchał wyjaśnień dawnego znajomego. Matce więc udało się przedostać na południe, a stamtąd przez morze Czarne na Bałkany i do Grecji. Mieszkali później w Salonikach, wśród wielu rosyjskich emigrantów. Sasza tam się uczył, tam stracił matkę, tam też zaangażował się do różnych organizacji białych Rosjan, a wreszcie zaczął służyć w wywiadzie. Jakim? Profesora to nie obchodziło. Schwytany po drugiej wojnie gdzieś na Bałkanach, torturowany, pytany wciąż o kontakty w Rosji nie wytrzymał. Podał nazwisko Mendelejewa, by mieć spokój. Obliczył sobie, że ten starszy pan, jak mu się wydawało, nie może już żyć. Wymyślił całą historyjkę, jak się z Mendelejewem kontaktował na Malcie, w Istambule, Salonikach. O Londynie nigdy nie nie mówił, ponieważ nie

znał tego miasta. Teraz wycofywał wszystkie swoje zeznania jako wymuszone, przerażony ich konsekwencjami. Enkawudyści byli wściekli. Całe ich dochodzenie runęło. Niewinność profesora była oczywista, należało go zwolnić no i przeprosić.

— Nie miałem pretensji do Saszy — wspominał profesor — rozumiałem go dobrze, sam przecież byłem o krok od wymyślenia jakiejś podobnej historii. Chciał się ratować. To była moja wina, że nie umarłem w porę, że jeszcze żyłem. Podałem mu rękę na pożegnanie, życząc otuchy i siły, wróciłem do celi pewny, że będzie to już moja ostatnia tu noc. Złudzenie...

Trzymano profesora jeszcze cały miesiąc, nie reagując na jego protesty i żądania widzenia się z prokuratorem. Wreszcie pewnego dnia stanął przed obliczem jakiegoś wysokiego urzędnika NKWD. Ten poinformował go uprzejmie, że wszelkie zarzuty o szpiegostwo zostały już zdjęte. Ponieważ jednak profesor tak długo przebywał w więzieniu, nie mogą go wypuścić. Uchwałą specjalnej komisji (OSO) zostaje jako niepewny element skazany na pięć lat obozów pracy. Po czym urzędnik dodał z serdecznym uśmiechem: — Po odbyciu wyroku będziecie mogli bez przeszkód wrócić do swych zajęć w Leningradzie, oczywiście o ile nie zdechniecie.



W K. przyjaźniłam się z Zenią. To była także Leningradka. Zbliżyło nas właśnie wspomnienie o profesorze Mendelejewie. Studiowała na uniwersytecie, znała go z wykładów, niezbyt lubiła. Nie przypuszczała, by mógł być aresztowany. Cieszył się opinią człowieka wysoko postawionego w sowieckiej hierarchii. Podobno brał udział w montowaniu państwa sowieckiego, służąc samemu Leninowi za doradcę. Czy była to prawda, czy nie, tego nie zdołałam sprawdzić. W każdym razie potwierdziły się niektóre słowa profesora, na przykład o mieszkaniu. Miała to być po prostu willa w ogrodzie, której tylko jedno piętro zabrano dla innego wysokiego urzędnika. Zgadzało się zatem wszystko, ogród, apartament, służąca, wyjazdy zagraniczne. Zenia przypominała sobie, że przed samą wojną, kiedy zaczął się rok szkolny, chyba w 38, Mendelejew spóźnił się na wykłady parę tygodni z powodu wyjazdu gdzieś na Zachód.

Zenia wojnę spędziła na Krymie. Mieszkała tam na stałe matka jej męża, z pochodzenia Persanka, naturalizowana w Rosji już od dawna. Przyjechali ją odwiedzić w czerwcu 41 roku i już nie zdołali wyjechać. Rozprzężenie na drogach, prze-

rwane nici komunikacyjne, zresztą praca męża, który został zmobilizowany i skierowany do jakichś wojskowych warsztatów gdzieś niedaleko Kercza jako inżynier łącznościowiec zdecydowały o tym, że Żenia pozostała z teściową.

Przyszła armia niemiecka. Nie zdołali uciec. Ewakuacja warsztatów została zorganizowana za późno i oto we troje znaleźli się pod władzą okupanta. Nie były to łatwe dla nich czasy. Żenia pracowała w kuchni jednej z restauracji. Jej mąż musiał się ukrywać. Oboje weszli głęboko w powoli organizujące się podziemie. Nie bardzo mogłam się zorientować, czy miało ono duży zakres działania. Opowiadała o nim z dumą, ale bez szczegółów. Przypuszczam, że nie musiała być to większa grupa, raczej niewielkie i dość luźno z sobą związane oddziały. Jej mąż wyniósł z warsztatów radionadajnik i teraz próbował się porozumieć z Moskwą. Jakiś czas to trwało. W zimie 44 roku złapano go przy aparacie, aresztowano, zabrano także matkę i Żenię.

Cela, do której trafiła Żenia, znajdowała się w piwnicy. Nie była duża, natomiast potwornie zatłoczona. Małe okno nie dawało ani światła, ani powietrza. Chłód zresztą był niemiłosierny, przenikliwa wilgoć ciągnęła od cementowej podłogi. Niektóre kobiety siedziały już po parę miesięcy. Inne przechodziły przez tę celę szybko. Wywoływano je nad ranem i wiadomo było, że już nigdy do domów nie wrócą. Wszystkie nasłuchiwały kroków na korytarzu, cichego szczęku broni. Nie sądzono ich, śledztwa na ogół były krótkie, brutalne. Cała sztuka polegała na tym, aby je wydłużyć, przeciągnąć, zachęcić do dalszego zbadania szczegółów. Niemcy jednak nie okazywali specjalnego zainteresowania. Traktowali je schematycznie. Kto był silny i zdrowy, miał jeszcze szansę być wysłanym do Niemiec do pracy. Słaby i podejrzaný szedł na rozwałkę. Żenia drżała o teściową i męża. Niemal do kwietnia udało się jej przetrwać. I wtedy jednej nocy znów usłyszała kroki, wywołanie z sąsiedniej celi i jakby brzmienie swego własnego nazwiska. Był to zatem koniec. Pamiętam — mówiła, że mi się nagle zrobiło słabo i usiadłam na ziemi w kącie tuż przy drzwiach. Naprzeciwko mnie leżała chora. Miała gruźlicę, pluła krwią, niemłoda, siwa kobieta, słaba już bardzo. Teraz podniosła się, żeby posłuchać, co się dzieje na korytarzu.

To była podobno jedna chwila. Nagłe otwarcie drzwi, Żenie nazwisko, krótkie „to ja” chorej, krzyk Żeni, którą jakaś mocna ręka przygwoździła do ziemi i już gestapowcy odeszli wraz z chorą, nie zorientowawszy się w zamianie. Chciała ich

wołać, stukać. Nie pozwoliły inne. Jesteś młoda — mówiły, przed tobą życie. Tamta i tak nie przetrwałaby miesiąca.

A potem był kwiecień, ucieczka Niemców, wyzwolenie z więzienia i Zenia wyszła na wolność, aby stwierdzić, że jej dom jest pusty. Przeżyła jeszcze okropności ekshumacji, odnalazła teściową i męża, na pogrzebie nie miała siły nawet płakać. Pytałam ją, czy próbowała odszukać rodzinę tej starej kobiety. Znała przecież jej nazwisko. Tak, szukała. Odnalazła jej sąsiadów. Opowiadali, że była wdową i że jej jedyny syn zginął w wojnie fińskiej. Poza tym chyba nie miała nikogo. Akt samobójczy czy ofiara na rzecz młodości i nadziei?

Co było dalej z Zenią? Wróciła do Leningradu, do swojej matki. Chciała kontynuować studia. Niestety. Aresztowano ją którejś nocy i zasądzono na 10 lat. Jedyny zarzut, który jej na śledztwie i w uzasadnieniu wyroku stawiano brzmiał: dlaczego cię nie rozstrzelali? Widocznie zdradziłaś. Żadne wyjaśnienia, prośby o poszukiwanie świadków nie pomogły. Wszakże uczciwy sowiecki patriota wzięty do niewoli lub więzienia musi zginąć.



Jakże wiele trzeba mieć śmiałości, jak wiele hartu, by sceny walić, palić dekoracje, z aktorów zdzierać kostiumy i maski. Jaką odwagą jest odmowa uczestniczenia w grze. I jak piękną rzeczą, że na ową walkę z teatrem zdobyli się ci najbardziej ponizeni, te biedne zeki. Być może nabrzmiewała w nich ta chęć silniej niż u innych, bo już niewiele mieli do stracenia, a widzieli lepiej. Wszystkie tajniki inscenizacji odsłaniały się przed nimi w toku śledztw, więzień i obozowej pracy.

Sołżenicyn opisuje, jak po utworzeniu *spectagrów* następowwała powoli integracja zeków, jak nabrzmiewał opór wobec nadzoru, potężniała świadomość polityczna więźniów, a za nią poczucie solidarności. To właśnie procesy, zaczynające się od spraw najdrobniejszych, a tak ważnych w życiu każdego więźnia, jak brak kradzieży, możliwość zostawienia w swej szafeczce całej pajki na wieczór, albo paczki machorki, doprowadziły do prób wewnętrznego zorganizowania się z myślą o walce o lepsze warunki życia, a nawet rewizję procesów. Malutki płomień wolności zaczynał się tlić w obozach, by w niektórych z nich zapłonąć całym blaskiem.

W K. było cicho. Kontyngent kobiet niemal się nie zmienił, nie dochodziły do nas żadne wiadomości z innych obozów. Za wysokim samannym murem w męskiej zonie już było ina-

czej. Czasem w przerzuconym liściku ktoś pisał do ukochanej, że w kopalni znów unieszkodliwiono *stukacza*. To były pierwsze symptomy: samosądy. My na nasze *stukaczki* patrzyłyśmy z pobłażaniem, dopóki nie czyniły specjalnej szkody. Kobiety, zwłaszcza polityczne, rzadko są zdolne do zabójstwa. Raz tylko w Tu słyszałam o takim wypadku. Miałyśmy jednak inne sposoby, aby z niewygodnymi się rozstać lub ich unieszkodliwić. Przykładem może służyć historia Nadzi. Była Węgierką, słabo mówiła po rosyjsku, ale język nie stanowił dla niej przeszkody w jej nędznych poczynaniach. Zetknęłam się z nią wówczas, gdy została wysłana do naszej cegielni jako ślusarz. Pracowała dobrze, nie miałam jej nic do zarzucenia. „Romansowa” była nadzwyczaj, choć urodą się nie odznaczała. Nie przepuściła żadnemu z naczelników konwoju. Widziałam raz nawet, jak się przemykał do kuźni sierżant Uzbek, znany ze swej srogości w stosunku do zeków. Jak go usidliła, w jaki sposób nawiązała z nim kontakt? Gdy zjawił się w fabryce młody stażysta, technik, oczywiście wolny, dość przystojny chłopiec, z pogardą odnoszący się do każdej z nas, jak przystało na komsomolca, zaczęła również kręcić się przymilnie wokół niego.

Jednocześnie *stukała*. Może konwojenci mieli za zadanie zbieranie od niej informacji, aby wezwaniami do *opera* nie wzbudzić w nas czujności? Prawdopodobnie była to droga, która pozwalała jej nawiązywać bliskie kontakty. Z początku nie orientowaliśmy się, z której strony czyha na nas zagrożenie. Jednak kilka faktów zwróciło na nią naszą uwagę. Były to donosy nie tylko przykre, lecz groźne. Wpadli z listami trzej wolni szoferzy, ni stąd ni zowąd rewidowani na wachcie cegielni. Zdjęto ich z pracy, dano skierowanie do kopalni. Jedna z cennych dróg ku światu — ku bliskim, nagle się dla nas urwała. Potem wsadzono do karceru dwie brygadierki pod zarzutem sprzedawania cegły szoferom na lewo. Gdyby im to udowodniono, mogłyby otrzymać drugi wyrok. Na szczęście nasz Igor Matwiejewicz zaświadczył, że w cegielni żadnych braków nie ma. Gdy z miejsca po powrocie do zony, jeszcze na wachcie zabrano jedną z dziewczyn przed oblicze *opera*, a potem także do karceru, dając jej dziesięć dni rzekomo za sabotaż, choć takiego nie było, miarka się przebrała. To była spokojna dziewczyna, wpadła jednak raz w pasję, nie wiem już z jakiego powodu i nawymyślała Nadzi od *stukaczek*.

Trzeba było coś zrobić. Ktoś rzucił pomysł, że byłoby łatwiej sobie z nią poradzić, gdyby nie chodziła stale w dzień, lecz również na nocną zmianę. Rzecz była do załatwienia. Pod

pretekstem konieczności konserwacji sprzętu także nocą, dyrektorka cegielni na moją cichą prośbę zażądała, by ślusarz więzień był obecny w warsztacie. Nadzia została przydzielona do brygad, które stale wychodziły ze mną do pracy, bez względu na to, czy była to dzienna czy nocna zmiana.

Czatowałyśmy na okazję. Teraz bowiem na nas przyszła kolej, by spektakl zainscenizować. Musiała to być inscenizacja sprawna, realistyczna, a także zgodna z *soc*, aby ją *oper* uznał i wyrzucenie Nadzi ze sceny odbyło się zgodnie z wszystkimi regułami. Role zostały rozdane, teraz wypadało tylko czekać, aż przyjdzie dogodna chwila. Przyszła wreszcie. Jeden z wolnych majstrów zachorował i na jego miejsce postawiono stażystę. Był to bodajże trzeci czy czwarty dzień jego dyżuru. Siedziałam na formowce, gdy jedna z brygadierek dała mi znać, że Nadzia zamknęła się ze stażystą w magazynie. Trzeba było działać szybko. W magazynie był papier, jakim zasłania się co pewien czas układaną w hofmańskim piecu surową cegłę. Jeszcze dziewczyny w nim pracujące nie doszły do odpowiedniego miejsca, ale gdy brygadierka im powiedziała, o co chodzi, przyspieszyły, pomogły im też inne, choć zasadniczo powinny ładować wagony, dość, że po dziesięciu minutach mogłyśmy już spokojnie iść do magazynu. Drzwi były zamknięte od środka. Zaczęłyśmy stukać. Zebrało się nas specjalnie kilka: trudniej się wykręcić sianem, gdy świadków jest wielu. Z początku nie odpowiadał. Sasza — wołałyśmy — nie śpij, otwórz, papier potrzebny, zaraz stać będziemy. Zaczął wreszcie za drzwiami mamrotać, jakbyśmy go rzeczywiście zbudziły.

— Otwórz, do diabła!

Nie chciał, uważał, że można przejść jeden z ciągów bez stawiania papieru. Na to się zgodzić nie mogłam.

— Zdużniałeś? Sabotaż nam proponujesz? Taki majster z ciebie? — Zrezygnował z oporu. Wsunął się z magazynu starannie zamykając za sobą drzwi na klucz.

— Sprawdź czy rzeczywiście potrzeba — zawołał i pobiegł do hofmanki. Tam przywitało go ruganie czekających dziewczyn.

— Majster, a roboty nie pilnuje, przestój mamy, rusz się prędzej, no i trochę niecenzuralnych matów, aby zdopingować, a może i przestraszyć młodzieńca. Zastał nas wracając twardo stojące przed magazynem.

— Idźcie do pracy, zaraz wam papier przyniosę — prosił. My jednak byłyśmy bezlitosne.

— Nie wygłupiaj się, otwieraj.

Przekręcił klucz w zamku, chciał wejść sam, ale popchnęliśmy go, ktoś ręką namacał kontakt, zabłyśło światło. Za wysokim rulonem technicznego papieru siedziała w kucki kryjąca się Nadzia.

— No tak — zawołałam. — Majster, wolny, intymne kontakty z więźniem, *swiaz z zakluczonnoj*, artykuł taki to a taki. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałam. Niestety muszę złożyć raport na was obojga.

Nie wiem, czy byłam dość przekonująca w nowej roli *stukacza*, ale radość i poklask zyskałam wśród brygad ogromny. Stażysta błagał mnie, żebym milczała, ale nam nie chodziło o tego zarozumiałego i nieprzyjemnego gagatka, tylko o Nadzię i nasze cegielniane ciche interesy. Nie mogliśmy pozwolić, aby którejkolwiek z nas wytoczono nową sprawę karną. Za bliskie byliśmy końca wyroku. Na wachcie zony zgłosiłam konieczność widzenia się z *operem*, ku szalonemu zdumieniu nadzorców. Wezwano mnie do niego gdzieś około południa. Moje sprawozdanie było krótkie, ale pełne patosu i wzniosłych słów, jakich wymagała rola oburzonego *proraba*, który kogoś złapał *in flagranti* na łamaniu świętego *obszczernego reżimu*: — Kiedyś — zaczęłam — miał obywatel pełnomocny pretensje do mnie, że nie informuję go o tym, co się dzieje wbrew reżimowi w fabryce. Wówczas było wszystko w porządku, nie miałam nic do powiedzenia. Teraz melduję, że nie możemy pozwolić, aby zła opinia krążyła o naszej uczciwej pracy. I opowiedziałam, jak zupełnie przypadkowo, niezmiernie tym faktem zaskoczone, natrafiłyśmy na Nadzię w niedwuznaczej sytuacji ze stażystą.

— *Kak prorab na socproizwodstwie ja na eto razreszenia dat' nie mogu* — zakończyłam.

Widziałam jego wściekłą twarz. Niełatwo mu będzie znaleźć nowego tak dobrego *stukacza* jak Nadzia. Nie mógł jednak nic zrobić. *Stukacz* skompromitowany nie nadawał się już do niczego. Nadzię zdjęto z cegielni i był to dzień naszego triumfu. Wyjechał także stażysta. Nie aresztowano go, udzielono tylko srogiej nagany. No i Bóg z nim. Grunt, że w cegielni zapanowała znów sielanka.

A więc i my potrafiłyśmy grać, jeśli było trzeba, wczuwając się w rolę zgodnie z zasadami sławnego Stanisławskiego. Ów teatr był niekiedy lepszą metodą walki ze *stukaczami* niż nóż w plecy. Nóż jednak w innych obozach coraz częściej był w robocie. Jeszcze przed śmiercią Stalina szła cicha pogwarka

przenoszona z ust do ust, z obozu do obozu, że polityczni przestali patrzeć na zdradę z pokorną beznadziejnością. Jak dawniej *urki*, teraz oni szeptali: *ubiej stukacza!* i nie tylko jego, także co gorszego nadzorcę, tego bezwzględneho, tego sadystę, który nie daje spokojnie żyć, znęca się, ciągle czegoś szuka, robi *szmon* za *szmonem*, skarży naczelnikowi reżimu, nieraz popchnie, nie daj Boże uderzy.

Nie wolno było bić. Bito w śledztwie, ale nie w obozach. Nadzorca, który by podniósł rękę na zeka w *ITŁ*, tej samej nocy by zginął. *Urka* mścił towarzysza. Wiedział o tym nadzorca, wiedziało wyższe naczalstwo. Stąd ów zakaz. Więźnia można wsadzić do karceru, wysłać na gorszą *komandirówkę*, ale uderzyć regulamin nie pozwala. Można go obrzucić błotem słów, nakrzyczeć, przetrzymać pół nocy na *prowierce*. Są różne sposoby, by go umęczyć. Najcięższa kara to wysłanie na trudne roboty, tam gdzie norma wysoka, pajka mała. To wystarczy, by go uczynić potulnym i nieskorym do buntu.

Wydawało się, że starzy więźniowie przez te wszystkie lata wdrożyli się już do łańcucha, spotulnieli, zrezygnowali. Nic podobnego. To właśnie w nich palił się ogień buntu i tylko czekał, aby wybuchnąć płomieniem. Do męskiego obozu w Narylsku przybywały ciągle nowe etapy z południa, przywożąc dziwne wieści. Gdzieś w jakimś obozie był strajk. Gdzieś usiłowano walczyć o prawa dla więźniów politycznych.

Świadomość tych wydarzeń była mała. Coś jednak narastało w powietrzu, plotki, podniecenie, opowieści nowoprzybyłych, docierające do kobiet w listach.

Męskich *specobozów* było w Narylsku cztery, reszta dla kryminalistów. Jedyne żeński obóz liczył około 5000 bab. Jego długi prostokąt ciągnął się między tundrą a terenami przyległymi do miasta. Z dachów miejskich domów można go było dostrzec. Część krótszego boku prostokąta przylegała do roboczej męskiej zony. Przeciwległa strona — do niewielkiej zony z karcerem. Obóz miał dwie wachty: jedna tuż obok drutów, rozdzielających męską i żeńską zonę, tak, że wychodzące do pracy kobiety szły wzdłuż tej pierwszej, mogąc dobrze obserwować, co się dzieje wewnątrz. Drugie wyjście w stronę miasta mieściło się na samym końcu dłuższego boku prostokąta.

Narylsk. Podobno prawidłowa nazwa brzmi Norylsk, ale tam mówiło się zawsze z a. Miasto położone na północ dalej niż Workuta, hen za polarnym kręgiem, wyjście ku arktycznemu morzu i jego portowi Dudince. Latem płynęło się do niego Jenisejem, zimą jedyne połączenie stanowiły samoloty.

Dokoła tundra, a w niej miedź, węgiel dobywany w sztolniach, cementownie, cegielnia, budowa — nie brakowało dla zeków roboty.

Zaczęło się to po południu około 22 czerwca. Jak to w obozie, po pracy, po marnym posiłku, zanim zamknięto drzwi baraków na ciężkie sztaby, zebrały się dziewczęta wokół drutów męskiego obozu, aby choć uśmiechnąć się do chłopca, posłuchać nowinek. Tym bardziej, że nowinki były coraz ciekawsze. Coś się zaczęło rozkładać w Bolszewistanie po śmierci jego wielkiego wodza.

Przerzucano przez druty wesołe słowa, gdy nagle żołnierz stojący obok na wyszce zaczął krzyżeć — *Rozchodities zakluczonyje, rozgawariwat nielzia.*

Niewypierzony rekrut, pochodził widocznie z najmłodszych roczników, nie znał jeszcze obozowych zwyczajów. Choć regulamin na takie rozmowy przez druty nie pozwalał, starsi konwojenci i strażnicy, a zwłaszcza *frontowiki*, wciąż oczekujący na demobilizację, choć od wojny minęło lat osiem, którzy z niejednego pieca jedli, do zeków przywykli, patrzyli na te drobne przekroczenia przez palce. Młodzianek-służbista, niech krzyży — sukinsyn — kto by na niego zwracał uwagę. Jeden z chłopców posłał mu nawet sążnistego mata. I wówczas padł strzał. W pierwszej chwili nikt nie zrozumiał, co się stało. Rozbiegli się, gdy padły następne. Nie wszyscy. Dwóch chłopców zostało zabitych na miejscu, trzech ciężko rannych. Zanim ich zabrano, obie żony zawrzały. Czegoś podobnego jeszcze nie było. Strzelać do żony? Za co, za głupie gadanie? *Podlecy.* Postawili takich *nowiczkow* na wyszki, wyprali im mózgi, nauczyli nienawidzieć *kontryków*. *Chwatit z takimi zadawatsa, chwatit robotat*. W męskiej żonie jeszcze tej samej nocy postanowiono ogłosić głodówkę i nie wychodzić do pracy. Część żeńskich brygad spontanicznie podjęła podobną decyzję. Rano zostały więc w żonie. Inne, nie wiedząc o postanowieniu (baraki bywają na noc zamknięte, komunikacja utrudniona) wyszły co prawda do roboty, ale za żoną dowiedziały się od wolnych lub spotkanych brygad kryminalistów o strajku. Następnego dnia po zajściach wszystkie obozy *spektagu* ogłosiły solidarne przyłączenie się do protestu. Żądano komisji z Moskwy, a do czasu jej przybycia usunięcia wszystkich nadzorców z żony.

NKWD było wyraźnie zaskoczone. Komendant obozu zastosował się do życzeń. Pierwszy raz od wielu lat baraki nie zostały na noc zamknięte. Nadzorcy znikli. Spontanicznie powstające grupy najbardziej energicznych i zdecydowanych kobiet pil-

nowały porządku wewnątrz. Dyscyplina była nadzwyczajna. Na-
stały dziwne dni. Dziewczeta wstawały, ubierały się i rozsia-
dały się koło baraków radząc, układając teksty protestów i żą-
dań. Płynęły dni i sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Nie
przyjmowały pożywienia. Komendant od czasu do czasu przy-
chodził do zony, namawiając do przerwania strajku. Kuchnia
gotowała jak zwykle, podobno nawet lepiej. Komisja stworzona
z coraz to innych dziewcząt pilnowała, aby posiłek był w całości
wylany hodowanym w zonie świniom. Akt zniszczenia podpisy-
wał komendant i komisja. Tylko inwalidkom pozwolono
jeść. Były za słabe, aby z innymi głodować. W zonie zapadła
nienormalna cisza. Siły zeków nie można porównać z siłami
zwykłych, dobrze odżywionych ludzi. Pozbawieni od lat tłusz-
czu i białka, czuli potężny głód. Nawet kobiety, z reguły bar-
dziej wytrwałe niż mężczyźni, coraz trudniej znosiły ten dobro-
wolny post. Próbowaly się ratować po cichu, żeby nikt z naczel-
ników nie zauważył. Czasem podkładały owies koniowi w obozo-
wej stajni. Czasem kuchni udało się schować jedno wiadro zupy
czy kaszy przed komisyjnym wylaniem. Wiadro to nocą dzielono
w coraz to innym baraku. Siostry ze szpitala wynosiły witaminy
i tran, dzieliły te skarby jak mogły, ale cóż one znaczyły wobec
5000 gąb. Lazarecik był malutki, liczył tylko 15 łózek. Czas mi-
jał, przyszedł lipiec, a one wszystkie trwały uparcie w swym po-
stanowieniu, tak zresztą jak i mężczyźni. Już nie wychodziły
z baraków, leżały nieruchomo na kojках, by nie tracić ani
kropki energii. Szczęśliwa była ta, która mogła spać. Ale we
śnie przychodziły wizje stert chleba i kaszy, więc otwierały
znów oczy, wpatrując się w światło niegasnącej polarnej nocy.

Rejestr żądań był gotowy. Zyskał pełną aprobatę całego
żeńskiego obozu, został uzgodniony z męską zoną. Żądania
miały różny charakter. Niektóre dotyczyły regulaminu *spec-
obozów*, inne spraw o wiele ważniejszych. Domagano się więc:
zdjęcia z ubrań numerów, niezamykania na noc baraków,
pozwolenia na pisanie listów co miesiąc, a nie dwa razy do
roku, wolnych niedziel i zmniejszenia czasu pracy do ośmiu
godzin, wprowadzenia pieniężnej opłaty za pracę, zorganizowa-
nia w obozie sklepiku. Jednocześnie domagano się rewizji
wszystkich procesów, natychmiastowego zwolnienia tak zwa-
nych małolatek, a więc niepełnoletnich więźniów, przewiezienia
wszystkich inwalidów do obozów na południe do lepszych
warunków klimatycznych, zniesienia katorgi i wreszcie zapew-
nienia pełnego bezpieczeństwa zarówno komisjom strajkowym
jak i wszystkim więźniom.

Jakaż musiała być już wówczas solidarność w obozie, jeżeli takie żądania uchwalono!

Czwartego lipca komendant zapowiedział przyjazd moskiewskiej komisji. Chciał aby kobiety wyłoniły reprezentantki do rozmów. One jednak zaoponowały. Wszystkie będą obecne przy rozmowie, a te, które zabiorą głos, pozostaną wśród innych w tłumie. Nie wierzyły naczalstwu, siedziały już po wiele lat i wiedziały dobrze, że nie można ufać NKWD. Komisja zjawiła się w dwa dni potem. Jej wejście do zony obserwowano pięć tysięcy par oczu. Nagle rozległ się krzyk:

— Oszustwo, kłamcy, znamy was, jesteście z Gułagu z Krasnojarska.

Stare Narylczanki poznały naczelników centralnego zarządu (*Głównoje Uprawlenie Krasnojarskich Łagieriej*, któremu podlegał Narylsk), którzy niejednokrotnie przyjeżdżali na okresowe kontrole. Nie było co z nimi gadać. Rozeszły się po barakach, kontynuując strajk, zdecydowane walczyć do końca.

7 lipca zjawiła się autentyczna komisja z Moskwy. Generałowie, *zołotopagonniki*, NKWD. Pośrodku zony ustawiono stół, przy którym zasiedli. Kobiety otoczyły ich kołem. Byli niezmierni grzeczni, nawet dobroniuszni. Zapowiedzieli zmiany, przyznali się do fałszywej polityki. Teraz, po wykryciu pewnych nadużyć w Gułagu, będą stopniowo wprowadzone różne ulgi, także rewizja spraw. Obiecali nie zamykać baraków, zabrać inwalidów i niepełnoletnich, co rzeczywiście niemal natychmiast zostało wykonane. Zapewnili też pełne bezpieczeństwo wszystkim zekom.

Wyniki układów były pomyślne. Tego samego dnia kuchnia zaczęła przygotowywać specjalne posiłki dla głodujących, dietetyczne, aby nie nastąpiły skręty kiszek i inne zaburzenia. Pierwszy raz od wielu dni dziewczęta jadły powolutku rozgotowaną mianą kaszę z odrobiną tłuszczu.

Obóz wracał do normalnego życia. Po dwóch dniach odpoczynku brygady zaczęły wychodzić na robotę, wieczorami jak dawniej zbierały się dziewczęta pogadać z chłopcami przez druty, po *odboju* można było nawet posiedzieć na przyzbie, popatrzyć na jasne lipcowe niebo. Baraków nie zamykano. Stan ten nie trwał jednak długo. Nagle jedna z dziewcząt, z tych najbardziej aktywnych podczas strajku, wezwana do wymycia podłogi na wachcie, nie wróciła do zony. Potem zginęły w niewiadomy sposób druga, trzecia, czwarta. Po tygodniu brakowało już dziesięciu dobrze znanych, bojowych, lubianych więźniarek. Z męskiej zony przychodziły takie same wieści. Nie

aresztują na oczach wszystkich, wywabiają pojedynczo pod różnymi pretekstami za zonę, a to do sprzątanania, a to na wezwanie *opera*, a to nawet w nocy do pomocy w kuchni lub jakiejś awaryjnej roboty, i kamień w wodę. Oto obietnice naczalstwa, oto dane słowo, gwarancje bezpieczeństwa. Jak zawsze wszystko jest lipą, obietnice służą tylko temu, by uspokoić i rozbroić przeciwnika i by w dogodniejszej dla siebie chwili udeżyć.

Zeki miały dosyć tego kłamstwa, dosyć perfidii. Niechże pokażą wreszcie gułagowscy naczelnicy swe twarze bez masek, niech porzucą oszustwa, na które się już nikt nabrać nie da. Wszystkie zony ogłosiły strajk, bez głodówki. Niech uwolnią porwanych, niech ich przywiozą z powrotem do obozu. Nad zonami pojawiły się z daleka widoczne czarne chorągwie. Miały być symbolem oporu na śmierć i życie, do końca.

Przez parę dni panował spokój, dowożono nawet produkty do kuchni, zniknęli tylko nadzorcy, zniknął komendant. Aż pewnej nocy cały obóz został otoczony przez wojsko i cywilów. Przez zainstalowane megafony dowódcy okrążenia wzywali do wychodzenia z zony. Przecięli nawet druty po stronie tundry, zapraszając wszystkich, komu życie miłe do opuszczenia zony. Nikt jednak nie chciał się ruszyć. Nastąpił więc pierwszy atak, w pierw przeciwko męskiej zonie. Biegli z bronią gotową do strzału. Na widok broni skierowanej w stronę tłumu oczekujących zeków kobiety podniosły straszny krzyk. Był on tak wielki, że się żołnierze zatrzymali, trochę zmieszani, trochę przestraszeni. Cofnęli się. Padł jednak znowu rozkaz ataku i znowu krzyk powstrzymał biegnących. 5000 gardzieł wyło tak rozpaczliwie, że w mieście powyłazili na dachy, aby zobaczyć, co się dzieje. Tym krzykiem kobiety obroniły swoich towarzyszy. Wojsko odstąpiło od drutów. Dano im i chłopcom spokój.

Przez siedem dni panowało jakby zawieszenie broni. Strajk trwał, władze namawiały wciąż kobiety do wyjścia za zonę. Wreszcie ogłoszono, że Niemki, Węgierki i Czeszki zostaną przewiezione do innych, lepszych obozów. Rozporządzenie to wywołało nieco konsternacji. Nie bardzo wiedziano, jak się zachować. Wyglądało na to, że szykuje się repatriacja tych narodowości. Strajkowa komisja radziła cudzoziemkom zastosować się do wezwania i wyjść, tak jak żądano, za druty, do nowo zbudowanej przez żołnierzy niewielkiej przylegającej do obozu zony, gdzie przez tych kilka dni wyrósł niezbyt duży barak. W parę dni później na zaproszenie władz opuściło zonę

kilkadziesiąt *pryduzków*, głównie Rosjanek i Ukrainek z Wschodniej Ukrainy. Pozostałe trwały, Litwinki, Polki, Rosjanki, Estonki, Koreanki i Ukrainki, Kałmuczki i Chinki, wszystkie narodowości solidarne, współpracujące z sobą, tworzące nawet przez swe przedstawicielki coś w rodzaju komitetu. Pracowały w tym czasie usilnie, przygotowując skrzynie tłuczonego szkła, kamienie, pałki, kawałki żelaza. Szykowały się do obrony.

Od strony miasta za wysokim ostrokołem rozciągały się wojskowe koszary. Tego dnia zgromadziły się wszystkie na placu wraz z swą amunicją, uprzedzono je bowiem, że jeżeli nie wyjdą przez przecięte druty do tundry, żołnierze zaczną strzelać. Odpowiedziały milczeniem. I nagle ów wysoki ostrokoł zachwiał się, zaczął się łamać, wreszcie z trzaskiem padł i zza niego wyskoczyli dziwni cywile, z krzykiem, błędnymi oczyma, jakby w sztok pijani, uzbrojeni w pałki, za nimi żołnierze z automatami. Rozległ się wrzask, lecz jeszcze stały, nie zważając na lejącą się na nie wodę z sikawek, która miała zmusić je do odstąpienia. Kryły się papą, deskami, choć nie na wiele to się zdawało. Zza tych tarcz usiłowały kamieniem lub szkłem dosięgnąć przeciwnika. Wówczas nastąpił atak. Dziwna rzecz, nie ustąpiły przed wymierzoną przeciwko nim bronią, zaczęły się cofać pod naporem watahy tych cywilów, którzy szli bijąc na oślep wyrwanymi z ostrokoła deskami, kijami, pałkami.

Wypchnięto je w tundrę, przebiegały przez jakiś niewielki pagórek, z krzykiem schodziły w dół, by nagle znaleźć się znów w kotle otoczonym ze wszystkich stron wojskiem. Nie było ucieczki. Skupiły się razem, jak najbliżej, pewne, że teraz już posypią się strzały i że nie ma dla nich żadnego ratunku. Nic się jednak nie stało. Przyszedł wieczór i noc, chłodna, przenikająca zimnem ich zmoczone ubrania. Męczyły je komary i tundryjska maskara. Siadały na wilgotnej ziemi zmęczone, nie mając sił już więcej się opierać. Dopiero następnego dnia po tej koszmarnej nocy, bez wody, bez chleba, przeprowadzono je do sąsiedniej dolinki. Tam stał stół, przy którym zasiedli *oper*, komendant, kilka *pryduzków*, które wcześniej opuściły zonę. Zaczęła się selekcja: jedną na prawo, drugą na lewo. Z lewej zgrupowano około 700 kobiet. Nie spodziewały się niczego dobrego. Zaprowadzono je po selekcji do nowo zbudowanego baracku, pozwolono wejść do ogólnej zony, by zabrać swoje rzeczy. Resztę puszczono do zony.

Tak się skończył bunt w Narylsku. Co było potem? Te 700

kobiet miało wyjątkowe szczęście. Przewieziono je do innego Narylskiego obozu, który miał mieć szczególnie surowy reżim i bardzo ciężką pracę. Dostał im się jednak wspaniały komendant, pełen podziwu dla ich walki. Robił co mógł, by im nie było źle. Nie on jeden zresztą okazywał im życzliwość. Spotkani gdzieś w drodze do pracy mieszkańcy Narylska czasem im rzucali chleb, czasem nawet kawałek słoniny lub kiełbasy, papierosy, machorkę. Widać było, że i im zaimponowały dzielne zeki.

W stosunku do mężczyzn władze zastosowały sroższe sankcje. Nikt dotąd nie wie, ilu z nich zostało rozstrzelanych, ilu dostało nowe wyroki. O Narylskich ofiarach chodzą legendy. I będą chodzić długo — póki Gułag trwa.

BUDIONOWKA

Umarł Stalin. Nagle z obozowych głośników popłynęła szósta symfonia Czajkowskiego. Za nią Haendel, Mozart, Beethoven. Od czasu śmierci Żdanowa nie miałam takiej muzycznej uczty. Zniknęły czastuszki, nieśmiertelny zespół „Bieriozki” i Aleksandrowa, walce Dunajewskiego. Było już względnie ciepło, śnieg tajał na stepie, sadowiliśmy się więc po pracy jak najbliżej zawieszono wysoko na słupie głośnika i słuchaliśmy. Nadzorczy kiwali głowami: zeki, a Stalina oplakują *molodcy*. Nie reagowaliśmy na te uwagi. Nie wyprowadzałyśmy ich z błędu. Zresztą Rosjanki rzeczywiście płakały, trudno w to uwierzyć.

Potem był pogrzeb i minuta ciszy w całym Bolszewistanie. Stałam właśnie na hofmańskim piecu. Parę minut przed dwunastą od strony kazachskich chat ukazała się Kazaszka. Z wysokim dzbanem na głowie szła w step, zgodnie z obyczajem przodków, którzy nie znali wygódek. Odeszła już znacznie od domów, gdy nagle rozbrzmiały syreny pobliskiej huty. Kazaszka zamarła. Stała w tym pustym stepie, sama, z daleka od wszystkich, a jednak stała. Gdy tylko syreny umilkły, przykucnęła w tym samym miejscu za potrzebą. Człowiek jest inteligentny, człowiek się daje lepiej tresować niż zwierzę.

Nie było już *batiuszki* i twarze naszych obozowych władz przybrały wyraz niepewności i jak gdyby lekkiego pomieszania. Z niewinnymi minami pytałyśmy się naszej *operczekistki*, popularnie zwanej Wałą, co sądzi o Malenkowie. Odpowiedź była niezmienna: Nie wiem. W Moskwie lepiej wiedzą. Partia postanowi.

Nikt nigdy nie wyrażał własnego zdania. Może go już po prostu nie mieli?

Potem gruchnęły różne plotki przynoszone do cegielni przez szoferów, że był zamach stanu, że Beria siedzi, że jakichś lekarzy przywieziono w stołypińskim wagonie do naszego miasta, ale że po paru dniach etap cofnięto. Mówiono, że to lekarze z Kremla, że są odpowiedzialni za śmierć Stalina. Inni twierdzili, że to były tylko ich żony, ale Beria aresztowany, więc je zwolniono. W gazetach pisano niewiele i naprawdę trudno było się w tym galimatiasie rozeznać, aż do oficjalnej wiadomości o zdradzie Berii, nadużyciach władzy itp. Enkawudyści zadrżeli. Ich los stawał się niepewny. Choć pod strażą, teraz my byliśmy górą. Na *razwodzie*, gdy tylko ktoś z nadzoru podnosił głos, sypały się z rzędów zeków oskarżenia: *Priśtużniki Berii, be-riowskije szakały*. — Wściekli milczeli. Reżim też wyraźnie osłabł. Co jeszcze śmieszniejsze, zaczęto nas kokietować. Grzeczne słówko, uśmiechy, nagle kawony dla wszystkich po śmiesznie niskiej cenie, dynie. Co prawda w tym rejonie kawonami karmiono świnię. Ale dla nas była to frajda. Zorganizowano również w zonie całkiem nieźle zaopatrzonego sklepiku. A co najważniejsze, zaczęto płacić za robotę. Otrzymywałyśmy tylko połowę tego, co zgodnie z *nariadem* każda z nas zarobiła. Od tej połowy potrącano na wyżywienie, świadczenia (mieszkanie, opał, elektryczność i naturalnie ochronę), ale zawsze coś tam zostawało. Więc kupowałyśmy konserwy sazana, kaszę i *kombinżyr*, czyli mieszaninę margaryny z wołowym łożem. Kiedy raz w sklepiku pojawiły się lody, uznałyśmy, że Sowiety staczają się już po równi pochyłej.

Wiele z nas kończyło wyroki. Mijało dziesięć lat. Władza postanowiła więc przygotować nas do zawodu. Po pracy, trwającej zresztą tyle samo godzin i odbywającej się w niezmiennych warunkach, chodziłyśmy w zonie na różne kursy. Były to kursy dla malarzy pokojowych, dla tynkarzy, no i dla robotników fabryk ceramicznych, gdzie ja, jako fachowiec wysokiej klasy prowadziłam zajęcia. Zarobiłam na tym coś około 1500 rubli, astronomiczną jak dla zeka sumę (to było jeszcze przed reformą pieniężną). Trzeba powiedzieć, że w momencie opuszczania obozu wypłacono mi wszystko co do grosza.

Przyszedł więc moment rozstania się z gułagowskim państwem. Pod koniec marca otrzymałam „okrężną listę” z zapowiedzią wyjazdu w nocy następnego dnia. Pozwolono mi zatrzymać waciak, watowane spodnie, walonki, parę bielizny, sukienkę. Po tylu latach bez paczek, dawno nie miałam już włas-

nych rzeczy. Dziewczęta jednak obdarowały mnie sówicie. Do-
stałam nowe rękawiczki, skarpety, szalik, pończochy, mnóstwo
drobiazgów, serweteczek, rzeźbioną firkę, drewnianą papieroś-
nicę i papierosy. Nie miałam pojęcia, dokąd mnie los rzuci.
Jeszcze w Tu zek mógł sobie wybrać miejsce pobytu, aby nie
w centralnej Rosji, nie w mieście stołecznym republiki, nie w
mieście portowym. Starano się zazwyczaj o jakieś miasto po-
wiatowe, by tylko nie popaść do jakiejś strasznej dziury. Wielu
zostawało na miejscu. W *specobozach* takiego prawa nikt już
nie posiadał. Naczalstwo samo decydowało, kogo dokąd posłać.
Co prawda gruby Jaziew obiecywał, że zostawi mnie w K., ale
jak widać albo zapomniał, albo nie otrzymał na swe starania
zgody.

W nocy wezwano mnie do odjazdu. Nie było już śniegu,
powietrze ciche, wiosenne. Z drewnianą walizką w rękę i wor-
kiem na plecach przeszłam po raz ostatni naszą żeńską wachtę.
Za nią stała ciężarówka, taka jakimi zwykle wożono nas do
pracy, na niej 11 mężczyzn i oczywiście konwój. Obeszło się
tylko bez sakramentalnych słów o ucieczce. Mężczyzn tych nie
znałam. Był wśród nich jeden Polak, starszy, nieciekawy czło-
wiek, poza tym Łotyże, Ukraińcy, Litwini, jeden Białorusin.
Przywieziono nas na stację i za chwilę znaleźliśmy się w stoły-
pińskim wagonie. W moim przedziale już się znajdowały ja-
kieś trzy kobiety na dolnych półkach. Wlazłam na najwyższą.
Było tam bowiem małe okienko, a raczej wywietrznik,
przez które widziałam tory, parę stacyjnych budynków i daleki
horyzont stepu. Ruszyliśmy w drogę dopiero rano. Jechaliśmy
na północ. Dokąd? Po upływie doby step zmienił wygląd. Po-
krył się śniegiem. Wyciągnęłam z worka walonki, schowałam
buty. W wagonie robiło się coraz chłodniej. Dotarliśmy wresz-
cie na trzeci dzień wieczorem, a była to właśnie niedziela, do
powiatowego miasta, leżącego przy linii wielkiej syberyjskiej
magistrali. Wyładowano nas. Z kobiet zostałam sama, tamte
trzy zostały wysadzone po drodze wraz z jednym z mężczyzn.
Tak zatem grupa nasza liczyła 11 osób. Czekaliśmy na stacji
gdzieś przy bocznych torach parę godzin na dwudziestokilku-
stopniowym mrozie. Wyraźnie przyjechaliśmy nie w porę i nie
wiedziano, co z nami począć. Wreszcie podjechała czarna wro-
na, tj. samochód więzienny z małymi celami w środku. Zała-
dowano nas i zaczęliśmy jeździć po uśpionym mieście od jed-
nego więzienia do drugiego. Było ich widocznie kilka, zatrzy-
mywaliśmy się bowiem kilka razy i za każdym razem nasi kon-
wojenci klęli głośno i sprzeczali się z kimś, kto powtarzał nie-

zmiennie: *nie prinimaju, niet miest*. Wreszcie zaskrzypiała jakaś brama, samochód zatrzymał się i za chwilę szczerkneły rygle zamków. Ledwo wyłaziliśmy, parogodzinna bowiem jazda w kłitkach, w których nie można było się poruszyć i przy tym diabelskim mrozie spowodowała zdrętwienie wszystkich członków. Powoli rozgrzewaliśmy się, tupiąc i skacząc. Znajdowaliśmy się na podwórzu dość ponurej tiumry o grubych murach, widocznie budowanej jeszcze za carskich czasów. Na szczęście przyjęcie trwało krótko. Zażądałam kategorycznie umieszczenia mnie w pojedynczej celi. Ostatecznie byłam już według prawa „wolnym człowiekiem”. Nie musiałam dzielić się celą z innymi aresztantkami, których na pewno tu nie brakowało. Miałam przy sobie pieniądze i bałam się, że *urkaczki* natychmiast mnie obrabują. Przyjmujący nas dyżurny kiwał co prawda z dezaprobatą głową, ale w końcu zaprowadził mnie gdzieś na koniec więziennego korytarza, uprzedzając tylko, że nie palono już tam dawno, więc jest nieco zimno. On jednak spróbuje rozpalić w piecu i przyniesie mi gorącego *kipiatku*. Cella była dość duża, bez lampy, żarówka widocznie się przepaliła, co mi zresztą nie przeszkadzało. Paraszę jakoś znalazłam. Zimno jednak było niemiłosiernie. Biegłam więc w kółko, nie marząc początkowo o położeniu się. Stały tam żelazne dwupiętrowe nary z deskami, ale bez sienników, puste. Położyłam swoje rzeczy, rozesałam koc. Koc mój był za lekki, nie wystarczał na przykrycie. Trochę pomógł mi *kipiatok*, rozgrzał od środka. Słyszałam, jak dyżurny rozpala w piecu, ale przy tej grubości murów i przy tym chłodzie nie spodziewałam się, by się zrobiło trochę cieplej. Zmęczona bieganiami w kółko położyłam się wreszcie na narach, naciągając na siebie deski. Maria Curie kiedyś podobno spała, przykrywając się krzesłem, dlaczego nie mogłabym w tym samym celu użyć desek, na pewno lepiej się na koldrę nadają, są równe i cięższe.

Rano dostałam jeszcze jedną porcję *kipiatku*, piec zrobił się nieco cieplejszy, można było pod nim stanąć, ogrzać sobie plecy. Dopiero gdzieś niemal w południe kazano mi zabrać rzeczy. Tym razem na podwórzu czekał na nas nie enkawudysta, lecz zwykły milicjant. Trzymał już w ręku nasze dokumenty czyli formularze, aby sprawdzić jeszcze raz nazwiska według normalnej reguły: nazwisko, imię ojca, wyrok, artykuł, i wyprowadzić za bramę. Tam czekała znów ciężarówka z jeszcze jednym milicjantem, ale bez konwoju. Nie ma konwoju, wołali mężczyźni, nie ma, jesteście wolni. Spróbuj bracie z tej ciężarówki zeskoczyć, zauważyłam. I milicjant natychmiast dopo-

wiedział: ano, skakać nie wolno, i poklepał się po kaburze pistoletu.

Jechaliśmy przez miasto, dość duże, rozrzucone. Zabudowa niska, przeważnie małe domki w malutkich ogródkach. Brak drzew, nigdzie nie widać sadów. W centrum domy wyższe, dwu i trzypiętrowe, budowane na pewno w XIX i na początku XX wieku. Fasady na ogół obdrapane, od czasu do czasu mijaliśmy jakiś skwer, a na nim pomnik z wielką czerwoną gwiazdą. Każdy naród ma swoich bohaterów. Niewiele sklepów, przed każdym długie ogonki. Po dziesięciu latach w Rosji byłam pierwszy raz w normalnym rosyjskim mieście. Budynek milicji stał przy jednej z centralnych ulic. Była to powiatowa komenda główna. Wprowadzono nas do pomieszczenia w podwórzu, gdzie stały tak zwane *sptosnyje* nary, czyli legowisko z desek, ciągnące się od ściany do ściany bez przerw. Na nich leżały przerażliwie brudne sienniki. Mieliśmy tu czekać na przydział do pracy. Na szczęście izba była ciepła.

Nie karmiono nas przez te dni wcale (otrzymaliśmy na drogę tylko suchy prowiant w postaci suszonej ryby i chleba), byliśmy więc wściekle głodni. Pozwolono nam skorzystać z wewnętrznej stołówki milicyjnej, znajdującej się w budynku. Co to była za uczta! Sztufada wołowa z kartoflami i marchewką, barszcz ukraiński gęsty na wędzonce, kompot no i do tego wódka, której tyknęliśmy sporo. Muszę tu dodać, że później, kiedy progi tej stołówki były dla mnie zamknięte, nigdy więcej w Rosji tak dobrego obiadu nie jadłam. Czasem chodziliśmy z kolegami do rejonowego miasteczka, była tam tak zwana herbaciarnia, czyli rodzaj restauracji, gdzie można było także zamówić obiad. Słabe to było jedzenie, rzadko z mięsem, a jeżeli, to raczej w postaci pierogów albo kawałka pływającego w zupie. Milicja to milicja. Co prawda na sali mundurów widać nie było, siedziało tylko paru cywilów spoglądających na nas z podejrzeniem i dezaprobatą, myśmy jednak dawno nauczyli się nie zwracać uwagi na miny naczalstwa.

Po długich korowodach pozwolono nam przejść się po mieście, ale pod opieką milicjanta. Co robi więzień wypuszczony na wolność w obcym kraju, wśród nieznanym ludzi? Pije. Wódki w zasadzie było w bród. Ludzie stali po chleb, po mąkę. Ogonki ciągnęły się kilometrami. Po wódkę wystarczało sięgnąć ręką. Piliśmy wprost w sklepach, co widocznie należy do miejscowego obyczaju. Dawano nam szklanke, parę suszonych śledzi i zaczynało się. Nasz opiekun po zwiedzeniu kilku *spirtnych ławoczek* ledwo szedł, choć był bardziej niż my na alkohol

wytrzymały. O nas lepiej nie mówić. Wychylaliśmy szklanka za szklanką słabo oczyszczony trunek, ze smaczkiem bimbru, przypominającym mi lata wojenne. Wychylaliśmy go z determinacją, świadomi beznadziejnych perspektyw, jakie zgotował nam los. Wiedzieliśmy, że czekają nas kołchozy, że sowchoz będzie się nam wydawał utraconym rajem. Kołchoz i kołchozowa bieda. Milicjant sybirak, dobra dusza, powtarzał nam w kółko: Zobaczycie, jeszcze zatęsknicie za obozem. Kołchoz to... i tylko spluwał, niespokojnie oglądając się dokoła.

Jak spędziłam noc? Dobrze nie pamiętam, byłam kompletnie pijana. Rano okropny kac. Umywalni nie było, czuliśmy się wszyscy brudni. Mróz zelżał, spróbowałam się więc trochę umyć śniegiem, po rosyjsku. Zaczęto kolejno wzywać nas do biura miejscowego MWD, znajdującego się w tym samym gmachu milicji. Zamiast dokumentów wydano nam zaświadczenia, że taki a taki jest zesłany na *wiecznoje posielenije* do kołchozu takiego a takiego i że przekroczenie jego granic będzie karane 10 latami więzienia. Wszyscy otrzymaliśmy ten sam przydział. Ugory, kołchoz, Budionowka.

Po dobrym obiedzie w restauracji NKWD za żółtymi firankami zawieziono nas na dworzec, wsadzono do pociągu, ciągle pod czułą opieką milicjantów. Stacja docelowa była niedaleko, jakieś dwadzieścia kilometrów. Znaleźliśmy się w małym rejonowym miasteczku, gdzie rozjeżdżone przez traktory ulice były pełne błota. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Śnieg zmieszany z tającym czarnoziemem tworzył gęste i głębokie błoto. Rzucone w poprzek deski miały ułatwić przejście. Wystarczył jeden nieostrożny krok i wpadało się w tę maź powyżej kolan. W S. milicjanci zostawili nas pod pieczęią swych miejscowych kolegów. Czekając na transport do kołchozu zrobiłam pierwsze bardzo ważne zakupy. Udało mi się zdobyć wielką miednicę oraz nożyczki. Marzyłam o tym, żeby się porządnie wymyć (już kilka dni jak nie widziałam wody) i obciąć paznokcie. Dopiero późnym wieczorem nadeszły sanie. Już bez milicji, sami z furmanem, który udzielał nam skąpych informacji, ruszyliśmy w dalszą drogę. Pamiętam dobrze tę wygwieżdżoną, dość jasną noc, skrzyp śniegu pod płozami, pochrapywanie koni, potem ciasną gorącą izbę kołchozowego kantoru, nieufne spojrzenia miejscowych kołchoźników, kłócących się o to, kto komu z nas udzieli kwatery, wreszcie ostatnią drogę już przez wieś, uśpioną, ciemną, o niskich domkach, bez drzew dokoła, dziwnie gołą, i oświetlone naftową lampą okienko chaty Siergieja, mojego gospodarza.

Weszłam przez niską, zalatującą zapachem krowiego nawozu sien, do obszernej, czystej kuchni, z malowaną podłogą, gdzie palił się ogień i grzała woda. Sympatyczna gospodyni pomogła mi się rozebrać i wprowadziła do izby także czystej, ale o zgrozo pełnej. Na jednym łóżku spało już tam dwoje dzieciaków, na drugim mała dziewczynka, trzecie mieli zająć gospodarze. W kącie na pościeli ze słomy stał cielak, a pod każdym łóżkiem siedziała na jajkach gęś. Miałam zająć pościelanie razem z ich córeczką. Gospodyni była trochę zdumiona, gdy wyraziłam chęć umycia się, chciała już spać. Doszliśmy jakoś do porozumienia. Dostałam także szklankę herbaty, kawałek białego pszennego chleba. Nie miałam ochoty jeść. Perspektywa nocy w tej izbie na wspólnym łóżku nie była przyjemna. Przed zgaszeniem lampy gospodyni uprzedziła mnie uprzejmie, żebym się nie przestraszyła, kiedy gęsi zaczną gęgać, prosząc o wypuszczenie ich na dwór. Są czyste i w izbie nie załatwiają swoich potrzeb. Gospodarz zupełnie się mnie nie krępując ściągnął spodnie, koszulę i w gaciach runął na łóżko, za chwilę już chrapał. Chrapanie gospodarza, kolejne spacerujące stanowczym gęciem otwarcia drzwi gęsi, zapach cielejącego nawozu — to była atmosfera mojej pierwszej kołchoźnej nocy, pierwszej nocy na wolności.



Jakże przyjemnie jest iść wiedząc, że można zboczyć na lewo, na prawo, zatrzymać się, podbiec; że już nie idzie w tyłu żołnierz z automatem ani wężący pies. Nie wolno nam wychodzić poza granice kołchozu. Ale kołchoz jest wielki, około 20 tysięcy hektarów, to są kilometry. Można więc rozprostować nogi. Wolno nam też za pozwoleniem przewodniczącego pójść do rejonowego miasteczka. Tam jest kino, herbaciarnia. Na początku chodzimy niewiele. Od razu zapędzono nas do roboty. Arfujemy zboże na toku. Pracujemy sami. Brygadier jest dość sympatyczny, dziwne tylko, że jedynie nam daje zadanie, jak gdyby kołchoźnicy nie istnieli. Zwiedzamy gospodarstwo, oborę, chlew, owczarnię, jeszcze się nie orientujemy ani w dochodach, ani w organizacji pracy. Dostajemy przydziały z kołchozu: trzydzieści kilo mąki na miesiąc, 15 kg kartofli, 400 gram mięsa oraz co dzień litr mleka. Mąkę oddajemy gospodarzom, pieką z niej chleb. Jest to mąka pszeniczna i chleb jest znakomity. W tym klimacie sieje się tylko pszenicę, żyto nie dojrzewa, zimy tu są zbyt ostre, aby siać ozime zboże. Je-

dzenie nasze jest więc więcej niż skromne, chleb, kartofle, ale rzeczą wspaniałą jest mleko, mogłabym wypić dwa razy tyle.

Wieś jest duża, ciągnie się szerokim prostokątem na kilometr, a może i więcej. Pośrodku obszerny majdan z dawną cerkwią, zamienioną na klub i kantor. Domki małe, żerdzianki. Typowe budownictwo wiejskie tych stron. Dawniej budowano chaty ze zrębu, jeżdżono po drzewo 200-300 km, bo w okolicy lasów nie ma, tylko bezbrzeżny step. Jeden z takich starych domów zachował się jeszcze. Porządny dom z zabudowaniami gospodarczymi ustawionymi w kwadrat, z dziedzińcem pośrodku, bramą wjazdową ozdobioną rzeźbą. Dom ma kuchnię, dwie duże izby, przestronną sien. Mieszka w nim samotnie stara Malgina. Ona mi też opowiada o dziejach wsi. Razem z rodziną Nietrebów należy do tych nielicznych, którzy uratowali się z potopu kolektywizacji. Opowiada mi o dziejach Budionowki. To była kozacka stacja, założona przez Katarzynę Wielką dla walki z Kirgizami. Tak przynajmniej głosi legenda. Cała wieś, duża, bogata miała porządne drewniane obejścia i domy, większe jeszcze i piękniejsze niż Malginy. Jej własna rodzina służyła u bogatych Kozaków. W tamtych czasach krowy liczone po dziesięć ogonów, a owce po sto. Dokoła były łąki i ogromne stada. Kolektywizacja zmiotła całą wieś. Kozaków rozkułaczono i wysłano nie wiadomo gdzie, wielu zginęło rozstrzelanych lub wprost zakłutych. Domy rozebrano i przeniesiono do S. Do dziś można je oglądać. Najlepsze służą rejonowemu komitetowi partii, gminie, przychodni zdrowia, milicji itd. Malginy i Nietrebów nie ruszono. Parobcy, czerwony proletariatus, mogli zostać na miejscu. Tylko chatę Nietrebom rozebrano, bo była duża i sucha. Musieli zbudować żerdziankę. Dziś Malgina uważa się za arystokratkę we wsi. Tylko ona z Katią Nietrebą należą do kozackich rodów. Popijają obie ze spodeczka herbatę przy szumiącym samowarze i wspominają dawne lata. Kiedy poznały mnie bliżej i nabrały zaufania, lubiły opowiadać, a ja lubiłam je odwiedzać. To była żywa historia tych stron.

Co to jest żerdzianka? Wbija się głęboko w ziemię dwa rzędy żerdzi na planie prostokąta. Sześć mocnych bali na rogach i końcach osi dłuższej, żeby utrzymać sufit i dach. Dach musi być spadzisty ze względu na śniegi. Między żerdzie wciska się mocno nawóz zmieszany z gliną i słomą aż do góry. Taki sam izolacyjny pas nawozu kładzie się pod podłogę wprost na ziemi. Ściany z zewnątrz i wewnątrz oblepia się jak najrówniej gliną i maluje wapnem. Chata jest biała i o dziwo ciepła. Okienka

są zwykle małe, podwójne, co lepiej zabezpiecza przed chłodem, nigdy nie otwierane. Izby wietrzy się przez sieni. Rozkład niemal wszędzie ten sam. Przy chacie mała przybudówka na siano i słomę. Dość duża sieni, z której jedne drzwi prowadzą do obórki znajdującej się pod tym samym dachem, drugie do kurnika. Z przeciwnej strony wejście do domu. Tu zawsze w pierw kuchnia z dużym ruskim piecem, za nią pokój. Podłoga malowana, ikona w rogu z zapaloną lampadką, małe firaneczki w oknie, łóżka, stół, taborety. Całe umeblowanie. Biedne to wszystko niemiłosiernie, ale czyste. Niemal każda chata ma swoją własną łaźnię, wykopaną dość głęboko w ziemi, rozpalaną tylko w soboty. Łaźnia to święto. Jak mówią Rosjanie, każda sobota przynosi trzy b.: banię, bliny i b....



Pijemy. Ciągłe pijemy. Za dużo tej wódki. Na Wielkanoc łaskawy zarząd kołchozu wydał nam zesłańcom po 5 jajek. W domu Nietrebów urządzamy ucztę dla kołchoźników. Trzeba ich przyjąć, wkupić się. Baby napiekły pierogów z kapustą, jest solona ryba. Mięsa nie dostaliśmy. Obiecane 400 gram miesięcznie mają być ewentualnie przydzielone dopiero na jesieni. Jesień daleko. Dodajmy nawiasem, że nie dano nam ich nigdy w całości. Przez półtora roku kołchoźnej pracy otrzymałam co najwyżej około 1,5 kg mięsa. Produkt deficytowy. Maligna wzdycha i opowiada, jak kiedyś piekło się na rożnie barany. Gość przyjechał z drogi albo sąsiad z niedalekiego chutoru, a już mężczyźni wybierali co piękniejszą sztukę. Mięso zawsze było na stole. A tu Pascha i nic. Ryba. Kto na Paschę je rybę. — „U was ją jedzą, w Polsce?” — pyta. — „Skądże, tylko w poście”. Kiwa głową ze zrozumieniem. Dobrze, że jeden z kolegów kupił gdzieś kurę. Jest więc pierog z kurą. Miejscowi nade wszystko kochają pierogi. Ciasto jest mało zdobne, przypominające raczej chleb, ale goście chwala. Ogórków nie brak, no i *grozdi*, rodzaj ciemnych solonych razem z kapustą grzybów. Zwaliło się pełno ludzi. Piją wszyscy ze szklanek, baby wiśniówkę, mężczyźni białą. Na oknie u Nietrebów stoi sagan zsiadłego mleka. Popijam cały czas, żeby nie opijanieć. W izbie zawodzące, tęskne śpiewy wielkanocne. Pierwszy raz je słyszę. Niemal wszyscy obecni prócz nas pochodzą gdzieś z centralnej Rosji. Uciekali na Syberię przed głodem i represjami. Tu, jak mówią, zawsze jest chleb, zawsze ziemia coś urodzi. Tam było ciężko, a po rewolucji — lepiej nie mó-

wić. Pijanieją i opowiadają. Tyle ludzi marło, tyle ludzi, chli-pie jakaś stara baba. Słucham jak się rozwiązują języki. Na krótko. Ktoś już zwrócił uwagę. — Głupstw nie gadaj, mówi, kolektywizacja się nie podoba? — Więc zmienia się temat, zaczynają się ploty: kto, z kim, jak. Sypią się przed nami ta-jemnice kołchozu. Obsmarować można tylko tych, co niewiele znaczą. O członkach prezydium i przewodniczącym ani słowa.

Uciekam z tej chaty. Próbuje mnie zatrzymać wielki silny kozak, Anatoli Nietreba. Niedawno wrócił z więzienia. Ma wschodnią urodę, trochę skośne oczy. Pijany w sztok zagradza mi drogę. Nie widzę innej rady — nalewam do szklanek wódki i częstuję go. Do dna? Do dna. Pije i wali się na podłogę. Mogę wreszcie wyjść.

Nie znam się jeszcze na obyczajach kołchozu. Codziennie rano my zesłańcy czekamy na brygadiera na tak zwanej bazie. Jest nas już tylko osiem osób, jedyny Polak nazwiskiem Sko-wroński pracuje jako kowal. Walentin, Rosjanin, został mia-nowany ogrodnikiem. Brygadier jest zafrasowany. Widać, że nie bardzo wie, jak nas wykorzystać. Mam robić do inspektów maty razem z młodą Czeczenką. To spokojna, cicha praca, nie ciężka. Czeczenka śpiewa mi cały czas swoje dziwne pieśni. Śpiewa czysto, dźwięcznie. Jakże jednak odmienny jest ten śpiew. Próbuję powtarzać za nią i ciągle nie mogę trafić gło-sem w odpowiednią nutę. Jej interwały są chyba zwiększonymi sekstami. Nie jestem pewna. Może to kwinty, ale jak gdyby trochę wyższe. Nie mam instrumentu, by sprawdzić. Głos mi wciąż zjeżdża, nawykły do europejskiej harmonii dźwięków. Kiedy przychodzi jej matka, nucą obie. Ich głosy nie układają się harmonicznie, jest to raczej przelewający się swobodnie, a jednak łączący się w całość dwugłos. Piękne to. Pytam o słowa. Okazuje się, że każda tworzy je na poczekaniu, ot co serce w danym momencie dyktuje.

Leniwa jest moja Czeczenka. Po obiedzie okryła się ma-tami i śpi. Pytam się, dlaczego to robi. Wzrusza ramionami i łamanym rosyjskim językiem coś burczy pod nosem: „a kto robi tu w kołchozie, widziałas, żeby ktoś robił?” — Rzeczy-wiście, tylko my i ci na fermach, przy krowach, owcach. Poza tym nie widać nikogo. Jakby wieś była pusta. Jakby nie miała około stu robotników. Widzę niektórych z nich, kiedy spieszę rano na bazę. Jeden poprawia płot przy domu, drugi coś maj-struje na dachu, trzeci wyrusza gdzieś z plecakiem, zapewne do miasteczka. Czasem można zobaczyć, jak otaczają tłumem kołchożny sklep. Widocznie coś przywieźli. Jeżeli to jest wódka,

łdem jest szczególnie gęsty. Wódki nie pije się tak zwyczajnie. Picie to cały ceremoniał. Ustawiamy się czwórkami, pierwsza czwórka podchodzi do lady, wysupłuje wspólne pieniądze na litr. Maruśka, sprzedawczyni, stawia cztery szklanki, zręcznym ruchem wybija korek i nalewa szybko do szklanek po brzegi. Pustą butelkę wrzuca do skrzyni, z tekturowego pudła wyjmuje kawałki solonego śledzia i kładzie na wyciągnięte ręce. Wypijamy do dna, szybko, bo inni z tyłu czekają, zagryzamy śledziem, wychodzimy i ustawiamy się na końcu kolejki. Maruśka spłukuje szklanki zimną wodą i otwiera nowy litr, dla następnej czwórki. Te same szklanki, te same śledzie. Kolejka posuwa się szybko, i już jesteśmy drugi raz przy ladzie. Ten sam ceremoniał. Nie trzeba nic mówić, wszystko wiadomo. Ci z tyłu żartują, sypią anegdoty. Ci z przodu zbyt są zajęci, by tracić czas na zbytekne słowa. Pół litra już za każdym z nas. Stoimy po następną ćwiartkę. Ktoś ze słabą głową odpadł, leży w śniegu, więc ten z tyłu, co jeszcze może pić, zajmuje wolne miejsce. Wszyscy się przesuwamy, zmieniamy towarzyszy, ale porządek zostaje ten sam. Po następnej kolejce jeszcze więcej trupów, w końcu zostają najmocniejsi. Tragiczna chwila, gdy tylko dwóch trzyma się na nogach. Maruśka nie chce otwierać butelki. Trzeba wysupłać pieniądze na cały litr. Rzadko jednak dochodzi do tego momentu. Ktoś dał już znać babom, że pijanka odchodzi. Przybiegają po mężów z wrzaskiem, ruganiami. Niektórych siłą odciągają sprzed sklepu. Innych muszą cucić śniegiem, taszczyć niemal na plecach do domu. Choć mroz nie-duży, gdyby kto został na noc, zamarzłby na pewno.



Mam szczęście. Udało mi się zmienić kwatere. Mieszkam u staruszków Kalinkinów. Ich chata stoi na samym końcu wsi. Pokój jest duży, jasny, choć ma tylko jedno okno. W pokoju stoją dwa łóżka. Jedno zajmują dziadkowie, drugie ja. Nareszcie śpię sama. Dziaduszka pracuje jako nocny stróż. Praktycznie więc w nocy jesteśmy tylko we dwie. Kiedy idę do pracy, dziadek wraca. Rozmijamy się. Oboje są sympatyczni, trochę cheiwi na pieniądze, jak to chłopci. Płacę trzydzieści rubli miesięcznie, oddaję kartofle, mąkę. Zostawiam sobie mleko. Babuszka natomiast gotuje wspólną zupę na mięsie. Jest to prze-ważnie gęsina albo kawałek boczk. Zupa jest niezmiennie ta sama. Kapusta z kartoflami, gęsta, dość tłusta, pływają w niej kawałki rozgotowanego mięsa. Zjadamy po wielkim talerzu ra-

zem z doskonałym pszenicznym chlebem. Rano piję mleko, wieczorem herbatę także z chlebem. Czasem udaje się w miasteczku na bazarze kupić masło. Czasem przywożą do sklepiku wędzoną rybę. Wówczas mamy ucztę. Babuszka opowiada mi najrozmaitsze historie, o swoim życiu, o rewolucji, synach, którzy zginęli na wojnie. Dowiaduję się, że tak jak inni uciekła tu z mężem z centralnej Rosji przed głodem. Żal jej było tylko sadu. Jabłka, wiśnie. Od wielu, wielu lat ich nie widziała. Nie przywożą do sklepu, nie ma ich na Syberii, za zimno. Jest jednak chleb i to dobry.

Domu strzeże pies, wspaniała wilczyca, Palma, nadzwyczaj mądra. Na piecu wyleguje się kot. Nie ma jednego ucha, więc nazywam go grafem Bezuchowym. Gdy idę do pracy, drepcze za mną po śniegu aż do samego płotu ograniczającego babuszkinią działkę. Dalej jest już droga, chaty, psy, więc mu każę iść do domu. Wskakuje na płot i patrzy za mną. Gdy wracam wieczorem, czeka na mnie w tym samym miejscu, jakby przez wiele godzin się nie ruszał. Tak oczywiście nie jest. Zawsze jednak zachodzę w głowę, skąd wie, że już idę. Przychodzę o tak różnych godzinach, czasem wcześniej, czasem później, a on zawsze siedzi na płocie. Biorę go na ręce, wydaje mi się zmarznięty. To pierwsze żywe stworzenie po tylu latach, które jest mi tak wierne.



Ostatnie dni kwietnia przyniosły wiosnę. Śnieg tajał w oczach. Jego ogromne zasy malały, traciły wysokość. Jeszcze można po nich chodzić, jeszcze pod nogą chrupie twarda skorupa, ale już słychać szmerzącą przy ziemi wodę. Zasy topnieją od dołu. Gdzieś tam śnieg się zapadał, tworzyła się coraz szersza szczelina, wypełniona niemal po brzegi torującym sobie drogę wartkim potokiem. Stanowił on przeszkodę nie do przebycia. Szło się ostrożnie, by nie trafić na pęknięcie i nie wpaść nagle po pas do lodowatej wody. Trzeba też było wybierać dogodniejsze miejsca do skoku przez strumienie. By dojść do domu, musiałam lawirować wśród tych porozrywanych gór śniegu, nieraz nakładając drogi. Trwało to zaledwie parę dni. Śnieg znikł, step się zazielenił, rozjeżdżone przez traktory ulice kołchozu zamieniły się w gęste czarne błoto. I nagle zrobiło się gorąco, od razu. Jeszcze tydzień temu kołchozowy termometr wskazywał 15 stopni mrozu, dziś już dwadzieścia pięć ciepła. Wiosna się skończyła. Zapanowało lato.

Kołchoz budził się z zimowego snu. Nagle na bazie zaroilo się od robotników. Każdy chciał uczestniczyć w „akcji siewnej”. Zjawiły się traktory. Ziemia była zbyt mokra, by móc ją orać, czyniono jednak przygotowania. Traktorzyści majstrowali coś tam koło maszyn, większość czasu spędzając około naprędcie zorganizowanej stołówki, gdzie nasze kobiety gotowały zupę na mięsie (znalazło się jakoś) i wielkie rondle pszenicznej kaszy. Budzili powszechną zazdrość. Pracowali bowiem za pieniądze, nie za trudodni. Budzili zazdrość ale i obawy. Chodziły słuchy, że kradli, co się dało. Babuszka zamykała drzwi na skobel i spuszczała z łańcucha Palmę. Niech który spróbuje podejść — mówiła — zostanie bez spodni.

Wreszcie traktory ruszyły w pole. Ile ich było? Cztery, pięć. Szły równym szykiem, na pługach siedzieli kołchoźnicy. Pięknie to wyglądało. Wspaniała socjalistyczna gospodarka. Technika. Traktor nie koń. Tylko nie mogłam zrozumieć, dlaczego agronom jest wściekły, a kołchoźnicy mierząc grubym kijem głębokość skiby zanoszą się od śmiechu. Rzec się szybko wyjaśniła. Uprzymomniłam sobie, że niejaki Malcew, wynalazca, stworzył teorię orki głębokiej, głębszej niż zazwyczaj. Miała ona gwarantować niebywałe urodzaje. We wszystkich gazetach pisano tylko o Malcewie i jego jedynej, odkrywczej, najnowocześniejszej metodzie. Damy krajowi więcej zboża, więcej chleba. Niech żyje Malcew. *Izwestia, Prawda, Trud, Komsomolska*, nasza republikańska pełne były portretów tego znakomitego agronoma. Może metoda jego miała sens, ale nie w tym klimacie, nie na tym gęstym czarnoziemiu. „Zobaczy pani — objaśniał mi jeden z kołchoźników — jak to będzie wyglądało za miesiąc. Cała wilgoć zachowana w glebie, wydobyta teraz na wierzch, wyschnie i zmieni pole w twardą skorupę. Kiełki nie przebiją się przez nią. Tu u nas od wieków ludzie orali niegłęboko, starając się zachować najmniejszą kropelkę wody. Tu nie ma deszczu, który by polał pole. Lato jest suche, wszystko się zmienia w czarny beton. Na betonie nic nie urosnie”.

Tak się stało. Podczas akcji siewnej ciągle przyjeżdżali dygnitarze sprawdzać, czy aby lemiesz dość wryły się w ziemię. Nikt z kołchoźników nie był w stanie im wyperswadować tego absurdałnego rozporządzenia. Tak kazano i basta.

Dni siewu nauczyły mnie niejednego. Zdumiał mnie gorliwy akces kołchoźników do pracy. Po paru dniach wiedziałam już, o co chodzi. Ciężarówki przywoziły w stukilowych

workach ziarno. Dwa wsypywano do siewnika, jeden szedł w krzaki. Bliżej dróg siewnik nastawiało się tak, by rzucał ziarno zgodnie z normą, gęsto, 100 metrów dalej zmieniano rozrzut na rzadziutki. Zamiast trzech worków zużywano dwa. Chodziłam potem na spacer po tych pszenicznych polach. Wystarczyło odejść od drogi, a już można było iść przez pole na przełaj między kłosami nie depcząc żadnego. Rzadkie, niewyrośnięte zboże na chwiejnych cienkich łodyżkach, ciągnęło się kilometrami. Gdzieniedzie widniały zupełnie gołe łaty. Nie wiem, czy siewnik zamknięto w tych miejscach, czy ziemia zanadto stwardniała. Przy takiej gospodarce 10 kwintali z hektara — to góra.



Sympatyczne wspomnienia wiążą się z sianokosami. Łąki ciągnęły się na skraju mizernego zagajnika osiem kilometrów od wsi. Wyruszałam koło piątej rano. Nie było jeszcze góraco. Moja para wołów szła leniwie po drodze. Wyciągałam się na wiązce siana, od czasu do czasu pokrzykując tylko: *cob, cebe*. Woły wiedzą dobrze, że *cob* znaczy na lewo, *cebe* — na prawo, a *cob, cebe* — prosto.

Nawiązałam już cudem kontakt z rodziną. Wolno mi pisać do Polski. Otrzymałam książki, tygodniki: *Przekrój*, dziwne pismo, *Twórczość*, czytam ją w kółko, Parandowskiego, abym się mogła nasycić piękną polszczyzną, wreszcie „Beniowskiego”, umiem go prawie całego na pamięć. Powtarzam strofy patrząc w bezchmurne niebo, gładkie, wysokie, zbyt wysokie. „Komu ty jedziesz? — jak mówią Zmudzini”. Słowa te trzeba wymówić z kresowym akcentem, jak chciał tego kpiący z wieszczu Słowacki. Nie jestem wieszczem, lecz pochodzę z kresów i jadę co prawda nie księżycowi, lecz ku wstającemu palącemu słońcu. Nie „wonnemu jadę na stepach kwiatowi”, bo kwiatów nie ma. Trawa już jest sucha, choć to dopiero czerwiec. Lecz step jest bezkresny i wreszcie jestem sama, po tylu latach sama. Cieszy mnie wół, byki, przestrzeń, wiatr. Siana jest niewiele, małe zgrabione kopki pełne kurzu. Zbieram je po kolei, kładę coraz wyżej. Kto widział, aby kobieta ładowała drabiniasty wóz bez żadnej pomocy. Trzeba siano podać, udeптаć. Złazę, włożę, nakładam, znów depczę, wreszcie rezygnuję. Ile jest, tyle jest. Jeśli bym dodała jeszcze trochę, nie wspięłabym się na wóz. Nie mam ochoty iść pieszo. Zbliża się dziewiąta i słońce zaczyna palić niemiłosiernie. Jadę z powrotem.

Byki chcą pić, więc wyciągają nogi. I tak wcześniej nie przyjedziemy jak za dwie godziny. Mogę leżeć i powtarzać „Beniowskiego”.

Po obiedzie znów wyruszam. Byki już mają w nogach sześnaście kilometrów, idą więc wolno, noga za nogą. Nie popędzam ich. Nigdzie się nie śpieszę. Jakąż ulgą są te godziny. Ile tu ciszy. Nie czuję znużenia jednostajnością pól. „I skrzypią maże, pył ćmi, słońce pała”... Siano ma zapach cudowny, jak u nas, jak w Polsce. I skowronki tak samo śpiewają. Powtarzam strofy głośno, bo odwykłam od polskiego języka. Struny głosowe, wargi naginają się łatwiej do ruskich rymów, w których „trąci skwierne miasso”, które są „jak pasy zdarte z grzbietu”. Uczę się polskiego na nowo. Ten wóz, to moja szkolna klasa. Sama sobie jestem uczniem i nauczycielem, Mistrzem zaś Słowacki.

Jest już późny wieczór, gdy się zjawiam na bazie. Brygadier przyjmuje siano, gderze, że mało. Niech gderze. Gdyby mu zależało na nim, dałby mi kogoś do pomocy. Na szczęście niewiele go obchodzi, czy zdołam wywieźć wszystko czy tylko trochę, i tak co roku marnuje się mnóstwo siana. Nawet teraz jeszcze widać czarne zgniłe kopy pozostałe z przeszłego roku. Zapisuje mi pół trudnodnia, co mnie nie wzrusza. Niech pisze, co chce, aby tylko zostawił mnie samą z bykami, wozem, sianem i tą ciągnącą się, długą samotną drogą.



Nie minęło kilka miesięcy, a moi koledzy pożenili się. Każdy znalazł jakąś wdowę, a wdów w Budionowce dużo. Wojna zmasakrowała ten naród. Baby od początku patrzyły przychylnym okiem na zesłańców, a gdy się przekonały, że robotnicy z nich lepsi niż tubylcy, że są grzeczniejsi, bardziej usłużni, zaczęły ich sobie wydierać z rąk. Stopniowo sytuacja się „normalizowała”, kłótnie ustały, wybranki wyprawiały przyjęcia i pod szklanekę wódki zawierano związek. Nikt się oczywiście nie kwapił z wizytą w urzędzie stanu cywilnego. Ośmiu z moich kolegów miało już żony, tylko daleko. Niektórzy mieli także dzieci. Wszyscy chcieli wrócić, ale powrót przynajmniej w najbliższych latach wydawał się niemożliwy. Pisali listy, stawali otrzymane fotografie na stoliczkach, co nowe żony tolerowały z wyrozumiałością. Ta dawna żona była czymś świętym, nietykalnym a może też nierealnym, jakby pozbawionym ciała. Nie mówiło się o niej nigdy, tak zresztą jak i o przeszło-

ści. Twarda obozowa zasada, nie opowiadaj o sobie i innych nie pytaj, nadal obowiązywała. Przeszłość umarła. Nie było jej. Jeśli wracała w myślach, kładła się zbyt gęstym cieniem na całą rzeczywistość, zmuszając do pytania: po co jeszcze żyję, po co cierpię, po co przetrwałem obóz, skoro mi teraz dane do końca moich dni tkwić w tym ponurym kołchozie bez krzty nadziei? Po co tu jestem? Jaki sens może mieć jeszcze moje istnienie? Co się zmieniło w stosunku do obozu? To tylko, że mogę iść na dwudziestokilometrowy spacer, że nie ma za mną z tyłu żołnierza z automatem, że wolno mi przespać się z kim zechcę, mieć nóż i nożyczki. Rozszerzyła się zona, stał się lżejszy reżim, ale *zaprietka* w dalszym ciągu istnieje i ten sam nadzór, choć bez mundurów, i to samo zniewolenie. Przymus pracy, nieliczenie się z dyspozycjami, chęcią, aspiracjami człowieka, wyzysk, ograniczenie swobody poruszania się, wieczna kontrola, czy aby jesteśmy na miejscu, czy pracujemy tak jak nam kazano, śledzące z różnych stron oczy, donosy — to wszystko nadal trwa, co gorzej bez perspektywy, że się ta beznadziejność kiedyś przełamie. Tym razem zostaliśmy skazani na dożywocie. Gdyby nie ciągle jeszcze tłąca się iskierka, lepiej by było z sobą skończyć.

Każdy szuka drzewka, żerdki, aby nie dać się pochłonąć trzęsawisku. Moi koledzy organizują sobie domy. To prości mężczyźni, chłopci, rzemieślnicy. I im warunki życia w Budionowce wydają się czymś niesłychanie odległym od tego, do czego nawykli z dzieciństwa. Wszyscy pochodzimy bowiem z dawnych granic Rzeczypospolitej lub z krajów bałtyckich. Inna kultura, inne obyczaje. Wszystko razi więc moich panów. Kpią w żywe oczy z bezładnej kołchoźniczej pracy, ze złodziejstwa, które już przestało być dla nas tajemnicą, z prymitywnych chałup, z socjalizmu bez elektryczności, gdzie krowy karmiono słomą, a siano gnije na polu. Nie umieją jednak żyć bez kobiety. Muszą mieć kogoś obok siebie. Nie jest to kwestia potrzeb seksualnych, choć po długim okresie postu są one szczególnie mocne. Dość tu kobiet, które nie mają skrupułów i chętnie udzielają na noc gościny. Opinia kołchozowa pod tym względem jest więcej niż wyrozumiała. Romansów nikt nie ukrywa, nikt nie czuje zażenowania, że się przespał z Walką, Nadźką czy Taniuszą. Również kobiety nie odczuwają najmniejszego wstydu. Jak w obozie miłość jest niemal publiczna. Małżeństwo Siergiejów nie krępowało się bynajmniej moją obecnością, ani swoich jeszcze małych dzieci. Lecz moim kolegom chodzi o coś więcej. Pragną kobiecej ręki, która by wyprała, przyszyła, ugo-

towała, sprzątnęła chatę. Lżej im wracać po pracy, gdy czeka na nich zupa, gorący samowar, życzliwe słowo i czysta koszula. Izba nie jest pusta. Nowa żona opowiada o swych troskach: dach przecieka, sieczka się skończyła, trzeba więc jej narznąć, przydałoby się poprawić płot, kury zniosły aż siedem jajek, będzie na niedzielę jajecznicza itd., itd. Malutkie wiejskie sprawy, pozwalają jednak nie myśleć, zapomnieć. Moi koledzy rzadziej teraz wychodzą na robotę. Są zajęci koło domu jak inni kołchoźnicy. Naczalstwo patrzy na nich łaskawiej, nie jest już takie wymagające. Pożenili się, to znaczy, że już zostaną, że można ich uważać za swoich.

Jest walne zebranie kołchozu. Sala pełna, bo rozeszła się wiadomość, że przywiozą z rejonu nowego przewodniczącego. Nasz stary za dużo pił, więc go zdjeli. Rejon ma też pretensję, że pszenica wątła, kłosa małe, że się nie zbierze więcej jak 5-6 kwintali z hektara (Malcew, Malcew się kłania). Nowego przewodniczącego przedstawia sekretarz *rajkomu*. Mówi o nim w superlatywach, że to człowiek miejscowy, wychowany w rejonowym miasteczku, że ma za sobą piękną kartę służby w MWD. Sprawa jasna nie tylko dla mnie. Kołchoźnicy głosują, wszyscy są za. Nikt się nie wstrzymał, nikt nie sprzeciwił.

Nasz nowy naczelnik jest enkawudystą z pretensjami. Kupują mu natychmiast samochód, małego Moskwicza. Za jakie pieniądze? Nie mogę tego zrozumieć. Dochody kołchozu są w tym roku mizerne. Swirin obiecuje poprawę. No i zaczyna się śpiewka, której nawet kołchoźnicy słuchają ze wzruszeniem ramion, o nowym życiu sowieckiego chłopca, o bogactwie narodu dzięki nowoczesnemu rolnictwu itd., itd. „Życie będzie lepiej, żyć będzie weselej”, głosi nowe hasło.

Radosnemu życiu przyglądam się na rejonowym bazarze. Pomagam sprzedawać dziadkowi mąkę z ukradzonej podczas siewu pszenicy. Dozorował siewniki, więc także dostał ze dwa worki. Brygadier Chizniak pożyczał konia i razem z Nietrebami handlujemy. Ścisk koło naszego wozu jest niesamowity. Ludzie depczą się wzajemnie, aby tylko dostać kilogram mąki. Mamy jedną pięciokilogramową miarkę. Krzyk się podnosi, że to za wiele, że dla innych nie wystarczy. Uciekam z wozu, bo mam wrażenie, że nas rozerwą na sztuki. Przyglądam się towarom innych wozów. Kołchoz Półtawka sprzedaje resztkę kapusty. Też tłok. Mąki nikt więcej nie ma. Jest trochę jaj — 8-10 sztuk przed babą na straganie. Serów białych nikt tu nie robi. Na jednym z wozów, gdzie sprzedają zeszłoroczne, pomaszczone kartofle, znajdują osetkę masła. Ludzi pełno, towaru

niewiele. Trochę drewnianych misek i małych beczek z miejscowej spółdzielni bednarskiej, ktoś sprzedaje stare chomąto, ktoś niepotrzebny już kantar. Dziadek ogląda łopatę. Młody chłopak, który chce ją sprzedać, ogląda się niespokojnie na wszystkie strony. Łopata pewno jest kradziona. Dziad płaci za nią parę rubli i z tym nowym bogactwem zabieramy się z powrotem do domu.

Na budynku *rajkomu* (budynek przeniesiony z Budionowki) ogromny napis, ile to pudów zboża damy naszej ojczyźnie. Na ogromnej tablicy ogłoszeń fotografie przodowników pracy, traktorzystów, czabanów, dożarek. Koło miejscowego skweru czerwono od transparentów. Alejki ozdabiają zawieszane na słupach fotografie wodzów. Stalina nie ma. Jest Marks, Engels, Lenin, portret sekretarza republiki i paru stachanowców. Szkoda, że nie ma Malcewa. Już go chyba zdjęto. Sława mija prędko, ciekawa jestem, jak długo będzie wisiał obecny sekretarz. Nic nie grozi tylko umarłym, im trudniej zaszkodzić, mogą liczyć na nieśmiertelność.

Sekrety kołchozu przestają być dla mnie tajemnicą. Zostałam mianowana pomocnikiem buchaltera i kasjera. Pracuję w kołchozowym kantorze. Codziennie rano telefonicznie przekazuję do rejonu sprawozdanie o wykonanych pracach. Sprawozdania różnią się formą w zależności od pory roku. Mam cały stos odpowiednich druków. Przed żniwami obowiązuje druk o przygotowaniu do „akcji żniwnej” (Boże, co za biurokratyczny język). Potem żniwa: ile hektarów skoszono, ile traktorów pracowało, ile kwintali zboża, ile zaorano, ile zdano państwu itd., itd. Przygotowanie do zimy. Przygotowanie do wiosny. Akeja siewna. I tak w kółko. Kłóczę się z buchalterem:

— Przecież już w zeszłym tygodniu pokazywaliśmy, że te trzy wozy są wyremontowane. Wczoraj skończono czwarty.

Nie, pisz cztery, jeszcze raz.

— Czyli w sumie siedem, a mamy tylko cztery.

— To nic, pisz, jak mówię. Kto to będzie sprawdzał.

Kłóczę się tylko dla zasady. Sama mam dobrą obozową praktykę w takich rzeczach, wiem, jak pisać sprawozdania. Rośnie w nich inwentarz martwy i żywy, rośnie ilość produkcji, tylko nie ma czym pracować i nie ma czego jeść. Przemysł, rolnictwo, zasada ta sama. *Tufta* i tu króluje. Rejon jest zadowolony.

— Ileście skosili — pyta urzędnik — tylko 523 hektary? nie więcej?

— Jak to — poprawiam się natychmiast — pan źle usłyszał — 723.

— A to co innego, doskonale.
Podliczam po tygodniu wyniki, włosy stają mi na głowie.
Leonid Michajłowicz próbuje perswadować, chyba nam się kołchoz trochę zwiększył.

Klnie: — duża różnica?

— No jest z kilkanaście hektarów.

— Dobrze, dzwonię, żeśmy się wczoraj pomylili i że już żniwa skończone.

— Ale traktory i kombajny pracują, zabiorą sprzęt.

— Nie, powiemy, że jeszcze zostały takie niewielkie okola.

Z rejonu dzwonią, że Budionowka jest na pierwszym miejscu, że najwcześniej skończyła żniwa. — Daliśmy już komunikat do radiowęzła, mówią, będziecie też wisieć na desce wyróżnień. — Swirin zadowolony. Leonid także. Wieczorem zjawia się brygadier z sąsiedniego kołchozu. Robi piekielną awanturę.

— Kombajny u was jeszcze na polu, fałszywki w rejon posyłacie.

— Jakie kombajny? — pyta Swirin. — Coś wam się przywidziało, towarzyszu — i mruga do mnie. Wiem, o co chodzi. Otwieram kasę, wyciągam butelczynę i nalewam do szklanek. Brygadier odmawia, złości się, ale kto by nie uległ na widok szklanki. Pije jedną, drugą, wesoło się robi w kantorze. Jest już noc, gdy odjeżdża. Trzeba go na wóz wsadzić, bo sam siły nie ma. Puszczamy wolno konia, koń mądry, do Połtawki trafi. Wracając do chaty patrzę z daleka na świecące się reflektory — to kombajny, mają jeszcze roboty co najmniej na całą noc.

Na toku pełno ziarna. Nawet przy tym mizernym urodzaju zebrana z 14 tysięcy hektarów pszenica tworzy górę. Jest mokra, nie można jej zdawać państwu. Trzeba wysuszyć. Zgodnie z prawem kołchoz jest zobowiązany zdać najpierw ziarno państwu, potem odsypać potrzebną ilość na siew, na paszę dla bydła, kur, gęsi, resztę dzieli się wśród kołchoźników. Brak jednak odpowiedniego miejsca do suszenia, brak ludzi do pracy, którzy bynajmniej się do niej nie kwapią, góra ziarna się grzeje. Z wierzchu jest suche, w środku jednak tak gorące, że nie można w nie wsunąć ręki. Swirin, Leonid i ja pracujemy we trójkę, usiłując choć część ziarna przewrócić. Robi to na mnie wrażenie, jak gdyby trzy małe mrówki próbowały zwalić sąg drzewa. Mowy o tym nie ma. Mamy przed sobą około 10 tysięcy ton — 200 wagonów. Kołchoźnicy nie przejmują się. W nocy za cichym pozwoleniem stróża nabierają worki pełne ziarna,

suszą je spokojnie na swych ruskich piecach i nie oglądają się na te sterty, które wydają alkoholowy zapach, wyraźnie już fermentując. Bilans żniw jest raczej smutny. Państwo otrzymało daninę w całości, na siew coś tam odsypano, ważą teraz resztę, by rozdać pracownikom. Ale niewiele jest już do ważenia. Nie więcej jak jedno kilo na trudodzień. Pozostałe ziarno trzeba zakopać. Nie nadaje się nawet dla drobiu ani dla bydła.

Patrzę ze zgrozą. Przypominam sobie swoje dziecięce lata, kiedy każdy kłós zbierało się skrętnie, nie z powodu głodu, nie, z szacunku dla chleba. To ta kruszyna podnoszona z ziemi przez uszanowanie. Chleba naszego powszedniego... A tu? Przyjechała koparka i drąży potężny dół. Zsypuje się doń szybko zgniłe ziarno, przykrywa ziemią. Już po żniwach. W tym roku mało zakopali, mówią kołchoźnicy, w zeszłym roku pracowały dwie koparki, w jednym dole nie dało się wszystkiego zmieścić. Nikomu do głowy nie przyjdzie, że to zmarnowane ziarno można oddać kołchoźnikom, by je u siebie wysuszyli. Mieliby go więcej, byłiby bogatsi. Przepis nie pozwala. Kołchoźnik jest na samym końcu. No i w rezultacie nie dostaje prawie nic. Czy należy się jeszcze dziwić, że niechętnie chodzi do pracy i kradnie, gdzie się da?

Buchalteria sobie, rzeczywiście sobie. Wszędzie tylko słowa, słowa, słowa. Zalew słów, pięknych i wzniosłych. Taką ilością nie karmiono nas w obozach. Tutaj pokarm ten jest rozdzielany obficie. Gdyby można było żyć słowami, jeść słowa, jakież byłyby to wspaniały kraj. Wszyscy je powtarzają, umieją na pamięć, strzegą jedni drugich, aby ktokolwiek broń Boże nie zapytał o ich sens. I nikt w nie nie wierzy. Lecz się bez tych słów już obejść nie umie. Jakże tak, kołchoźnicy, tak trzeba mówić, to prawidłowo. Dlaczego — pytam. Moje pytanie jest już niebezpieczne, może być przedmiotem donosu. Życzliwy kołchoźnik kiwa głową nad moją lekkomyślnością i głupotą. Tak trzeba — powtarza. Nie wolno inaczej. Takie prawo.

Pytam babuszkę, ile litrów mleka daje jej krowa.

— 14-16 — odpowiada.

— A wie babuszka, ile daje przeciętnie kołchozowa?

— Dużo, więcej — odpowiada.

— Skąd, właśnie podliczałam, jeden litr dziennie.

Babuszka się śmieje. — To nawet nieźle, były i gorsze lata.

— Na miłość boską, przecież takie krowy w normalnym gospodarstwie idą na rzeź. Nie opłaca się ich karmić.

Babuszka jest mądra, zna tajniki kołchozu. — A co kosztuje ten pokarm — mówi — słoma, siano, tyle co nic. Praca

ludzi też tania, a zawsze to sto litrów mleka dziennie płynie do mleczarni.

— To prawda. Dojarka, pastuch dostają przeciętnie po dwa do trzech trudodni. W 1954 roku na jeden truddzień przypadało po jednym kilogramie pszenicy, czyli za rok pracy 10 kwintali. Co to jest w stosunku do całej masy ziarna nawet przy takim małym urodzaju. Promille procenta. Siła robocza jest śmiesznie tania.

Nie mogę spokojnie patrzeć na krowy. Są przeraźliwie chude, wymiona mają małe, skórę bez połysku, boki pokryte zaschniętym nawozem. Mleko jest nawet dość tłuste, widocznie świeża trawa nie jest zła. Co jednak może dać wymęczona krowa? Wygania się stado o świcie i pędzi około siedmiu, ośmiu kilometrów od bazy. W południe stado się poi. Dwa kilometry za wsią leży małe bagniste jezioro. Upał jest straszny, z suchym, palącym wiatrem. Krowy piją błotnistą wodę i kładą się na ziemi. Ledwo trochę odpoczną, goni się je z powrotem na łąki, a wieczorem do bazy. Ile kilometrów razem? Około 27. Wieczorny udój trwa krótko. Zaledwie dojarka odchodzi ze skopkiem, zwierzę kładzie się prosto w gęsty nawóz i tak leży aż do rana, zupełnie wyczerpane.

Malgina opowiada, jak to dawniej bywało. Bydło wypędzono na łąki jak tylko śniegi spadły i tam organizowano cały obóz. Tam zwierzęta doiono, tam je dokarmiano, jeśli zachodziła potrzeba. Pod zagajnikiem co kilometr ciągnął się pas artezyjskich studni. Zwierzęta miały dobrą, czystą wodę na miejscu. Dziś po studniach tych zostały tylko rozbite ocembrowania. Nikt ich nie utrzymywał, nikt nie remontował, aż się zawaliły, zanieczyściły i woda zniknęła. Widziałam te studnie. Wyglądały tak, jakby je specjalnie rujnowano. Kto wie. Może była to zemsta rozkułaczonych, może przeciwnie, chęć zniszczenia wszystkiego, co przypominało dawne czasy? Na terenach zabranych bolszewicy palili nie tylko dwory, które mogły przysłużyć się na szkoły, biura, świetlice, domy wypoczynku albo na mieszkania. Palili także budynki gospodarcze, szopy z narzędziami rolniczymi, stodoły, by dopiero na pustej ziemi wznosić gmachy socjalistycznej gospodarki. Może i tam u siebie starali się zmieścić wszelki ślad po dawnych właścicielach, po dawnej zasobności kozackich domów, po tym wszystkim, co świadczyło o ich gospodarstwie, zapobiegliwości i ciężkiej, oddanej ziemi pracy.

Jaśniejszą kartę Budionowki stanowiła owczarnia. Owce są dobre na socjalizm. Tak niewiele potrzebują. Można je wypę-

dzień na rżysko, można je gonić kilometrami. Wełna dawała przyzwoity dochód, ratowała kołchozowy budżet. Wielka owczarnia, ponad tysiąc sztuk, przynosiła też niemałą korzyść kołchoźnikom. Grube warstwy owczego nawozu, wysuszone na słońcu, doskonale nadawały się na opał. Każdy się starał uzyskać pozwolenie na wyrąbanie odpowiedniej na zimę ilości kiziaku.

Nie pamiętam już dobrze, kiedy to było, latem czy jesienią 54 roku, a może na wiosnę 55? Mogłabym z łatwością sprawdzić daty. Wystarczyłoby przejrzeć numery *Prawdy*, która się szeroko rozpisywała o wizycie amerykańskich farmerów. Była to chyba pierwsza wizyta tego rodzaju zapowiadająca wielką i szeroką współpracę w rolnictwie. Amerykanie mieli zwiedzać sowchozy i kołchozy w centralnej Rosji, gdzieś na Kubaniu, a także nieco na północ od Ałma Aty, w Kazachstanie, jakieś dwa tysiące kilometrów na południe od nas. Wizyta się odbyła, Amerykanie zachwyceni wyjechali i już gazety dawno o tym wydarzeniu przestały mówić, gdy nagle do naszego kołchozu przyszedł rozkaz, aby ogrodzić plac pod większą ilość owiec. Miało ich być zgodnie z telefonogramem około 1,5 tysiąca. Rozkaz wydał powiat, zmobilizowano więc kogo się dało do roboty. Ciężarówki przywoziły żerdki, druty. Codzienne kontrole naczałstwa z rejonu nagliły do pośpiechu. Wreszcie ogrodzenie było gotowe. Ciągnęło się ono niedaleko owczarni, tuż koło drogi, którą co dzień szłam do kantoru. Zachodziliśmy wszyscy w głowę, co to za stado, dlaczego i gdzie je pędzą.

Wielki tuman kurzu na drodze sygnalizował zbliżenie się stada. Razem z brygadierem zaopatrzeni w notesy i ołówki czekaliśmy przy ogrodzeniu, aby przeliczyć sztuki i wydać odpowiednią ilość karmy. Owce czuły wodę, wchodziły więc żwawo becząc w ogrodzenie i kierowały się wprost do koryt. Było ich trochę ponad 1100. Napite kładły się natychmiast na ziemi. Towarzyszący im konno czabanowie poili chude, wynędzniałe konie. Sami też ledwo trzymali się na nogach. Nie udzielali informacji. Mówili tylko, że są już ponad miesiąc w drodze, chyba z sześć tygodni, że mieli jeden krótki dwudniowy postój tysiąc kilometrów stąd i że teraz pozwolono im odpocząć przez dwa tygodnie. Skąd szli? Milczeli. Dokąd? Do domów, do różnych kołchozów i sowchozów bliżej Uralu. Byłam zaintrygowana, kołchoźnicy także. Nikt z nas nie kojarzył tej wędrówki stada z wizytą Amerykanów.

Czabanowie, przyjęci gościnnie przez mieszkańców Budionowki, powoli nabierali zaufania, zaczęli opowiadać. Pochodzili z różnych stron. Ich sowchozy uważane były za bardzo

dobre. — Mieliśmy piękne stada owiec — wzdychali. — Nagle przyszedł rozkaz załadowania do wagonów najpiękniejszych sztuk. Wyznaczono konwojentów. Jechaliśmy na południe, nie znając miejsca przeznaczenia. Karmiono nas jednak dobrze, paszy także było w bród, więc choć droga trwała ze dwa tygodnie, nikt nie narzekał. Znaleźliśmy się wreszcie koło Almaty w wielkim sowchozie, gdzie już panował wielki ruch. Na stacji wyładowywano bydło, konie, maciory z różnych stron sowieckiej ziemi. Sztuka w sztukę. Aż dziw ogarniał, że takie istniały. Obory, chlewnie, wszystko na wysoki połysk, czyste, wyposażone w elektryczność. Zmechanizowane dojenie, zmechanizowany wywóz nawozu, kanalizacja i wodociąg, cuda. Czegoś podobnego nie widzieliśmy w życiu — opowiadali, a kołchoźnicy kręcili głowami z podziwu i niewiary. Uwierzyć bowiem było trudno. — Wspaniały sowchoz, alejki wygracowane, piaseczkiem żółtym posypane jak w parku. Stołówkę piękną nam wybudowali. Codziennie na obiad zupa, kawał mięsa z jarzynami, chleba ile kto chce. Mleko rano na stole stoi, pij, smaruj masłem i dżemem chleb, jak w kinie. Na koniec przyjechali, jakieś wielkie naczalstwo z Moskwy i Amerykanie. Amerykanie w obcisłych spodniach takich aż wstyd, bez długich butów, w krótkich, co w nawóz do obory nie wejdiesz. Ale nawozu w sowchozie nie ma, wysprzątany. Fotografowali co najlepsze sztuki. Próbowali z nami gadać, ale kto tam ten dziki język zrozumie. Naczalstwo z nimi gadało przez tłumaczy. Klepali nas po ramionach i robili zdjęcia. — Opowiadający czaban wyciąga z kieszeni portfel, a z niego ostrożnie, żeby nie połamać, kolorowe zdjęcia. Widać na nim jeszcze dwóch innych czabanów trzymających wielkiego tryka i Amerykanina w dżinsach, otwartej na piersi koszuli i słomkowym kapeluszu. Wszyscy przyglądali się zdjęciu z namaszczeniem. Kolorowa fotografia, której i ja dotąd nie widziałam, budzi sensację.

— Jednego dnia pstrykał, a drugiego już mi dał gotowe.

— Jak długo byli?

— Ze trzy dni. Opisywali, ważyli niektóre świny, patrzyli na udój, jednym słowem łazili wszędzie. Jak wyjechali, mięso się skończyło. Na obiad dali nam kapuśniak i trochę kaszy ze słoniną. No i kazali pędzić stada do domów.

— Jak to pędzić?

— Ano, powiedzieli, że transportu nie ma, że dojdziemy. Przewieźli nas tylko przez Głodny Step, bo tam wody brak.

— Co z resztą bydła? — pytamy.

Nie wiedzą. Podobno krowy poszły gdzieś na Ałtaj czy do Turkiestanu. Oni zaś mają jeszcze miesiąc drogi.

— Ile wam sztuk padło? — pytam bez ogródek.

Czaban drapie się za uchem, nie ma ochoty odpowiadać. Wreszcie wykrztusza: tak z dziesięć, dwanaście na każdym postoj, teraz trochę więcej, wyczerpane.

Liczę szybko, 40 dni po dziesięć sztuk 400, a jeszcze nie doszli i ubytki będą większe. Żal mi tego czabana. To niemłody człowiek i widać, że chłop z krwi i kości przywiązany do stada. Pewnie było przedmiotem jego dumy. Zostało wyróżnione, wybrane wśród wielu, by służyć osiągnięcia kraju przed obcymi. *Patiomkinowska dieriewnia*, car przejechał, można dekoracje rozebrać i wyrzucić na śmietnik. Komu teraz potrzebne. Czaban kręci grubą *bankrutkę*, zaciąga się i mówi:

— Co powiedzą ludzie, jak wrócę, co powiedzą? Cała praca zmarnowana. — A potem dodaje: — ja to nic, dojdę, ale memu kumpłowi Waśce koń padł, dobry koń, tylko za młody, siły nie takie.



Zbliża się jesień. Wykopałyśmy już z babuszką kartofle. Ładnie obrodziły, babuszka jest zadowolona, starczy na zimę i dla nas i dla maciory. Na kołchozowym polu dopiero zaczynają się wykopki. Brygadier jeździ od chaty do chaty, wyganając kobiety do pracy, ale mu uciekają, chowają się i na polu pracuje zaledwie kilka. Nie może też znaleźć robotników do sprzętu pastewnych buraków. Są wspaniałe, wielkie. Organizujemy sobotnik, nauczycielki z miejscowej szkoły, Lena z Czerwonego Kącika, sam brygadier, Leonid, ja. Pole pięciohektarowe, buraki wyciągamy z ziemi zaczynającej już przymarzać. Choć cały dzień pracujemy, efekty są znikome. Kropla w morzu. Na drugi dzień pracujemy już w zmniejszonym składzie. Brygadier, Leonid i ja. Trzy osoby, śmiechu warte. W nocy pada śnieg, przykrywa wszystko grubą warstwą. Już nie stopnieje. Nać buraczana ginie w białym puchu, giną też pod śniegiem kołchozowe kartofle. — Jak co roku — mówią kołchoźnicy. — Normalnie.



Rozpoltikowany czytelnik ma mi zapewne za złe, że tak mało piszę o polityce. Jak to, była tam pani w takich czasach, zaraz po wojnie, w pełni stalinowskiej epoki, w momencie zim-

nej wojny, wojny koreańskiej, śmierci wielkiego wodza, odwilżowych pierwszych błysków i nic. Żadnych rozmów z Rosjanami na temat wydarzeń, żadnej oceny, żadnego opisu reakcji ludzi na to, co się dokoła nich działo. Mielicie gazety, radio nadawało komunikaty. Czy byliście głusi, czy tak już wyprani intelektualnie, że oprócz pajki nie obchodziło was nic? Czyżby wszyscy ludzie spotkani w obozach i na tej „wolności” w kołchozie byli politycznie tępi? Niemożliwe.

Rozumiem zarzuty i czuję się wobec nich bezradna. Trudno rzeczywiście uwierzyć, że polityka była pierwszym obozowym tabu. Siergiej Michajłowicz należał do nielicznych wyjątków, i to próbował swoje myśli teoretyzować, przenosić na płaszczyznę problemów kultury, charakteru narodu rosyjskiego, niemal nigdy nie mówiąc o konkretach, o obecnych posunięciach władz, o tym nawet, czy słuszna jest polityka rozwoju ciężkiego przemysłu, kolektywizacji, wdawania się w konflikty światowe, itd., itd. Niezmiennie: „Moskwa lepiej wie” — przecinała wszystkie pytania i wątpliwości. Stara rosyjska inteligencja spotykana w obozach jak i ta nowsza, komunistyczna, która także się znalazła na ławach oskarżonych, unikała politycznych sądów. A tylko ona mogła mieć jakieś sensowne rezonowanie. Kołchozowi chłopcy wydawali się w obozie pozbawieni politycznego zmysłu. Ich obojętność i bierność były przerażające. Czy przyczyną był prymitywizm tych ludzi, czy zniewolenie? Nie mogłam zrozumieć ich postępowania. Była w nim dwoistość, niekonsekwencja. Nie bali się powiedzieć „nie” brigadierowi wzywającemu do pracy, a jednocześnie wszyscy wykupywali obligacje pożyczkowe bez cienia protestu czy nawet niechęci.

— Edwardowna — wyjaśniała mi babuszka — ty nic nie rozumiesz. Jak można odmówić, gdy państwo każe.

— Państwo każe także pracować — odpowiadałam.

— Kołchoz to nie państwo, sowchoz co innego. Tam każdy pracować musi. Tam do pracy idziesz, listę podpisujesz, nie ma ciebie, *pragut* zanotują i pod sąd. W kołchozie list nie ma. Chcesz, idziesz, nie chcesz, siedz w domu. Takie prawo.

Babuszka ma rację, kołchoz to wolne zrzeszenie ludzi, tak głosi ideologia. Zorganizowane zostało co prawda pod przymusem, za cenę straszliwych represji, skoro jednak już jest, w jego funkcjonowanie władza nie może ingerować bezpośrednio. Aby oddać pod sąd uchylających się od pracy, trzeba nie tylko donosu, lecz także świadków, i co najważniejsze decyzji prezydium kołchozu. W prezydium siedzą jednak ludzie z tej samej wsi,

kumple, nieraz krewni. Oni także muszą reperować dachy swych chat, jeździć na bazar. Starają się zatem przestępstwa nie dostrzegać. Czasem brygadier perswaduje, że tak nie można.

— Wania — prosi — już cały tydzień nic nie robiłeś. szemrają.

— Dobrze, dobrze — odpowiada Wania — jutro przyjdę.

I na dzień lub dwa pojawia się na bazie, by potem znów zniknąć. Kołchoźnik wie dobrze, co mu wolno i z tego korzysta, zgodnie ze swoimi atawistycznymi nawykami. Nie biją, to siedź cicho, rób swoje. Jest w tej postawie jakaś nieprawdopodobna bierność, absolutny brak zrozumienia dla wspólnych społecznych działań. Nie ma u tych ludzi zrywu, chęci zdobycia czegoś lepszego dla siebie, dla innych. Tkwią w tym, co jest i jedyna myśl, którą się żywią, nakazuje nie wyróżniać się, chować się w swoim kącie i pełnić obowiązki o tyle tylko, o ile jest to konieczne, nie więcej, nic z własnej inicjatywy. Przypominam sobie owe stado szczęśliwe szczęściem dla maluczkich i słabych z Legendy o Wielkim Inkwizytorze. Gdzież jest ta rzekoma „gleba”, która miała przynieść odrodzenie Rosji i o której tyle pisali słowianofile. Nie widzę gleby ani nawet nawozu. Widzę pustkę, ludzi, którzy nie wybiegają dalej niż własna przyzagrodowa działka. Gdyby pracowali inaczej, byłiby bogatsi, jestem tego pewna. Mnie obcą boli serce, gdy widzę straszliwe kołchozowe marnotrawstwo. Oni moje uwagi traktują ze wzruszeniem ramion. Wszyscy, bez wyjątku. Ci chłopci zegnani z różnych stron Rosji, uciekinierzy Wielkorusi, potomkowie Kozaków, rdzenni sybiracy tworzą dziwną wspólnotę. Nie ma w niej przyjaźni czy nawet zwykłej ludzkiej solidarności, nie ma woli współpracy, budowania dla wspólnej przyszłości. Jest natomiast całkowita zgoda na pewien sposób zachowania się: kopanie własnego ogródka a jednocześnie pełny lojalizm w stosunku do wyższej władzy, jej rozkazów, więcej, jej sądów. Ten lojalizm nie pozwala na krnąbrność, samodzielność, przeradzając się w despotyzm, pancierzem ściskający wieś. Jest to jedność opinii zaproponowana, uznana, przestrzegana i wyznawana jako wartość. Nie wolno myśleć inaczej niż wszyscy. Nie wolno chcieć czegoś, czego nie pragną wszyscy. Wolno ci zebrać kartofle z własnego ogrodu, bo tego chcą wszyscy. Kołchoźnik zna dobrze granice i pilnuje ich, pilnuje siebie i innych. Ten kto je przekracza, spotyka się ze zdziwieniem, nawet z niechęcią.

Przypominam sobie dawne rozmowy z Siergiejem Michajłowiczem.

— Czym jest dla Rosjanina wolność? — pytałam. — Przecież ten naród wydał Pugaczowa, Riazina, dokonał rewolucji.

— Wolność? — zastanawiał się Siergiej. — A cóż to znaczy? Wolność czy samowola. Rosjanin wietrzy zawsze w wolności samowolę. Pugaczow, Riazin, rewolucjoniści byli despotami gorszymi niż car. Oweczesne rządy wydawały im się samowolą, gwałcąc świętość nienaruszalnych praw. Walczyli nie w imię wolności jednostki, lecz przeciw niej, w imię doskonałego carsizmu, bezwzględnego posłuszeństwa każdego wobec wspólnoty.

Za ostre to słowa. Jest w nich jednak coś z prawdy. Ci ludzie nie mają żadnego zmysłu demokracji, żadnego szacunku do innego, niezależnego sądu. Czy mogli politykować? Czy byli w ogóle zdolni do zajmowania własnego stanowiska? Czy mogło ich interesować, co się dzieje w wielkiej polityce, skoro sami siebie skazywali na absolutną w tej materii bierność? Od czasu do czasu jakiś stary komunista z wyrokiem 15 lat wdawał się z pasją w obronę systemu, sprowokowany drwiną Niemca czy Polaka. Świetlana przyszłość, raj ziemski, Stalin wielki nauczyciel, językoznawca, surówka i stal, jak w obozowej pieśni. Na takie rozmowy szkoda było czasu.

Niekiedy sami prowokowali rozmowy, ale to były właśnie tylko prowokacje o konkretnych celach. Trzeba bowiem wykrywać wrogów narodu także w obozie. Znaliśmy się na tych sposobach, mało kto dawał się na nie wziąć. Niedługo jednak po przybyciu do kołchozu partyjny miejscowy komitet usiłował wybadać moje poglądy, nakazując Siergiejowi dokonanie odpowiedniego sondażu. Przyniósł więc Siergiej do domu pół litra, kazał żonie usmażyć jajecznicę, no i rozpoczął skargę na życie w kołchozie, na niesprawiedliwość, na ciężki los zesłańców, którzy powinni pracować gdzieś w mieście, a nie tu, w tej dziurze. Płakał nade mną tak tkliwie, że obudziło to moją czujność. Zbyt wiele było tam oskarżeń rzucanych na kołchoz, a nawet na politykę ogólną władz. Naiwne to było przemówienie, zbyt nieprawdopodobne w ustach sowieckiego człowieka. Za dużo rzekomej szczerości, niemal bluźnierczych opinii. Nie wierzyłam mu ani trochę. Jego wywód przypominał mi znaną sowiecką anegdotę: „Nie lubisz doić krów? A może w ogóle nie lubisz krów? A może ci się rolnictwo nie podoba? No tak, pewno jesteś przeciwko kołchozom, ba, pewno jesteś przeciwko Związkowi Sowieckiemu”.

Przerwałam więc potok jego słów, a jemu aż oczy rozbłyły, gdy zaczęłam od uwagi, że rada jestem usłyszeć to, co powie-

dział. Rada jestem, bo, i w tym miejscu ten błysk radosny w jego oczach zgasł, bo wiem teraz, że mam do czynienia z wrogiem Związku Sowieckiego. Przykro mi tylko, że o tej rozmowie, o jego wypowiedzi będę musiała donieść, gdzie należy. Jak może mówić przeciwko kołchozom, gdy dziś cały naród spieszy na ugory, by podnieść bogactwo kraju? Był zielony z wściekłości.

— Ja tylko żartowałem — powtarzał — ja żartowałem.

Ale ja twardo go straszyla, choć oczywiście nie miałam zamiaru powtarzać nikomu tej rozmowy. Dałam się wreszcie ubłagać i przyrzekłam zachować dla siebie jego niewczesne wynurzenia. Ktoś może pomyśleć, że byłam niesprawiedliwa, że się zachowałam po świńsku. No cóż. Można było i takie zrobić przypuszczenie. Okazało się jednak, że węch mnie nie zawiódł. To Leonid, gdy już pracowałam w kantorze, opowiedział mi o decyzji partyjnej komórki. Sam do partii nie należał, ale bywał jako buchalter obecny na jej zebraniach. Siergiej więc się skarżył, że mu powierzono tak niewdzięczną rolę, że Edwardowna to „prawdziwy sowiecki człowiek”, że więc się boi, czy nie doniosę na niego do MWD. Kto poświadczy, że gadał tylko tak, specjalnie, na rozkaz komitetu? Członkowie komitetu uspokojali Siergieja, że zaświadczą w razie czego wszyscy, że wypełniają w ogóle polecenia wyższych władz, aż Siergiej się uspokoił, ja zaś zyskałam niebywałą opinię „prawdziwego sowieckiego człowieka”. Czy za to, że postraszyłam donosem?

Taką ocenę zyskałam raz jeszcze w innych okolicznościach. Byłam chora. Babskie dolegliwości po wygódkach na mrozie. Musiałam się leczyć. Pierwszy raz Swirin zwolnił mnie bez słowa do lekarza, do rejonu. Kazano mi jednak zrobić badania. Wyznaczono je na jakiś dzień tego samego tygodnia. I wówczas Swirin odmówił zezwolenia na opuszczenie kołchozu. Jako zesłana znajdowałam się pod zarządem administracyjnym MWD i bezpośrednią kontrolą prezydium kołchozu. Był w prawie odmówić, żądać, bym została w pracy, skoro jeszcze nie umierałam. Trafił mnie szlag. Jak stara *błatniaczka*, choć dotąd nigdy w kołchozie nie rugałam, sypnęłam wiązaną, prawdziwą wiązaną, długą, wymyślną, według wszelkich prawideł z wszystkimi wyrazami na h, b, p itd. w coraz piękniejszych i bardziej wymyślnych stylistycznych figurach. Patrzył na mnie oszołomiony, wreszcie twarz mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu i wykrzyknął:

— Edwardowna, wy prawdziwy sowiecki człowiek, idźcie, idźcie, leczcie się, kiedy tylko zechcecie.

Oto jak się odbywa pasowanie na sowieckiego człowieka. Faktem jest, że od tej pory zyskałam wiele osobistej swobody. Przychodziłam, kiedy chciałam, jak miałam ochotę pójść do rejonu, to szłam, najwyżej informując o tym Leonida. Swirin zdawał się mnie darzyć większym zaufaniem, choć nigdy nie było ono pełne. I słusznie. Dla tych ludzi byłam nie więźniarką, która ukończyła wyrok, bo takich dokoła spotykało się wiele. Byłam istotą z odległej planety, z Zachodu, z kraju, który zdeptali co prawda wszertz i wzdłuż podczas wojny i lubili wspominać, który jednak został dla nich czymś niezrozumiałym, krajem innych, obcych całkiem ludzi. Rosjanin obcych nie lubi, nie ufa im, może im trochę zazdrościć, zwłaszcza tym z Zachodu, lecz nie szuka zbliżenia, nie stara się ich ani zrozumieć, ani być zrozumianym, jakby na tym w ogóle mu nie zależało, jakby nie chciał się wdawać w żadne szersze i żywsze kontakty, z góry zakładając, że inny to obcy, to wrogi, że więc albo go trzeba zdeptać, albo samemu się zostanie przez niego zdeptanym.

Prowokacja. Chyba żaden system nie praktykował jej na taką skalę. System? Nie tylko on. Znana ona była i za carskich czasów. Czym Czeka różni się od Ochrapy i innych carskich policyjnych instytucji?! Prowokacja pozwala ujawnić rewolucjonistów i kontrrewolucjonistów, niechętnych Mikołajowi i Stalinowi, współpracowników *Iskry* i samizdatu. Prowokacja jest skuteczna, a jej ofiary wiezie się zawsze w tę samą stronę. Na Syberię lub na północ, niegdyś do Irkucka, dziś raczej do kopalń Workuty czy Magadanu. Jak to jest w tej obozowej piensence? Wy towarzyszu Lenin zapaliliście od iskry płomień, dzięki Bogu, mogę się dziś ogrzać przy ognisku. Wielki zaiste był to płomień, skoro rozpała w tajdze do dziś tyle ognisk, przy których próbują się ogrzać nowi łagiernicy.

Nie dałam się nabrać na prowokację Siergieja, dałam się złapać kobiecie. Była w kołchozie niejaka Fiedorowna, nie pamiętam jej imienia. Pomagała czasem w buchalterii, gdy trzeba było robić bilans roczny. Służyła też jako rachmistrz przy różnych dorywczych pracach. Najczęściej siedziała w domu. Miała sześcioro dzieci, każde podobno od innego ojca i nie bardzo się sama orientowała, które od jakiego. Niska, krępa brzydula, miała opinię dobrej dziewczyny, która nikogo, gdy prosi o nocleg, za drzwi nie wyrzuci, o ile, rzecz jasna, proszący jest mężczyzną.

Po żniwach kołchoz zdecydował zorganizować brygadę cieśli, kierując do niej wszystkich zesłańców oprócz kowala

i ogrodnika. Praktycznie tylko oni tę brygadę tworzyli, bo dwóch czy trzech innych kołchoźników rzadko zjawiało się na robocie. Brygada miała zbudować nową wielką oborę, a przede wszystkim spichlerz. Drewna w okolicy brak, wysłano więc ją w pierw na wyrąb lasu do tajgi, położonej jakieś trzysta kilometrów dalej. Tam wybuchła pierwsza awantura. Była już zima, spadł śnieg. Tymczasem umieszczono robotników w źle ogrzewanych namiotach, nie wydano im też odpowiednich ubrań. Mało tego, w okolicy nie było żadnego sklepu, żadnej możliwości zaopatrzenia się w żywność. Zostawiono im trochę suchych produktów w postaci chleba, *kombinżyru* i puszki skondensowanego mleka na wszystkich. Obiecano dowieść naza jutrz coś więcej. Upłynęły jednak trzy dni i nic. Żadnego znaku życia. Chłopcy zbuntowali się. Korzystając z jakiejś okazji do brnęli po niemal dwunastogodzinnej podróży częściowo saniami, częściowo piechotą do najbliższego z posesioków, zgłaszając się wprost do miejscowej komendantury milicji z żądaniem zawiadomienia naszego rejonu i kołchozu, że w takich warunkach pracować nie będą. Klasyczny *otkaz*, sprawa niemal gardłowa. Zjawiły się więc wszystkie władze, MWD, sekretarz partii, przedstawiciel władz administracyjnych rejonu no i nasz Swirin. Grożono chłopcom nowym wyrokiem, obozem, ale oni chętnie się na to godzili, wyjaśniając nie bez racji, że różnicy żadnej między poprzednim ich położeniem a obecnym nie dostrzegają. Widocznie jednak odmowa ich psuła szyki planom nie tylko kołchozu lecz także rejonu, władze bowiem ustąpiły. Skierowano ich do innego miejsca, gdzie stał wielki tartak, leśniczówka, baraki dla pracowników leśnych. Umieszczono ich w tych barakach i wydano karty do miejscowej stołówki, gdzie podobno zupełnie przyzwoicie karmiono. Otrzymali też niezbędne w lesie walonki, buszłaty, ocieplane i brezentowe rękawice, a także elektryczne piły. Mogli zatem przystąpić do roboty. A ponieważ wiadomo było, że kołchoz uzyskał zgodę na wyrąb określonej ilości budulca, postanowili jak najprędzej zadanie wykonać, aby nie siedzieć zbyt długo w lesie.

Prace planowano na dwa miesiące, wykonali ją w niecały miesiąc, budząc tym zdumienie władz. Nikt nie był przygotowany na taką niebywałą wydajność. Moi koledzy opowiadali mi, że się bynajmniej nie przemęczali po prostu pracowali z głową, odpowiednio do sił i umiejętności rozdzielając między siebie zadania i nie spędzając dnia przy ognisku, jak to czyniła dokoła robotnicza brać.

Potem ruszyła budowa. Budowali szybko. Obliczałam im

normy, które potem przeliczaliśmy na trudodni. I cóż się okazało przy końcu roku? Choć zarobili prawie dwukrotnie więcej trudodni niż przeciętny kołchoźnik, zostali jeszcze kołchozowi dłużni. Ten litr mleka dziennie, kartofle, mąka, te nieszczęsne pięć jajek na Wielkanoc, no i ubranie wydane do lasu, miały cenę dużo wyższą niż uzyskane trudodni. Znalazłam się w takiej samej sytuacji. W kantorze liczono mi 1,5 trudodnia dziennie. Brałam tylko ten mizerny przydział żywności, przydział ten rozliczano według cen nie rynkowych, lecz produkcyjnych, znacznie od rynkowych niższych. Byliśmy średnio winni kołchozowi po niemal rocznej pracy od 300 do 500 rubli, co na tamte czasy nie było kwotą małą. Moi koledzy byli wściekli, ja też. Odkryła się nam wówczas tajemnica kołchozu. Kołchoz trzymał w kleszczach swych pracowników. Nie tylko my byliśmy jego dłużnikami, wszyscy mieli ujemne konta. Ziarno co prawda na trudodni wydano, po kilogramie na 1 truddzień. W ten sposób jednak dług się jeszcze bardziej powiększył. Niektórzy starzy pracownicy byli winni po kilkanaście tysięcy rubli. Póki pracowali w kołchozie, patrzono na ten dług przez palce. Uniemożliwiało on natomiast wyjazd, przejście do jakiegokolwiek innej pracy, nawet w najbliższym rejonie. Tak oto w sposób doskonały chłop został przypisany do ziemi. Nie mając paszportu, z długiem na karku, sowiecki kołchoźnik w swym prawnym statusie nie różnił się od pańszczyźnianego chłopca.

O ile się nie mylę, po 1956 roku długi te umorzono i kołchoźnikom wydano dowody osobiste. Zaczęto też płacić im za pracę. Nastąpiło to jednak już po moim wyjeździe. Tymczasem niewolnik XX wieku siedział na mocnym łańcuchu. By się pocieszyć, mógł co najwyżej zajrzeć do pierwszej lepszej gazety, gdzie wielkimi literami z zachwytem pisano, jak „nabiera wciąż nowych rumieńców gospodarski trud kołchoźników naszego wielkiego kraju”, jak przekroczone plany skupu ziarna, mięsa i mleka, jak „w atmosferze wysokiego entuzjazmu politycznego i produkcyjnego, pod przewodnictwem ukochanej partii, każdy kołchoźnik walczy o wzrost dobrobytu narodu”.

Wówczas to wybuchła druga awantura. Moi panowie poszli do sekretarza *rajkoma*, żądając przeniesienia ich do sowchozu, względnie wprost do rejonu. Mogliby pracować jako bezpośrednio zależna od rejonowej rady ciesielska brygada. Krok ich wywołał konsternację. Wtedy to właśnie na podstępne pytanie Fiedorowny nieostroźnie odpowiedziałam, że racja jest po stronie chłopów, że mają zawsze prawo starać się o lepszą pracę. W jakiej formie te moje słowa zostały przekazane, tego nie

wiem. W ogóle nie wiedziałam, że coś mi zagrażało. Dopiero w parę miesięcy potem Swirin, z okazji jakiejś wódki, opowiedział mi, że chciano mnie natychmiast aresztować pod zarzutem antysowieckiej agitacji. Donos napisała Fiedorowna. Podobno dość długo kłócono się, co ze mną zrobić. Wreszcie komendant miejscowego MWD wytłumaczył, że areszt i obóz niewiele zmienia w moim życiu, bo obecnie po śmierci Stalina reżim zelżał. Kołchoz zaś wyraźnie straci. Nie ma w kołchozie nikogo, kto mógłby pracować w kantorze, trzeba by nająć kogoś z zewnątrz, a kto zechce? Sprawę więc umorzono, umorzono też sprawy kolegów, nakazując im tylko, by nie występowali więcej z podobnymi skargami. „Cały kraj wysyła najlepszych ludzi na ugory, a wy tu pracować nie chcecie”.

Człowiek żył w tym kraju tyle lat, a jeszcze ciągle mógł zrobić głupstwo, coś lapnąć, czego mówić nie należało, wydać sąd niezgodny z obowiązującym, coś skrytykować, czego krytykować nie wolno. Krytyka jest bowiem zaplanowana, wyznaczony jest też ten, kto ją ma wyrazić. Zanim zdjęto z pracy naszego pierwszego przewodniczącego, ukazał się w miejscowej gazecie króciutki artykuł na temat Budionowki z paru krytycznymi uwagami. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że dni T. są policzone. Gdy przyszedł Swirin, nic się nie zmieniło, ten sam kołchoźny burdel, ale artykuł w tej samej gazecie wychwalał nasze osiągnięcia. Nikt nie reagował na owe opinie, na ich konkretną treść. To były tylko sygnały w kwestiach polityki personalnej.



Zima jest długa, zima jest ciężka. Jedna rzecz była tylko wspaniała: śnieg, czystutki, obfity. Kiedyś zasypał naszą chatę powyżej okienek. Budzimy się z babuszką, a tu ciemno i ciemno. Powinien być już dzień, prymitywny wahadłowy zegar pokazuje dziewiątą godzinę. Zwariował? Ubrałam się, chcę wyjść na dwór, lecz drzwi nie można otworzyć. Zasypane. Trzeba było wyłazić przez dach składzika. Miał on klapę, również co prawda mocno przysypaną śniegiem, ale wspólnymi siłami udało się ją wreszcie odrzucić i wydostać na zewnątrz. Słońce świeciło wspaniale, iskrzyły się wielkie zasy świeżo namiecionego śniegu. Całą godzinę ciężko pracowałam, zanim zdołałam przekopać korytarz schodzący w dół, ku drzwiom chaty. Zrobiłyśmy potem z babuszką stopnie ze śniegu, polałyśmy je wodą, żeby lepiej zamarzły i trzymały, i posypaliśmy suchym

nawozem, od którego stały się chropowate, mniej śliskie. Zabawnie się wychodziło z chaty po tych stopieńkach w górę, na zaspę równą z dachem, po której można było iść spokojnie nie zapadając się.

Śnieg przykrywa brud, śmieci, śnieg można też stopić i mieć dobrą wodę do picia. Z wodą był stale kłopot. W całej wsi były tylko trzy studnie. Jedna daleko około kilometra od nas na bazie, druga w domu dziecka, zamknięta, dla nas niedostępna, trzecia jakieś 600 metrów od chaty na majdanie. Dla bydła wodę brałyśmy z małego stawku, tuż obok, dwadzieścia kroków. Używałyśmy jej także do mycia się, na tyle była czysta. Do picia nie nadawała się jednak. Trzeba więc było odbywać ten codzienny spacer z koromysłami. Żadnych beczek, cystern itp. w kołchozie nie uświadczyłeś. Jak gdyby wody miał każdy pod dostatkiem. Nikomu nie przyszło na myśl zorganizowanie jej dostawy do chat. Wszyscy więc chodzili z koromysłami, myśląc zapewne, że taka jest zwykła kolej rzeczy i że jakakolwiek zmiana jest po prostu niemożliwa. Mam kłopoty z kręgosłupem zapewne od czasu noszenia 60-kilogramowych worków jeszcze w odległym P. Kiedy więc dziadek był zajęty i na mnie spadał obowiązek przynoszenia wody, kłęłam na czym świat stoi. W jedną stronę biegłam szybko, nabieranie wody kołowrotem też nie stanowiło specjalnych trudności. Studnia była szalenie głęboka, artezyjska. Czasami prawie wysychała, zabierało to więcej czasu, trzeba było kilka razy spuszczać wiadra, by wreszcie je napełnić. Droga powrotna wlokła się niesamowicie. Co parę kroków musiałam stawiać wiadra na ziemi, robić parę gimnastycznych ruchów, by przeszedł ból pleców. Śnieg rozwiązywał trudny problem wody aż do przyszłego lata.

Zima to bilans, mnóstwo buchalteryjnej roboty. Całymi dniami na staroświeckich liczydłach sumowałam kolumny cyfr. Puste to i nudne zajęcie, tyle tylko, że czarno na białym mogłam się przekonać, jak wyglądała rzeczywista produkcja kołchozu. Ile ekwilibrystyki uprawiał Leonid, aby rozjaśnić obraz i zbilansować wyniki. Miał pierwszorzędne w tych sprawach doświadczenie. Od rzeczywistości ciężko uciec. Ziarna nie przybędzie. Trzeba zatem część *aktirować*, tak aby w jednym ze sprawozdań zachować wysokie dane o produkcji, w drugim stan faktyczny braków, oczywiście nie z winy kołchozu, lecz niespodziewanych okoliczności. Cały ten grubymi nićmi szyty rachunek nie budził w nikim wątpliwości. Ogólne zebranie kołchozu z zadowoleniem przyjęło sprawozdanie i uchwaliło, że należy wyrazić podziękowanie i serdeczną wdzięczność organom

partyjnym i państwowym, zespołowi kierowniczemu kołchozu i sobie samym za osiągnięte wyniki produkcyjne, uzyskane dzięki zwartym szeregom włościan, zawsze wiernym leninowskiemu ideałom. Walne zebranie uchwaliło jeszcze, że należy umacniać solidarność z klasą robotniczą i nadal walczyć o interesy ludzi pracy. Po zebraniu do magazynu przywieźli mnóstwo wódki i cały kołchoz chodził przez trzy dni pijany.

My zaś urzędowaliśmy dalej. Wyglądało to zwykle tak: rano pisaliśmy sprawozdanie i nadawałam je natychmiast do rejonu. Załatwialiśmy kilka spraw bieżących, gawędząc przy tym z kołchoźnikami, którzy wygrzawszy się na ruskim piecu, ciągnęli do kantoru ot tak, *ot nieczewo delat*. Koło jedenastej zjawiał się Swirin. Witał się z ludźmi, po czym ja z grobowo poważną miną przeproszałam kołchoźników, muszą wyjść, przewodniczący przyjechał, będziemy teraz załatwiać najpilniejsze kwestie. Powoli i niechętnie opuszczali biuro. Zamykałam drzwi na haczyk i otwierałam kasę. Była to żelazna skrzynia zamknięta na zwykłą kłódkę, w której trzymałam książki kasowe, pieniądze (nigdy nie więcej niż dwadzieścia-trzydzieści rubli, a i to tyle nie bywało) i rzecz najważniejszą, pękata dwulitrową butlę lekarskiego czystego spirytusu. Wyciągałam butlę, stawiałam szklankę na stole, do połowy napełniałam ją diabelskim płynem, resztę wodą. Przewodniczący uderzał parę razy w szklankę palcem, bo się w ten sposób roztwór oziębia, wychylał ją jednym tchem, a już usłużny buchalter wyciągał z szuflady kawałek suszonej ryby dla zagryzki. Znów nalewałam pół szklanki spirytusu, pół wody, wychylał ją tym razem Leonid, również zagryzając rybą. Wreszcie łałam sobie taką samą ilość, sprawiedliwie. Łykałam ten trunek bez zmrúżenia oka, gryzłam kawałek ryby, po czym Leonid chował rybkę, ja butelkę, zamykałam kasę i otwierałam drzwi, zapraszając kołchoźników do środka. Spełnialiśmy ten rytuał w absolutnej ciszy, słowa były zbędne, cechowała nas rzeczowość i bezwzględna dyscyplina w wykonywaniu czynności o tak wielkim znaczeniu.



Największą przyjemnością były listy. Korespondowałam nie tylko z rodziną, co oczywiście było najważniejsze, lecz również z dawnymi kolegami, przyjaciółmi z AK, sądzonymi razem ze mną. Rozrzuceni po różnych zakątkach tego ogromnego kraju, teraz mogliśmy nareszcie nawiązać kontakty. Listy nasze zawierały zawsze coś w rodzaju szyfru, zdania, skróty, aluzje dosko-

nale zrozumiałe dla każdego z nas, mniej dla ewentualnej cenzury. Nie wszystkie były wesołe. Mogłam się z nich przekonać (a także z późniejszych opowiadań), że los obszedł się ze mną łaskawiej niż z innymi. Jakże smutna była historia Wisi. Wieziono ją na zsyłkę barką w dół Jeniseju aż pod Igarkę, do kraju słynnego tunguskiego meteorytu. Wspominała nie bez ironii, że według miejscowej famy w tych samych okolicach przebywał niegdyś Dzierżyński. Jemu udało się zbiec, widocznie nie był dość pilnie strzeżony. Wisi także nie strzeżono, ale o ucieczce nie było mowy, bez środków, bez punktów zaczepienia, wśród nie zawsze przyjaźnie nastrojonych obcych ludzi. Wysadzono ją na łód z zaleceniem, aby szukała sobie dachu nad głową i pracy. Okazało się jednak, że o jedno i drugie nader trudno. Tułała się więc z miejsca na miejsce, śpiąc czasem na ławce na rzecznej przystani, to znów w stołówce, w której przez parę tygodni zmywała naczynia. Nie miała się gdzie umyć, gdzie wyprać bielizny. Wreszcie wylądowała w sowchozie. Tam przy najmniej był barak, w którym stały prycze, łożnia, no i stołówka. Cała bieda polegała na tym, że za dobrze pracowała. Wyrabiała normę, co się innym nie podobało. Stosunki stały się nie do wytrzymania. Pewnego dnia machnęła na sowchoz ręką, wsiadła bez pozwolenia na ostatni już w tym sezonie odpływający statek, gdy bowiem Jenisej zamarzał, urywała się wszelka komunikacja poza samolotową, i uciekła do pobliskiego miasta. W mieście także nie mogła znaleźć pracy ani kąta. Wszystkie rachuby zawiodły. Nocowała u przygodnie poznanych ludzi, czasem wślizgiwała się do chaty samotnej kobiety i spędzała skulona noc pod piecem, starając się, by jej obecność nie została zauważona. Przez krótki czas pilnowała jakichś magazynów nad rzeką. Nie miała odpowiedniego ubrania i jednej nocy mało nie zamarzała na śmierć. Uratowała ją pracująca z nią na zmianę Tatarka. Znalazła wreszcie pracę w rodzinie rosyjskiej przy dzieciach. Dach nad głową, ciepła izba, co tak wiele znaczyło w tym klimacie. A to był chyba grudzień czy styczeń, pięćdziesięciostopniowe mrozy. Nastąpiły dni niemal radosne. Czuła przyjaźń, serdeczny kontakt z dziećmi, do których się wyraźnie przywiązała. Dzieci to zawsze była słaba strona — nas kobiet. I nagle wiadomość, że MWD kazało jej opuścić pracę. Mogła zdemoralizować porządnych sowieckich obywateli i młode sowieckie pokolenie. Zastraszono także chlebobodawców. Nie było rady. Na szczęście spotkała Polaka, który się nią zaopiekował i za którego potem wyszła za mąż.

Dzieje Wisi to dzieje typowe. Na podstawie administracyj-

nego nakazu wyrzuca się ludzi gdzieś w step czy tajgę i twórcie sobie życie, jak chcecie. W porównaniu do tych sowieckich Robinsonów moje kołchozowe bytowanie mogło być uznane za rajskie. Nie byłam głodna, miałam gdzie spać i to w dodatku na prawdziwym łóżku, pod prawdziwą kołdrą i na czystej pościeli. Wisia spała przez pewien czas u Tungusów na skórze rzuconej na klepisko, wśród dzieci i wszy. Krasnojarski kraj miał tylko jedną nad Budionówką przewagę: znaczną liczbę zesłańców Polaków. Tam się budowała Angarska tama, tam powstawała słynna BAM. W obozach *spec-Ozierłaga* wylądowało w 1948 roku wielu politycznych z najrozmaitszych stron i tam ich z reguły zostawiono po odbyciu wyroku.

W moich okolicach poza mało sympatycznym kowalem nie uświadczyłeś Polaka. Najbliższy, jak się potem okazało, mieszkał 200 kilometrów dalej. Co prawda dla Sybiraków 200 kilometrów to nic. Mówi się wprost, dwieście, niedaleko, dwa, trzy dni drogi. Zawsze się bowiem znajdzie jakaś okazja i ktoś kilkadziesiąt kilometrów podwiezie. Brał więc kołchoźnik przepustkę z powodu chrzcin lub wesela krewniaków i z węzełkiem na plecach wyruszał w drogę. Komunikacji autobusowej w naszych stronach nie było, kolej szła tylko w kierunku zachodnim i wschodnim, na północ i południe jedynym środkiem transportu pozostawała spotkana ciężarówka i nogi.

Dziwne uczucie ma więzień, gdy po raz pierwszy sam bez konwojentów wsiada do pociągu. Minęły dobre obozowe czasy. Nie trzeba się było martwić o bilet, miejscówkę, godziny odjazdu, o transport na dworzec. Zawieźli, załadowali, wysadzili gdzie trzeba, wygoda. Wezwano mnie do powiatowego miasta. Dostałam delegację z miejscowego MWD. Co za przeżycie! Już godzinę wcześniej byłam na stacji, choć kasę otwierano na pół godziny przed przybyciem pociągu. Liczba biletów jest zawsze ograniczona. Stacja, którą pociąg opuszcza, przekazuje następnej ilości wolnych siedzących miejsc. Stać w korytarzach nie wolno. Należy jechać z komfortem, „kulturalnie”, bez ścisku. Skutkiem tego rozporządzenia, tej dbałości o wygody podróży każda stacja jest miejscem koczowania wielu nieszczęśliwych ludzi, czekających na upragniony bilet. Rozkładają się na podłodze (na ławkach bowiem spać nie wolno, *niekulturalnie*) z całym swoim nędznym podróжным ekwipunkiem. Jedzą, piją, drzemią, a gdy pociąg się zbliża, tłoczą się przy kasie wśród rugań i złorzeczeń. I przy mojej kasie tłok był niesamowity, długa kolejka ludzi czekających już parę dni. Wystarczyło jednak, że pokazałam delegację ze stemplem MWD, a wydano

mi bilet natychmiast, mimo wściekłych protestów pozostałych pasażerów. Ma się przywileje, gdy się jest zależnym od tej miłej instytucji. Droga do miasta była krótka, dwie godziny. Siedziałam wygodnie w przestronnym wagonie i nagle dostrzegłam tabliczkę z wrytym napisem: Polska, Pafawag.

Radość? O nie! Duma? Też nie. Dziwne ogarnęło mnie uczucie. To był znak z innego świata, znak jego istnienia, a jednocześnie znak budzący niepokój, więcej nawet, podejrzanie. On świadczył, że gdzieś daleko, poza tym naszym bytowaniem, są ludzie, którzy zawierają umowy, a więc się z sobą kontaktują, układają, podpisują protokoły, szukają korzyści we wzajemnych przetargach, ludzie zapewne na wysokich państwowych stanowiskach, po tej i po tamtej stronie. Braterskie stosunki, o których piszą gazety. I cóż? Czy zastanawiają się chociaż przez chwilę, z kim handlują? Czy myślą o nas, o tych setkach tysięcy, które tu tkwią, daremnie marząc o powrocie? Może im nawet wygodniej, że się nas wszystkich pozbyli? Ten wagon odstaniał coś z tej rzeczywistości nieznannej nam, dalekiej, a tak bardzo upragnionej, coś, co miało dziwny posmak drwiny. Polski wagon na szerokich torach. Jak tam jest naprawdę, co myślą ludzie? Może się cała Polska przesiadła już na szerokie tory? Tylko my tutaj wciąż żywimy złudzenia.

Tyle lat w izolacji, tyle lat pozbawieni rzetelnych wiadomości! Co my, dawne zeki, zesłańcy możemy wiedzieć o tym, co dzieje się na świecie, a także u nas w kraju? Myślimy wciąż kategoriami przedwojennej Polski. Może nie odgrywają one już żadnej roli? Może się ludzie zmienili? Może przesiąkli tak jak ci co dokoła mnie duchem propagandy? Przyjaźń. Dla nas to słowo puste, liczman. To jest jednak nasz punkt widzenia. Tak na słowa patrzyliśmy w obozie. Teraz, na tej rzekomej wolności mogę się przekonać, że myliłam się i to głęboko. One nie są puste, one bowiem nadają sens najbardziej absurdalnej rzeczywistości. One dokonują w niej metamorfozy, formują nowy jej kształt, jakby miały magiczną moc. Nazwać, to uchwycić, to zobaczyć coś, czego się wpierw nie dostrzegało. Nazwać, to zapanować, podporządkować sobie. Słowa mają tę moc przemiany, dzięki której absurd zmienia się w ideał, klęska w sukces i zwycięstwo, zbrodnia w cnotę. Wiemy przecież o tym, znamy to z życia codziennego, szarego dnia sowieckiego obywatela i z wielkich wydarzeń. To słowo czyni z kołchozowego marnotrawstwa planowany ubytek, z wyduszonego pół litra mleka znaczny przyrost udoju, z etapów gułagowskich więźniów — pociągi ochotników spieszących na apel ojczyzny, ze zbudowa-

nego śmiertelnym wysiłkiem zeków miasta — dzieło komsoleców. Słowo zmienia także zniewolenie na przyjaźń, eksploatację na korzystny handel, brutalny kolonializm na dobrodziejstwo rynków wschodnich. Słowo. Jest ono jak bicz, jak pętla zaciskana coraz silniej na szyi.

Jeździłam kilkakrotnie do powiatowego miasta, zawsze trafiałam na wagon Pafawagu, zawsze ścisnęło się serce. Nie lubiłam tych podróży. Nie przynosiły one nigdy niczego, z czego mogłabym się cieszyć. Samo miasto robiło na mnie przygnębiające wrażenie. Kilometrowe kolejki po chleb i po mąkę, wystające nocami i dniami. Ubogie sklepy, gdzie kłębowski ludzkie wyrwało sobie z rąk przywieziony towar. Nieźle zaopatrzone były tylko sklepy radiotechniczne i z jedwabiami. Jedwab ten z jakąś syntetyczną nitką zalegał wszystkie półki. Nikt go nie kupował. Był drogi, brzydki, bardzo jaskrawy. Latem lepiał się do skóry, w zimie robił się szklisty i pękał. Nasza sklepikarka Maruśka uszyła sobie z niego sukienkę i klęła na czym świat stoi. Raz udało mi się kupić płaszcz, coś w rodzaju naszego prochowca. Nosiłam go z dumą, uważając za niezmiernie elegancki. Ludzie dokoła ubierali się więcej niż skromnie. Watówki, trochę starych płaszczy, czasem jakieś futerko, widocznie dama pochodziła z wyższych partyjnych sfer.

Zatrzymywałam się zwykle u córki moich gospodarzy. Miła to była kobieta i miły dom. Jej mąż pracował jako maszynista na kolei, dwie małe dziewczynki, urocze, chodziły do przedszkola. Zajmowali w nowym bloku dwupokojowe mieszkanie, z meblami na wysoki połysk, z łazienką zamienioną na sład, gdzie wannę aż po brzegi wypełniały kartofle. Iwan zarabiał nieźle. Pomocą jednak byli rodzice. Babuszka stale posyłała im mąkę, masło a także mięso, gdy zabijano świniaka. Rządziej więc niż inni wystawali w tasemcowych kolejkach. Opowiadali mi o nich sceny nie do uwierzenia. Podobno raz uduszono kobietę, która zostawiła troje dzieci. Byłam wtedy właśnie w mieście, o niczym innym nikt nie mówił. Podczas jednego z moich pobytów chciałam pomóc Żeni, zmieniałam ją więc w ogonku po chleb. Trzeba trafu, że właśnie chleb przywieziono. Ludzie nie wytrzymali, zaczęli się pechać, nie mogłam ustać na nogach, bałam się, że upadnę i że mnie zdepczą. Na szczęście zjawił się Iwan i wybawił mnie z opresji. Mój Boże, przez całą okupację stało się nieraz godzinami po chleb, nigdy jednak czegoś podobnego nie widziałam.

Pytałam Iwana, dlaczego nie rzuca miasta, nie przeniosą się na wieś. Bądź co bądź w kołchozie jest przynajmniej chleb.

Nie było to możliwe. Nie zwolniono by Iwana z pracy. Kolej to jakby wojsko. Wstąpiłeś, przeszedłeś przez wszystkie polityczne kontrole, nie zwolnią cię nigdy, chyba że dokonasz przestępstwa. Jedyna droga odwrotu prowadzi przez tiumę — śmiałałam się. Ano tak — przyznawał dobrodusznie.

Serdeczni ludzie. Razem ze mną przeżywali moje niepowodzenia. Każde bowiem wezwanie do powiatu miało określony przykry cel. Podczas pierwszej wizyty odmówiono mi paszportu do Polski, podczas drugiej zakomunikowano odmowę na odwołanie. Wreszcie powiadomiono mnie uprzejmie, abym nie pisała skarg do Najwyższego Sowietu, gdyż nie będą rozpatrywane. Władza zdecydowała, że mam do końca moich dni pozostać w kołchozie, wszelkie starania o wyjazd są bezcelowe, moje podania nie wyjdą nigdy poza granice powiatu. Nie dopuszczą też listów adresowanych do polskiej ambasady. Jeżeli nawet ambasada taki list otrzyma, nic nie zrobi w mojej sprawie, jest uprzedzona. I rzeczywiście. Na przesłany przez okazję list do ambasady nigdy nie otrzymałam odpowiedzi.

Zegnałam Żenię i Iwana, szłam na wielką węzłową stację, dostałam bilet mimo krzyków tłumu pasażerów, by wreszcie usiąść w wagonie z napisem Pafawag. Z ilu stacji ilu zesańców Polaków jechało nim do swojej Budionowki?



Lenistwo moje nie ma granic. Mogłabym sprawdzić w starych rocznikach *Prawdy*, kiedy odbywały się wybory do Najwyższego Sowietu ZSSR. Nie mam ochoty, nie chce mi się zaglądać do tej płachty. Zbyt blisko żyłam z nią na co dzień. „Czyściutka gazetka”, jak mówiła babuszka, służyła jako obrus na stole, papier do pakowania, przykrycie świeżo wymytej podłogi, jako papier klozetowy no i na *bankrutkę*. Niech więc się w niej inni grzebią, ustalają daty. Mnie wystarczą fakty. Jeden z nich był szczególnie ważny, kołchoz bowiem, a raczej cały nasz rejon dostąpił niebywałego zaszczytu. W naszym okręgu kandydatem naznaczony został sam Malenkov. Jego kandydaturę przywitani kołchoźnicy na plenarnym zebraniu *burnymi aplodismentami*. Entuzjazm nie z tej ziemi. Drugim kandydatem był sekretarz republiki.

Nie brałam udziału w wyborach, na szczęście na pięć lat odebrano mi prawa obywatelskie. Mogłam jednak spektaklowi przypatrywać się do woli. Nasza stara drewniana cerkiew, za-

mieniona na klub i kantor, już od tygodnia nabierała odświętnego wyglądu. Czerwień biła w oczy, transparenty, sztandary ciągnęły się dokoła, radując serca. W środku na miejscu carskich wrót zawieszono portrety wodzów, przybrane girlandami sztucznych kwiatów. Stół, przy którym siedziała wysoka komisja, składająca się ze Swirina, dyrektorki domu dziecka, nauczycielki i Siergieja, obity został czerwonym suknem. Skąd się to sukno znalazło, skoro sklepy były puste? To tajemnica państwowa. Urna też była czerwona. Całe szczęście, że od bazy dzielił nas cały kilometr, zabłąkany byk mógł dostać szał. Wybory odbywały się w niedzielę. Początek o szóstej rano. Dziadkowie wstali skoro świt i jak do komunii bez jedzenia, bez szklanki herbaty, odświętnie ubrani spieszyli oddać głos. Kto pierwszy przyjdzie, może dostać nagrodę, wyróżnienie, pochwałę — objaśniała babuszka. I po co to babuszce? — pytałam. Jak to po co? — oburzyła się. — Tak trzeba, tak przyjęto.

Zwlokłam się koło siódmej, zjadłam i spacerkiem udałam się do kantoru. Słysząc było z daleka muzykę. Radio nadało czastuszki, ludowe pieśni i komunikaty: muzyka z Moskwy, komunikaty z całej Rosji i oddzielne z miejscowego radiowęzła w rejonie. Podawano liczby, które mimo ранней pory już wskazywały na 99,9% uczestnictwa w wyborach. Podawano miejscowości, które ukończyły głosowanie. W całym Związku odbywał się wielki konkurs gorliwości. Sportowe zawody. Kto pierwszy, kto będzie miał całe sto procent, temu chwała, temu uznanie, temu wdzięczność ojczyzny.

Tymczasem w kantorze stroskane twarze, niespokojne szepoty po kątach. Coś się musiało stać. Tak, rzeczywiście, stało się, dramat, tragedia. Wszyscy już oddali głosy, Budionowka miała szansę być pierwszą w rejonie, ba, nie tylko w rejonie, może nawet w powiecie, a także republice, i całą rzecz zepsuł Matwiejewicz. Ten stary dziad, mający więcej już jak sto lat, uparł się i głosować nie chce. Jeżdżono do niego z urną, nie wpuścił do domu. Wołano, krzyczano, chichotał, rugał, kazał iść precz. Szły do niego delegacje kołchoźników — przyjaciół. Leżał na piecu, podśpiewywał sobie i śmiał się.

A co mi zrobią, mam sto lat, do tury nie wezmą, niech się wypchają, niech ich sukinsynów głowa boli.

Zdetonowani elektorzy, trochę zawstydzeni, nie wiem tylko, czy uporem starca, czy własną postawą, powtarzali po cichu te heretyckie wypowiedzi. Swirin siedział przy telefonie, poro-

zumiewał się z rejonem, rejon z powiatem. Nie było jeszcze decyzji, co ze starcem robić. Napięcie straszne. Muzyka gra, a wesołego nastroju nie ma. Taka hańba dla kołchozu. Znalazł się jeden nieprawowierny. Wstyd.

Wreszcie przyszła decyzja. Skreślić starego z listy, jako zdiecinniałego sklerotyka. Jakiż gwar powstał, gdy Swirin jednym pociągnięciem pióra przekreślał nazwisko. Radość, jest 100%. Głosowanie skończone, co prawda Budionowka nie jest pierwsza, ale procent ma doskonały. Można już było urnę zabrać do przeliczenia głosów, szybko napisać protokół, przetelefonować do rejonu i niech się teraz naród bawi. Tańce do upadłego. Wódki nie ma gdzie kupić. Już od tygodnia nie sprzedawali. Chytrzejsi jednak, bardziej doświadczeni mają zapasik. Poczęstunek wprost przed klubem, pod transparentami. Klub aż huczy. Młodzież hasa, starsi piją. Narodowe święto.

Dla porządku i dla niewtajemniczonych podaję kilka podstawowych informacji. W naszym okręgu wyborczym było dwóch kandydatów na dwa mandatowe miejsca. Na każdej kartce wyborczej — dwa nazwiska. Parawan stał w kącie, można było, gdyby kto chciał, schować się tam na chwilę. Komisja odnotowywałaby ten fakt natychmiast jako nieśtychany. Sprzeciwił się on dobrym obyczajom. Dobry wyborca podpisuje się na liście obecności. Bierze kartkę wraz z kopertą, powolutku, by wszyscy widzieli, wkłada kartkę do koperty, bez skreślenia, bez okazania najmniejszej nawet wątpliwości, potem rzuca ją do urny dostojnie, spokojnie, ceremonialnie. Odchodzi przy oklaskach. Głosowanie to wielki obywatelski obowiązek.

Niech nikt nie myśli, że gdyby nagle zabrakło milicji, wojska, to ci idący do urn ludzi zbuntowaliby się, zbojkotowali wybory, wypowiedzieli władzy posłuszeństwo. Nic podobnego. Sądz taki wypływa z naszych europejskich doświadczeń. Patrząc na zniewolenie sądzimy, że jego źródłem musi być policyjny terror. Upokorzony lud i represyjne władze. Oto model, jaki próbuje się nałożyć na rzeczywistość Związku Sowieckiego. Tymczasem ten tłum dokoła świadczy o czymś innym. Terror tkwi w samym narodzie, w tym Swirinie i w tym Siergiejcu, i w Fiedorownie, i w setkach, tysiącach, milionach ludzi, chcąc dla siebie osiągnąć korzyści, a wiedzą aż nadto dobrze, że otrzymać je może jedynie ktoś, kto zgadza się z władzą. Zresztą władza dała im szansę. Kim byłby Swirin, gdyby nie ona? Może zwykłym milicjantem albo parobkiem u kozaka. Teraz jeździ samochodem, a z ukradzionego budulca brygada zesłańców

buduje mu nowy dom. Kim byłby Siergiej? Chłopem w głębi Rosji. Tu jest zastępcą sekretarza POP. Co prawda bieda go ciśnie w dalszym ciągu, może byłby nawet bogatszy, gdyby nie było rewolucji, ale teraz ma znaczenie, ludzie zdejmują przed nim czapki, na wszelki wypadek, bo a nuż nastąpi mu się na odcisk i niezadowolony doniesie. Siergiej jest ważny i ważna jest Fiedorowna, choćby dlatego, że może naskarzyć i że jej, a nie innym uwierzą. Ci ludzie mają posmak władzy, kruchej, małej, ale małym i taka daje satysfakcję. I to oni pilnują, aby nikt się nie ośmielił z dobrze już urobionej całości wychylić choćby na krok. Ruski ideał wspólnoty pierwotnej znalazł w sowieckim systemie swoje idealne wcielenie. Każdy odruch indywidualności został w niej stłumiony, ba, wykorzeniony. Nie dlatego, aby ktoś jeszcze wierzył w świetlaną przyszłość. O tej przyszłości mówi się na każdym kroku, to prawda, lecz mówić i wierzyć, to dwie różne rzeczy. Nie chodzi o wiarę, chodzi o prostsze sprawy, o te małe przywileje, a jeszcze o spokój własnego sumienia, o to, aby się czuć uprawnionym do używania, rządzenia i łamszenia tych, co stoją na przeszkodzie. Nikt zresztą od dawna oporu nie stawia, chyba jakiś obcy, głupi, nieświadomy, który zamiast się włączyć we wspólne tryby i coś przy tej okazji skubnąć, próbuje oponować, naprawiać. Niech ponosi karę. Ten, kto żyje w trzęsawisku, nienawidzi i boi się tych, którzy próbują poruszyć stęchłą wodę. Grunt bowiem jeszcze głębiej zapada się pod stopami. Wspólnota nie lubi zbawców ani moralistów. Patrzy niechętnym okiem na chodzących własnymi drogami, na usposobionych krytycznie lub mających jakieś tam szczytne ideały. Jej alergica na inność jest przerażająca. Mamy być wszyscy tacy sami, tak samo kraść, tak samo rugać się, tak samo wzniosłe mówić o wspaniałości Sowietkiej Ojczyzny, tak samo chodzić w sobotę do łaźni, pić wodę i klaskać, gdy sekretarz wygłasza przemówienie. To przemówienie musi być też skomponowane według reguł, tak jak *położono*. Koniec kropka, dyskusji nie ma.

W obozie byli pilnowani i pilnujący. Tu wszyscy się pilnują wzajemnie, w sposób doskonały. Najgorliwszymi stróżami są najmniej zdolni, najbardziej bezwzględni, ci bez skrupułów, których każde społeczeństwo zepchnęłoby gdzieś na margines. W tym kraju są cenieni najwyżej. Sowietkość to szansa dla każdej miernoty i miernota tej swojej szansy broni i depcze każdego, kto jej zagraża. To jej panowanie, to jej królestwo. Na zdolniejszych, uczciwszych patrzy z podejrzliwością. Nie ustanie też w swych podejrzaniach, dopóki lepszych dokład-

nie sobie nie podporządkuje, dopóki nie nauczy ich mówić tak jak trzeba, tym samym językiem, *kak położeno*.

Czystym okazem sowieckości jest dla mnie Walentyna. Przyjechała na jesieni, pełni funkcję zootechnika. Skończyła Akademię Rolniczą gdzieś w Omsku, Tomsku czy Krasnojarsku. Inteligentka, dwadzieścia sześć lat. Ładna, dość nawet elegancka jak na nasze sybirskie stosunki. Lubi konie, dobrze powozi. Mieszkanie dano jej w rejonie, posyła się więc po nią codziennie konia, chyba że przyjeżdża razem ze Swirinem. Ten ostatni wyraźnie otacza ją względami, na co odpowiada śmiechem nie pozbawionym jednak kokieterii, choć różnica wieku wynosi ze dwadzieścia lat i Wala wie dobrze, że Swirin jest żonaty. Jest to jedyna osoba w kołchozie, która na nas zesłańców spogląda z wyższością niepozbawioną pogardy. Kołchoźnicy bali się nas trochę na początku, nie wiedzieli, czy nie jesteśmy złodziejami. Teraz, gdy się przekonali, że nie mają do czynienia z kryminalistami, są raczej życzliwi. Wiem dobrze, że tacy ludzie jak Nietrebowie czy Malginowie lubią mnie po swojemu. Lubi mnie babuszka i dziadek, i ich krewniacy, a także Leonid czy nawet Swirin. Czujni są ciągle tylko gorliwcy. Nie mam wielkich złudzeń. Ta sympatia nawet w stosunku do kolegów jest powierzchowna, wystarczy, że się komuś z nich noga powinie i kołchoz odwróci się natychmiast plecami. Ale na co dzień stosunki układają się zupełnie poprawnie, zwłaszcza od czasu, jak się chłopcy poženili. Walentyna okazuje niechęć na każdym kroku. Wobec mnie jest grzeczna, zimna, unika wszelkich rozmów, nawet sprawozdania z bazy stara się przekazać Leonidowi a nie mnie, choć doskonale się orientuje, że to ja robię zbiorcze wykazy i przekazuję je do rejonu. Przed wyborami razem z kierowniczką czerwonego kącika dekorowała klub. Była autentycznie przejęta. Komsomołka. O kołchozie mówiła językiem wzniosłym, pełnym entuzjazmu, nasyconym politgramotą.

Lubiłam ją nieco podrażnić. Okazje ku temu nadarzały się dość często. Wyglądało to mniej więcej tak. Walentyna przynosi właśnie dane z rannego udoju oraz zużycia dobowego paszy. Przeglądam je i rzeczowo spokojnie mówię, zwracając się do Leonida:

— Widzę, że już w tym roku przejdziemy całkowicie na nowoczesny system karmienia bydła.

Leonid patrzy na mnie zdumiony.

— No tak — ciągnę dalej — podstawą będzie żytnia słoma, pokarm wysoce białkowy, kaloryczny.

Leonid z trudem hamuje śmiech. Rzuca okiem na Walentynę, która robi się purpurowa.

— Tak, tak — potwierdza. — No cóż, trzeba będzie trochę zmniejszyć stado.

Dla Wali te słowa są jak uderzenie gromu. Ona wie, że kołchoz jest wielki, ona się nauczyła, że na tyle a tyle hektarów powinno być tyle a tyle dojnych krów, a tu mowa o zmniejszeniu stada.

— A czy nie myśli pan — ciągnę dalej — że dobrze by było co najmniej połowę krów oddać na mięso? Co prawda mięso będzie marne, ale skóra jest coś warta. Można by zostawić tylko młode, lepiej je karmić, a na przyszły rok odremontować za uzyskane ze skóry pieniądze artezyjskie studnie w stepie, wywieźć bydło na całe lato, dojarki dowozić. W ten sposób za dwa — trzy lata zwiększymy produkcję, damy krajowi więcej mleka.

To, co mówię jest oczywiście racjonalne, ale brzmi w uszach Wali jak herezja. To powrót do przedrewolucyjnych sposobów gospodarki, to szukanie wzorów u kułaków, już od dawna studnie artezyjskie nabrały symbolicznego sensu. Przymywanie o nich jest wielkim *faux pas*. To niemal to samo, co powiedzieć, że dawniej bywało lepiej. Walentyna jest zabawna, nie patrzy na mnie, przygryza wargi i rzuca jakby od niechcienia:

— Jak brygada cieśli skończy budowę obory, zwiększymy поголовіe bydła dwukrotnie.

Leonid uśmiecha się: — Niemożliwe, paszy brak, pieniędzy brak, może za lat parę. Coś jeszcze? — zwraca się do mnie.

— Tak, zapomniałam, że trzeba podpisać ten ostatni akt — i podsuwam go. Akt ten głosi: My niżej podpisani zootechnik kołchozu Walentyna taka to a taka, buchalter Leonid taki a taki i rachmistrz Wiktoria taka a taka sporządziliśmy mniejszy akt o tym, że dnia 6 września stado wilków napadło na pasące się krowy. Jedną z nich zarżnęły, drugą poraniły, wobec czego trzeba ją było dobić, co stwierdzamy własnoręcznymi podpisami. Wala jest zielona. To prawda, wilki są. Parę dni temu jeden ogromny zbliżył się do chaty dziadków. Nasza suka Palma zaczęła wyc, bała się wychylić z drzwi sieni. Narobiłam hałasu. Dobrze, że był dziadek, chwycił drąg, ja widły i z krzykiem natarliśmy na wilka. Stał o jakieś pięćdziesiąt metrów, przyglądał się nam ze spokojem, wspaniała sztuka. Dopiero kiedy już byliśmy niemal koło niego, odwrócił się i poszedł w step. Szliśmy za nim koło kilometra, aż nam zniknął z oczu.

Przygoda ta podsunęła mi myśl, ażeby w akcie napisać o wilkach. Krowa po prostu padła z wycieńczenia, nie pierwsza zresztą. Ta druga ledwo już się trzymała na nogach i Swirin kazał ją dorżnąć. Wala wie, że to mój pomysł, wie też dobrze, że stratę jakoś wytłumaczyć musi. W innym wypadku odpowiadać będą razem ona i pastuch i kierownik bazy. Boi się więc, podpisuje i trzasnąwszy drzwiami wychodzi z kantoru.

— Uważaj, ona na ciebie zrobi donos — ostrzega Leonid — burzysz jej idealny świat.

— Ja tylko próbuję zrationalizować kołchozową gospodarkę.

— Edwardowna — perswaduje Leonid — ty wiesz dobrze, gdzie siedzą racjonalizatorzy.

Takich uszczypliwych rozmów było wiele. Walentyna doskonale zdawała sobie sprawę, że z niej kpię, nie tylko z niej, z czegoś więcej jeszcze. Czy *stukala*? Prawdopodobnie tak. Dlaczego nikt nie reagował na jej donosy? Mogę snuć różne przypuszczenia. Kto wie, czy nie była jeszcze zbyt uczciwa, może powtarzała wszystkie te bzdurne slogany, którymi okraszałam każdą wypowiedź, o tych wzrostach produkcji, o trosce państwa o kołchoźne gospodarstwa, o tej konieczności szanowania robotniczo-chłopskiego wysiłku. Ja też się nauczyłam gadać. A to *rajkomitetowi* wystarczyło. Mówię, jak trzeba, *kak położeno*. Czegóż więc Wala chce więcej?

Widziałam kiedyś w rejonie kolorowy afisz, roześmiana dziewczyna na tle gospodarskich zabudowań, wielki napis pod spodem: na zew ojczyzny jedziemy podnosić ugory. Walentyna to dziewczę z afisza, te same jaskrawe barwy, ten sam wyraz radosnej twarzy i ta sama płaskość plakatu, bez głębi. Oczywiście widzą tylko to, co widzieć chcą. Reszta zostaje wymazana. Biegnie w koleinie pełna zadowolenia, nauczona, że nie wolno patrzeć ani w bok, ani pod nogi. Przecież nie jest aż tak ślepa, żeby nie widzieć, co się w kołchozie dzieje, wystarczy obora, którą się na co dzień zajmuje, wystarczy ten akt i inne, które podpisywać musi i podpisuje, bo inaczej na jej głowę spadłoby to gigantyczne niechlujstwo i marnotrawstwo. I w tym fałszu pływa jak ryba. Niech spróbuje iść do rajkomu, niech spróbuje powiedzieć trochę prawdy o kołchozowym życiu. Wie dobrze, że spotka się tylko ze złością sekretarza, że postarają się ją z Budionowki wyrzucić, przenieść gdzie indziej razem z tą cichą opinią w zalakowanej kopercie: rozrabiaka. Rejon woli mieć w kołchozie „wroga narodu” takiego jak ja i moi towarzysze. Ci znają bowiem reguły gry, wychylać się nie będą, a

jak raz spróbują, to się im trochę przytnie palce. Z Wałą gorzej, może pójść wyżej, narobić prawdziwego kłopotu. Jej nie popuszczą i ona o tym wie. Partia się nie myli, partia ma zawsze rację. Więc trzeba z nią iść w szeregu, równać krok, podnosić głowę do góry i wołać lewa, lewa, jak Majakowski. Ci ludzie oczy wydrapią każdemu, kto by chciał zdemaskować ich fałsz.



Patrzę z przyjemnością na dziadka, ma już więcej niż siedemdziesiąt lat. Wysoki, szczupły, żylasty, leciutko pochylony. Włosy ma długie, białe, zaczesane aż na kark. Czysty jest nadzwyczajnie. Rano po pracy babuszka nalewa mu wielką miednicę gorącej wody. Myje się do pasa, potem ściąga buty i moczy zmęczone nocnym chodzeniem stopy. Mówi mało, dostojnie, ze staroświeckim akcentem, typowym dla wielkoruskich chłopów. Wchodząc do chaty żegna się wpierw przed wiszącą w kącie ikoną, pobożnie trzy razy, potem dopiero mówi dzień dobry. Zna się doskonale na pogodzie. Wystarczy, że się rozejrzy wkoło, popatrzy na kury, gęsi spokojnie dziobające ziarno przed chatą, na czyste bez obłoków niebo, na kolor zbliżającego się ku zachodowi słońca, a już wie, czy trzeba przykryć ogórki, czy w nocy będzie przymrozek, czy przeciwnie rano będzie ciepły. Pytam go, skąd to wszystko wie. Wszystko jest ważne, odpowiada, i to jak ptak leci, i jak kura przy kurczętach chodzi, i jak trawa prostuje swe źdźbła, czy je zwija. Dziadek widzi dokoła znaki, cała przyroda otwiera przed nim swoje tajemnice. Podziwiam go, nigdy się nie myli. Pytam go także jak to bywało niegdyś, przed rewolucją. Opowiada niechętnie. Czasem tylko rzuca parę oderwanych zdań, z których z trudem udaje mi się sklecić całość. Wiem, że był ranny już na początku wojny w 1914 roku, gdzieś na Mazurach. Ma nogi w głębokich bliznach, które do dzisiejszego dnia bolą, gdy tylko zmarznie. W rewolucji nie brał udziału. Dwie rzeczy wspomina: sady z czułością człowieka kochającego drzewa i „bolszewików” zabierających chleb. Dla niego bolszewik to nie ten sprawujący dziś władzę, lecz człowiek w czarnej kurtce przeszukujący sad, strychy, ambary, człowiek z wielkim rewolwerem za pasem, z którego z taką łatwością strzelał do ludzi. Tych bolszewików starzec serdecznie nienawidzi. Czasem wspomina głód, który się ciągnie w jego pamięci od rewolucji aż po wyjazd na Syberię, a więc niemal do drugiej wojny. O tej drugiej mówi też niechętnie. Jako inwalida wojenny został przydzielony do ja-

kiejś pomocniczej służby technicznej, która się ciągle spóźniała, ciągle trafiała pod ogień. *Jedna sumatocha* — mówi — *biezobrazije*. Na tym zwykle wspominki się kończyły. Pracował jeszcze w kołchozie, żeby mieć trochę trudodni, a więc ziarno, własny chleb. Dbał bardzo o swą małą działkę, starannie ją orząc pod kartofle, przeorując, spulchniając wyschłą ziemię, która widocznie czuła jego troskliwą rękę, bo dawała mu ziemniaki na schwał. Pomagałam mu orać, prowadząc konia za uzdę. Zawsze zaczynał każdą pracę szerokim gestem krzyża. Jego filozofia była nadzwyczaj prosta i piękna. Ziemia była dla niego święta. Kołchozowe wyczyny traktował ze smutkiem i odrazą jako śmiertelny grzech. Wychodził czasem ze mną na pola ciągnące się tuż za naszą chatą, patrzył na niekończące się łąny rzadziutkiej pszenicy, na wątle kłosa, na puste łąty, kiwał głową i szeptał: Edwardowna, to grzech, to wielki grzech. Bóg zesła karę. Gdy jednak był siew, przywiózł do domu tych kilka worków ukradzonej pszenicy. Także musiał żyć, musiał też pomagać córce. Przypuszczam, że kradzież kołchozowego dobra nie była w ogóle w jego oczach czymś nagannym. Przeciwnie, ratował dobro przed zepsuciem. Stróżował po żniwach na toku. Gdyśmy rano razem pili herbatę, on po pracy, ja przed pracą, nieraz szeptał: wszystko się spali, wszystko zgnije, smród od ziarna idzie. Dobrze, żeśmy trochę uratowali, wysuszyli na święty chlebuszek. Jakże tak ziarno marnować, grzech, wielki grzech.

Babuszka opowiadała więcej. Wpierw więc o strasznych wojennych czasach, gdy mężowie poszli na front, gdy zabrano im konie i woły z kołchozu, a ona, same baby i chłopaczki nawet dziesięcioletnie zaprzęgały się do pługów, aby tylko zasiał choć trochę pola. Zasiały niewielki kawałek, nie miały sił, ale z rejonu wciąż przyjeżdżali naczelnicy i krzyczeli, żeby siały więcej. — A tych naczelników do wojska nie wzięto? — pytałam. — „Skądże, naczelnik musi być — babuszka stwierdzała tę prawdę bez cienia ironii. — Jakże bez naczelników?

Po żniwach — kosili same — szły nocą na pole, żeby zebrać trochę kłosów dla siebie. Nie daj Boże, gdyby którąś z nich złapano. Sąd pokazowy, wyrok. Ale jeść trzeba, Żenia była mała, głodna. Wiem coś o tych sądach, bo w obozach siedziało wiele kobiet, których jedynym przewinieniem były owe zbierane ukradkiem na kołchozowym polu kłosa. Mogły się zmarnować, ale nie wolno było podnieść ani jednego dla siebie.

Babuszka miała dwoje dzieci, syna i córkę, i jednego przybranego chłopca. Została tylko Żenia, tamci dwaj zginęli na

wojnie. W skrzyni wśród babuszkinych skarbów, a więc płótna, przecieradeł, szali leżało małe drewniane pudełeczko, a w nim dwa zawiadomienia o bohaterskiej śmierci, i lekko zardzewiały medal za odwagę. Babuszka czasem to pudełeczko otwierała, czyściła medal, obwijała go w szmatkę i znów chowała. Czytać nie umiała, więc papierki dawała mnie, by jeszcze raz ich treści posłuchać. Niewiele tam było słów. Ja taki a taki, pułkownik takiego, a takiego pułku zawiadamiam was, że żołnierz... w bitwie pod... zginął śmiercią walecznych. Data, podpis, wszystko. Babuszka ociera łzy, wzdycha.

Opowiadała mi o urodzinach syna. Był jej pierwszym dzieckiem. Przyszedł w czasie żniw. Czuła już od rana, że nastąpi rozwiązanie. Wzięła więc w pole czyste płócienne ręczniki i wełnianą płachtę. Dziadek przysposobił saganek na wodę i poszli w pole. Gdy się zaczęły ostre bóle, położyła się na tej wełnianej płachcie w brudzie, dziadek zagrzał wody, popowinę przeciął sam opalonym w ognisku nożykiem, wymył dzieciaka, zawinął w ręcznik i dał matce, by nakarmiła. Babuszka poleżała ze dwie godzinki, aż wszystkie bóle i słabość minęły, nakarmione dziecko położyła ostrożnie na kopce żyta, w cieniu, aby słońce go nie przegrzało, i wróciła do roboty. Trochę ją krzyż bolał, ale nie to.

Zenię urodziła w ciężkim roku początków kolektywizacji. Głodno było, nie miała mleka, karmiła małą wywarami różnych ziół, cud, że się uchowała. Wtedy to postanowili rzucić centralną Rosję, wyemigrować tu do Budionowki. Zanim trochę się urządzili, odkarmili dzieci, wybuchła wojna.

I tak wkoło, Edwardowna — szepcze babuszka — i tak wkoło, trochę lepiej i znów głodno. Radości to nasze życie nie ma.

Babuszka była niewyczerpanym źródłem mojej wiedzy o życiu w tym potężnym kraju. Sądzę też, że najbardziej wiarygodnym. Ona i Malgina pozostały osobami z innego świata, gdzie nie dotarły slogany, gdzie panowała ludzka miłość i ludzka smutna prawda.

Babuszka — pytałam — dlaczego w kołchozie nie ma prawie zupełnie młodzieży? Rozumiem, że nie ma mężczyzn, że jest tyle wdów, była wojna. Ale w każdym domu jest pełno dzieci, co się urodziły parę lat temu, kilkunastoletnich nie uświadczysz. Parę dziewcząt, które przychodzą do mnie na lekcje, to wszystko.

Babuszka kiwa głową. Jej każde wyjaśnienie zaczyna się od tych słów:

— Edwardowna, ty nie nie rozumiesz. Na wojnę poszli mężczyźni, kto miał dzieci płodzić?

— A te — upierałam się — urodzone na dwa, trzy lata przed wojną i wcześniej trochę?

— Te wymarły, głód był. Kto z nich tam został.

— A dziś tyle tych wdów ma małe dzieci, skąd one?

— Jak baba zechce, to zawsze muzyka znajdzie — odpowiada sentencjonalnie babuszka.

Babuszka jest też głęboko wierząca. Modli się zawsze wieczorem, przestrzega świąt. Na prawosławne Zaduszki chodzi z koszykiem na miejscowy cmentarz, w koszyku kilka kołaczy, trochę słoniny, ogórki. Cmentarz jest smutny, pusty, mogiłki zaniedbane, przybrane gdzieniegdzie sztucznymi kwiatami. Krzyży nie ma. Nie wolno ich stawiać. Po śmierci Matwiejewicza, tego, co nie chciał głosować, żona postawiła mu krzyż. Zniknął następnej nocy. Znow go postawiła i wraz z synem, starym już dziadem, pilnowali przez kilka dni. I ten jednak zniknął. Poszła na skargę do Swirina. Swirin jednak ją ostrzegł, aby antysocjalistycznych znaków na cmentarzu nie ustawiała, bo to się może źle skończyć. Płakała, ale się ugięła. Babuszka tylko wzdycha i mówi: co to za cmentarz bez krzyża, bez popa, cóż robić, nie wolno?

Pytam się, gdzie jest najbliższa czynna cerkiew. Babuszka nie wie. Jeszcze przed wojną była jedna w powiatowym mieście i był batuszka. Ale podczas wojny batuszkę zabrano do obozu, cerkiew zamknięto i teraz są tam składy rolniczych narzędzi. Inne cerkwie dawno pozamykano. Jeszcze przed wojną. Tu obok w Połtawce była jedna wielka, bogata. Spalili ją „bolszewicy”.

Nasze rozmowy tylko niekiedy są ponure. Babuszka ma duże poczucie humoru, lubi się śmiać, lubi pożartować, opowiada mi też różne wesołe facecje. Gdy jednak sięga w swą przeszłość, ogarnia ją prawdziwie ruska *toska*.

— Jak to było przed wojną, przed tą pierwszą? — pytam.
— Jak wam się żyło? Kiedyście się pobrali?

Pobrali się tuż przed pierwszą wojną, babuszka wniosła spory posąg, wiele płótna. (Teraz rozumiem, że babuszkine skarby w skrzyni sięgają tych odległych czasów. Uchroniła je.) Dwie krowy, jedną z nich cielną. Dużego świniaka. Roboty miała wiele, gospodarstwo spore.

— Babuszka była bogata — stwierdzam — kułaczka.

Obraża się. Jaka tam kułaczka. Wie, że to niedobre słowo i nie chce, by się odnosiło do niej. Ot zwykła chłopka i tyle.

— A kiedy wam było lepiej, przed rewolucją czy po?

Babuszka ogląda się dokoła, chociaż w chacie nikogo nie ma, ot tak z przyzwyczajenia wielu lat. — Ty takich pytań Edwardowna nie stawiaj, *nie położono*. — A potem, jakby przechodząc do innego tematu, dodaje: — Mieliliśmy pięć krów i młode, teraz jedną — i znów wzdycha.

Smutno mi, oboje porzucają kołchoz, za ciężko już im tu pracować, są bardzo starzy. Będą mieszkać u córki. Chatę sprzedają kołchozowi, Palmę zabierają z sobą. Biedna Palma, będzie gdzieś na uwięzi. Dziadkowie także z trudem nawykną do miejskich obyczajów. Ich chatę przejmują nowi przesiedleńcy, Białorusini, pochodzą spod Oszmiany. Przybywa ich do kołchozu z dziesięć rodzin wraz z marnym dobytkiem. Przyjechali dobrowolnie, uciekają przed głodem, przed nędzą. Obiecano im raj na czarnoziemnych ugorach. Nowy gospodarz ma trójkę małych dzieci. Szukam więc nowego lokum. Na szczęście już mnie ludzie miejscowi znają i propozycji mam kilka. Przenoszę się do zesłanej w czasie wojny Niemki znad Wołgi. Pracuje jako sprzątaczką w szkole. Jesteśmy tylko z Annuszką we dwie, o parę kroków od artezyjskiej studni, blisko kantoru. Ma to dobre strony, ale żal mi wyjeżdżających dziadków. Piękni ludzie.



W porównaniu do wielonarodowych obozów tu w Budionowce prócz poszczególnych osób, takich jak my, jak Annuszka Niemka, są tylko potomkowie Kozaków, Wielkorusy i Czeczeni. Ci ostatni tworzą zwartą grupę. Trzymają się oddzielnie, wiernie dochowują narodowych obyczajów. Jak setki lat temu wesele rozpoczyna się od porwania narzeczonej, jak kiedyś starcy siadają wokół pieczęcego się na ogniu barana, a kobiety z tyłu czekają na rzuconą niedogryzioną kość. Jak dawniej kobieta niesie tłumoki zawieszane na specjalnych szelkach, na tłumokach wiszą w workach małe dzieci, bełtając nóżkami. Obok reszta dzieciarni pomaga matce nieść pozostałe rzeczy. Ojciec z przodu w wysokiej karakułowej czapce wymachuje laską. On niczego nie niesie. Jemu nie wypada. Kobieta jest w domu służącą, robotnicą przy bydle, zwierzęciem pociągowym. Czeczeni są leniwi, ich chaty są brudne, bardzo biedne. Pracują wyłącznie jako czabani, pasą bydło, owce. Kołchoz każdemu z nich obowiązuje przydzielić konia, bez konia bowiem Czeczen czuje się źle. Mam jednak wrażenie, że mimo koni, ci ludzie nawykli do gór nie mogą się przyzwyczaić do

rozległych pustych stepów. Cierpią na nostalgię, jak wszyscy, którym nakazano opuścić rodzinne siedziby, choćby były najbiedniejsze, najskromniejsze. Kraj lat dzieciennych pozostaje zawsze we wspomnieniu przesycony dziwnym blaskiem ciepła i bliskości, pozostaje świętym, choćby się w nim przelało niejedną łzę. Wszystko jest tam drogie, krajobraz, taka a nie inna linia lasu, powietrze, zapachy, rozjeżdżona droga, mogiłki bliskich na wzgórzu, pochylony kościółek czy cerkiew, mowa otaczających ludzi i ten sad, o którym tyle opowiada zawsze babuszka i kaskada Ibrahima, w której lubił się myć jako mały chłopiec. Jakąż straszliwą zbrodnią jest przymusowe przesiedlanie, wrywanie ludzi z ich gleby, którą żywili się od setek lat. Teraz przesiedlają Białorusinów, zamiano ich perspektywą dobrobytu. Jeszcze nie wiedzą, są za krótko, na co się zdobyli, jak gorzko swe decyzje okupią. Ile przejdzie pokoleń zanim, jak miejscowi sybiracy, poczują się u siebie. Już teraz dziwią się, że we wsi nie ma cerkwi, że brak jej także w rejonie. Jakże tak, zawodzą kobiety, gdzieś pójdziemy na nabożeństwo w niedzielę. Tam na dalekiej Białorusi jeszcze nie wszystkie cerkwie zamknięto, można też było pojechać do Wilna, do prawdziwego kościoła. Święcono też jeszcze święta, Boże Narodzenie, Wielkanoc. A tu już nic. Nie ma też wody. I znów się dziwią, jakże tak, a latem gdzie się pójdziemy kąpać, u nas jeziora wszędzie, gdzie nie rzucisz okiem, i ryba jest. A las, a grzyby, a jagody? Czują się oszukani.

— Jak tam w Oszmianie? — pytam ich.

— Żydów nie ma, wszystkich Niemcy wybili.

— A kto mieszka?

— Ruskie najechali.

— A Polacy?

— Mało kto został, pozabijali ich Niemcy, Ruskie, a reszta wyjechała.

— A wy dlaczego porzuciliście swoje wsi?

Wzruszają ramionami. Musieli wyjechać, nie było co jeść. Jak przez trzy z rzędu lata, odkąd zrobiono kołchozy, kazano im siać tylko len, ziemia się tak wyjałowiała, że teraz ani lnu, ani żyta. Nic nie rośnie, nie ma czego do garnka włożyć. Mówią otwarcie, śmiało. Jeszcze się nie nauczyli sowieckiej mowy, nie oglądają się wkoło, chlapią, co myślą, budząc zniecierpliwienie w kołchoźnikach. *Bołtuny*. Tak ich przewano, za tę szczerość, za nieostrożność, za swobodę może prymitywnej, ale własnej oceny. Przerobią ich. Następne pokolenie będzie już mówiło inaczej.

Ziemie naszego kołchozu graniczą z wielkimi pastwiskami kołchozu, zamieszkałego wyłącznie przez Kazachów. Mają podobno 50 tysięcy hektarów i są najbogatsi w okolicy. Kiedy przyjeżdżają na bazar, ich konie aż lśnią, wyczesane, wymyte. Sprzedają czasem baranie mięso, po cichu, ale wszyscy o tym wiedzą i jakoś nikt nie reaguje. Noszą wielkie baranie kożuchy, *malachaje*, brudni są jak zawsze, ale sympatyczni, weseli i nie cierpią Rosjan. Zatrzymują się nieraz u nas w kołchozie, prowadząc z Leonidem nie zawsze czyste interesy. Mają w bród ziarna, są bowiem jedynym kołchozem, który nie wypełnił obowiązkowych kontrybucji. Opowiadano, że na wiele kilometrów przed wsią stały podczas zniw czujki i gdy zbliżało się naczalstwo, jak w epoce Dżyngis Chana zapalały się kolejno ogniska, zwiastujące nieprzyjaciela. Zanim rejonowa kontrola pokonała wyboistą drogę, już ziarno suszone przez każdego w domu na własny użytek było głęboko schowane, a cała wieś pracowicie przerzucała na toku góry pozostającej tu jeszcze zgnilizny, jako tej, którą przeznaczono dla państwa. Kazach mówi: *ja choziain strana, ja ruski nie dam*. Areszty, sądy nic tu nie pomagały. Leonid mówił, że na początku próbowano z nimi walczyć, zmusić do ogólnej dyscypliny. Nic z tego. Nie potrafili się nagiąć, nie chcieli. Pamiętam, jak raz, będąc w rejonie, trafiłam na cukier. Przed sklepem stała ogromna kolejka, nie było żadnych szans, aby wystarczyło dla stojących na końcu. Na proździe trzech Kazachów pilnowało porządku, jednego z nich znałam, przyjeżdżał do nas. Zawołał mnie i postawił pierwszą przed sobą. Podniósł się gwałt z tyłu, ale on tylko się odwrócił, rzucając jakieś brzydkie słowo i okraszając nim tę niezmienną sentencję o swoim prawie do tej ziemi. Ruskim się nie podoba, ruski może sobie jechać do domu. I tyle. Sklep był jeszcze zamknięty, a tu pojawiali się coraz to nowi Kazachowie i wszyscy zajmowali miejsca na samym początku. Krzyk był straszny. Dawano po kilogramie. Kupiłam pierwsza, dziękując moim wybawcom. Patrzyłam potem na tego węża kazachskich głów i tłumy Rosjan, które stały wściekłe, mając coraz mniejszą nadzieję zdobycia upragnionej słodkości. Muszę tu dodać, że mieszkalam w Budionowce ponad półtora roku, ale przez cały czas udało mi się zdobyć tylko dwa kilogramy cukru, wówczas dzięki Kazachom, i drugi raz, gdy cukier rozdzielano po zniwach w kołchozie według listy. Swirin łaskawie mnie na niej umieścił.



Często po lekcjach przybiegały do mnie tutejsze matu-
rzystki. Kilka z nich to sieroty, mieszkające w domu dziecka,
dwie — córki kołchoźników. Pomagam im w matematyce i
fizyce. Są bardzo dumne, gdy jako jedyne w klasie rozwiązują
skomplikowane zadanie. Nie zdradzają się w szkole z naszej
komitywy. Chodzę razem z nimi nieraz do rejonu do kina, cza-
sem w klubie siadamy razem wieczorem i gawędzimy. Są ciekawe
świata, pytają mnie o egzotyczną dla nich Polskę. Udzielam
informacji ostrożnie, jakże bowiem łatwo być posądzonym o
demoralizację sowieckiej młodzieży. Wiem, że dawno chcą mnie
spytać, dlaczego tu jestem, dlaczego mnie aresztowano. To je
wyraźnie gnębi. Widocznie nie robię na nich wrażenia zło-
czyńcy, tak jak na Walentynie. Te dziewczęta jeszcze nie utra-
ciły szczerości dziecięcych lat. Przemogły się wreszcie i pytają,
pytają też, dlaczego nigdy nie chcą pomóc im w nauce historii.
Cóż mogę im odpowiedzieć? Oględnie tłumaczę, jak niepewne
są relacje nawet naocznych świadków, jak różnie komentowane
wydarzenia. Podaję przykłady proste, z życia ich samych, z ży-
cia kołchozu. W historii tak samo, nie zawsze wszyscy historycy
oceniają podobnie fakty, każdy spogląda na nie z punktu widze-
nia własnych interesów. Są zdetonowane. Nie przypuszczały, że
zdania co do przeszłości mogą być różne. Nie ma więc jednej
prawdy? — pytają. Prawda zapewne jest jedna, tylko rzadko
wypowiadana. Najczęściej podaje się nie prawdę, lecz to co
wygodne, co służy pewnemu celowi. Interpretacja faktów jest
zawsze subiektywna. Czarnooka Taniusza, kozacka córka, naj-
inteligentniejsza z nich, patrzy mi prosto w oczy, chce wie-
dzieć.

— To znaczy — mówi — że tam na Litwie, Łotwie, w Pol-
sce wcale nie chciano pomocy Związku Sowieckiego, jego armii,
czy tak?

— Chcieliśmy tylko być wolni — odpowiadam.

— Wolni? Ale co to znaczy?

— To znaczy samemu urządzać swój kraj, to znaczy budo-
wać życie według własnych, nie cudzych zasad, to znaczy my-
śleć i mówić zgodnie z własnym przekonaniem, myśleć nie to,
co każą, czego uczą, lecz co przez nas samych za prawdę zostaje
uznane. Człowiek musi być wolny, jeżeli ma żyć, tworzyć, iść
ku przyszłości. — Mówię te zwykłe słowa i nie jestem pewna,
czy trafiają. Siedzimy na przyzbie klubu, przed nami szkoła,
a koło niej biegający na długim drucie Szarik.

— Patrzcie na tego psa — mówię jeszcze — na tym dru-
cie, jakby nie był długi, nie upoluje nawet zająca.

Nie wiem dokładnie, co tam w szkole zaszło, co naopowiadały dziewczynki, podobno rzuciły jakieś nieostrożne słowo, dość, że wezwała je dyrektorka i na wszelki wypadek zakazała kontaktów z przestępczynią. Tania, jak mnie spotyka, czerwieni się i pochyla głowę. Jakże szczelnie przed ziarnem swobody zamyka się oficyna ludów.

GRANICA

Gdzieś na początku maja 1955 roku przyszedł z Kołymy list od N. z wiadomością, że repatriują Polaków. Jak tylko spłyną lody, mają być przewiezieni na kontynent i odprawieni do kraju. Trudno mi było w tę nowinę uwierzyć. Tymczasem jednak i w innych listach z Narylska, Workuty, Krasnojarska, Karagandy nadchodziły te same radosne wieści: wracamy. Gazety także pisały o repatriacji, lecz tylko Niemców. Zażądał jej Adenauer podczas swej pierwszej wizyty po wojnie w Związku Sowieckim. Umowa sowiecko-niemiecka mogła jedynie napoić goryczą. Z Niemcami zawsze się więcej liczone niż z nami. Ich rząd domagał się zwolnienia więźniów, warszawski milczał, być może nawet chciał naszego zatracenia, pozbycia się raz na zawsze świadków wydarzeń, jakie się rozegrały między Bugiem a dawną granicą Polski. Każdy z nas był takim żywym świadkiem zaboru, represji, przestępstw. Może lepiej było raz na zawsze wymazać te brudne karty z historii, zatrzeć ich ślady. Repatriować — to jakby wskrzeszać niebytych, już zapomnianych, milczących. Repatriować — to otworzyć im usta, pozwolić, by zaczęły mówić, krzyczeć, świadczyć. Chyba, że powrócą tylko cienie ludzi, a nie ludzie. Ale i cień potrafi ukazać prawdę.

Nie wierzyłam, nie mogłam wierzyć, bo już raz przeżyłam repatriację, która mnie nie objęła. Entuzjastyczne listy od kolegów przyjmowałam z pełnym sceptycyzmem, nawet takie wiadomości, że oto katorżników skazanych na 15 lat przeniesiono do zwykłych obozów, pozwolono zapuścić czupryny, przestano wywozić do pracy. Coś się działo, bo Narylsk się ruszył, ludzie byli w drodze. U mnie natomiast panowała absolutna cisza.

Kołchozowe życie toczyło się zwykłym leniwym rytmem.

Znowu „kampania” siewna. Nikt nie mówił po prostu: siew. W języku zawsze pobrzękiwała wojna, walka o coś tam, o ziarno, o urodzaj, o litry mleka, czy kilogramy wełny. Walczymy więc dzielnie. Doświadczona w kołchozowych obyczajach, zdobyłam jak inni worek nasiennej pszenicy. Sprzedałam ją po cichu przyjacielowi Annuszki po niezłej cenie. Sowietyzuję się szybko i bez specjalnych wyrzutów sumienia. Jak zawsze piszę lipne sprawozdania, podbijam fałszywe cyfry i czas peźnie. Wydaje mi się, że w ogóle zastygł, że każdy dzień ma czterdzieści osiem godzin, a tydzień — kilkanaście dni. Czekam na wiadomości. Wiem dobrze, że czekać, to oszukiwać siebie, że lepiej nie myśleć, nie mieć żadnej nadziei. Mimo to nadzieja się wkrada i burzy spokój. Jeżeli inni wyjadą, a ja nie, będę musiała podjąć walkę, prawdziwą walkę. Jak? Jeszcze nie wiem. Są różne sposoby, odmowa pracy, głódówka.

Nareszcie coś zaczęło się dziać. Pod koniec czerwca wezwano mnie do powiatowej komendantury. Jechałam z duszą na ramieniu. Co mi powiedzą, po co wzywają? MWD jest na pewno najlepiej prócz wojska zorganizowaną instytucją w kraju, ale i tu nie udaje się uniknąć bałaganu. Zgłaszam się do wydziału do spraw zesłańców, w którym byłam już wiele razy. Tam zdumienie. Kto wzywał? Nic podobnego, jakaś pomyłka. Nie ustępuję, telefonowano do naszej rejonowej komendantury, pomyłki być nie może, proszę wyjaśnić. Odsyłają od urzędnika do urzędnika i wszędzie to samo: nikt nic nie wie. Miałam już zamiar opuścić ten miły budynek, gdy nagle na korytarzu spotkałam oficera, który mnie kiedyś już przyjmował. Poznał mnie, zaprosił do gabinetu, z grubej teczki wyciągnął świstek papieru.

— Proszę podpisać — rzekł.

Było to zawiadomienie, że umieszczono mnie na liście repatriantów do Polski.

— Jeżeli nie chcecie jechać, jeżeli wolicie zostać z nami, to macie prawo — zachęcał.

Sam chyba nie wierzył, że mogłabym przyjąć tę wspaniałą propozycję. Na moje pytanie, kiedy nastąpi repatriacja, odpowiedział, że nie wie, że dadzą znać, trzeba czekać i tyle.

Nie opowiadałam nikomu w Budionowce o nowinie. Mogło się jeszcze tyle zmienić. W 48 roku część repatriowanych Polaków została zawrócona z Brześcia nad Bugiem. Po co się łądzić.

O ile moje pierwsze lato w Budionowce pamiętam doskonale, o tyle to drugie, pełne wyczekiwania, zatartło mi się nie-

mal zupełnie w pamięci. Co się w tym czasie działo? Białorusini budowali swoje samanne chaty, koledzy zesłańcy wykańczali nową oborę dla chuderlawych głodnych krów. W kantorze Wala jak zwykle zgryźliwie spoglądała na wroga narodu, co nie przeszkadzało Swirinowi i Leonidowi popijać z nim czysty spirytus. Gdy tylko czas pozwalał, chodziłam na długie samotne spacerunki w pole, aż do błotnistego słonawego jeziora, który podobno miał lecznicze właściwości, leczył reumatyzm i malarię. Jego brzegi jednak były tak zarosnięte trzcina, że trudno było dojść do wody. Upał był straszliwy. Suche wiatry zmieniały step w czarną szklaną pokrywę, na której szybko żółkły niewyrośnięte źdźbła zboża. Deszczu ani kropli. Od czasu do czasu wieś organizowała dziwny pochód. Szły baby, dzieciaki, co starsi kołchoźnicy bijąc w puste wiadra, miednice, blaszane garnki, zawodząc jakąś nieznaną mi pieśń. Z każdej chaty wychodzono im na spotkanie, polewając orszak wodą. Ten pochód miał sprowadzić deszcz, był zaklęciem, czarami, odgrywanymi z pełną powagą, pełnym przekonaniem. Zabobon okazywał się silniejszy niż nauki Marksa i nawet prawosławna wiara. Nie było kościoła, nie było popów, nie obchodzono prawie świąt, ale stary zwyczaj zamawiania deszczu pozostał nienaruszony. Zwyczaj ten był widocznie skuteczny, po paru dniach bowiem spadł rzęśisty deszcz. Lał cały dzień, tworząc potoki na zaschniętej, popękanej ziemi. Zniknęły jednak szybko, tyle, że się powietrze nieco orzeźwiło.

Przyszedł wrzesień i nic. Życie płynęło bez zmian. Annuszka, której opowiedziałam o repatriacji, kiwała głową.

— *Edwardowna* — tłumaczyła mi — *ty nie unywaj, wsio obman, nado smiritsa, nikuda ty nie ujediesz. Wot tiebie muza nado.*

Dni coraz krótsze, coraz chłodniejsze. Skończyły się żniwa. Annuszka dostaje czasem gdzieś pół litra wódki. Pijemy samotnie wieczorem, niewiele mówiąc. O czym tu mówić? O przeszłości? Zbyt wiele w niej smutku i łez. Pijaniem i idziemy spać. Piję też z Leonidem i ze Swirinem, to w kantorze, to gdzieś na polu wśród ogromnej jak las kukurydzy. Ciekawa jestem, ile z niej zostanie pod śniegiem.

Co mi zostało w pamięci z tych ponurych dni? Pustka, wydarzenia nieciekawe, bez znaczenia. Jestem już w tym kraju całe jedenaście lat. Nic mnie nie dziwi, nic nie cieszy. Przyzwyczaiałam się do wielkiej mapy wiszącej w klubie, na której ogromny Związek Sowiecki zajmuje czerwienią całą niemal przestrzeń, a malutka Europa wygląda jak narośl. Gdzie ta

wasza Polska, śmieją się kołchoźnicy, ledwo ją widać. Nasz kraj, to wielki kraj, to potęga. Jak zechcemy, to całą Europę połknimy jednym haustem. Mapa ta budzi wielkomocarstwowe uczucia. Jest chyba specjalnie spreparowana, bo nawet Chiny wydają się na niej nieduże. Czy mam także uwierzyć w tę moc? Czy mogę w nią nie wierzyć?

Przypominam sobie, że któregoś dnia załatwiałam jakąś kołchozową sprawę u Wasila Iwanowicza. Był zastępcą Swirina. Człowiek już po sześćdziesiątce, wysoki, bardzo tęgi z szeroką, nalaną, czerwoną twarzą. Miał na pewno wysokie ciśnienie. Zarłokiem był nieśtychany. Chwalił się zawsze, że gęś na obiad to dla niego przekąska, że potrafi zjeść pół cielaka. Być może, sama widziałam jak na bazie wychylił kwartę świeżego udoju, tylko że cielaków w kołchozie brakowało. Siedzę u niego w chacie, jednej z najbardziej przestronnych we wsi. Wasili jest bogaty, na pewno najbogatszy, ma własne trzy krowy, mleka, śmietany w bród. Zaprasza mnie na bliny. Żona z córką pieką je w kuchni i za chwilę na stole pojawia się cała ich miednica, duży dzban śmietany, talerz rozpuszczonej słoniny. Biorę dwa bliny, kroję je i jedząc przyglądam się gospodarzowi. On macza blin w słoninie i śmietanie i prosto do ust. Ja jeden kęs, on jeden blin. Po trzech mam dość, on pałaszuje dalej, a w międzyczasie prawi mi morały. Jego zdaniem, a jest ono wyrazem opinii wszystkich kołchoźników, powinnam wyjść za mąż, dosyć tego życia w samotności. Jest też dwóch kandydatów, obaj chłopcy na schwał, obaj z dobrych rodzin. Jeden z nich to Anatoli Nietreba, drugi jego kuzyn Piotr. Śmieję się. Anatoli, dobre sobie. To zwykły bandzior. Parę miesięcy temu w maju czy czerwcu zgwałcił razem z koleżkami przyjaciółkę swojej ciotecznej siostry, Wali. Mówiąc językiem *blatnych*, przejechali się po niej tramwajem. Dziewczyna dostała krwotoku, mało nie przeniosła się na tamten świat. Rodzice jej złożyli skargę i Anatola posadzono. Katia Nietreba, która o bratanku mówiła zawsze z pogardą i niechęcią, tym razem schowała głęboko swoją wrogość i wraz z mężem pojechała do prokuratora. Widocznie musieli dać w łapę, bo winnego wypuszczono, a w parę dni potem proces został umorzony podobno z braku świadków, choć pół kołchozu widziało, jak Anatoli ciągnął dziewczynę do ciężarówki. Na tym jednak nie koniec tej historii. Zaraz po żniwach była zabawa w klubie. Anatoli lekko podпиты wywiódł dziewczynę z klubu na majdan i tam znowu, w obecności niemal połowy wsi, zgwałcił. Dziewczyna płakała, wrywała się, nic nie pomogło. Nikt też jej nie po-

mógł, nikt nie powstrzymał mierzawca. On zaś spokojnie, gdy skończył, zaplął spodnie, splunął i tylko rzucił przez zęby: Ciesz się, że żyjesz, suko. Będziesz wiedziała, jak skarżyć się na Nietrebę.

Nie cierpiałam tego człowieka. Kiedyś w kantorze nachylił się ku mnie przez stół i łyskając zębami, a zęby miał białe, piękne, wyszeptał:

— *Chotitie so mnoju družit?*

— Nie mam ochoty przyjaźnić się z *blatnymi* — odpowiedziałam mu zimno. Myślałam, że mnie uderzy. Pohamował się i wyszedł. Odtąd przyglądał mi się wrogo, a ja bałam się go śmiertelnie. Wiedziałam, do czego jest zdolny. Dopiero później Leonid mi opowiedział, że spokój zawdzięczam Piotrowi. On to zagroził Anatolemu: — Nie rusz jej, bo zarżnę jak psa. — Piotr był równie wysoki, silny, na pewno zwinniejszy. Był przeciwieństwem kuzyna. Zawsze spokojny, grzeczny, nie narzucający się. Kiedyś mnie tylko spytał, kogo zostawiłam w Polsce. — Męża i dwoje dzieci. — Jest pani z nimi w kontakcie? — Oczywiście. — Nigdy mi nie zrobił żadnej propozycji. Teraz Wasyli próbował namówić mnie na małżeństwo.

— Jakże tak można, prawić, *choroszyje riebiata, a wy szto.*

Ogromnie był zgorzony moją negatywną odpowiedzią. Nawet do blinów stracił apetyt.

Nagle pod koniec września komendantura nakazała mi rozliczyć się z kołchozem. Mam jechać, ale warunkiem wyjazdu jest spłacenie wszystkich długów. Trzeba było coś zrobić, by anulować dług, a nie był on mały. Moje nędzne wyżywienie przez półtora roku, kartofle, mąka, mleko w porównaniu do zarobionych trudodni w kantorze (półtorej trudodnia dziennie — taka była stawka) czyniły ze mnie poważnego dłużnika. Biedny Leonid, ile się napocił, abym mogła wyjść na zero. Naliczył mi na trudodzień nie tylko ziarno, lecz także słomę, otręby, buraki, nawet kukurydzę. Dzięki jego pomysłowości mogłam przedstawić w komendanturze odpowiednie zaświadczenie. Przyjęto je i kazano czekać. Zdałam kasę córce brygadiera i zaczęłam pędzić dni jeszcze bardziej smutne, bez pracy, dni oczekiwania.

Próbowałam pomagać Annuszce. Dobra to była kobieta, serdeczna, straszliwie samotna. Straciła całą rodzinę, wywieziono ją gdzieś jeszcze dalej, ojca zabito. Los rzucił Annę do Budionowki i tak w niej została, nie znając tu nikogo. Miała jak i ja dożywocie. Tak jak i ja musiała się meldować co miesiąc w tutejszej komendanturze. Nie wyszła za mąż. Mężczyzn

było mało, nie grzeszyła urodą, aby się móc spodobać jakiemuś młodemu chłopcu. A zresztą Niemka, co prawda od wieków zamieszkała w Rosji, nie znająca nawet niemieckiego języka, ale dokument wystarczał, by budzić nieufność u tutejszych ludzi. Z Niemką nigdy nic nie wiadomo. Może przyjdą, aresztują, zabiorą gdzieś dalej? Annuszka była więc zadowolona, że ma chatę, pracę w szkole, gdzie sprzątała, parę marnych groszy, za które mogła kupić od kołchoźników mąkę i mleko. W małym ogródku sadziła kartofle i ogórki, starczało na zimę. Najgorzej było z opałem. Kołchoz nie chciał przydzielić jej kiziak, drzewa dokoła nie było. Wyprosiłam u Swirina odpady z budowy. Pozwolił, brygadier dał konia. Naładowaliśmy z moimi kolegami co grubsze belki na spód, odpady na górę. Zrobił się z tego ładny wóz drzewa, dobrego, suchego. Całe dnie piłowaliśmy zawzięcie, rąbałyśmy i szybko chowały do składowiska, aby nikt z kołchozu nie zauważył. Jest opał na zimę.

A zima była tuż. W październiku spadł śnieg, przykrył buraki, kartofle, niezwiezione siano i piękną kukurydzę. Nie zdążono jej skosić w całości. Poczerniałe badyle wystawały ze śniegu, urągając chruszczowowskim hasłom: „Przegonimy w produkcji mięsa i mleka Stany Zjednoczone”. Przegoniliśmy, jak zawsze.

Październik, listopad i ciągle nic. Przychodzą co prawda optymistyczne listy, ale na tym optymizmie się kończy. Zmieniono zdanie? Odwołano repatriację? Wszystko być może. Co raz bardziej skąpo z żywnością. Nie dostaję z kołchozu już nic. Kto nie pracuje, ten nie je. Nie mam nawet mleka. Dobrze, że są jeszcze kartofle. Jemy z Annuszką pieczone kartofle z solą i popijamy herbatą. Z reszty mąki Annuszka piecze chleb.

Cały listopad wiały piekielne wiatry. W tym stepie, jak się wiatr rozhula, to nie ma przed nim ucieczki. Jest niebezpieczny, zwala z nóg. Można wpaść w zaspę, zbłądzić, zamarznąć na śmierć koło własnej chaty. Unikam wychodzenia wieczorem. Nie mam zresztą dokąd iść, nie chce mi się gadać z kolegami. Nikt nie wierzy w mój wyjazd. Leonid namawia mnie, bym wróciła do pracy w kołchozie. Jeszcze się upieram, jeszcze nie straciłam nadziei.

Ktoś mógłby pomyśleć, że się bawiono ze mną jak kot z myszą, że dręczono specjalnie. Nie sędzę. Wiele czynników składało się na taki a nie inny przebieg repatriacji. Po pierwsze zwykły bałagan. Urzędnicy pracują powoli, niezbyt dokładnie.

Mają zwykle ważniejsze sprawy do załatwienia. Repatriacja to tylko kłopot. Po drugie, każdy sekretarz *rajkomu* czy *obkomu* niechętnie na tę repatriację patrzy. Zabiera mu ludzi. Doświadczenie uczy, że jeszcze wszystko może się zmienić, warto więc zacczekać, nie być zbyt gorliwym. Cała sprawa w łeb weźmie, a gorliwiec pozbędzie się siły roboczej, która wyłduje gdzie indziej. Po trzecie zesłaniec nie posiada żadnych informacji, jest więc szansa, że uda się go oszukać, zatrzymać, chyba że z Moskwy przyjdzie imienna lista. Władze miejscowe nie mają żadnego zamiaru ułatwić wyjazdu. Tylko wyjątkowi naczelnicy, bardziej ludzcy niż inni, powiadamią każdego zagubionego. Ilu jest takich, do których wieść w ogóle nie dojdzie!

Grać na zwłokę, oto zasada, która wiele razy okazała się skuteczną. MWD pamięta czterdziesty ósmy rok. Ja też go pamiętam.

Listopad zbliża się ku końcowi. Nareszcie. Telefon z komendantury. W przyszłym tygodniu mam jechać z rzeczami do powiatowego miasta. Poruszenie w kołchozie. Sensacja. Wpierw mi nie wierzono, teraz zazdroszczą. Polaki, mówią, Polaków puszczają, tym to dobrze. Szykuję się do drogi. Czekam na ostatni telefon. Mają mi dać znać rano, bym zdążyła ewentualnie na popołudniowy pociąg. Pakuję się. Kołchoźnicy obdarowują mnie na drogę. Katia Nietreba przynosi całą pieczoną kaczkę, dostaję kawał wędzonego boczku od Malginy, jakieś kołaczce, chleb. Wreszcie dzień wyjazdu. Czekam na telefon. Do jedynej nie ma. Dzwonię sama do komendantury. Nic nie wiedzą. Jakiś oficer mówi mi przez zęby, że repatriacja odwołana i mam siedzieć na miejscu. Wracam do domu, patrzę na drewniane walizki. Nie mam już sił, bliska jestem załamania. Pierwsza godzina, szykujemy z Annuszką kartofle na obiad. Nagle wołają mnie. Telefon, komendantura. Dlaczego nie jadę? Pociąg za dwie godziny, mam jeszcze dziś opuścić Budionówkę.

Biegnę na bazę, trzeba konia, sanki. Jeden z kolegów odwiezie mnie na stację. Całuję Annuszkę, Leonid ściska mnie serdecznie. Jedziemy. Cztery kilometry wydają się czterdziestoma. Zajeżdżamy do MWD. Przepustka? A po co? Jak zabiorą panią w wagonie, to i tak dostarczą do powiatowej komendantury. Nie ma czasu na przepustki. Stacja. Mój Boże, przy kasie kolega Polak z Tu. Witamy się. Podnieceni jesteśmy strasznie. Bilety wydają nam bez kolejki. Znają mnie na tej stacji. No i wreszcie powiatowe miasto. Bierzemy na spółkę taksówkę, ażeby dotrzeć do MWD. Tam spotkanie, około dwudziestu Polaków. Nie znam ich, są z różnych obozów, różnych zsyłek.

Teraz jesteśmy uspokojeni, choć do ostatniej chwili nie wolno wierzyć, nie wolno się cieszyć.

I znów jesteśmy w drodze. Opiekuje się nami sierżant MWD, ma nasze papiery. Jedziemy zwykłym osobowym pociągami w zupełnie inną, wprost przeciwną stronę, nie na zachód, lecz na wschód. Podobno tam grupują etap Polaków. Droga długa, dwie doby. Dzielimy się polskimi czasopismami, opowiadamy ostatnie wydarzenia, doświadczenia z obozów i zsyłki. Jest nam wesoło, nareszcie wśród swoich. Polacy, więc można mówić wprost, bez kłamstw, bez żenady, to co się myśli. Pełne zaufanie, pełna solidarność. Jestem jedyną kobietą. Opiekują się mną troskliwie. Umieszczają mnie na półce na rzeczy, abym się mogła przespać. Śpię parę godzin, potem ustępuję miejsca innym. Pod wieczór przyjeżdżamy do dużego miasta. Idziemy ciągnąc rzeczy na piechotę daleko od dworca do miejsca zbiórki. Są to koszary wojskowe. Spotyka nas gwar, ruch. Pełno Polaków, są znajomi, starzy towarzysze jeszcze z konspiracji. Cieszymy się jak dzieci. W koszarach nie ma jednak dla nas miejsca. Zostawiamy rzeczy w jakiejś przechowalni i wracamy na dworzec kolejowy, by tam spędzić noc. Dworzec jest wielki i ciepły, ale zgodnie z tutejszymi porządkami na ławkach nie wolno spać. Nie zwracamy uwagi na zakaz, kładziemy się, jak kto może. Oczywiście wybuch awantura. Nie wstajemy, trzeba było i dla nas zorganizować nocleg. Naczelnik dworca wścieka się, zjawia się milicja. Broni nas nasz opiekun enkawudysta, on też nie ma gdzie spędzić nocy. Wreszcie zostawiają nas w spokoju. Śpimy doskonale. Jesteśmy do wszystkiego przyzwyczajeni.

Rano wyprawa do banku. Zawiadomiono nas, że możemy wymienić obligacje pożyczki narodowej na ruble. Idziemy z sierżantem, on bowiem ma poświadczyć, że jesteśmy Polakami. Wypłacono nam kwotę, na którą opiewały obligacje z dwóch ostatnich lat. Spóźniliśmy się. Jeszcze parę dni temu w ogóle nie zwracano uwagi na daty. Na wieść o wymianie tłum Rosjan obiegł Polaków, proponując swe stare, zbierane od dziesiątków lat obligacje, pół na pół. W ten sposób Polacy zarobili dziesiątki tysięcy rubli, Rosjanie także byli zadowoleni, aż wreszcie w banku zabrakło pieniędzy. Wtedy dopiero wyszła na jaw cała siuchta. Byli więźniowie nie mogli mieć obligacji sprzed 54 roku. Kto jednak zdążył, temu się udało. Nagle stał się bogaczem. Kupował więc wszystko, co było warte kupienia. Znikły ze sklepów lodówki, radia, aparaty fotograficzne, ktoś nawet kupił motocykl. Gdy dostałam swoje 200 rubli, niczego już w

mieście znaleźć nie mogłam. W każdym sklepie odpowiedź: wszystko Polacy wykupili.

Odjazd. Żegna nas duża grupa kolegów, którzy nie znaleźli się na liście. Patrzymy na nich ze smutkiem. Ładujemy się na ciężarówkę. Jedziemy nie na stację, lecz gdzieś za miasto, za dworzec. Podjeżdżamy, wyskakujemy z aut i za chwilę wybuchamy głośnym śmiechem. Śmiejemy się serdecznie, zanosimy się od śmiechu. Niespokojni enkawudyści patrzą na nas, jak na wariatów. Co z wami? A my nic. Co nowa ciężarówka przybywa, nowe dwadzieścia kilka osób, to nowa salwa śmiechu. Przed nami bowiem na torach stoi pociąg. Same pulmany, *wagons-lits*, komfort, Europa. Gdzież nasze kochane stołypinki, gdzie bydłce ciepłuszki z zakratowanym okienkiem i żelazną rynną zamiast paraszy? Zaczynamy naprawdę wierzyć, że pojedziemy na Zachód.

Ładują nas czwórkami, po cztery osoby do przedziału. Ustawiam się tak, by trafić z przyjaciółmi z AK. Zajmujemy przedział, cztery miękkie ławki, widać w schowku pościel, poduszki, koce obleczone w podpinkę. Jeszcze nie rozłożyliśmy naszych rzeczy, a już dyżurna z wagonu pyta, czy nie chcemy czasem herbatki. Znow się śmiejemy. Nasz wagon ma tylko trzy przedziały zajęte przez nas, w pozostałych jedzie naczalstwo. Niech tam, co za różnica. Patrzymy przez okna na załadunek. Jest paru ciężko chorych, niosą ich na noszach, dużo inwalidów o kulach. Niektórzy koledzy są straszliwie wynędzniali, w jakichś okropnych łachmanach. Otrzymują złe uszyte ubrania, spodnie, marynarkę, koszulę, fufajkę, jest nawet parę płaszczy. Władze pytają się nas, czy i my chcemy coś z okrycia. Nie chcemy. Mam fufajkę, walonki, buty, płaszc. Nie potrzeba łaski.

Jeszcze raz sprawdzają. Zamykają wagony i cały sztab oficerów przechodzi, pytając jak zawsze: imię, nazwisko, imię ojca, rok urodzenia, wyrok i artykuł (choć wyrok skończony), narodowość. Wszystko się zgadza. Jest nas ponad czterysta osób. Pociąg nosi nr 517. Ruszamy.



Jedenaście dni drogi. Humory mamy doskonałe. Nie myślimy o przyszłości. Jakoś tam będzie. Grunt wyrwać się z tego piekła. Potem, co Bóg da. Między swymi nie zginiemy. Cieszy nas rodzinny język, cieszą stare piosenki. Wdajemy się w rozmowy z naczalstwem. Są to pułkownicy MWD, szarże. Nie-

odmiennie pytają, czy będziemy ich źle wspominać. Czułe serca. Jakby im naprawdę zależało na tym, aby zostawić po sobie jak najlepsze wspomnienie. Naiwność czy nieporadność towarzyska? Nie potrafią mówić zwyczajnie, są niesłychanie drażliwi, sztwywni. Umieli na nas krzyczeć, umieli wyzyskać wszystkie siły, a powiedzieć cokolwiek po ludzku nie potrafią. Pytają, czy wystarcza nam wydawany prowiant. Śmiejemy się. Dostajemy codziennie po kilogramie chleba, ogromny kawał kiełbasy, kawał słoniny, ogórek, cebulę, a w dodatku zatrzymujemy się na obiad. Do Uralu godziny tych posiłków zależały od odległości między stacjami. Czasami jedliśmy o jedenastej rano, czasami o piątej po południu, w każdym razie w dzień. Obiad w dworcowej restauracji, przy stolikach, na obrusach, z trzech dań z mięsem, i to zwykle dobrym, kompotem na deser. Kto to wszystko może zjeść? Rozdajemy chleb, słoninę, kiełbasę ludziom na stacjach. Dziękują nam, patrząc zazdrośnie na tajemniczy pociąg, zaszyfrowany, który jedzie nie wiadomo dokąd. Pociąg nr 517 odchodzi z peronu nr cztery, wołają głośniki. Kto w nim jedzie, tajemnica państwowa. Na dworcach nie ma ludzi, widocznie usunięci. Ale za stacją zawsze się znajdzie paru ciekawskich. Chcecie kiełbasy? Wysupłują nędzne grosiki, lecz my pieniędzy nie chcemy. Jedzcie, pamiętajcie Polaków.

Za Uralem ruch na stacjach większy, trudno z nich ludzi usunąć. Karmią nas teraz tylko w nocy. Jemy obiady o pierwszej, drugiej, lub jeszcze później nad ranem. W dzień się wyśpimy. W dworcowych halach czekają na nas wszędzie zorganizowane naprędce kioski jubilerskie. Wolno nam wszystko wywieźć bez cła, rubli natomiast do Polski brać nie można. Trzeba resztki ich na coś wydać. Ci co zmienili obligacje w większej ilości wykupują srebro, pierścionki, puderniczki, portycygary, najczęściej w marnym guście, ale kruszec dobry.

— Patrz — mówi naczelnik — z więzień, z zsyłki wracają, a bogaci. — Jakby nie wiedział, skąd mamy pieniądze.

Na Uralu mijamy słup z napisem: Europa — Azja. Bijemy brawo. Co prawda marna to Europa, która się ciągnie daleko jeszcze przed nami, ale dobrze, żeśmy porzucili Azję. Nie mamy do tego kontynentu sympatii. Przyglądamy się okolicom. Minęliśmy już bezkresne stepy, gdzie przez cały dzień nie zobaczysz chaty ani drzewka. Teraz wjeżdżamy w kraj gęściej zaludniony. Znamy go wszyscy z pierwszej podróży na wschód. Biedota rzuca się w oczy. Tyle lat po wojnie, a widzę na stacjach baby w porwanych walonkach, w łapciach obwijanych paru

warstwami szmat, w zniszczonych fufajkach. Stacje natomiast są wspaniałe, dworcowe pałace, malowidła na całą ścianę ukazujące radosny kołchozowy i fabryczny trud.

Dwa zabawne wydarzenia spotkały nas w czasie drogi. Raz dwóch kolegów wyskoczyło do miasta podczas postoju i spóźniło się na pociąg. Zgłosili się natychmiast do naczelnika stacji. Ten obejrzał ich podejrzliwie, poprosił o dokumenty. A dokumentów nikt z nas nie miał, ani papiereczka. Naczelnik zamknął więc chłopaków w dworcowej tiurmie i dał znać MWD. W pociągu naszym na szczęście od razu zauważono ich nieobecność. Zgłosiliśmy ją naczalstwu i na pierwszym przystanku nasi opiekunowie zatelegrafowali na poprzedni. Nazwiska i inne dane się zgadzały, więc chłopaków wypuszczono, wsadzono do ekspresu, który przegonił nas gdzieś między miastami i gdyśmy dojechali bodajże do Tuły, już tam na nas czekali. Jak się okazało, nie brak dokumentów wzbudził niepokój miejscowego MWD, lecz zbyt dokładne informacje o pociągu. Im więcej dostarczali szczegółów o 517, by udowodnić, że nim właśnie jechali, tym większa wątpliwość ogarniała tępych czekistów, którzy powtarzali w kółko: Skąd tyle wiecie, za wiele wiecie, szpiedzy, na pewno szpiedzy. Nawet doświadczonym zekom trudno było zrozumieć ich sposób myślenia i chłopaków powoli ogarniało przerażenie, że będą przetrzymani do wyjaśnienia nie wiadomo ile czasu. Telegram ich wybawił, na szczęście.

Podobną przygodę przeżył mąż naszej etapowej lekarki. Sam był pracownikiem MWD w randze majora. Żona dała mu znać, kiedy będziemy przejeżdżać niedaleko Moskwy, do samej stolicy bowiem dopuścić tych niesfornych Polaków naczalstwo nie zamierzało. Jeszcze który z nas coś łapnie niepotrzebnego na dworcu. Okrążyliśmy więc Moskwę dziwnymi drogami i pan major musiał się pofatygować na jedną z okolicznych stacji. Natychmiast zwrócił się do dyżurnego kolejarza z pytaniem, czy 517 przybył i na jakim torze stoi. No i cóż. Dyżurny doniósł gdzie trzeba i pana majora wsadzono do zaryglowanego pokoju, do wyjaśnienia. Nie pomogła legitymacja i podobno specjalna przepustka. Dopiero po paru godzinach na interwencję naczelnika naszego etapu i przerażonej lekarki gościa wypuszczono. Ale co posiedział, to posiedział. W takim to sekrecie wywożono nas z Rosji, większym niż wwożono.

Kijów. Naczelnicy zrzucili mundury, włożyli cywilne ubrania. Wyglądają zabawnie. Wsiadają też pełnomocnicy polskiego rządu. Wyciągamy z nich różne informacje na przyszłość. Są grzeczni. Zbliżyliśmy się wreszcie do dawnej granicy. Przyglą-

damy się każdej wsi, każdemu lasowi, każdej wijącej się drodze. Wielu z nas zna dobrze te strony. Do Lwowa dojeżdżamy w nocy. Nie mamy żadnej możliwości, by wyjść na miasto. Zapowiadany jest odjazd. Stoimy więc tylko przez chwilę na stopniach dworca, patrząc na uśpione ulice i domy. Ścisza się serce. Ruszamy dalej. Noc jest grudniowa, ciemna, nic nie widać, lecz nikt nie śpi. Wszyscy patrzymy przez okna, jakbyśmy chcieli rozpoznać każde drzewo, każdy krzak. Kiedy nas stąd zabierano, były to jeszcze nasze ziemie, nasz rodzinny kraj. Teraz widzimy rosyjskie napisy na drogach, na dobrze nam znanych stacjach. Jakże nieludzkie, jak straszne jest to wyrwanie z korzeniami z ziemi, na której się wzrosło, gdzie każdy kąt był własny, gdzie dokoła byli bliscy, swoi. Lata wojny jeszcze mocniej związały nas z tą ziemią. Nie chcę używać wielkich słów, jest jednak faktem, żeśmy za nią walczyli, wielu z nas oddało za nią swe życie. My, aresztowani, całą naszą młodość i zdrowie. Teraz mijamy ślady pogorzeli, wyludnione wsie, obumarłe kikuty owocowych drzew. Widzimy wszystko i nikt nas nie oszuka, bośmy zachowali w pamięci kształt każdego wzgórza i ciągnącej się na horyzoncie linii lasu. Teraz mijamy je, by już więcej nie powrócić. Nigdy poczucie klęski nie było w nas tak silne.

Dnieje. Mościska. Ostatnia stacja przed granicą. Bogaci wykupują w kiosku jubilerskim srebro za resztę rubli. My oglądamy dworzec, pola ciągnące się za dworcem. Pusto tu, nie ma żywej duszy prócz kolejarzy i pograniczników. Wsiadamy. Przed Medyką zamykają wagony i liczą nas. Liczba się zgadza. Wychodzimy na korytarze, otwieramy na oścież okna. Pociąg rusza, na stopniach stoją sowieccy pogranicznicy. Zeskakują przed samymi drutami. Szeroki pas zabronowanej ziemi. Spiewamy hymn i Rotę. Granica.

SPIS TREŚCI

<i>Od autora</i>	7
<i>Życie codzienne: więzienie</i>	9
<i>Szpital</i>	37
<i>Praca</i>	82
<i>Życie codzienne: obóz</i>	130
<i>Miłość</i>	146
<i>Teatr i aktorzy</i>	173
<i>Budionowka</i>	202
<i>Granica</i>	256

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 30 AOUT 1985
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1985.

N° d'imprimeur 7140.

Dear Mr. W. W. W. W.,
1888.

